Czy Władek Kosiniak ma tatuaże. Jak Polacy wydeptują ścieżki w Pentagonie ▸8

Czy dzisiejsze nastolatki są głupsze ▸24

WYSOKIE OBCASY

Mam dzieci z zespołem Downa i cieszę się macierzyństwem

FOT. JAKUB ORZECHOWSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL, NICK DAVID/GETTY IMAGES

MAGAZYN wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

JAN HARTMAN

Miałem złudzenia wobec Polski i polskich Żydów

▸17

FOT. JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

GAZETA wyborcza
Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348198
ISSN 0860-908X
9 770860 908167 41

Kanada i Europa. Małżeństwo nie tylko z rozsądku ▸4

Magia ścigaczy 18 lat i 4 sekundy do setki ▸14

Dlaczego Amerykanie nie chcą mądrej sztucznej inteligencji ▸30

Kara śmierci za mowę nienawiści ▸40

Ulubione kobiety greckich mizoginów ▸44

Kod dostępu do Wyborcza.pl na weekend

Sobota – czwartek, 10-15 października 2026 | Redaktor prowadzący Marek Markowski | Cena gazety 12,99 zł (w tym 8% VAT) | nr 237.11336, 1 | Nakład 70 tys. + 298,5 tys. prenumerat cyfrowych

eprasa.pl ed2416b7a2

Ważne niedostrzegane święto

Zagadaj do kogoś

Jucewicz

W tę sobotę, 10 października, jest Światowy Dzień Zdrowia Psychicznego. To ważne święto, które ma zwiększać świadomość o kryzysach psychicznych i wspierać walkę ze stygmatyzacją osób, które ich doświadczają. Coraz zresztą żywiej obchodzone.

Odbędą się więc konferencje i wydarzenia specjalne. Uruchomione zostaną „tygodnie zdrowia psychicznego" oraz nowe kampanie społeczne. Wiele z nich jest wartościowych i potrzebnych, choć zastanawia mnie zawsze, jak niewiele takich imprez zaprasza osoby, którym to święto jest poświęcone. Ludzi, którzy sami doświadczają kryzysów psychicznych albo z zaburzeniami psychicznymi żyją przewlekle.

Wiele firm i instytucji zorganizuje tego dnia warsztaty psychologiczne, a inne z tej okazji zafundują pracownikom bon do kina, albo po prostu wzbogacą dzień owocowy o cytrusy – w końcu to tak zwane „owoce szczęścia" o udowodnionej naukowo mocy poprawiania nastroju.

W platformach (anty)społecznościowych posypią się wpisy poświęcone różnym diagnozom – choć nie każdy kryzys mieści się w definicjach – jak i rolki o konieczności zadbania o siebie. Mniej będzie o tym, jak zadbać o innych. W tym o tych, którzy ze względu na swoje doświadczenia żyją w izolacji, także cyfrowej.

Piszę o tym z taką pewnością, bo od lat przyglądam się, jak to święto jest obchodzone i widzę, że obok bardzo sensownych inicjatyw wyrastają kolejne wydmuszki, które tylko podczepiają się pod nośną, trendującą okoliczność wizerunkowo, mając w tym wyłącznie swój interes – na przykład budowanie zasięgów.

Oby w tym roku było inaczej, ale i tak spodziewam się zmasowanego ataku grafik bliźniaczo do siebie podobnych, wygenerowanych przez różne narzędzia sztucznej inteligencji, a na nich: osoby ze spuszczonymi głowami w otoczeniu spadających liści, osoby z twarzami zakrytymi dłońmi w geście rozpaczy na szarym tle, nastolatkowie siedzący pod ścianą z przykurczonymi nogami. Do tego jakiś komunał typu „Zdrowie psychiczne ma znaczenie" i... w sumie nic więcej.

Czy coś nam po tych obrazkach zostanie? Jaką korzyść będą z nich miały osoby, których bezpośrednio dotyczą? Nie mówiąc już o tym, że każdy, kto doświadczył poważnego załamania psychicznego, każdy, kto widział je z bliska, wie, że często wygląda ono zgoła inaczej.

Chciałabym zachęcić dziś Państwa do czegoś innego. Po to, by idee niesione przez to święto mogły trwać dłużej niż jeden dzień czy nawet tydzień. Bo kryzys psychiczny tyle nie trwa. Czasem to całe życie z okazjonalnymi plamami remisji pomiędzy.

Chciałabym zachęcić Państwa do ponownego docenienia tak zwanego small talku. Tych małych, niby nic nieznaczących rozmów – z sąsiadami, ekspedientkami i ekspedientami w sklepie, kolegami i koleżankami z pracy, których znamy tylko z widzenia, a coraz częściej tylko „z maila", z innymi właścicielami psów, których spotykamy na przydomowych skwerkach i w parkach.

W coraz bardziej spolaryzowanym, pozamykanym w bańkach i stechnicyzowanym świecie takie rozmowy zanikają, a ich wartość jest lekceważona. Nie dotyczą sensu życia, „self- care", diagnoz czy samopoczucia. Ale często są tymi, które tkają wokół nas drobną sieć przynależności. Sprawiają, że kiedy wychodzimy ze swoich domów i miejsc pracy, odnajdujemy przestrzenie, które są dla nas bezpiecznie, bo mamy w nich „swoich" ludzi: pana Darka z warzywniaka, panią Dorotę z mięsnego, panią Marzenę z cukierni.

Być może niektóre z tych niby błahych rozmów poprowadzą gdzieś dalej? Być może za parę miesięcy, może lat, będziemy wiedzieć, kto o czym śni, kto ma poważnie chore dziecko albo rodzica, kto się szykuje na operację. Być może ten jeszcze niedawno obcy człowiek będzie mógł nam w czymś pomóc, a my będziemy mogli pomóc jemu. Również w kryzysie psychicznym.

Tyle się mówi i pisze o zagrożeniu ze strony generatywnej sztucznej inteligencji. Wieszczy się koniec ludzkości, podaje się nawet daty. Ale przecież póki jesteśmy, możemy pielęgnować w sobie to, co w ludzkości chyba najlepsze: umiejętność dostrzeżenia drugiego człowieka, wyciągnięcia do niego ręki, a na początku – słowa. ● **Agnieszka Jucewicz**

Andrzej rysuje

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Liczba dnia

66,4

TYS.
nowych samochodów zarejestrowano we wrześniu w Polsce. Mowa tylko o osobówkach, do czego dochodzi 6,1 tys. lekkich dostawczaków.

Za trwający już od paru miesięcy – po latach spadków i sprzedaży u niektórych producentów liczonej w sztukach – rekordowy trend odpowiadają głównie przedsiębiorcy. Dominują Toyoty, Volkswageny, Skody i chińskie MG. Oraz benzyna i ropa – tylko 6,1 proc. nowych aut to „elektryki".

Więcej w tekście Andrzeja Kublika na ▶ Wyborcza.biz

Cytat dnia

Praca stała się bardziej intensywna, szybka. To jak ciągła współpraca z kilkunastoma albo kilkudziesięcioma współpracownikami. Tyle że nie wszyscy są wystarczająco wykwalifikowani

PROF. MAREK KOWALKIEWICZ
międzynarodowy badacz gospodarki cyfrowej, o wdrażaniu AI w firmach

Więcej w rozmowie Joanny Sosnowskiej na ▶ Wyborcza.biz

328

Izraelczycy i Palestyńczycy nie muszą uczestniczyć w konkursie na łzy, który sprawia, że nie widzimy człowieka po drugiej stronie.

Z **RACHEL GOLDBERG-POLIN,** MATKĄ ZAKŁADNIKA ZABITEGO PRZEZ HAMAS ROZMAWIA **KACPER MAX LUBIEWSKI**

Jakim człowiekiem był Hersz?
– W tradycji żydowskiej wierzymy, że każdy człowiek jest wszechświatem, więc próba opisania go w kilku słowach skazana jest z góry na porażkę. Hersz zawsze będzie dla mnie moim pierworodnym dzieckiem i moim jedynym synem. Staram się, żeby po śmierci go nie idealizować ani nie mitologizować, bo Hersz był zwyczajnym chłopakiem. Był psotny, zabawny i ciekawy świata. Zawsze nosił moją torbę, choć nigdy go o to nie prosiłam i chodził z nami do synagogi, nawet gdy sam przestał być religijny. Mówił wtedy, że nie chce, żeby Jon, jego tata, siedział sam [w ortodoksyjnych synagogach mężczyźni i kobiety siedzą oddzielnie].

Gdy go teraz wspominam, do głowy przychodzi mi jeszcze jego umiejętność głębokiego słuchania. Hersz słuchał i szanował nawet tych, z którymi głęboko się nie zgadzał. Dzisiaj staram się brać z niego przykład.

Podczas pogrzebu Hersza pani mąż powiedział, że życzy sobie, żeby „jego imię stało się rewolucją". Jaką rewolucję miał na myśli? O jaką spuściznę Hersza chcecie zadbać?
– Nie chodziło nam o rewolucję polityczną czy przewrót. Hersz i jego porwanie pokazały nam przede wszystkim, jak ważne jest znalezienie środka między dwoma ludzkimi skłonnościami: do miłości i do gniewu. Oba z nich, pozbawione umiaru, potrafią być destrukcyjne. Gniew potrafi przeistoczyć się w nienawiść, a miłość w ślepotę i złudzenie.

W naszej walce o powrót Hersza do domu czasami czułam bezkresną miłość, a czasami potężny gniew. Prawdziwą sztuką jest znalezienia miejsca pośrodku i niepopadanie w którekolwiek z ekstremów, nieważne, jak jest kuszące. Chciałabym, żeby pamięć mojego syna żyła w mojej walce, jak i wielu innych ludzi, o znalezienie równowagi między tymi dwoma siłami. Niestety, żyjemy w świecie, w którym jesteśmy nieustannie zmuszeni wybierać.

Wróćmy do 7 października 2023 r. Jak wyglądał ten dzień w życiu waszej rodziny?
– Nasza historia zaczyna się dzień wcześniej, 6 października, bo to wtedy widzieliśmy go po raz ostatni. Wracaliśmy z synagogi, kiedy nas pocałował i powiedział: „do zobaczenia jutro". Tego samego wieczora pojechał z przyjaciółmi pod namiot w pobliżu festiwalu Nova.

Następnego dnia rano o ataku dowiedziałam się, gdy koło ósmej rano w Jerozolimie zawyły syreny. Nie wiedziałem, że na południu doszło do tragedii, bo przestrzegam szabatu i nie korzystam wtedy z technologii. Przestraszyłam się, że Hersza nie ma z nami, więc włączyłam telefon i zoba-

1 RP

eprasa.pl ed2416b7a2

DNI W NIEWOLI HAMASU

FOT. JACK GUEZ/AFP/EAST NEWS

• **Rodzice Hersza: Rachel Goldberg-Polin i Jonathan Polin ze zdjęciem syna w czasie demonstracji rodzin domagających się uwolnienia krewnych prowanych przez Hamas. 29 sierpnia 2024 r., kibuc Nirim w południowym Izraelu przy granicy ze Strefą Gazy**

czyłam dwie wiadomości, które Hersz napisał chwilę temu.

Pierwsza brzmiała „kocham was", a druga: „przepraszam".

Serce stanęło mi w gardle, bo żaden 23-latek nie napisałby takich wiadomości swoim rodzicom bez powodu. Natychmiast do niego zadzwoniłam, ale nie odbierał. Napisałam z pytaniem, czy wszystko w porządku, ale tych wiadomości już nigdy nie odczytał.

W naszym mieszkaniu momentalnie zrobił się tłum; cała dzielnica wiedziała, że Polinowie nie mogą znaleźć syna. Nikt z rządu się z nami nie kontaktował, bo chaos był totalny.

Ale bardzo szybko stworzyliśmy nasz własny rząd. Pomóc przyszła sąsiadka, która wiele lat pracowała w policji, czyjś mąż z wysoką rangą w wojsku i emerytowany agent Szin Betu [izraelskiej wewnętrznej służby bezpieczeństwa]. Z perspektywy czasu świat przed 7 października wydaje się bardzo odległy; od tego czasu mieszkam w zupełnie innym świecie.

Mantrą, która powtarzali państwo w czasie trakcie kampanii na rzecz powrotu Hersza, było: „nadzieja jest obowiązkiem".

– Zapytano mnie podczas któregoś wywiadu właśnie o nadzieję i pomyślałam wtedy, że nadzieja nie jest tylko pomocą, wskazówką czy radą. Nadzieja była dla mnie jak przykazanie, jak rozkaz, który wydałam sama sobie. Każdego dnia pracowaliśmy z mężem 18-20 godzin i gdyby nie nadzieja, że Hersz wróci do domu, nie poradziłabym sobie z rozpaczą i agonią.

Powtarzałam sobie: „Hersz, kochamy cię, bądź silny, przetrwaj" do tego stopnia, że czasami budziłam się w nocy, mówiąc też do siebie: „przetrwaj, przetrwaj". Porwanie Hersza było porwaniem części mnie, więc modląc się o jego przetrwanie, modliłam się też o siebie.

Jak wyglądała kampania na rzecz uwolnienia Hersza? Gdzie szukaliście pomocy?

– Ja i mój mąż spędziliśmy większość naszego życia w USA i mówimy po angielsku, więc naturalnie przypadło nam zadanie rozmowy z międzynarodowymi mediami. Każdego dnia udzielaliśmy nawet 50 wywiadów, a naszym celem było wytłumaczenie, że 7 października był atakiem na coś dużo większego niż tylko na Izrael: wśród zakładników byli przecież Żydzi, chrześcijanie, muzułmanie, hinduiści i buddyści. Łącznie reprezentowali 29 różnych narodowości, najmłodszy z nich miał 9 miesięcy, a najstarszy to 85-letni ocalały z Holokaustu.

7 października był atakiem na ludzkość, na człowieka jako takiego. Spotykaliśmy się z przywódcami politycznymi na świecie, przekonując ich, że muszą działać. Jako pierwsi pokazaliśmy papieżowi Franciszkowi nagranie z porwań i pamiętam, że powiedział wtedy „ to, co was spotkało, to brak człowieczeństwa".Jego wsparcie było dla mnie bardzo ważne, bo straciłam wiarę w ludzi; papież wyjaśnił mi, że porwanie Hersza nie było zaprzeczeniem człowieczeństwa jego sprawców, tylko jego zanikiem.

Po 328 dniach od porwania i nadludzkiego wysiłku waszej rodziny, żeby go uwolnić, ciało Hersza zostało znalezione w tunelu pod Rafą na południu Gazy. Jak dowiedzieliście się o jego śmierci?

– Był sobotni wieczór; wracałam do domu po tym, jak odwiozłam jedną z córek na protest, gdzie Izraelczycy żądali powrotu porwanych. Mąż zaprowadził mnie do sypialni i powiedział, że na Telegramie krąży plotka, że wojsko odkryło ciała sześciu zakładników w Gazie, a Hersz jest jednym z nich. Jon podał mi Księgę Psalmów i powiedział: „to czas, żeby się modlić". Więc modliliśmy się i modliliśmy aż do czwartej rano, kiedy zadzwonił telefon męża.

Agentka izraelskiego wywiadu, przyporządkowana do naszej rodziny, powiedziała, że czekają pod wejściem do naszego budynku.

Wtedy już wiedziałam, że Hersz nie żyje. Przyszłam do pokoju córki i obudziłam ją. Ona też wiedziała, co oznacza telefon od wywiadu nad ranem i od razu zaczęła płakać. Zdenerwowałam się i powiedziałam, żeby przestała, że musimy przejść przez to razem. Następnie zbiegłam na dół i otworzyłam drzwi do mieszkania, mimo że nikogo jeszcze tam nie było.

Nawet w tak krytycznej sytuacji zależało mi na zachowaniu resztek sprawczości – nie chciałam, żeby ktoś zapukał do moich drzwi jak anioł śmierci. Stanęły przed nami cztery osoby: ktoś z wojska, ktoś z FBI, amerykański ambasador i lekarz, na wypadek, gdyby ktoś z nas zemdlał. Gdy usiedliśmy na kanapie, wszyscy zaczęli płakać.

Od tego czasu jestem trzecią postacią Rachel: pierwsza zmarła 7 października, a druga, gdy powiedziano mi, że moje dziecko nie żyje.

Jest jakaś lekcja, która płynie z całego cierpienia i rozpaczy, której pani rodzina doświadczyła od ataku?

– Nauczyłam się, że ludzie są w stanie wytrzymać więcej, niż im się wydaje. Różne osoby mówiły mi: „jesteś taka silna, ja nigdy bym tak nie potrafiła" lub „mnie by to zabiło", ale myliły się. Rozpacz jest tak potężna właśnie dlatego, że nie zabija, a zmusza do dalszego życia.

Pogrzeb własnego dziecka jest najtrudniejszą rzeczą, przez którą kiedykolwiek przeszłam, ale jednocześnie wcale nie jest wyjątkowa. Miliony ludzi na świecie chowają własne dzieci: to coś okropnego, ale nie nienaturalnego. Mówiono mi też, że będzie lepiej, ale to kolejne kłamstwo: nigdy nie będzie mi lepiej, może mi być tylko inaczej.

Każdy z nas chce wierzyć, że można wyjść obronną ręką z najgorszej tragedii, ale to nic innego, jak toksyczna pozytywność, która jest jedną z postaci gaslightingu i emocjonalnej manipulacji. Przeciwieństwem toksycznej pozytywności jest tragiczny optymizm, który przemawia do mnie dużo bardziej. Jestem optymistką, ale okrytą tragedią i tak będzie już zawsze. Gdy dowiedziałam się, że osobą, która pierwsza opisała tragiczny optymizm, był Viktor Frankl, bardzo się ucieszyłam.

Frankl był ulubionym pisarzem Hersza, autorem „Człowieka w poszukiwaniu sensu" i ocalałym z Holokaustu.

– 491 dni po 7 października trzech zakładników zostało wydanych przez Hamas, a jeden z nich, Or Levy, spędził z Herszem trzy dni. Mimo tortur i skrajnego wygłodzenia Or powiedział, że chciałby spotkać się z nami i z rodzinami innych zakładników, których poznał w tunelach pod Gazą. Opowiedział nam wszystko to, czym wcześniej podzielił się z nim Hersz.

Żydzi wierzą, że w naszych imionach zaklęte jest nasze przeznaczenie: Or po hebrajsku oznacza „światło", co ma sens, bo był naszym światłem. Or powiedział, że Hersz miał w niewoli własną mantrę zaczerpniętą z książki Frankla: „Ten, kto wie, dlaczego żyje, nie troszczy się o to, jak żyje". Innymi słowy, cel pozwala nam przeżyć najcięższe próby.

Hersz powiedział Orowi, że jego „po co" jest jego syn, który czeka na niego na wolności.

Dziś Or ma tatuaż z tym cytatem i gdy syn zapytał go, co to znaczy, Or powiedział mu, że to on. Ja nadal szukam mojego „po co" w świecie bez Hersza; jestem przyzwyczajona do obcowania z nim w dosłownym tego słowa znaczeniu. Teraz muszę nauczyć się towarzyszyć mu, nawet jeśli nie ma go fizycznie ze mną.

Wcześniej opisała pani życzliwą i pomocną reakcję sąsiadów zaraz po ataku. Czego nauczyła się pani o izraelskim społeczeństwie po 7 października? Przed atakiem wydawało się ono niezwykle podzielone, po nim – zjednoczone i solidarne.

– Solidarność, której byliśmy świadkami w Izraelu i poza nim, przeszły nasze najśmielsze oczekiwania. Wielu ludzi dostrzegło w nas większy symbol; pewnego rodzaju everymana i everywoman. Gdy dzieliliśmy się naszym doświadczeniem, wszyscy zastanawiali się: co, gdyby to przydarzyło się mojemu synowi lub mojej córce? To rozmyło granice między stronami, między którymi kazano nam wybierać.

Od początku powtarzaliśmy z mężem, że jesteśmy głęboko przejęci śmiercią niewinnych cywilów w Gazie. Izraelczycy i Palestyńczycy nie muszą uczestniczyć w konkursie na łzy, który sprawia, że nie widzimy człowieka po drugiej stronie.

Forum Rodzin Zakładników udowodniło, że wszystko jest możliwe: to, że nasi przyjaciele będą chcieli nam pomóc po tym, jak porwano naszego syna, jest jasne. Ale jak wytłumaczyć ten ogromny zryw społeczny, gdy dziesiątki tysięcy ludzi zostawiło swoje życia i zaczęło pracować na pełen etat, pomagając rodzinom zakładników? A kolejne setki tysięcy protestowało każdego tygodnia! Przecież nas nie znali i nie musieli nam pomagać.

Miszna, zbiór części tradycyjnych żydowskich tekstów, uczy nas, że „naszym obowiązkiem nie jest dokończenie dzieła, ale nie możemy go też zaniechać". Nawet jeśli nie jesteśmy w stanie zmienić czegoś, nie możemy się poddać! Ja mam tylko metr pięćdziesiąt, jestem słaba i straumatyzowana, ale ja też muszę dołożyć swoją cegiełkę w naprawianiu tego świata. Jeśli wszyscy to zrobimy, to będziemy żyć w lepszym miejscu.

Jak 7 października powinien być upamiętniony w Izraelu? Można sprawić, żeby nie stał się w świadomości społecznej przyczynkiem kolejnych wojen i traum?

– Po porwaniu Hersza miałam okazję porozmawiać z kobietą, która przeżyła nazistowski obóz koncentracyjny. Powiedziała mi, że bardzo długo nie rozumiała skali Holokaustu, bo Zagłada istniała dla niej tylko jako „jej" obóz. Ja czuję podobnie z 7 października: do dzisiaj nie wiem, czy jestem w stanie pojąć pełną skalę ataku, bo moim doświadczeniem jest przede wszystkim porwanie mojego syna.

Obawiam się, że w Izraelu dominuje takie wąskie spojrzenie na inwazję Hamasu, a to stracona szansa na większą lekcję o świecie.

Nie mam pomysłu na to, jak konkretnie upamiętnić atak, ale chciałabym, żebyśmy rozszerzyli soczewkę, przez którą na niego patrzymy. Ja przez ostatnie trzy lata boleśnie nauczyłam się rozróżniać los od przeznaczenia: naszym losem są narodziny i śmierć. Na nasz los nie mamy wpływu. Ale wszystko, co leży pomiędzy, to nasze przeznaczenie, które wymaga pracy i które składa się z naszych wyborów.

Życzyłabym sobie, żeby 7 października został zapamiętany nie jako tragiczny los, a jako przeznaczenie, które możemy w każdej chwili zmienić. ●

Porwanie Hersza

• 7 października 2023 terroryści z Hamasu napadli na izraelskie osiedla oraz uczestników festiwalu muzycznego Nova. Zabili 1200 osób, a 250 porwali do Gazy.
Hersz Goldberg-Polin został porwany rankiem 7 października z okolic festiwalu, na który przyjechał z przyjaciółmi. Podczas ataku on i inni imprezowicze ukryli się w niewielkim schronie, do którego terroryści wrzucili granaty: jeden oderwał Herszowi lewe ramię. Mężczyzna spędził w niewoli 328 dni.
W chwili porwania miał 23 trzy lata. Jego rodzice, Rachel Goldberg-Polin oraz Jon Polin, przewodzili kampanii na rzecz jego uwolnienia. Spotykali się m.in. z Joe Bidenem, Kamalą Harris, papieżem Franciszkiem, Elonem Muskiem, przemawiali w Pałacu Narodów ONZ-u w Genewie.
24 kwietnia 2024 roku Hamas opublikował nagranie, na którym wygłodzony Hersz mówi, że izraelski rząd powinien się wstydzić swojej misji w Gazie, podczas gdy zakładnicy „są pod ziemią bez jedzenia i wody".
31 sierpnia 2024 roku, dzień przed przejęciem kontroli nad tunelem w Rafah przez Izraelskie Siły Zbrojne (IDF), porywacze zastrzelili Hersza i piątkę innych zakładników. W jego pogrzebie w Jerozolimie uczestniczyły tysiące ludzi. Dzisiaj jego graffiti ozdabia setki budynków w Jerozolimie. Jego matka, Rachel Goldberg-Polin, wydała w kwietniu tego roku pamiętnik „When we see you again". To jej pierwszy wywiad z polskim mediami.

eprasa.pl ed2416b7a2

WAŻNY TEMAT

Pasujemy do siebie

Narzekanie było pierwszą z rzeczy, które łączą Europejczyków i Kanadyjczyków, jaką zauważyłam po przeprowadzce do Kraju Klonowego Liścia.

Małgorzata Sidz

Wielkie pickupy na podwyższonym zawieszeniu, ogromne WalMarty zastępujące miejskie pasaże, gigantyczne porcje w restauracjach, opakowania – wszystkiego, od mleka po proszi do prania – XXXXL, litrowa kawa, wysokie napiwki, kowbojskie kapelusze i dresy. Innymi słowy – Kanada to Ameryka, tylko z lepszym socjalem i zdecydowanie mniej agresywna.

Ale premier Mark Carney upiera się, że kulturowo Kanadzie bliżej do Europy niż sąsiada z południa i widzi swój kraj w Unii Europejskiej – a Unia nie mówi „nie". Czy ma rację?

●

– Myślałem, że ta zima nigdy się nie skończy. – zagaduje mnie sąsiad w windzie. – Ale jak już się skończyła, to ciągle tylko budowa i budowa. Wiesz, jak to się mówi: w Kanadzie mamy tylko dwie pory roku, zimę i budowę.

Mieszkam w Edmonton, w Albercie, na zachodzie kraju, od trzech i pół roku. Od trzech i pół roku przynajmniej raz dziennie prowadzę rozmowę o zimie lub o budowie, w zależności od tego, czy mamy zimę, czy lato. Czasami trafia mi się oczko – rozmowa o zimie zimą, która kończy się słowami „przynajmniej nie mamy teraz wszędzie budowy", a latem – „przynajmniej nie jest teraz zimno". Strzał w dziesiątkę to nieśmiertelny żart o dwóch porach roku. Ten sam, który Rosjanie opowiadają o Syberii, a Amerykanie o Alasce.

Rzecz jasna pogoda to temat absolutnie uniwersalny dla gatunku ludzkiego i najłatwiejszy klucz do rozpoczęcia relacji z drugim człowiekiem. Nawet w Polsce, gdzie często nawet sąsiadom w bloku nie mówi się „Dzień dobry!", można zagaić do obcego na przystanku, narzekając na pogodę. Oczywiście, zawsze w kontekście negatywnym. Spróbuj powiedzieć do obcej osoby „Ale dzisiaj pięknie słoneczko świeci!" i oglądaj, jak na jego twarzy maluje się niepokój.

Narzekanie było pierwszą z rzeczy, które łączą Europejczyków i Kanadyjczyków, jaką zauważyłam w codziennym życiu. Nawet tematy są podobne. W Kanadzie narzeka się na półroczne mrozy rzędu czterdziestu stopni, a w Polsce na niekończący się upał albo na słotę. W Kanadzie tematem są wiecznie rozkopane ulice i ciągnące się miesiącami remonty, czemu winni są głupi politycy, w Polsce – na „wykopki", „kto to tak zaplanował" i na głupie decyzje polityków.

Narzekanie jest sportem obu narodów, który wszyscy uwielbiamy. W Kanadzie – z uśmiechem na ustach, w Polsce kończąc rozmowę quasi-optymistycznym „jakoś to będzie".

●

Unia Europejska ma nowego adoratora, tym razem zza oceanu. Od początku drugiej kadencji Donalda Trumpa relacje amerykańsko-kanadyjskie są najchłodniejsze w historii obu krajów. Premier Carney szuka więc miłości w nowych miejscach – rozmawia z Chinami, z Indiami, ale przede wszystkim ze Starym Światem.

Jak w każdym dobrym związku, bezpieczeństwo i przewidywalność są podstawą. Stany Zjednoczone, z którymi Kanada prowadzi zdecydowaną większość wymiany handlowej, przestały być niezawodnym partnerem. Kanada, której gospodarka oparta jest w dużym stopniu o zasoby naturalne – ropę, złoto, minerały – szuka solidnej, długotrwałej relacji. Dlatego też Kanada dołączy do jednej z najważniejszych wspólnot stworzonych na doświadczonym przez wojny i podziały kontynencie. Stanie się częścią ważnej organizacji, której celem jest propagowanie jedności i pokoju w Starym Świecie.

Mowa o Eurowizji, gdzie przedstawiciel Kraju Klonowego Liścia wystąpi już w przyszłym roku. A zupełnie przy okazji Carney rozmawia też z Unią Europejską o umowie pozwalającej na swobodną wymianę handlową przez Atlantyk.

Premier podkreśla, że kultura Kanady jest zbudowana na trzech fundamentach: brytyjskim, francuskim i rdzennym. Które wzmacnia i mozaika wszystkich europejskich narodowości.

– Jesteś z Polski? Mój dziadek jest z Rosji! – oznajmia mi radośnie współtowarzysz autobusowej przejażdżki. I opowiada ze szczegółami historię rodziny.

W Kanadzie każdy ma świadomość tego, skąd pochodzi. A przynajmniej potrafi wskazać parę kluczowych krajów, z których przyjechali jego przodkowie. W Edmonton częściej niż w Warszawie znajdziesz w pubie pierogi, tutaj znane jako *perogies* i kojarzone raczej z Ukrainą. Latem na festiwalach jada się na cześć przodków niemiecką kiełbasę, serbskie szaszłyki czy rumuńskie słoniowe uszy. A w ciągu roku w weekendy katuje się dzieci szkołą ukraińskiego tańca, austriackim chórem czy nauką języka greckiego. Więzi z Europą są wciąż bliskie.

●

Kiedy Kanadyjczyk leci do Stanów Zjednoczonych, mówi „Lecę do Vegas" albo „Lecę do Nowego Jorku". Ale kiedy wybiera się do Niemiec albo do Londynu, mówi: „Lecę do Europy!". Europa z kanadyjskiej perspektywy wydaje się śmiesznie mała i ciasna. Szczególnie na zachodzie kraju jawi się też jako niezwykle odległa. To miejsce, do którego podróżuje się może raz w życiu, może raz na parę lat. „Na dłużej", co w kraju protestanckiej etyki pracy oznacza czasem nawet aż dwa tygodnie.

W tych dwóch tygodniach należy zmieścić jak najwięcej: od obowiązkowego Londynu i Paryża po Rzym i Berlin. Dodać do tego Szkocję, Irlandię albo Polskę, w zależności, z jakim krajem czujemy najbliższą więź. Znajoma Kanadyjka wybrała na przykład Skandynawię.

– Zrobiłam test DNA i wyszło mi, że moje korzenie są z Walii i Norwegii. Znaleźliśmy z mężem rejs po Europie, z Londynu, z przystankami w Danii, Norwegii i Finlandii. Ale niestety Walia nie jest popularna.

Kanadyjczycy chcą zobaczyć jak najwięcej Europy w jak najkrótszym czasie i w jak najbardziej komfortowych warunkach – rano zorganizowana wycieczka, a wieczorem opłacona wcześniej, bezpieczna kolacja na pokładzie statku. Są zachwyceni naszą architekturą, sztuką, historią. Wiele europejskich filmów debiutuje na festiwalu w Toronto, kina studyjne organizują

przeglądy kina francuskiego czy włoskiego. Kanadyjczycy inspirują się europejskimi serialami, czytają europejskie książki.

Czasami zapominają tylko, że Stary Kontynent to rzeczywiście stary kontynent.

– W Europie wszystkie budynki są takie poszarzałe i brudne! – narzeka znajoma Kanadyjka, która co prawdę kocha europejską architekturę, ale już nie patynę, która jest jej nieuniknionym elementem.

Kanadyjczycy kochają europejską kulturę, romantyzują ją z daleka, ale na co dzień lubią swój kraj pachnący nowością i komfortem. Do europejskich podstaw dodają własne ulepszenia. Czymże jest przecież kanadyjska kuchnia, jeżeli nie europejską z delikatną modyfikacją? Włoska pizza – ale z ananasem. Belgijskie frytki – ale poutine, czyli z grudkami sera i sosem pieczeniowym. Krwawa Mary – z sokiem z małży, czipsy – z keczapem. Po swojemu, ale nadal europejsko – coś dla nas i coś dla przodków.

●

Co ważniejsze, „nadal po europejsku" dotyczy również spraw mniej wdzięcznych, ale zdecydowanie ważniejszych niż frytki, czyli bytowych.

Kanada to kraj darmowej opieki zdrowotnej.

Osoby niepełnosprawne mogą liczyć na pomoc od państwa i udogodnienia od pracodawców.

Studia są płatne, ale niedrogie w stosunku do tych amerykańskich, a długi studenckie można spłacać do końca świata.

1 RP

eprasa.pl ed2416b7a2

• **Mieszkańcy dzielnicy East York w Toronto oglądają paradę z okazji Dnia Kanady, 1 lipca 2019 r.**
FOT.: COLE BURSTON/ GETTY IMAGES

Kanadyjczycy desperacko unikają konfliktów – do tego stopnia, że przepraszają stół, kiedy się o niego uderzą

Osoby o niskich dochodach mogą liczyć na zwrot podatku, darmowe bilety autobusowe i członkostwo w publicznych ośrodkach sportowych.

To nie jest idealny system. Ludzie narzekają na długie kolejki do specjalistów i na czas oczekiwania na SOR-ach. Ale Kanadyjczycy myślą po europejsku – od zysku i rozumianej na kapitalistyczną modłę „wolności" czy „sprawiedliwości" bardziej cenią społeczną stabilność.

Zanim otrzymałam status rezydenta stałego, a wraz z nim ustabilizowała się moja sytuacja w związku z ubezpieczeniem medycznym, co trzy miesiące odwiedzałam aptekę po sąsiedzku, prosząc o receptę na leki, które przyjmuję na stałe. Dostawałam ją od ręki, od lekarza, z którym farmaceutka kontaktowała się za każdym razem telefonicznie. Dopiero kiedy złamałam palec i poszłam do innej filii, zrozumiałam, że za każdą receptę apteka powinna była pobierać ode mnie opłatę w wysokości dwudziestu dolarów.

W niektórych kulturach życzliwość jest produktem ubocznym. Koreańczycy na przykład są życzliwi, bo kurczowo trzymają się zasad regulujących życie we wspólnocie. Kanadyjczycy za to są życzliwi autentycznie. Z jednej strony dlatego, że desperacko unikają konfliktów – do tego stopnia, że przepraszają stół, kiedy się o niego uderzą. Z drugiej strony dlatego, że zależy im, żeby każdy członek wspólnoty czuł się ważny i zaopiekowany. Kanadyjczycy stają na głowie, żebyś nie poczuł się wykluczony. Nawet za cenę dwudziestu dolarów.

To, aby ludzie czuli się przy tobie komfortowo, jest najważniejsze. Nieznajomym nie wolno przeszkadzać. Należy zajmować jak najmniej miejsca w autobusie, rozmawiać jak najciszej przez telefon, a jeżeli ktoś zbliża się do półki sklepowej, pod którą wybieramy sos do makaronu – natychmiast usunąć się na bok. Przeprosić nawet wtedy, kiedy ktoś inny na nas wpadnie, żeby zawczasu rozładować ewentualny konflikt. Obcokrajowcy błędnie czytają kanadyjskie *sorry* jako przyznanie do winy, a to tylko hasło, które oznacza „zależy mi na tym, żeby było nam tu komfortowo". Tam, gdzie Amerykanin-indywidualista poczuje się obrażony, tam Kanadyjczyk-kolektywista ucieszy się, że dzięki niemu ład społeczny trwa.

Tę cudowną grę, w której Kanadyjczycy prześcigają się w tym, jak bardzo chcą uszczęśliwić drugą osobę, obserwuje się najlepiej w restauracjach. Kelnerzy i klienci nie szczędzą sobie komplementów, przepraszają i dziękują na zmianę, nie umiejąc przestać. Po posiłku porządny Kanadyjczyk zbierze chusteczką okruszki ze stołu, przetrze plamy z sosu i ułoży w łatwy do zebrania kopczyk wszystkie statki. A kelner pięć razy zamieni danie lub drinka, jeżeli nie posmakuje.

– Mam pieniądze, więc lubię być tą osobą, która w ten sposób okazuje moim przyjaciołom, że są dla mnie ważni – tłumaczy mi znajoma, płacąc za mój lancz. Kanadyjczycy są równie gościnni, jak Polacy, chociaż na swój własny sposób. Nasze domy są zawsze otwarte, a stół przybrany na zasadzie „zastaw się, a postaw się". Kanadyjczyk może nie zaprosi nas do swojego mieszkania, ale ofiaruje nam to, co ofiarować może, pozostając w zgodzie ze sobą – na przykład pieniądze.

•

Kanadyjczycy może są więc bardziej europejscy od nas, Europejczyków, bo ich życzliwość jest bardziej małomiasteczkowa. Jak w Europie sprzed urbanizacji, kiedy każdy musiał polegać na sąsiadach. Kanadyjczyk uśmiecha się i zagaduje do obcych. – Bardzo źle się czuję. Byłem właśnie u dentysty, leżałem na fotelu chyba godzinę i mam wrażenie, że znieczulenie nic nie dało – opowiada mi na rzucone mimochodem „Co słychać?" w windzie sąsiad, którego spotykam po raz pierwszy w życiu.

Europejczycy stali się niezwykle indywidualistyczni. W Polsce przede wszystkim na przestrzeni ostatnich czterech dekad, po upadku komunizmu. Tu ten trend też jest oczywiście widoczny, szczególnie w ogromnym Toronto – wielkomiejscy Kanadyjczycy chodzą na terapię, na której uczą się stawiania swoich potrzeb na pierwszym miejscu, samorealizują się i wybierają kariery, które nie gwarantują sukcesu materialnego, ale są drogą do samospełnienia. Tak jak Amerykanie, wszyscy gonimy za szczęściem.

eprasa.pl ed2416b7a2

Ale w Kanadyjczykach nadal jest ogromna potrzeba akceptacji społecznej i bycia częścią lokalnej wspólnoty. Europejscy pionierzy, którzy na nowy kontynent uciekali przed biedą, politycznym niepokojem i niepewnością, musieli polegać na sobie nawzajem. Całe wioski zrzucały się na jeden pług, mężczyźni skrzykiwali się, by wybudować na szybko schronienie dla nowej rodziny, każdy dzielił się z sąsiadami swoimi umiejętnościami.

Dzisiaj Kanadyjczycy nadal lubią się dzielić. W każdym parku stoją maleńkie „biblioteczki" – skrzyneczki, w których można zostawić przeczytane książki. Niektórzy zostawiają tam też puszki dla potrzebujących. Kościoły zapraszają na darmowe posiłki, miasto organizuje darmowe grille, organizacje charytatywne rozdają paczki z przyborami higienicznymi.

Kanadyjczycy wierzą mocno we wspólnotę i wspieranie się nawzajem. Wspólnoty dzielnicowe w Kanadzie to także gra na innym poziomie. Moja, z dzielnicy Oliver, organizuje wspólną kawę, jogę w parku, klub książki, wyjścia na basen i pickleballa – sport niemal narodowy, coś na kształt czteroosobowego, co wiele mówi, miksu ping-ponga z tenisem – a co miesiąc kolację, na której poznajemy potrawy lokalnych restauracji. Nowy przybysz staje się w Kanadzie szybko członkiem społeczności. Nauczycielki jogi wiedzą, jak spędzam weekendy, baristka pamięta moje zamówienie, a starsza pani siedząca na ławce przed domem opieki zna imię mojego psa i pamięta jego ulubiony smakołyk.

Niektórzy żartują, że Kanada jest jak poziome Chile – tak, to drugi największy kraj świata, ale pusty. Większość mieszkańców żyje wzdłuż granicy z USA. Populacja jest równa polskiej. Z tej perspektywy nie jest wcale „większa" od przeciętnego europejskiego kraju.

Nic dziwnego, że jako państwo również czuje się lepiej, będąc częścią większej wspólnoty. W odróżnieniu od USA Kanada nie szuka władzy i hegemonii. Nad ślepą siłę w amerykańskim czy rosyjskim stylu ceni otwartość na dialog i współpracę. Dobrze im w NATO, w ONZ, a teraz być może też wśród europejskich sąsiadów kulturowych.

●

W Kanadzie autostrady są szerokie, parkingi wszechobecne, a bez samochodu nie zrobisz najprostszych zakupów. Jak w stereotypowej Ameryce – zamiast wejść do fast fooda, lepiej zamówić z samochodu, zaparkować i zjeść na kolanach, na parkingu przed restauracją. A po doświadczenie chodzenia po ulicy wśród sklepów i restauracji – wybrać się do centrum handlowego. W tutejszych „żabkach" nie znajdziesz najprostszych produktów spożywczych, zamiast tego kupisz fajki, zdrapki i słodycze. Po co „żabki", skoro mało kto chodzi po ulicach, a większość spędza dzień, przemieszczając się między garażem w domu a garażem w pracy?

Kanadyjczycy kochają swoje samochody – jeśli nie snobistyczne i progresywne tesle, to amerykańskie pick-upy, muscle cary i olbrzymie familijne vany – ale po cichu marzą o tym, by spacerować niespiesznie po centrum miasta, zachodząc do uroczych kafejek. Marzą im się osiedlowe sklepiki z dobrym pieczywem czy serem. Moja dzielnica została wyróżniona przez „Macleans" – jedno z najstarszych kanadyjskich czasopism, odpowiednik „Atlantica" i „Vanity Fair" w jednym – jako jedna z najlepszych okolic do życia w całej Kanadzie, właśnie ze względu na ilość parków i dostępność małych sklepików w europejskim stylu.

W Kanadzie moda nie ma znaczenia – znaczenie ma komfort. Cały dzień można spędzić w dresach albo legginsach. Ale już zdrowie i starzenie się z godnością są bardzo ważne. Kanadyjczycy marzą o slow life w europejskim stylu.

Jednocześnie tak jak Amerykanie, Kanadyjczycy mają wysoką etykę pracy. Osoby, które pracują ciężko, wiele godzin i utrzymują rodzinę, szczególnie na zachodzie kraju spotykają się z ogromnym szacunkiem. Ale w odróżnieniu od sąsiadów z południa nad niekończącą się pogoń za mamoną Kanadyjczycy cenią sobie równowagę między pracą i życiem codziennym. W tym są podobni do Europejczyków.

Mimo że europejski styl nie zawsze pasuje do tutejszej pogody – centrum handlowe jest dużo lepszym wyborem niż pasaż handlowy, kiedy zima trwa sześć miesięcy, a temperatury spadają do czterdziestu pięciu stopni na minusie – Kanadyjczycy stawiają pod restauracjami patia. Sączą aperole i lokalnego „cezara" starając się nie zwracać uwagi na przejeżdżające tuż pod ich nosami samochody. Od czasu finału mistrzostw świata oglądają nawet piłkę nożną.

●

Park Narodowy Banff w Górach Skalistych to jedno z najpiękniejszych miejsc w Kanadzie. Ma powierzchnię jedenastu Biebrzańskich Parków Narodowych i to tam znajdują się jedne z najbardziej imponujących i rozpoznawalnych widoków w Ameryce Północnej, takie jak Jezioro Louise czy Moraine. Kiedy wybieram się tam po raz pierwszy, wydaje mi się, że niebotyczne szczyty ciągną się w nim bez końca. Nie bez powodu – same Góry Skaliste mają powierzchnię ponad dwa i pół raza większą od Polski.

W wiadomościach Kanadyjczycy słuchają, co wydarzyło się na Filipinach czy w Meksyku, ale to europejskie konflikty śledzą i wyrabiają sobie o nich opinie

Kanadyjczycy, podobnie jak Europejczycy, kochają wypoczywać w naturze. Po ciężkiej zimie latem ładują baterie, pływając w jeziorach, wspinając się po górach, chodząc po lasach. Podobnie jak Polacy uwielbiają grillować, zbierać owoce leśne, spędzać czas pod niebem. Tak jak my, szukają prostoty – ciszy, zapachu ogniska, smaku pieczonego mięsa. Może nie zawsze mają czas i pieniądze, by polecieć w Góry Skaliste, ale zawsze są chętni na weekendową wycieczkę na ryby albo spacer brzegiem rzeki po pracy.

Każdy pragnie kawałka ziemi, ogródka, natury. – Tego, kto mieszka nad jeziorem Vermillion, nazywamy tutaj vermillionerem. – tłumaczy z dumą znajomy w północnym Ontario, pokazując mi swój dom nad maleńkim jeziorkiem na obrzeżach miasta Sudbury. – To jest największe marzenie Kanadyjczyków, żeby mieć dom nad wodą.

W Banff czuję się dziwnie swojsko. Tak, góry są wysokie i trochę przerażające, ale lasy pachną swojsko. Liście szumią na wietrze tak samo, jak na Mazurach. Rozpoznaję drzewa, krzewy, jagody. Niepokoją mnie tylko trochę znaki niedźwiedzich pazurów na pniach.

Ten styl życia to oczekiwanie na ciepłe miesiące, żeby móc skraść im każdą chwilę spędzoną na zewnątrz, jest nam podejrzanie znajomy. Nikt tak nie docenia lata, jak półkuli północnej, dla których zawsze było ono najkrótsze i najcenniejsze.

●

– To okropne, co Putin robi z waszym krajem. – pochyla się nade mną starszy pan, który nie pozwala sobie wytłumaczyć, że to Ukraina, nie Polska, walczy z rosyjską inwazją.

Kanadyjczycy są zaangażowani w to, co dzieje się w Europie. W wiadomościach słuchają o tym, co wydarzyło się na Filipinach czy w Meksyku, ale to europejskie konflikty śledzą i to na ich temat wyrabiają sobie opinie. Ale to niejedyny powód, dla którego to właśnie wojna na Ukrainie wzbudza silne emocje.

Podobnie jak kraje europejskie, ten kraj jest zbudowany na chrześcijańskich filarach. Ponad połowa Kanadyjczyków nadal identyfikuje się z katolicyzmem, protestantyzmem w jego europejskim, bardziej wspólnotowym niż amerykańskie, wydaniu oraz z anglikanizmem. To dziedzictwo sprawia, że w podobny do nas sposób patrzą na kwestie praw człowieka, sprawiedliwości, ludzkiej godności. Dzisiaj te wartości są podstawami państwa sekularnego – ale to sekularyzm kulturowo bardzo europejski i chrześcijański.

Kanadyjczycy zawsze starają się być po „dobrej stronie" historii. Nie zawsze się to udaje, a czasami świat okazuje się bardziej skomplikowany niż biało-czarna kanadyjska wizja dobra i zła. Ale ich serce zawsze wyrywa się w jasną stronę. Państwo nie ustaje w walce o prawa dzieci, kobiet, osób rdzennych czy o równość osób LGBT. Małżeństwa homoseksualne zalegalizowano tu już w 2005 roku, kiedy Lech Kaczyński jako prezydent Warszawy blokował Paradę Równości.

Także demokracja, praworządność i wolność słowa to tutaj wciąż ważne idee. Może nawet bardziej niż w Europie, bo Kanadyjczycy podchodzą do nich z ogromnym szacunkiem nie tylko w deklaracjach. Politycy potrafią dopiekać sobie nawzajem, ale nigdy w tak rynsztokowym stylu, jaki szokował Europejczyków u Amerykanów, a teraz upowszechnił się w Starym Świecie.

●

Jak wiele europejskich krajów, Kanada jest krajem dwujęzycznym – co prawda po francusku mówi się głównie w Quebeku i na wschodzie, ale obsługuje w nim każdy urząd kraju. W odróżnieniu od USA, gdzie wszystkie narody świata mieszają się pod jedną flagą, Kanada jest dużo bardziej wielokulturowa na europejski sposób. Nad asymilację stawia się tutaj współistnienie. Nie wymaga się pełnego rozpuszczenia w kanadyjskiej kulturze, „toleruje się" inność.

Pod względem nastawienia do imigrantów kanadyjska polityka przypomina europejską sprzed prawicowego zwrotu ostatnich lat, natomiast w wielu społecznych kwestiach jest dużo bardziej postępowa niż my. Kanadyjczycy są otwarci na nawet najbardziej radykalne eksperymenty społeczne. Po zalegalizowaniu MAID, Medical Assistance in Dying, czyli po prostu eutanazji – już w 2016 roku! – politycy serio debatowali o rozszerzeniu tego prawa dla osób cierpiących na choroby psychiczne, młodzież, a nawet noworodki.

Kiedy Amerykanie coraz bardziej ignorują prawa osób rdzennych, kanadyjskie sądy przyznają im całe połacie państwowej i prywatnej ziemi.

W Europie próby dekryminalizacji substancji psychoaktywnych czy, jak kto woli, narkotyków podejmują niektóre kraje – Niemcy, Czechy czy Holandia. Justin Trudeau, poprzedni premier Kanady, zalegalizował marihuanę w 2018 roku i dzisiaj sklep z ziołem spotyka się na każdym kroku, częściej niż księgarnie czy siłownie. A Kolumbia Brytyjska przeprowadziła wręcz eksperyment z całkowitą dekryminalizacją narkotyków. Skończył się ogromnym niepowodzeniem, lecz udowodnił, że jeżeli chodzi o postęp, Kanadyjczykom brakuje czasami rozsądku, ale nigdy odwagi.

●

W odróżnieniu od sąsiadów z południa, Kanadyjczycy nigdy nie odżegnywali się od swojego europejskiego dziedzictwa i nie spoglądali na Europejczyków podejrzliwie. Imionami brytyjskich królowych nazwano kanadyjskie miasta, portret królowej – a od niedawna króla – jest wybity na monetach.

Przez całą tę opowieść przewija się „w odróżnieniu". Cóż, i ten stereotyp się zgadza – nie da się pisać o Kanadzie, nie porównując jej ciągle do USA. To kanadyjskie przekleństwo. Dopiero kiedy na początku drugiej kadencji Donald Trump rozpoczął wojnę handlową z sąsiadką, Kanadyjczycy zmienili nazwę kawy americano na canadiano, wyrzucili burbon ze sklepów monopolowych i zaczęli bojkot produktów Made in USA.

– Musimy się w końcu zastanowić, kim jesteśmy, poza tym, że nie Amerykanami. – tłumaczyła mi wtedy znajoma – Tak naprawdę nie potrafimy o sobie powiedzieć wiele więcej. Szukamy małych, kosmetycznych różnic. Że oni wolą futbol, a my hokeja. Że mamy opiekę zdrowotną, a oni nie. Ale tak naprawdę jesteśmy bardzo podobni.

Zgadzam się z nią i nie zgadzam. Stereotypowy Amerykanin rzuca garścią dolarów i oczekuje od życia wszystkiego, co najlepsze. Stereotypowy Kanadyjczyk przeprasza stół za to, że żyje. Ale z drugiej strony tak USA, jak i Kanada, wyrosły z tych samych, europejskich korzeni. Przez setki lat zdążyliśmy się trochę poróżnić, ale wciąż jesteśmy dziećmi tych samych rodziców.

●

Jeśli jest coś, w czym mentalnie spora część Kanadyjczyków przypomina Amerykanów, to w zestawie konserwatywnych straszydeł. W internecie konserwatyści i prawicowcy krytykują Carneya mniej więcej za to, za co wcześniej zupełnie odeń innego Trudeau – że „chce zrobić z Kanady Europę". Umowę handlową widzą jako pretekst do przepchnięcia biurokracji na europejską modłę, wprowadzenia wyższych podatków i zainstalowania w każdym kanadyjskim domu bezrobotnego Bułgara i Rumuna.

To najnowsza teoria spiskowa, która wyparła „piętnastominutowe miasta" – kiedy to pochodząca z Europy idea przyjaznej człowiekowi infrastruktury pozwalającej na załatwianie najważniejszych potrzeb bezsamochodowo, w odległości spaceru, przekształciła się w przekonanie, że rząd będzie próbował zamykać ludzi w maleńkich strefach, nie pozwalając na ich opuszczenie. Kanadyjczycy, dla których trzysta kilometrów do najbliższego miasta to rzut beretem, tracili zmysły. Dzisiaj co bardziej zachowawczy tracą zmysły z obawy, że Kanada dołączy do Unii Europejskiej.

Politycy cierpliwie tłumaczą, że Unia to nie Schengen, a umowa handlowa to nie członkostwo. Na co internetowy komentariat odpowiada, że najpierw powinni zająć się handlem wewnętrznym, między prowincjami, który pod względem podatkowym jest znacznie bardziej skomplikowany niż wymiana towarów w UE.

Jednocześnie wstrzemięźliwy patriotyzm i kompleks wielkiego sąsiada okazuje się silniejszy niż ideologiczne lęki – po prawej stronie straszenie „eurokołchozem" zelżało, gdy gesty kanadyjsko-europejskiej przyjaźni zwróciły uwagę Trumpa, który zagroził wprowadzeniem kolejnych ceł. Na szczęście jego uwaga nigdy nie zatrzymuje się na dłużej w jednym miejscu.

Najlepiej rzeczywistość tłumaczą oczywiście memy, które wyrosły po deszczu plotek o Kanadzie wstępującej do Unii. Przedstawiają Syrupeans – Europejczyków z nutką klonowego syropu. Kanadyjczycy filmują się, spacerując niespiesznie z papierosem w ustach, jedząc powoli lancz w środku dnia na parkingu pod WalMartem, odgarniając zawiązany pod szyją szaliczek i pijąc espresso zamiast ukochanego double-double, czyli kawy z podwójną śmietanką i dwoma łyżkami cukru.

Taki stereotyp Europejczyka mają Kanadyjczycy – z papierosem, w szaliczku, migający się od pracy. Życzliwy, nieco zazdrosny – oni tam umieją żyć! – ale z nutą pobłażliwej wyższości. Może dzięki zbliżeniu z Unią Europejską zobaczą w nas nie tylko rynek zbytu na gaz ziemny i diamenty, ale także bliskich kuzynów, których więcej łączy, niż dzieli. Nawet jeżeli pijemy inną kawę. ●

1 RP

eprasa.pl ed2416b7a2

Prezydent wyciąga kapelusz magika

Hipokryzja polityków PiS w sprawie konstytucji sięga ostatnio nowych szczytów.

Marcin Matczak

Ustawa zasadnicza – poniżana, pogardzana i kopana za ich rządów – dzisiaj nagle okazuje się źródłem nienaruszalnych wartości, z których pełnymi garściami czerpie Jarosław Kaczyński, Zbigniew Ziobro z kolegami oraz prezydent Nawrocki. Aż się człowiekowi niedobrze robi, jak patrzy na tę dwulicowość.

Pod budynkiem Trybunału Konstytucyjnego wyrosło miasteczko strażników reduty im. Bogdana Święczkowskiego. Odmawiają różaniec w intencji obrony czegoś, co niedawno uważali za postkomunistyczny dokument, próbujący Polakom narzucić obce wartości.

A prezes Kaczyński, architekt konstytucyjnego zamachu, siedzi pośrodku tego miasteczka na fotelu i własnym ciałem osłania Trybunał, który jego partia jeszcze niedawno uznawała za grupę antydemokratycznych sędziowskich uzurpatorów przeszkadzających patriotom naprawiać Polskę. Ale teraz to jest jego Trybunał, z jego politykami w środku, więc to jest, wicie, rozumicie, całkiem inna sprawa.

Marcin Romanowski, najbliższy współpracownik Zbigniewa Ziobry, dostaje list żelazny mimo sprzeciwu prokuratora, bo neosędzia orzekający w jego sprawie stosuje bezpośrednio konstytucję i pomija jasno sformułowany przepis ustawy, który nakazuje, aby ten sprzeciw uwzględnić. Żeby było śmieszniej, ten przepis, który teraz jest niekonstytucyjny, wprowadził sam Ziobro, któremu oczywiście wtedy ta niekonstytucyjność nie przeszkadzała. Bo wtedy to on się na jego podstawie sprzeciwiał, a nie jemu się sprzeciwiano.

Kolejny raz więc widać, że jak PiS-owi konstytucja służy, to dobrze, a jak innym, to źle. Jak sędzia stosuje konstytucję na korzyść PiS, to jest wybitnym, niezależnym ekspertem chroniącym jednostki przed przemocą państwa. Ale jak stosował tę samą konstytucję przeciw PiS, to był rozpolitykowanym awanturnikiem, któremu od razu robiono dyscyplinarkę, żeby się takich bezeceństw oduczył.

•

Wreszcie Karol Nawrocki zachowuje się tak, że gdyby na Facebooku musiał ustawić status relacji z ustawą zasadniczą, wybrałby „to skomplikowane". W sprawie przyjęcia ślubowania od sędziów TK wybranych przez Sejm, prezydent wyciąga lupę i kapelusz magika, przygląda się wyłącznie przepisowi ustawy o ślubowaniu, nic innego w systemie prawa nie widząc (zwłaszcza konstytucji) i z kapelusza wyciąga nagle swoje rzekome uprawnienie do zablokowania dowolnego sędziego (albo pięciu).

Jego otoczenie jest ślepe i głuche na to, że konstytucja poddaje sędziów TK w zakresie sprawowania ich urzędu wyłącznie konstytucji, a więc nie można ich blokować na podstawie ustawy. A zwolennicy takiego rozwiązania kwitują argumenty z ducha konstytucji pustym śmiechem.

Ale już za chwilę, kiedy spór toczy się o ustawę nakładającą na koncerny paliwowe podatek od nadzwyczajnych zysków, to samo środowisko, z Karolem Nawrockim na czele, zachowuje się jak na seansie spirytystycznym, głośno zawodząc i przywołując ducha konstytucji, który ma skutecznie przestraszyć Tuska i spółkę. No bo przecież rażąco niekonstytucyjna jest ustawa, która nakłada podatek wstecz – każde dziecko wie, że lex retro non agit, co nie?

Nie przeszkadza im fakt, że konstytucja nigdzie nie stwierdza wprost zakazu działania prawa wstecz. Prezydent Nawrocki powołuje się na art. 2 Konstytucji RP, który głosi, że Rzeczpospolita Polska jest demokratycznym państwem prawnym, urzeczywistniającym zasady sprawiedliwości społecznej. Ani słowa o retroaktywności prawa. Skąd więc ten zakaz? Ano z ducha, którym w innych sprawach prezydenckie środowisko pogardza. Ba, nie tylko pogardza, ale odsądza od czci i wiary sędziów, którzy wyprowadzają zasady z konstytucji, za to, że rzekomo uzurpują sobie władzę i nie pozwalają demokratycznym wybrańcom narodu robić, co im się żywnie podoba.

Ponownie więc sędzia w Polsce dostaje jasny komunikat, że jeśli interpretuje konstytucję w interesie Kaczyńskiego, Nawrockiego i Romanowskiego, to jest cacy, a jak robi to wbrew ich interesowi politycznemu, to jest bardzo, ale to bardzo be, i powinien właściwie zostać usunięty ze stanowiska.

A potem zastąpiony kimś, kto swoją miłość do konstytucji potwierdził na przykład startowaniem w wyborach z listy PiS (jak Święczkowski czy Stanisław Piotrowicz). Albo chociaż był w komitecie poparcia Jarosława Kaczyńskiego, gdy ten starał się o prezydenturę (jak np. były już sędzia Andrzej Zielonacki). Nie przeszkadza to prezesowi PiS bronić, niczym Rejtan, rzekomej apolityczności Trybunału.

•

Najgorsze jest to, że w Polsce panuje moda na sylabizowanie konstytucji – wielu z nas czyta litery, ale sensu nie łapie. Ludzie często myślą, że niekonstytucyjność to jest jakaś abstrakcyjna relacja między przepisami, a nie efekt w rzeczywistości.

Weźmy sprawę retroaktywności i sprawę ślubowania. Nie ma sprzeczności logicznej między zdaniem ustawy, która w październiku 2026 r. nakłada podatek za kwiecień tego samego roku, a art. 2 Konstytucji, który mówi o demokratycznym państwie prawnym.

Mimo to Karol Nawrocki kieruje ustawę do TK, krzycząc: „Niekonstytucyjna!", bo nie da się uznać, że retroaktywny efekt ustawy daje się pogodzić z urzeczywistnieniem państwa prawnego. Po prostu w tym samym świecie nie może współwystępować gwarancja państwa prawnego i oszustwo tego państwa, które wstecznie zmienia zasady gry.

Ale już w sprawie ślubowania Nawrocki i jego zwolennicy na skutki w rzeczywistości nie patrzą. Na to, że odmowa ślubowania blokuje sędziów TK i daje prezydentowi wpływ na świat, w którym zamiast 15 sędziów w TK jest ich dziesięcioro, a on zyskuje prawo decydowania, kto zacznie orzekać, mimo że władza wykonawcza nie może tego robić wobec niezależnej władzy sądowniczej. No, ale logicznie obowiązek złożenia ślubowania nie stoi w sprzeczności z konstytucją, prawda? Więc o co chodzi tym krzykaczom?

Spór o praworządność w Polsce dawno wyszedł z sal sądowych i przeniósł się na niwę polityczną. To oznacza, że ostatecznie rozstrzygnie się podczas wyborów. Gdy przyjdzie czas wyboru, dobrze będzie sobie przypomnieć, kto był największym konstytucyjnym hipokrytą w naszych najnowszych dziejach. I nie sylabizować konstytucji, tylko czytać ją z sensem. ●

Koń

Nie wiemy, kto nadał imiona koniom prezydenckim – Ramzesowi, Aramisowi i Edziowi – ale są jak rebus dla względnie oczytanych Polaków

Michał Rusinek

Tak to już jest, że my, Polacy, od czasu do czasu piszemy rozdział rozprawki zatytułowanej „Koń a sprawa polska". W ostatnich tygodniach zaczęliśmy pisać kolejny. I to bynajmniej nie ze względu na „rumakowanie", o którym wspominał pan premier.

Zaczęliśmy już w zasadzie we wrześniu 2026 roku, kiedy to Zbigniew Bogucki, szef Kancelarii Prezydenta RP, odnosząc się do sporu wokół wyboru nowego sędziego Trybunału Konstytucyjnego, zakwestionował uprawnienia kandydata wysuniętego przez koalicję rządzącą.

Zapytał wówczas retorycznie: „A gdyby Sejm wybrał konia na sędziego TK? Też mamy uszanować wybór? Czy jeżeli Sejm, idąc dalej w ten absurd, wzorem jednego z rzymskich cesarzy postanowiłby wybrać na sędziego Trybunału Konstytucyjnego konia, to też powinniśmy podejść do tego ze zrozumieniem?".

Odwołał się do wydarzenia – anegdotycznego, bo jego prawdziwość podważają historycy – jakoby cesarz Kaligula mianował konsulem swojego konia Incitatusa. Miała to być prowokacja: cesarz chciał w ten sposób pokazać senatorom, że ich praca jest tak niewiele warta, że te same obowiązki mógłby wykonywać koń. A przy okazji była to drwina z demokratycznego systemu. Bogucki, powołując się na tę anegdotę i sprowadzając konstytucyjny obowiązek prezydenta do absurdu, również pokazał swój do owego systemu stosunek.

Ważny był tu jednak przede wszystkim koń, bo poseł Roman Giertych zareagował na słowa Boguckiego następująco:

„Karol Nawrocki na swego przedstawiciela w Sejmie wybrał osła i my ten wybór uszanowaliśmy. A przecież koń to szlachetniejsze zwierzę niż osioł".

Wykorzystywania Bogu ducha winnych zwierząt do politycznych potyczek nie pochwalamy, ale odnotować należy, że zarówno analogia, argumentum ad absurdum, jak i epitet są retorycznymi zabiegami, a retoryka jest naszemu sercu bliska.

•

Tymczasem jednak niespodzianie pojawił się w dyskursie publicznym także koń dosłowny, nieretoryczny i niemetaforyczny. A nawet trzy: Ramzes, Aramis i Edzio. Już wiosną tego roku pojawiły się w prezydenckim ośrodku w Promniku. Ramzesa (konia fryzyjskiego) dosiada podobno pan prezydent, Aramisa (konia huculskiego) jego żona, a Edzio (kuc) jest dla ich córki Kasi.

Kiedy sprawa wyszła na jaw, rzucili się na nią – jak, nie przymierzając, a właściwie przymierzając, sępy – dziennikarze i zaczęli zadawać pytania, ile takie konie kosztują, kto je kupił i kto płaci za ich utrzymanie, a także czy Karol Nawrocki ma zamiar sfotografować się z gołą klatą na koniu jak pewien ościenny dyktator, wpisując się we wzorzec słowiańskiej męskości. Jakie to wszystko małostkowe!

W obronie prezydenta stanął na szczęście jego rzecznik Rafał Leśkiewicz, mówiąc, że „trzeba mieć końskie zdrowie, żeby mierzyć się z kolejną akcją medialną podkutych razem, wymierzoną w Prezydenta RP". Wierzymy, że sportowy tryb życia Karola Nawrockiego powoduje, że ma on końskie zdrowie, oraz doceniamy grę słów w sformułowaniu „podkuci razem", a właściwie aluzję do antypisowskiego ruchu społecznego Silni Razem.

Powiedział także, że pan prezydent ma piękne konie w swojej stajni, a Donald Tusk ma Romana Giertycha w Sejmie".

W obu przypadkach chodzi o to, by odejść od koni realnych do metaforycznych, przy czym pierwszy wykorzystuje tzw. konizm, czyli związek frazeologiczny związany z końmi, a drugi ma charakter, by tak rzec, wczesnoszkolny, odwołuje się bowiem do przezwiska Romana Giertycha. Znów jednak docenić należy retoryczną, a właściwie erystyczną strukturę, którą posłużył się Leśkiewicz. Wygląda na to, że długo ją obmyślał.

Chyba tylko Radosław Sikorski zwrócił uwagę na sprawy ważniejsze niż koszty utrzymania koni (notabene czterech, bo jest jeszcze jeden, o nieznanym imieniu, którego dosiada funkcjonariusz Służby Ochrony Państwa): „Doceńmy skromność – napisał w serwisie X. – Orban miał zebry". Oraz: „Pilnujmy losu Ramzesa. Aby zatuszować sprawę, ludzie Orbana prawdopodobnie zjedli jego zebry".

•

Co jednak najważniejsze, zauważył głęboką symboliczność imienia prezydenckiego rumaka: „Tylko Ramzes właściwie oddaje faraońskie ambicje". Dodał też, że ktoś jednak „nie doczytał u Prusa, jak skończył Ramzes XIII". Przypomnijmy, że zginął z rąk swojego sobowtóra, a choć to wszystko były postaci fikcyjne, to i tak powiało grozą.

Idźmy dalej tym tropem. Aramis to także postać literacka, wymyślona przez Alexandra Dumasa. Jest to szalenie wytworny muszkieter, ulubieniec dam, nie tylko romansujący z kilkoma kobietami równocześnie, ale też zachowujący w tych kwestiach daleko posuniętą dyskrecję: spotykał się z kochankami w ukrytych pokojach pałacowych.

Po odejściu ze służby wojskowej wstępuje do zakonu jezuitów. Zostaje opatem, a potem biskupem, aż wreszcie generałem jezuitów, co zresztą nie powoduje, że zaprzestaje udziału w romansach i intrygach. Jako jedyny z całej czwórki dumasowskich muszkieterów umiera śmiercią naturalną, więc pod tym względem Radosław Sikorski nie miałby się do czego przyczepić. Niemniej elementy biografii Aramisa kuszą do szukania niebezpiecznych analogii. Oprzyjmy się jednak tej pokusie.

Na koniec został Edzio, który także kojarzy się literacko – jest jakby młodszą wersją Edka z „Tanga" Sławomira Mrożka. Przypomnijmy, że Edek nie ma pochodzenia inteligenckiego. Z początku jest lokajem, „partnerem do karty", wykorzystuje słabość inteligencji, niczego nie analizuje, nie jest zdolny do żadnej refleksji. Wyznaje kult siły fizycznej i wzbudza postrach. No i zostaje dyktatorem.

Nie wiemy, kto nadał imiona trzem koniom prezydenckim – Ramzesowi, Aramisowi i Edziowi – ale są jak rebus dla licealistów lub względnie oczytanych Polaków. Oczywiście wszyscy powinniśmy wykazywać troskę o stan finansów publicznych, ale akurat dla tego rebusu warto było zainwestować nawet sporą sumę.

Być może skutkiem ubocznym nabycia prezydenckich koni będzie skłonienie rodaczek i rodaków do sięgnięcia po literaturę piękną, a przecież podniesienie poziomu czytelnictwa jest celem, który uświęca wszelkie środki. ●

eprasa.pl ed2416b7a2

KRAJ

Jak nie drzwiami, to oknem

1 RP

eprasa.pl ed2416b7a2

„To była precyzyjna, koronkowa robota”. Jak i kogo urabiają Sikorski, Kosiniak-Kamysz i Nawrocki w Waszyngtonie.

Arkadiusz Gruszczyński

Na pierwszy rzut oka za relacje polsko-amerykańskie odpowiada dziś przede wszystkim Karol Nawrocki. Trudno się dziwić: to o prezydencie w swoich wpisach w portalach społecznościowych wspomina Donald Trump, to prezydent bawi się na jego urodzinach i jada kolacje organizowane przez Biały Dom.

Nawrocki wygrywa aktualnie wojnę narracyjną, co widać w badaniach: rok temu ponad połowa Polaków chciała oddać kontakty dyplomatyczne z USA w ręce prezydenta.

Prawda wygląda nieco inaczej. A przynajmniej tak przekonują członkowie rządu, doświadczeni dyplomaci i eksperci pracujący dla Ministerstwa Obrony Narodowej.

●

Dostawszy się do Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Alei Szucha w Warszawie – kontrola plecaka i prześwietlenie kieszeni przez funkcjonariuszy Służby Ochrony Państwa – siadam na dużym, wygodnym fotelu pamiętającym złote czasy światowego dizajnu. Nade mną wisi obraz Kossaka: konie ciągną w dynamicznej scenie zaprzęg z postaciami owiniętymi kożuchami.

Na niewprawne oko płótno wymaga lekkiego czyszczenia, choć przekaz ulubionego malarza polskich polityków, biznesmenów i arystokratów i tak jest jednoznaczny dla wszystkich gości: w krajobrazie zimowej zawieruchy, zapięci na wszystkie guziki, Polacy wsiadają na sanie i mimo przeciwności losu jadą walczyć o swoje.

Na pustych korytarzach widzę inne obrazy, niedostępne dla oficjalnych delegacji i dyplomatów, a ciekawsze w wymowie od Kossaka.

Otóż pomiędzy gabinetami dyrektorów i urzędników wiszą moderniści, a więc prace geometryczne, ekstrawaganckie, działające na wyobraźnię. Gdzieniegdzie trafiają się zdjęcia przedwojennych dyplomatów, choć nawiązywanie do spuścizny politycznej II RP, która miała nie oddać guzika Niemcowi, a po wybuchu pierwszych bomb w 1939 roku jej elita uciekła do Rumunii, jest problematyczne.

Śluzy otwierane elektroniczną kartą szybko sprowadzają mnie na ziemię. Bo nie przyszedłem tu rozmawiać o symbolice sztuki w dziejowych kontekstach, tylko o twardym tu i teraz: relacjach polsko-amerykańskich.

– Musi pan zrozumieć podstawowy problem: obecna administracja Trumpa jest chaotyczna, sparaliżowana, niedoinformowana i skrajnie niedecyzyjna – mówi mi jeden z dyplomatów, bawiąc się niebieską poszetką. – Mogę mnożyć przykłady: jeden z naszych wiceministrów spotyka się ze swoim amerykańskim odpowiednikiem, ustalają szczegóły jakieś decyzji. Po kilku dniach nasz dyrektor widzi się z ludźmi z departamentu stanu, a oni nie znają najnowszych ustaleń – ciągnie.

– Pyta pan, czy za pierwszej kadencji Trumpa było podobnie? Otóż nie.

●

Cele polskiej dyplomacji po przełomie ustrojowym i gospodarczym 1989 roku były częścią ponadpartyjnego porozumienia. W latach 90. zależało nam na przyjęciu do NATO, potem na umacnianiu sojuszy transatlantyckich. USA były synonimem lepszego świata, mitycznego nie tylko sytego, ale i sprawiedliwego, solidarnego Zachodu.

I choć niepokojące sygnały dostawaliśmy od lat – choćby w postaci „resetu” z Rosją Baracka Obamy i jego rezygnacji z tarczy antyrakietowej w naszej części kontynentu czy uwagi Waszyngtonu przesuwającej się ze Starego Świata na Azję i Pacyfik – otrzeźwienie przyszło dopiero w trakcie pierwszej kadencji Trumpa.

Przywódca największego mocarstwa świata okazał się nieprzewidywalnym partnerem, kapryśnym politykiem, a przede wszystkim narcyzem, który nie potrafił pogodzić się z przegraną i zainspirował coś niewyobrażalnego: szturm na Kapitol.

Równocześnie słabła atrakcyjność Stanów Zjednoczonych jako modelu cywilizacyjnego, punktu odniesienia aspiracji: prekaryzacja i uberyzacja gospodarki, coraz trudniejszy awans od pucybuta do milionera, demontaż i tak symbolicznych zabezpieczeń socjalnych, erozja solidarności – i państwowej, i społecznej, pogłębiające się rozwarstwienie.

A jednocześnie rosła i wciąż rośnie arogancja militarnego i cyfrowego supermocarstwa, demolującego politykę oraz ład społeczny zaprzyjaźnionych państw w imię interesów swoich technologicznych oligarchów.

Przestaliśmy – i polska klasa polityczna, i społeczeństwo – ślepo ufać Amerykanom. Już nie zachwycamy się ich technologią, medycyną czy stylem życia, ponieważ w ciągu trzech ostatnich dekad staliśmy się Europejczykami i wyrośliśmy z roli młodszego, biedniejszego brata. Dzisiaj to my wydajemy pieniądze w amerykańskich fabrykach i zaskakujemy Zachód porządkiem, przewidywalnością i spokojem społecznym.

A z drugiej strony nie mamy wyjścia: wciąż musimy się z Amerykanami przyjaźnić. USA wciąż pozostają globalnym policjantem, więc siłą rzeczy kluczowym partnerem naszego kraju – zwłaszcza zaś w czasie, gdy na wschodzie Europy grasuje Rosja. Nadal tylko Amerykanie mają zdolność odstraszania, która jest nam zwyczajnie potrzebna tu i teraz.

Problem jest jeden. I nie chodzi o wielkie procesy geopolityczne w rodzaju słynnego „pivotu pacyficznego”, czyli amerykańskiej utraty zainteresowania Starym Światem i koncentracji na chińskim zagrożeniu, lecz o charaktery: całej obecnej ekipy w Waszyngtonie oraz jej poszczególnych członków.

●

„Mało przewidywalna i chaotyczna” – moi kolejni rozmówcy określają drugą administrację Trumpa tymi samymi słowy, co dyplomata z niebieską poszetką.

Od innego pracownika MSZ słyszę o spotkaniu z ambasadorem USA, który sprawiał wrażenie niedoinformowanego. – Używając języka dyplomacji, mogę podsumować, że obecna administracja na nowo uczy się Europy i stawia sobie inne priorytety, przesuwa wzrok na Pacyfik czy Bliski Wschód. Ale mówiąc wprost: w Białym Domu rządzi wąska grupa ludzi, która nie dzieli się informacjami z podwładnymi. Dlaczego? Ponieważ każda z tych osób zawdzięcza wszystko Trumpowi i po prostu nikomu nie ufa – mówi doświadczony dyplomata.

W tej grupie znajduje się sekretarz stanu Marco Rubio, amerykański odpowiednik Radosława Sikorskiego. – Założyliśmy, że naszym celem będzie zacieśnienie relacji MRS z Rubio – opowiada bliski współpracownik szefa resortu spraw zagranicznych.

MRS to skrót od minister Radek Sikorski, choć niektórzy od technokratyczno-imperialnych akronimów na amerykańską modłę – POTUS, od President of the United States – w jakich lubowała się poprzednia ekipa – PAD, czyli prezydent Andrzej Duda – wolą zwykłe zwięzłe „szef”.

– Dlatego w ubiegłym roku zorganizowaliśmy wręczenie Nagrody Solidarności imienia Lecha Wałęsy kubańskiej dysydentce Bercie Soler Fernandez. Proszę zwrócić uwagę na kilka szczegółów: statuetkę wręczali osobiście Sikorski i Rubio, uroczystość odbywała się w Miami, a więc w rodzinnych stronach sekretarza stanu, który pochodzi z kubańskiej diaspory – opowiadają wysocy urzędnicy MSZ.

– To była precyzyjna, koronkowa robota, która przyniosła nam same plusy: Sikorski i Rubio są w bieżącym kontakcie, a sekretarz stanu, który ma wielkie szanse na nominację prezydencką Partii Republikańskiej, rozumie nasz punkt widzenia.

Sikorski wykorzystuje znajomości w środowisku republikańskim, zbudowane jeszcze w latach 90., gdy jako młody dyplomata z reporterskim stażem w Afganistanie, dyplomem Oksfordu i koneksjami rodzinnymi w establishmencie Zachodniego Wybrzeża dystansował całą świeżą wschodnioeuropejską klasę polityczną. Regularnie spotyka się z konserwatywnymi środowiskami i liczącymi się Republikanami.

– Mamy poprawne relacje z imperium medialnym Ruperta Murdocha, czyli właściciela Fox News, stacji jawnie wspierającej Trumpa. Proszę nie zapominać, że MRS wziął udział w konferencji CPAC w lutym 2025 roku, tuż po zaprzysiężeniu pana prezydenta Trumpa. Minister zrobił to celowo: chcieliśmy wejść do intelektualnego środowiska nowej administracji – słyszę od ważnego polityka Koalicji 15 Października.

CPAC to jedna z najważniejszych instytucji amerykańskiej polityki – odbywający się od 52 lat największy coroczny kongres Republikanów, prawicowych stowarzyszeń i konserwatywnych aktywistów. Który od paru lat otwiera ekspozytury w innych krajach i przeradza się w zglobalizowany, zasilany potężnymi pieniędzmi ruch, mający bardzo dobrze rozwiniętą sieć zależnych instytucji, konkretny trzon ideologiczny i wizję przyszłości.

●

– Mamy dostęp do Białego Domu, w którym szef spotyka się z kluczowymi politykami. W czasie spotkania z Kevinem Hassettem, czyli dyrektorem Narodowej Rady Ekonomicznej, Radek widział jako pierwszy logo szczytu G20 w USA – dopowiada jeden z bliskich współpracowników Sikorskiego.

– Skoro pan minister ma taką pozycję i możliwości, dlaczego nie wystarał się o spotkanie z prezydentem Trumpem? – pytam.

– Po pierwsze, w świecie dyplomacji spotkania głowy innego państwa z ministrami są czymś niecodziennym i niezwykłym. Szefowie poszczególnych resortów mogą być częścią oficjalnej delegacji. A po drugie, opieramy nasze kontakty dyplomatyczne z Amerykanami na wielu osobach – przekonuje dyplomata z niebieską poszetką.

W resorcie spraw zagranicznych stworzono precyzyjną mapę amerykańskiej administracji i polityki. Kluczowe punkty na niej to oczywiście

* Biały Dom, w którym minister Sikorski ma poprawne relacje ze swoim odpowiednikiem i kluczowymi postaciami z otoczenia Trumpa,

* Kongres i Izba Reprezentantów, w których ludzie Sikorskiego non stop spotykają się z politykami Partii Republikańskiej i Demokratami. Ale też

* biura poszczególnych sekretarzy,

* kluczowe ośrodki intelektualne i medialne, takie jak Fox News, „Wall Street Journal”, „New York Post”, ale też Heritage Foundation – radykalnie konserwatywny, zasilany grubymi milionami przez świat biznesu think-tank, który kładł podwaliny pod neokonserwatywny zwrot początku lat 2000, a potem pomógł oddolnemu prawicowemu fermentowi przerodzić się w ruch MAGA.

* oraz potencjalni kandydaci na prezydenta wskazani przez Demokratów.

Ta ostatnia grupa szczególnie mnie ciekawi, bo choć Partia Demokratyczna zmierza po zwycięstwo w listopadowych wyborach połówkowych, to bardziej dzięki katastrofalnym błędom obozu władzy – od nieporadnej brutalności policji imigracyjnej ICE przez niepopularną, kosztowną wojnę z Iranem po bezwarunkowe wsparcie dla znienawidzonych centrów danych AI – niż własnemu ogarnięciu. Demokraci wciąż wydają się pozbawieni jasnego programu i pochłonięci wojenkami starego neoliberalnego partyjnego establish-

Ludzie z rządu: Prezydent pod publiczkę robi głupoty, ale kiedy widzi się z Trumpem, mówi przekazem ustalonym w MSZ i MON

• Na zdjęciu: prezydent Karol Nawrocki oraz Władysław Kosiniak-Kamysz, wicepremier i minister obrony narodowej

FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL, MONTAŻ GAZETA WYBORCZA

eprasa.pl ed2416b7a2

mentu z młodymi lewicowcami pokroju burmistrza Nowego Jorku Zohrana Mamdaniego. A odzyskiwanie sympatii wyborców z klas pracujących i drobnych przedsiębiorców czy wręcz odbijanie całych „czerwonych" republikańskich regionów to raczej zasługa poszczególnych „niebieskich" kandydatów na gubernatorów czy kongresmanów niż systemowego pomysłu.

– MRS stwierdził, że musi już teraz nawiązać relacje z najważniejszymi politykami Partii Demokratycznej, którzy mają szansę na prezydencką nominację w 2028 roku. Robimy to, ponieważ słyszymy niepokojące głosy od wpływowych Demokratów: po co mielibyśmy wspierać Polskę, skoro Trump was faworyzuje? Po co nam taki sojusznik, który bezkrytycznie akceptował wszystko, co robi ta fatalna administracja? Jako Partia Demokratyczna możemy wspierać Rumunię czy wracające na stronę praworządności Węgry – relacjonuje współpracownik Sikorskiego.

Strategia ministra ma wiele sensu, ponieważ Demokraci tradycyjnie będą bardziej skupieni na sprawach wewnętrznych, choć możemy się spodziewać większego zaangażowania w Ukrainie – mówią mi kolejni rozmówcy z MSZ. – Dlatego tak często krytycznie podchodzimy do roli Karola Nawrockiego i jego środowiska, które postawiło w pełni na Trumpa oraz jego obóz MAGA. To krótkowzroczna koncepcja dyplomatyczna, która może przynieść nam wiele kłopotów po zwycięstwie kandydata Demokratów w 2028 roku. MSZ dywersyfikuje kontakty, rozdrabnia je, działa na wielu frontach, ponieważ polityka nie jest domeną jednej partii – tłumaczy doświadczony dyplomata.

A które drzwi są zamknięte na głucho dla polskiego rządu?

– Na pewno niektórzy przedstawiciele ruchu MAGA patrzą na nas nieufnie. Szczególnie ci autentycznie ideowi, którzy naprawdę uważają, że Europa się skończyła, ponieważ uległa presji lewaków i feministek. Ale trumpiści i ta część alt-rightu, która stał się już mainstreamem po prawej stronie w USA, są różnorodnym środowiskiem i koniec końców kontakty z MAGA mamy nienajgorsze – słyszę w MSZ.

•

Najważniejsza gra toczy się dziś o stałą bazę wojsk amerykańskich w Polsce.

Pierwszy raz pomysł rzucił prezydent Andrzej Duda. We wrześniu 2018 roku Trump podczas spotkania z polskim odpowiednikiem zapowiedział, że rozważy propozycję ulokowania amerykańskich chłopców nad Wisłą na dobre. To wtedy pierwszy raz padła nazwa Fort Trump. Rzucił ją Duda, świadom, że w przypadku tej administracji pochlebstwo rzucone w luźnej rozmowie skuteczniej wpływa na strategiczne decyzje niż oficjalny obieg dyplomatyczny.

Choć stała baza miałby wedle ówczesnych szacunków kosztować państwo polskie 2 miliardy dolarów, Dudzie zależało stałej bazie ze względu na, jak to ujmowali w geopolitycznej nowomowie analitycy, „rosnącą asertywność" Federacji Rosyjskiej. Trzeba przyznać, że niecieszący się wielkim autorytetem prezydent miał dobrą intuicję: cztery lata później Moskwa zaatakowała Kijów.

W 2018 roku spora część krajów „starego" NATO uważało jednak, że stała baza w Polsce stanowiłaby zbyt ostentacyjną prowokację wobec Putina, a Pentagon twierdził, jak podaje „Politico", że „zaoferowane przez Polskę 2 mld dolarów stanowiłyby zaledwie niewielki ułamek długoterminowych kosztów osobowych związanych z utrzymywaniem znacznej stałej obecności wojskowej".

W 2020 roku projekt utknął w martwym punkcie negocjacyjnym. Ostatecznie obie strony zgodziły się na zwiększenie liczby żołnierzy w naszym kraju i temat na kilka lat zniknął z agendy politycznej. Wybuchł w ubiegłym roku, kiedy okazało się, że USA chcą znacząco ograniczyć swoją obecność w Europie i amerykańskich żołnierzy może ubyć również z Polski. Oficjalnie redukcja nie objęła naszego kraju, ale stała obecność 10 tysięcy Amerykanów u nas opierała się na systemie rotacyjnym – a Trump w maju po prostu wstrzymał rotację. Innymi słowy – starzy odlecieli, a nowi nie przylecą.

Dopóki Trump nie zmienił zdania, było naprawdę gorąco. Ale obecny stan rzeczy też nie jest optymalny. Moi rozmówcy używają słowa „doraźność" – bo amerykańscy żołnierze mają stacjonować w Polsce w niezmienionej liczbie, ale amerykański prezydent – jak sam oficjalnie zaznacza – „robi to" ze względu na świetne relacje z Karolem Nawrockim.

Dlatego 3 czerwca minister obrony narodowej Władysław Kosiniak-Kamysz złożył oficjalny wniosek o stworzenie w Polsce stałej bazy wojsk amerykańskich. Od tamtego czasu negocjacje prowadzą w ponadpartyjnym porozumieniu rząd z prezydentem.

W ostatnich tygodniach mówiło się nawet o znaczącym postępie, a Trump wspomniał w internetowym wpisie, że „czynione są wielkie postępy w kierunku ustanowienia bazy wojsk lądowych USA w Polsce", a dzieje się tak „dzięki odważnemu przywództwu jego przyjaciela, Karola Nawrockiego, prezydenta Polski".

Adam Bielan, niemal od początku PiS najważniejszy spin-doktor, „załatwiacz" i pośrednik tej partii, chwali się na mieście, że osobiście wychodził spotkanie Kosiniaka-Kamysza z Trumpem. – Wiemy, że Bielan ma swoje wejścia w Białym Domu, ale to konkretne spotkanie ustawił nam Nikodem Rachoń – słyszę od ważnego polityka koalicji rządzącej.

Brat Michała Rachonia, gwiazdora TV Republika mającego niezłe kontakty w wierchuszce CPAC, jest pracownikiem Kancelarii Prezydenta, a ludowcy regularnie korzystają z jego usług.

– Nie powinno to pana zaskakiwać. Skoro drzwi do Gabinetu Owalnego może nam otworzyć człowiek Nawrockiego, to nie zastanawialiśmy się długo nad jego ofertą – potwierdza moje informacje współpracownik Kosiniaka-Kamysza.

•

Rachoń wprowadził ludowców do Białego Domu poprzez wizytę w jednym z nowojorskich hoteli, w którym gości przyjmuje Nikki Haley, była ambasadorka przy ONZ i eksgubernatorka Karoliny Południowej, wpływowa Republikanka mająca dostęp do ucha Trumpa.

Wiceministra obrony: Próbujemy przekonać Unię do wydawania pieniędzy z programu SAFE w Waszyngtonie. Nie powinniśmy stawiać wyżej ekonomii od bezpieczeństwa i premiować sprzętu wyprodukowanego w Europie

Amerykański przywódca zamieszcza liczne posty na każdy temat i nie wszystkie przekładają się później na decyzje. Ale już samo przyciągnięcie jego uwagi do jakiegoś tematu na dłużej jest osiągnięciem i dobrym prognostykiem.

•

Rzeczywiście wiele wskazuje, że architektem polskiego sukcesu jest w znacznej mierze Karol Nawrocki. – Rozmawiamy ze stroną amerykańską o stałych bazach od kilku miesięcy, to prawda. I działamy w tej sprawie w ścisłej współpracy z Kancelarią Prezydenta – mówi mi współpracownik Kosiniaka-Kamysza, z którym spotykam się w kawiarni w centrum Warszawy. Wbrew pozorom zatłoczone miejsca raz na jakiś czas sprzyjają takim rozmowom, szczególnie gdy mój rozmówca z trudem znajduje 40 minut między jednym a drugim spotkaniem.

Szef Ministerstwa Obrony Narodowej prowadzi niezależną od MSZ-u politykę dyplomatyczną. Na tyle niezależną, że lider Polskiego Stronnictwa Ludowego „zapomniał" poinformować Sikorskiego o swojej rozmowie z Trumpem. A mówiąc precyzyjniej: rozmawiał o niej z Donaldem Tuskiem, ale ze spotkania nie powstała żadna oficjalna notatka. Jak ujawniła Dominika Wielowieyska, ludowiec miał być namawiany przez amerykańskiego przywódcę do zawiązania koalicji z Prawem i Sprawiedliwością.

Kosiniak-Kamysz – z racji urzędu – spotyka się również z Petem Hegsethem, czyli sekretarzem wojny USA. – Panowie się polubili, mają ze sobą stały kontakt. Podczas jednej z kolacji Amerykanin zapytał Władka, czy ma jakieś tatuaże. Bo on ma – śmieje się polityk ludowców.

Sekretarz wojny jest dumny ze swoich tatuaży, które mają odzwierciedlać jego charakter i misję wojownika. Chrześcijańskiego wojownika – bo były prezenter Fox News i weteran Gwardii Narodowej stanu Minnesota z krótkim epizodem w Iraku wytatuował sobie na torsie i rękach, obok nawiązującego do buntu amerykańskich kolonistów kolonii przeciwko Brytyjczykom hasła „Join or die", krucjatowe zawołanie „Deus Vult, „Bóg tak chce", krzyż jerozolimski, miecz i imię Jezusa.

– Kosiniak-Kamysz uczy się pilnie angielskiego, naprawdę się ostatnio podciągnął. Codziennie przed pracą odpala aplikację i ciśnie słówka – dodaje mój rozmówca.

Szef MON, jego zastępcy, generałowie i doradcy latają do USA z jednym przekazem: jesteśmy modelowym sojusznikiem, wydajemy w waszych fabrykach broni mnóstwo pieniędzy, znacząco zwiększyliśmy nakłady na obronność, w niczym się nie odróżniamy pod tym względem od hojnego i wiernego rządu PiS. A Nawrocki na każdym kroku zapewnia Amerykanów, że ma poprawne relacje z Kosiniakiem-Kamyszem.

– Dochodziło do niezręcznych sytuacji, kiedy nasi amerykańscy przyjaciele myśleli, że w Polsce funkcjonuje ustrój prezydencki. Od nas się dowiadywali, że u nas głowa państwa jest pozbawiona kompetencji. Nie wskaże im nawet miejsca, w którym mogliby założyć stałą bazę. To leży po naszej stronie – wspomina jeden z ministrów.

W MON opracowano strategię, która opiera się na dyplomacji obronnej, czyli „wspólnych interesach militarnych prowadzących do wzajemnej ochrony". Mówiąc prościej: pod względem stricte wojskowym czy zbrojeniowym nie bardzo mamy czym ich skusić, więc wymyśliliśmy, że Amerykanie mają zakładać nad Wisłą fabryki broni, pojazdów pancernych i innych sprzętów wojennych, a one ściągną tu więcej ich wojsk. – Wydaje nam się, że Amerykanie chętniej broniliby Polski, jeśli działałyby tu ich fabryki – słyszę w MON.

Właśnie dlatego Polskę odwiedził w październiku ubiegłego roku szef Palantira, tajemniczego giganta z Doliny Krzemowej dostarczającego Pentagonowi czy wywiadowi USA potężnych cyberbroni oraz narzędzi inwigilacji wykorzystujących Big Data i sztuczną inteligencją. I dlatego w Łodzi podpisano niedawno umowę na centrum obsługujące amerykańskie śmigłowce bojowe Apache.

– Amerykanie przychylnie i z zainteresowaniem patrzą na Kaszuby, gdzie ma powstać zagłębie fabryk wojskowych. Zdają sobie sprawę, że działając w Polsce, zyskują dostęp do rynku całego basenu Morza Bałtyckiego. A więc nie tylko do Litwinów, Łotyszy i Estończyków, ale do Niemiec i całej Skandynawii – mówią w resorcie obrony narodowej. Kolejne umowy mają być ogłaszane w roku wyborczym. Wszystkie mają podpisywać ludowcy.

•

O szczegóły współpracy z Amerykanami pytam Magdalenę Sobkowiak-Czarnecką, wiceministrę obrony narodowej, wcześniej koordynatorkę polskiej części unijnego programu zbrojeniowego SAFE. Moja rozmówczyni przyznaje, że MON wspólnie z Karolem Nawrockim rozwija relacje transatlantyckie.

– Pan prezydent wspiera działania ministerstwa w czasie rozmów z Donaldem Trumpem, a jednocześnie my jesteśmy w stałym kontakcie ze stroną amerykańską – mówi wiceministra.

Trudno mi oprzeć się wrażeniu, że to ogólnik, jakim politycy i urzędnicy pokrywają zakłopotanie, gdy w danej sprawie niewiele wiadomo lub niewiele się dzieje, ale Sobkowiak-Czarnecka płynnie przechodzi do konkretów.

– W lipcu w USA widziałam się z podsekretarzem stanu Thomasem DiNanno. Następnie gościłam mojego odpowiednika w Polsce, a w ostatnich tygodniach prowadziłam podobne rozmowy na najwyższym szczeblu. Na pewno polski rząd nie jest persona non grata, a Amerykanie doceniają, że potrafimy wspólnie z Karolem Nawrockim mówić jednym głosem w sprawie zakupów uzbrojenia i stałej bazy wojskowej.

Pytam o ściąganie do Polski firm zbrojeniowych.

– Koprodukcja z amerykańskimi fabrykami to kluczowy temat. Rozmawiamy o udzieleniu licencji na amerykański sprzęt. Musimy jednak pamiętać, że USA nie są dzisiaj w stanie nadążyć za popytem, ich firmy produkują obecnie głównie na wewnętrzny amerykański użytek. Dlatego wychodzimy z konkretną ofertą koprodukcji w Polsce. Wspieramy też Amerykanów i próbujemy przekonać Unię do wydawania pieniędzy na sprzęt zbrojeniowy nie tylko w UE – wylicza Sobkowiak Czarnecka. – Nie powinniśmy stawiać wyżej ekonomii od bezpieczeństwa i premiować tylko sprzętu wyprodukowanego w Europie, są kompetencje, których nie mamy, a sprzęt jest potrzebny tu i teraz.

1 RP

eprasa.pl ed2416b7a2

Obecnie Bruksela zezwala na wydanie tylko 35 proc. pieniędzy z SAFE na zakupy zbrojeniowe w USA – i nic dziwnego, bo jednym z założeń mechanizmu Security Action for Europe było, prócz szybkiego nadgonienia wieloletnich zbrojeniowych zaległości armii krajówczłonkowskichh, napędzenie europejskiego przemysłu. A więc również coraz bardziej kulejącego unijnego dobrobytu, co z kolei ma odciągnąć przestraszonych niepewną przyszłością wyborców od alt-prawicowych i alt-lewicowych populistów.

Słowa wiceministry to swego rodzaju bomba, bo od początku drugiej kadencji Trumpa i unijni, i polscy eksperci, politycy oraz wojskowi mówili, że uzależnienie od amerykańskiej broni może źle się skończyć. Nie tylko dlatego, że coraz bardziej kapryśny i nieprzewidywalny Biały Dom może szantażować Europę wstrzymaniem dostaw, gdy Bruksela czy któraś z ważnych stolic zechce postawić się w jakiejś sprawie – na przykład autonomii kalifornijskich Big Techów – sojusznikowi.

Przede wszystkim dlatego, że dla amerykańskich producentów naturalnym priorytetem są dostawy dla własnej armii – a wojna z Iranem, w której Amerykanie błyskawicznie wystrzelali się z Patriotów, uświadomiła Europejczykom, że w krytycznym momencie możemy zostać bez amunicji czy części zamiennych, bo akurat USA uwikłają się gdzieś na drugim końcu świata.

Na czym więc stoimy? Kiedy – i czy w ogóle – w Polsce powstanie stała baza wojskowa? I czy rząd nie obawia się, że po wyborach połówkowych w listopadzie, kiedy Izbę Reprezentantów i najprawdopodobniej Senat przejmą Demokraci, temat spadnie z agendy politycznej?

– Doceniam wpis pana prezydenta Donalda Trumpa o finalizowaniu rozmów w tej sprawie. Praca trwa. Amerykanie odwiedzili Polskę, oglądali potencjalne lokalizacje, a w celach bezpieczeństwach, jakie przedstawił ostatnio sekretarz Colby, pojawiła się baza w Polsce – odpowiada oględnie wiceministra. I przekazuje, że według harmonogramu już 1 listopada na biurko sekretarza wojny trafi raport o obecności żołnierzy amerykańskich w Europie, a miesiąc później znajdzie się w Gabinecie Owalnym. Wówczas Trump podejmie decyzję.

Amerykanie mają zakładać nad Wisłą fabryki broni, pojazdów pancernych i innych sprzętów wojennych, a one ściągną tu więcej ich wojsk.– Wydaje nam się, że chętniej broniliby Polski, jeśli działałyby tu ich zakłady – słyszę w MON

– Ale co jest ważniejsze, firmy zbrojeniowe czy stała baza? – drążę.

– Każda obecność Amerykanów w Polsce oznacza zwiększenie naszego bezpieczeństwa – ucina Magdalena Sobkowiak-Czarnecka.

•

Podsumujmy: rząd prowadzi rozmowy z administracją Trumpa na dwóch frontach. Spotkania mają doprowadzić do powstania stałej bazy wojsk amerykańskich w Polsce, a także do zaciśnięcia współpracy gospodarczej. Sikorski ma szerokie i różnorodne kontakty w USA, Kosiniak-Kamysz skupia się na relacjach z wojskowymi. A Nawrocki?

– Kiedy widzi się z Trumpem, mówi przekazem ustalonym w MSZ i MON. Prezydent wie, że po każdej takiej rozmowie zostaje ślad, boi się kompromitacji, ale też zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji, w jakiej znajduje się kraj. Pod publiczkę i na wewnętrznych użytek mówi i robi głupoty, ale w USA zachowuje się porządnie – relacjonują zgodnie osoby z rządu.

W gmachu MSZ przy alei Szucha do licznych szarż ludzi prezydenta podchodzą z niedowierzaniem, ale przede wszystkim z wyuczoną rezerwą.

Najaktywniejszy w środowisku „Dużego Pałacu" jest Marcin Przydacz, szef Biura Polityki Międzynarodowej w Kancelarii Prezydenta. Urzędnik i wpływowa postać w kręgu Nawrockiego potrafi napisać na X, że MSZ prowadzi zerową aktywność w sprawie stałej bazy w Polsce, a „uzyskanie przychylności Białego Domu należy wiązać przede wszystkim z dobrą relacją Prezydenta K. Nawrockiego i Prezydenta D. Trumpa". Ostatnio stwierdził, że „trzeba kuć żelazo, póki gorące. Apelujemy do pana Władysława Kosiniaka-Kamysza, by być może mniej zajmował się wewnętrznymi utarczkami politycznymi, pouczaniem kolegów polityków, a bardziej zainteresował się tym, co jest dzisiaj najważniejsze. Najważniejsze jest bezpieczeństwo państwa polskiego". O Sikorskim mówił, że „dyplomacja twitterowa nie otwiera drzwi do Białego Domu".

Przydacz nie znalazł dla mnie czasu na rozmowę.

Nawrocki stawia wszystko na jedną kartę, na której widnieje podobizna Donalda Trumpa. A przecież – zauważają moi liczni rozmówcy z rządu – polski prezydent może obiecać swojemu amerykańskiemu odpowiednikowi dosłownie wszystko, lecz na końcu ostateczną decyzję podejmie premier. I to Tusk za pomocą naszej administracji zrealizuje konkretną strategię.

Czyli oficjalnie: dwa obozy polityczne walczą z czasem i chcą sobie przypisać zwycięstwo w walce o stałą bazę. A nieoficjalnie: „mały pałac", czyli Kancelaria Premiera, i „duży Pałac" ściśle ze sobą współpracują, a pyskówki Przydacza, zaczepne wpisy i wypowiedzi Tuska są głównie politycznym teatrem. Nawet jeśli czasem komuś autentycznie puszczają nerwy. – Bądźmy poważni: jeśli Karol ma dobre relacje z Trumpem, to trzeba wykorzystać to dla dobra Polski – podsumowuje jeden z ministrów.

Pytanie, czy chodzi o dobro wyłącznie Polski. Nawrocki wspólnie z Kosiniakiem-Kamyszem marzą o zaproszeniu Trumpa do Polski w 2027 roku. Prezydent chce zyskać wizerunkowo, a lider ludowców przed wyborami zbudować obraz pierwszego obrońcy bezpieczeństwa Polski. W MSZ nie dziwią się tej rozgrywce.

– A niech sobie przypinają ordery, niech Nawrocki przytuli się do tego sukcesu. My sobie poradzimy, bo liczy się skuteczność całej klasy politycznej. Ale na marginesie... Proszę się zastanowić, co zrobi Nawrocki, kiedy zostanie potraktowany przez Trumpa tak jak Giorgia Meloni, która najpierw była wielką przyjaciółką amerykańskiego prezydenta, a dzisiaj jest publicznie wyśmiewana w Białym Domu. Nawrocki będzie miał odwagę i zachowa się jak włoska pani premier i warknie na Trumpa? – zastanawia się jeden z ministrów.

Tymczasem w cieniu geopolityki, stołecznej polityki i personalnych rozgrywek liderów toczy się codzienne życie. A w nim mieszkańcy i przedsiębiorcy z Dolnego Śląska i Wielkopolski – bo te dwa regiony są brane pod uwagę jako lokalizacja stałej bazy – wyczekują konkretów. Wiedzą, że miasteczko dla amerykańskich żołnierzy będzie pod wieloma względami samowystarczalne, ale ktoś to będzie musiał zbudować. A nawet jeśli zbudują je sami Amerykanie, to chociaż dostarczyć materiały. No i przecież ci chłopcy, ich żony i dzieci będą chcieli czasem się rozerwać, coś zjeść poza stołówką, gdzieś się wybrać w weekend.

A że przy okazji odstraszą Putina, tym lepiej. ●

To nie będzie jawne Gilead

Po przyszłorocznych wyborach kobiety w służbach mundurowych będą musiały zrobić miejsce dla kolegów prezydenta?

Agnieszka Kublik

O tym nagraniu Sławomira Mentzena słyszał chyba każdy. Raptem 13 sekund, a nie ma dnia, by ktoś tego nie wałkował. Lider Konfederacji i niedoszły prezydent Polski retorycznie pyta Polaków, „a wy czujecie się bezpieczniej?". Bo on sam się nie czuje, bowiem wśród nowych 150 policjantów dolnośląskiej policji jest 65 kobiet.
Mentzen z nich drwi: „Zorganizowana przestępczość po czymś takim się nie podniesie".

W kolejnym filmiku atakuje: „pani policjantka siedzi w biurze godzinę krócej niż jej kolega, zarabia tyle samo, co jej kolega, który siedzi obok i musi to wszystko robić. Jeszcze robi to lepiej, bo jest dwa razy większy".

Trochę to wszystko niespójne, ale czego oczekiwać po Mentzenie?

Mniejsza o niespójność. Zastanawiam się, czego od policjantek oczekiwałby Mentzen, gdyby został na ulicy okradziony czy pobity. Ich pomocy czy dyskutowałby o ich mięśniach? A może zażądałby męskiego zespołu? A może tak drżałby ze strachu, że płeć policji by go nie obchodziła?

Ale pewnie dopóki Mentzen nie przeżyje na własnej skórze takiej napaści (czego mu, rzecz jasna, nie życzę) będzie prowadził krucjatę przeciwko kobietom – teraz w policyjnym mundurze, potem w każdym.

Jeśli nacjonaliści – obie Konfederacje pod patronatem Nawrockiego – przejmą władzę po przyszłorocznych wyborach, kobiety pewnie będą musiały zdejmować mundury.

Kto je zastąpi? Tropy prowadzą do Nawrockiego. Otóż prezydent RP ma słabość do mordobicia – kibolskich ustawek, w których sam brał udział, co pod presją mediów w końcu przyznał w kampanii wyborczej. Bił się z przestępcami, ale upierał się, że to była „sportowa, szlachetna walka".

3 października pojawił się na gali boksu w Koszalinie i nawet wręczył medal koledze. Galę zorganizował Krystian Każyszka. Kolega Nawrockiego z ringu, ale nie tylko, wspierał go w kampanii wyborczej, a potem bywał w Pałacu Prezydenckim.

Trochę dziwi, że ta prezydencka wizyta, spotkanie z tym „szlachetnym sportem" umknęło prezydenckiemu kronikarzowi, bo w oficjalnej relacji z tej wizyty na gali ani słowa. Podobnie było, gdy Nawrocki bawił się na kwietniowej gali boksu w Kościerzynie – pałacowy kronikarz ją przemilczał.

Tu i tu Nawrocki był niczym słup reklamowy – czapeczka i bluza z napisem „Nowrocky". To logo było wszechobecne: telebimy, torebki z prezentami rozdawane przez hostessy, nawet mata na ringu!

Domena internetowa „Nowrocky" została zarejestrowana 3 grudnia 2024, czyli po zgłoszeniu kandydatury Nawrockiego, a 5 listopada 2025 Nina Nawrocka, siostra, zgłosiła do Urzędu Patentowego prawo do znaku handlowego „Nowrocky". To działalność z rozmachem – odzież, obuwie, dekoracje świąteczne, sprzęt i akcesoria sportowe, a do tego batoniki, dania gotowe, ciasteczka cebulowe, lody, piwo i piwo bezalkoholowe, napoje orzeźwiające.

Proponuję napoje otrzeźwiające. Ale nie obejmuje ich patent, prezydenckiego otrzeźwienia nie będzie.

Bez trudu to sobie wyobrażam: po przyszłorocznych wyborach kobiety są wyrzucane ze służb mundurowych. Nie wprost, to nie będzie przecież jawne Gilead. Raczej wypychane, zniechęcane, zachęcane do wystąpienia ze służby. Zastępują je koledzy prezydenta, ci zaawansowani w mordobiciu, patrioci z przeszłością – albo i teraźniejszością? – przestępczą, rozmodleni pielgrzymi na Jasną Górę. A siostra prezydenta ich odziewa od stóp do głów w logo „Nowrocky". Kto się wtedy poczuje bezpiecznie?

Że żartuję? Mam nadzieje, że mało komu przyjdzie do głowy, by to sprawdzić. Mało komu, czyli mniej niż 30 procentom głosujących. ●

eprasa.pl ed2416b7a2

COŚ PĘKŁO

Nasze emocje z tamtych dni, kiedy było nas milion w Warszawie, przeszły jak pochód pierwszomajowy

Artur Nowak

Jesteśmy zmęczeni. Można pewnie szukać innych słów na opisanie naszej dzisiejszej relacji z polityką, ale jedno jest pewne: tu zaszła zmiana. To nie jest chwilowy kryzys ani przejściowe rozczarowanie. Nastąpiła jakaś nieodwracalna erozja.

To trochę jak w małżeństwie, które przeszło od miłości przez awantury do najgorszej fazy – obojętności. Jeszcze przez jakiś czas człowiek się złości, werbalizuje urazę, czeka na zmianę, ma siłę trzaskać drzwiami. Aż w końcu coś zdycha i już nawet nie chce się kłócić.

Mam wrażenie, że właśnie tutaj jesteśmy.

Polityczna bieżączka już nie niesie. Zamula. Czasem oczywiście coś nas jeszcze poruszy: pani poseł zaszczeka, „poważny" polityk zwinie wieniec. Albo na przykład Mentzen obrazi policjantki i poczuje się większy, jakby wszedł na taboret. Ale coraz częściej są to ciekawostki kolekcjonerskie. Oglądamy, wzruszamy ramionami i idziemy dalej. Permanentnej kłótni w Sejmie nie da się już oglądać.

Ktoś oczywiście powie, że ta obojętność się zemści. Bo jeśli odpuścimy, skorzystają na tym „tamci". Słychać napomnienie, że wybory są obywatelskim obowiązkiem. Tylko czy ten szantaż emocjonalny jeszcze działa?

Mamy chyba prawo zapytać: co dostajemy w zamian? Po jaką cholerę mamy się angażować?

Jeszcze kilka lat temu w moim otoczeniu polityka była stale na tapecie. Dziś, kiedy ktoś po raz kolejny zaczyna wałkować Ziobrę, imigrantów, Trybunał, prokuraturę czy kolejną sejmową awanturę, coraz częściej słyszę zdanie, którego dawniej w naszej bańce niemal nie było: – Ja już na żadne wybory nie idę.

Coś pękło.

Większość ludzi z mojego towarzystwa maszerowała w pamiętnym Marszu Miliona Serc. Sam dziś nie wiem, ilu szło wtedy za zmianą, a ilu po prostu przeciwko PiS-owi. Pamiętam za to emocje.

Było w tym coś ze starych czasów, trochę z podwórkowego aktywizmu, trochę z dawnej konspiracyjnej wspólnoty. Ktoś domowym sumptem przygotował transparent, ktoś skombinował spray. Na jednym napisaliśmy: „Jarek, spuść jad", na drugim: „Tusk. Santo subito".

Było jasne, że będą tam sami swoi, choć przecież większości ludzi się nie znało. Wbijaliśmy się do metra, pociągów, autokarów. Pospolite ruszenie: na miejscu spotykaliśmy znajomych ze studiów, aplikacji, górskich wypadów, punkowych koncertów, ludzi niewidzianych od lat.

Szli aktorzy, dziennikarze, muzycy, pisarze, prawnicy. Ci, których znaliśmy z ekranów, nagle szli obok nas i okazywali się zupełnie zwyczajni.

Trzeba było zrobić coś więcej, niż trzaskać w klawiaturę, lajkować, udostępniać i drwić. Nadszedł moment, żeby wyjść z domu. Zebrać się razem. Śpiewać, krzyczeć, zobaczyć siebie nawzajem.

I co zostało z tamtej energii trzy lata później?

Ci sami ludzie wrócili do swoich firm, gabinetów, kancelarii, rodzin. Opowiadają o podatkach, składkach, kontrolach, kolejkach do lekarzy i sprawach sądowych, które ciągną się latami. Nie chodzi już nawet o wielką politykę. Chodzi o codzienne doświadczenie państwa.

Kiedyś wszystko można było zrzucić na PiS i Kaczyńskiego

Jeżeli nie masz kogoś znajomego w szpitalu, możesz mieć poczucie, że wszystko jest ci zagwarantowane tylko na papierze. Jeżeli przedsiębiorca wystąpi o coś, co zgodnie z prawem mu się należy, często najpierw się zastanawia, czy nie sprowadzi sobie na głowę kontroli.

Ostatnio stary taksówkarz odwoził mnie na dworzec. I znów usłyszałem ten refren:

– Ja na żadne wybory już nie idę. Tu – pokazał miejsce parkingowe przed dworcowym wejściem – odwiozłem klienta. Śpieszył się, pomogłem mu z walizką. Nigdzie nie pojechał. Tajniak – zrobił mi sprawę, bo nie dostał paragonu.

Jest wiele prawdy w tym, że Ziobro, kiepski prawnik bez przyszłości w wolnych zawodach, położył z Dudą sądy. Wstrzymano nominacje sędziowskie, sprawy zakorkowały sądy, a Krajową Radę Sądowniczą obsiadła pisowska klika.

No i przyszli wreszcie nasi. I co? Dokładnie widzimy, że zaległość rośnie.

Klient się piekli, że na apelację czeka za długo. Proszę sekretarkę, żeby sprawdziła, co się dzieje w tych Katowicach. Po godzinie siedzenia na telefonie przekazuje mi wiadomość:

– Pani w sądzie mi powiedziała, że jest to świeża sprawa, bo z 2025 roku, a na terminy się czeka trzy–cztery lata.

Co z tego, że masz prawo do ochrony przed pomówieniem, skoro sprawa wlecze się latami i, zanim sąd osądzi oszczercę, stracisz zdrowie, a oszczerstwo dalej się niesie? Powiem więcej: oszczerstwo się opłaca.

Co z tego, że masz prawo zakończyć swój związek, skoro na rozwód poczekasz sobie tak długo, że zdążysz zapomnieć, co właściwie w twoim małżeństwie poszło nie tak? Jak ci przyjdzie do głowy wnieść apelację, jest spora szansa, że na rozprawie apelacyjnej nie poznasz kobiety, która ciągle jest twoją żoną, choć nie jesteście razem od pięciu lat.

Kiedyś wszystko można było zrzucić na PiS i Kaczyńskiego – jak wcześniej na „winę Tuska". I to było wygodne, bo dawało jakieś uzasadnienie dla tego kartonowego państwa, które ciągle czegoś od nas chce, ale nie potrafi nic dać.

Ludzie nie tylko byli źli, ale też czuli wstyd. Mieli poczucie, że coś zostało zmarnowane; że kraj, który miał potencjał i cieszył się szacunkiem, stacza się coraz niżej. Dzisiaj to wyjaśnienie straciło aktualność.

Wstajesz rano, odpalasz internet

Piszę ten tekst niemal trzy lata po wyborach. I żeby była jasność: to nie jest tak, że ludzie mają nagle dość Tuska czy Platformy. Oni mają dość polityki. Całej: nawalanek w Sejmie, publicystyki, ogranych twarzy i tekstów, które może i mają jakąś wartość, ale stały się frazesami. Czasem można odnieść wrażenie, że życie polityczne w Polsce można zredukować do jednej wielkiej awantury.

Nie twierdzę, że mamy pasmo porażek, że nie odnosimy sukcesów gospodarczych. Problem polega na tym, że ludzie, zwykli ludzie, tego nie czują. Więc albo nie jest tak dobrze, albo rządzący nie potrafią o tym z przekonaniem mówić.

Jesteśmy jak dzieci: znużone i zawstydzone awanturami rodziców, z których nic nie wynika. Niby kłócą się o nas, ale tak naprawdę nie o nasze dobro. Kłócą się o nasze głosy. Kłócą się, żeby udowodnić sobie nawzajem, że nie są aż tak beznadziejni jak przeciwnicy, że tamci są gorsi.

Chciałoby się wyjść z tej beznadziejnej polityki, ale nie ma jak. Słabo to naprawdę wygląda.

Wstajesz rano, odpalasz internet. Słyszysz, że Ziobro wziął kasę od Krala, jakiś poseł PO został zatrzymany przez CBA za korupcję, że Sakiewicz to lobbysta, który lata do Monako,

1 RP

eprasa.pl ed2416b7a2

◀ **Premier Tusk w Kancelarii Rady Ministrów na spotkaniu z okazji 2. rocznicy wprowadzenie tzw. „babciowego". Skorzystało z niego prawie 680 tys. dzieci, a łączna kwota wsparcia to 11 mld zł. (2.10. 2026)**

FOT. ROBERT KOWALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

a Żurek czai się miesiącami na Trybunał Konstytucyjny i piąty dzień robi podjazd, żeby odbić Akademię Wymiaru Sprawiedliwości.

To PiS zrobił wałek z sądami i dopuścił się bezprawia, ale jak to prawo przywrócić – nikt nie ma pomysłu. Kral siedzi sobie gdzieś na końcu świata zadowolony, że napuścił jednych na drugich, Świeczkowski liczy na beatyfikację za życia otoczony kordonem obrońców z różańcami, a Romanowskiemu sąd właśnie udzielił dobrodziejstwa związanego z „listem żelaznym". Minister mówi, że sędzia, który za tym stoi, to „neon", no ale co z tego dla zwykłego obywatela wynika?

Siadasz rozjechany tymi informacjami i powoli masz dość.

Jakiś mądrala pisze, że trzeba było siłą odbić Trybunał, KRS i rozjechać całe to pisowskie tałatajstwo tak, jak Sienkiewicz zrobił z telewizją.

Sienkiewicz, on jeden, miał jaja. I gdyby zrobić to od razu, byłoby po sprawie.

Myślisz sobie: może on rzeczywiście ma rację. Jak tamci robili rozpierduchę w sądach, to wszyscy nazywali to bezprawiem. Przyszli nasi, a my już trzy lata płacimy za to bezprawie, bo ten „neon" dostaje pensję, na posiedzenia wychodzi z sekretarką, a prokurator, jak się do niego zwraca, to wstaje i mówi: „Proszę sądu".

Inny gdyba inaczej: że trzeba demokratycznie poczekać do końca kadencji pisowskich sędziów, że może wcześniej jacyś zmiękną. A jak nie zmiękną? To trzeba czekać – odpowiada. Bo demokracja, bo prawo i tak dalej. No to czekamy, co się wydarzy. Czekamy trzy lata.

Pamiętamy „100 konkretów na pierwsze 100 dni"

Przeczytałem ostatnio tekst Dominiki Wantuch o sprawach, które obiecywano kobietom. I pomyślałem o tym, jak łatwo w polityce człowiek staje się figurą.

Donald Tusk mówił niedawno o polityce jak o partii szachów, w której on przychodzi grać, a przeciwnik zjawia się z bejsbolem. W szachistę akurat wierzę. Tusk potrafi czytać ruchy przeciwnika, przewidywać kilka posunięć naprzód i, kiedy uznaje to za potrzebne, poświęcać figury.

Tylko że sprawy, o których mówimy, nie są figurami. To ludzie, którym coś obiecano.

Pamiętamy „100 konkretów na pierwsze 100 dni". Pamiętamy obietnice dotyczące praw kobiet, praworządności, związków partnerskich, świeckiego państwa i wielu innych spraw. Nie każdą obietnicę da się oczywiście spełnić. Ale jeśli program wyborczy po zwycięstwie staje się katalogiem rzeczy, których akurat nie wypada robić, pojawia się pytanie, po co w ogóle był potrzebny.

Nie umawialiśmy się na partię szachów ani ustawkę z pałkami.

Środowiska wyborców obecnie rządzącej koalicji jeszcze kilka lat temu gromadziły ludzi w oddolnych inicjatywach. To oni przynieśli późniejsze zwycięstwo. Ci ludzie, mając własną pracę i obowiązki rodzinne, organizowali protesty, pikiety, pomoc prawną i cały szereg inicjatyw: Wolne Sądy, Komitet Obrony Demokracji, Strajk Kobiet.

To zbudowało coś więcej niż tylko protest przeciwko PiS-owi. Wydobyło z ludzi bezinteresowność, przyjaźń, życzliwość i solidarność. Aktywiści pamiętają, że byli sobie potrzebni. Zobaczyli, że mogą na siebie liczyć i że są sprawczy.

Działali bez rozbudowanej struktury przywódczej, bez przepychania się łokciami o pierwszeństwo. Nie walczyli o miejsca na listach. Nie musieli mieć przewodniczącego i gabinetu. Skupiali się na tym, żeby komuś pomóc, coś naprawić, uczynić życie odrobinę lepszym. Zbudowali relacje.

To znane nam dziedzictwo, które napisało najważniejsze karty historii. Marek Beylin pisał niedawno w „Wyborczej" o KOR-ze i wspólnocie ludzi, których łączyła obrona prześladowanych, pluralizm opinii, wolność słowa i niezgoda na przemoc państwa.

Ludzie, którzy angażowali się w pomoc prześladowanym, nie nazywali tego, co robili, ani swoich pragnień programem politycznym. Pamiętam z czasów PRL-u, że sprzeciwiali się temu, żeby kogoś wykluczać, poniżać, pozbawiać głosu. Często chodziło o konkretnego człowieka. Kogoś wyrzucono z pracy. Kogoś aresztowano. Czyjaś rodzina została bez pieniędzy.

Tak, w cieniu wielkich spraw rodził się aktywizm, głębokie przywiązanie, może nawet miłość. Miarą tych więzi było to, co ludzie byli gotowi dla siebie zrobić: zbiórki pieniężne dla rodzin zatrzymanych, obecność na rozprawach sądowych. Ktoś, kogo doświadczała komuna, nie był sam.

Czytałem wspomnienia robotnika Ursusa, który zapamiętał, że dzięki Gai Kuroń już po kilku minutach w mieszkaniu Kuroniów poczuł się jak u siebie. Jan Lityński pisał z kolei, że powrót Jana Józefa Lipskiego z Londynu, zakończony ponownym aresztowaniem, był dla niego pomocą w więziennym życiu. Sama świadomość, że przyjaciel zdecydował się dzielić jego los, dodawała mu sił.

Ale to świat działaczy, pasjonatów, ryzykantów. Niosło ich coś więcej niż etat zawodowego polityka.

Ekskluzywny klub polityków

Aż się łza w oku kręci, jak patrzymy, jak wiele przeszliśmy. Były trudne decyzje: Tadeusz Mazowiecki, pierwszy premier w wolnej Polsce, nie bał się reform Balcerowicza. Nie ma innej drogi – tłumaczył z charakterystyczną dla siebie flegmą. Jacek Kuroń wychodził ze swoim termosem do ludzi i był z tamtą władzą jakiś kontakt. Można było z jej komunikatami i planami się nie zgadzać, ale powoli szły do przodu jakieś reformy.

Trudno się dziwić, że ludzie odchodzą od polityki, skoro przestają widzieć związek między własnym zaangażowaniem a poprawą życia. Nie czują, że ich reprezentanci są w kontakcie z wyborcami. Jak mają się czuć ludzie, którzy głosują, przekonują znajomych, wychodzą na demonstracje, a potem jakby coś się zapętla po drodze i słyszą, że trzeba jeszcze poczekać, że koalicja nie jest monolitem, że są ważniejsze sprawy, że na razie się nie da?

Nie da się w nieskończoność prosić ludzi o zaangażowanie, nie dając im w zamian poczucia, że to zaangażowanie ma jakiś wpływ na ich życie. Premię za zwycięstwo dostaje polityk. Wyborca nie zadowoli się na długo samą satysfakcją.

Peter Mair, irlandzki politolog, opisywał proces wzajemnego oddalania się obywateli i politycznych elit. Ludzie wycofują się do własnych spraw, a politycy przenoszą się z normalnego życia do świata instytucji, partyjnych dworów, stanowisk i zawodowych karier.

To trochę jak ze zjawiskiem klerykalizmu w Kościele i kastą kapłańską oderwaną od ludzi. Nagle rodzi się ekskluzywny klub wybrańców reprezentujących jakieś idee, który zaczyna mieć poczucie, że jest bliżej sacrum. Elita skupia się na celebrze władzy, coraz bardziej oderwanej od codzienności.

Dla polityków utrzymanie się w tym klubie staje się celem samym w sobie. Tworzy się struktura, kręgi władzy wewnątrz partii. Od pozycji w tym partyjnym kościele zależą prestiż, wpływy, a przede wszystkim zawodowa przyszłość, o której decyduje partyjna hierarchia. I w końcu pojawia się jeden podstawowy cel: byle przetrwać do następnych wyborów.

Powstają dwie rzeczywistości.

W pierwszej ludzie chcą dostępnego lekarza, sprawnego sądu, mieszkania, dobrej szkoły, przewidywalnych podatków, bezpieczeństwa i spełnienia choć części obietnic, za którymi głosowali.

W drugiej sprawdza się sondaże, układa listy, kalkuluje, co można powiedzieć, czego lepiej jeszcze nie ruszać i kto z kim powinien się pokazać, żeby nie stracić dwóch punktów procentowych.

Tusk z Kaczyńskim jak Kargul z Pawlakiem

Kiedyś było coś jeszcze. Żeby zaistnieć, trzeba było mieć jakiś dorobek, autorytet, doświadczenie społecznika. Taki Kuroń, Mazowiecki, Skubiszewski czy Kwaśniewski nie wdawali się w głupie pyskówki, nie straszyli przeciwników politycznych jak dzieci w piaskownicy. Mieli jakieś cele, podejmowali wielkie wyzwania i próbowali je realizować.

Dziś wystarczy wyjść, odpalić gaśnicę i zgasić chanukowe świece albo wejść na mównicę jak Janusz Kowalski, żeby zaistnieć w wiadomościach. I wcale nie pociesza mnie to, że podobnie dzieje się w Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Francji, Hiszpanii czy Niemczech. Naprawdę nie jest mi z tym lepiej.

Partiami kieruje kilku liderów, którzy napędzają całą dyskusję. Raz idą na ostro, a potem się chowają i przeczekują, jakby się bali realizować swoje zapowiedzi.

Reszta to polityczny plankton – posłuszny, ostrożny, pilnujący, żeby nie wypaść z obiegu i przy kolejnych wyborach znów znaleźć się na liście. Jan Maria Rokita mówił w jednym z wywiadów: „Posłowie, o senatorach już nie mówiąc, to są automaty do naciskania czerwonego i zielonego przycisku. Nic więcej".

Od lat widzimy w Sejmie te same twarze. Ludziom po prostu nie chce się już iść do polityki, bo przy tym stoliku od lat siedzą ci sami ludzie. Niby toczą ze sobą bezwzględne wojny, ale na swój sposób się szanują.

Tusk i Kaczyński powiedzieli już o sobie wszystko, co najgorsze. A jednak na swój sposób o siebie dbają.

To trochę jak u Kargula i Pawlaka, którzy, szukając swojego miejsca na Ziemiach Odzyskanych, chcieli koniecznie pozostać blisko siebie. Bo cóż warta jest nowa kadencja i władza, jeśli nie ma starej opozycji? Starzy, dobrzy przeciwnicy są sobie potrzebni. Kiedyś przyjaciele, dziś ludzie, którzy od tak dawna budują swoją tożsamość na wzajemnej niechęci, że przy jakimś nowym rozdaniu, z nowymi twarzami, mogliby się pogubić.

Nasze emocje z tamtych dni, kiedy było nas milion w Warszawie, przeszły jak pochód pierwszomajowy.

Jest jednak z tego jakaś korzyść. O tym, że polityka jest beznadziejna, mówią nie tylko swoi. Mówią też tamci. Wreszcie się zgadzamy.

Od dekad Polacy przypominali skłóconą rodzinę. Nikt już dokładnie nie pamięta, od czego się zaczęło, ale w pewnym momencie poszło na noże. Robiliśmy dobre miny, spotykając się na ślubach i pogrzebach, pozując do wspólnych zdjęć. Z czasem ta zajadłość stała się silniejsza niż pokrewieństwo.

W szczytowym momencie było w Polsce jak u Orwella. Walka i lojalność wobec własnej bańki były tak silne, że przeżywaliśmy świat jako serię zwycięstw i upokorzeń własnej strony.

Skoro jesteśmy tym zmęczeni, może da się jeszcze coś z nami zrobić. Jadąc jedni na drugich w mediach, w Sejmie, przy okazji spotkań rodzinnych, daleko nie ujedziemy. Para idzie w gwizdek. Odjeżdżają nam pociągi do lepszego życia. Dziś największą partią w Polsce jest partia ludzi niezadowolonych z tego, jak wygląda nad Wisłą polityka.

W „Odysei" Nolana pada ważne zdanie: „Ta wojna nie miała sensu". Odyseusz wraca z wojny, ale on i jego bliscy obciążeni są jej skutkami. Krytycy zwracali uwagę, że inaczej niż w dziele Homera film przesuwa akcent z triumfu na moralne konsekwencje wojny, winę i cenę zwycięstwa.

Jaki właściwie mamy pożytek z niekończącej się kłótni? Marna to radość, że wygrali nasi, a przegrali oni, skoro następnego dnia budzimy się w tym samym państwie, z kolejkami do lekarzy, niesprawnymi sądami, drogimi mieszkaniami i poczuciem, że władza – każda, bo też nasi – gra przede wszystkim o własne przetrwanie.

Poziom politycznej debaty szura już po dnie. Zamiast sporu o państwo coraz częściej dostajemy opowieść o zdrajcach, agentach, pasożytach, obcych wpływach i ludziach, których właściwie należałoby wykluczyć ze wspólnoty.

Jeżeli nie potraficie już ze sobą rozmawiać – odejdźcie. Polityk, który z góry zakłada, że z przeciwnikiem nie da się dojść do żadnego porozumienia, nie ma jednej z podstawowych kompetencji potrzebnych do uprawiania polityki. Tracimy na tym wszyscy. Tracimy przede wszystkim czas.

Pamiętam, jak bardzo niektórych bolało, że opozycja usiadła do rozmów z komunistami. Przez lata słyszeliśmy, że nomenklatura wszędzie rozstawiła swoich ludzi, że esbecy szantażowali opozycjonistów teczkami, że porozumienie było zdradą. To utwardziło przekonanie, że prawdziwa polityka polega na nieustannej walce, a rozmowa z przeciwnikiem jest oznaką słabości albo kapitulacji.

Tymczasem polityka zaczyna się właśnie tam, gdzie kończy się możliwość narzucenia innym własnej woli. Żeby rozmawiać wyłącznie z tymi, którzy myślą tak samo jak my, nie potrzebujemy szczególnych umiejętności. Prawdziwy test przychodzi wtedy, kiedy trzeba usiąść naprzeciwko człowieka, z którym dzieli nas niemal wszystko, i znaleźć choć jedną sprawę, którą można wspólnie załatwić.

Nie trzeba się lubić, zapominać krzywd i rezygnować z własnych przekonań. W Polsce jednak polityka od lat jest już tylko walką. Padło za dużo słów. Sprawy, z którymi można by ruszyć do przodu, stoją.

Politycy – z każdej strony – ponoszą odpowiedzialność za coś jeszcze. Bo to, w jaki sposób traktują przeciwników, ma konsekwencje. Agresywny język, szyderstwo i wyzwiska przeniknęły z mównic sejmowych i telewizyjnych studiów do codziennych rozmów. Puściły nam hamulce.

Przywódca, który poniża przeciwnika, daje swoim zwolennikom przyzwolenie na podobne zachowanie. Jeżeli kompromis nazywamy zdradą, każde porozumienie można później przedstawić jako zdradę. ●

> Jeżeli nie potraficie już ze sobą rozmawiać – odejdźcie

eprasa.pl ed2416b7a2

JAKBYM TO JA TAM LEŻAŁ

„Lubisz jeździć na rowerze? No to na ścigaczu też byś polubił". „Kierowcy powinni być nam wdzięczni". **Pytam motocyklistów, po co im ta prędkość, slalom na autostradzie i podkręcone wydechy**

FOT. N_DEFENDER/SHUTTERSTOCK

Dawid Krawczyk

Lanim ich widać, to już ich słychać. Droga S8 na Zachód od Warszawy. Słyszę ryk silników, wyjątkowo natrętny, szarpiący nerwy. Odruchowo szukam źródła na niebie. Helikopter? Odrzutowiec? Po chwili widzę w lusterkach, że zbliża się do mnie coś kolorowego. Bardzo kolorowego, jakby doganiały mnie papuzio-fluorescencyjne wczesne lata 90. Zbliża się błyskawicznie. Jadę około 120 na godzinę – nie tylko dlatego, że to odcinek z odcinkowym pomiarem prędkości – więc musi pędzić co najmniej 200.

Mijają mnie – czy raczej przelatują, bo rejestruję tylko rozmazaną smugę – trzy ścigacze. Jeden za drugim, tak blisko samochodu, że mam wrażenie, jakbym poczuł podmuch wiatru na drzwiach samochodu. Dobrze, że z zaskoczenia nie drgnęła mi ręka na kierownicy – bo akurat jechałem lewym pasem, wyprzedzając sznur tirów – a oni śmignęli po mojej lewej, praktycznie po białej linii oddzielającej jezdnię od pobocza. Centymetr, dwa i byłoby kilka ofiar śmiertelnych.

Zlany zimnym potem obserwuję, jak błyskawicznie znikają, w pędzie wymijając slalomem auta, przeciskając się przez szczeliny między osobówkami i ciężarówkami. Z jednej strony rzucam przekleństwa, z drugiej, nie mogę nie podziwiać sprawności, z jaką zrobili ten slalom. Wyglądali, jakby wiedzieli, co robią.

Rzecz w tym, że przy takich prędkościach nie mieli praktycznie żadnego marginesu błędu. Ani szansy na przeżycie – już przy 100 na godzinę z motocyklisty może zostać mielonka, a co dopiero przy ich prędkości.

Nie każdy motocyklista spędza w ten sposób popołudnie i nie każdy jeździ na krawędzi – ryzyka, drogi szybkiego ruchu i zdrowego rozsądku – albo poza nią. Ale każdy, kto wsiada na motocykl, musi pogodzić się z jedną trudną prawdą: w chwili zderzenia ma na sobie, i to w najlepszym razie, kombinezon z grubej bydlęcej skóry. A zwykle kevlarową kurtkę z ochraniaczami, wzmacniane spodnie i kask. Niby odporne na tarcie i łagodzące siłę uderzenia – ale wewnętrznych miękkich organów ani delikatnych stawów nie chroni karoseria, poduszka powietrzna, ani żadna kontrolowana strefa zgniotu.

•

Sierpień 2019 roku. Skrzyżowanie przy szpitalu MSWiA na Wołoskiej w Warszawie. Paweł urodził się w nim 46 lat wcześniej. Teraz jedzie na dużym turystycznym motocyklu BMW – zrobił na nim już 70 tysięcy kilometrów. Pracuje głównie jako operator filmowy. Za parę dni ma ruszyć w kolejną podróż: nad polskie morze, na Jarmark św. Dominika, gdzie sprzedawać ma bransoletki, które sam plecie. Nie pojedzie.

Dojeżdża do kolejki samochodów stojących na skrzyżowaniu. Światła się zmieniają. Zielone. Powoli rusza między autami. Uderza. Traci przytomność. Wszystko gaśnie.

Świadomość wraca dopiero kiedy leży na szpitalnym łóżku. – Pierwsza myśl, jaką pamiętam, była taka, że przecież całe życie uprawiałem jakiś sport, a teraz leżę na plecach i nie wiem nawet, czy będę chodził. Z roztrzaskaną nogą nie mogłem się nawet przekręcić na bok. I później jeszcze gorsza myśl. Co ja teraz będę robił? Z czego będę żył? – mówi Paweł.

Sprawność wróci dopiero po latach i nigdy w całości.

Kiedy odwiedzam go w jego mieszkaniu we wrześniu 2026 roku pierwsze, co mi pokazuje to kask pomalowany w amerykańską flagę. Miał go na głowie feralnego dnia pod szpitalem. – Nigdy go już nie założę i nikomu nie dam założyć. Niech sobie tu stoi i przypomina, że wszystko się może skończyć. Zupełnie bez zapowiedzi – mówi Paweł.

Idzie do kuchni zrobić herbatę. Przynosi dwa kubki. Kiedy z nimi wraca, nie kuśtyka, nie wspiera się niczym – mimo że w jednej z nóg brakuje kolana. Mięsień czworogłowy uda w przypadku Pawła powinien być przemianowany na trójgłowy, bo jednej z części lekarze nie zdołali zrekonstruować mimo serii operacji.

Kiedy po kilku miesiącach rekonwalescencji przyjechał do swojego mieszkania pierwszy raz, był pewny, że skoro chodzi o dwóch kulach, to sobie poradzi. Zalał torebkę z herbatą gorącą wodą i dopiero wtedy zorientował się, że przerasta go nawet to. Obydwie ręce zajęte kulami, więc potrzebowałby trzeciej, żeby zabrać kubek. – Człowiek takich rzeczy nie przewiduje. Miałem uszkodzone oba nadgarstki, więc nawet na tych kulach nie mogłem się wesprzeć całym ciężarem. Osoby, które od lat są niepełnosprawne, pewnie by się z tego zaśmiały, ale dla mnie wtedy wszystko było wyzwaniem, włącznie z takimi prostymi rzeczami, jak wejście do autobusu – wspomina.

Dwa miesiące po wyjściu ze szpitala zaczął poruszać się na wózku. – Zmienia się perspektywa, z metra dziewięćdziesiąt na metr. Dociera, że nie jesteś w stanie sam zrobić kompletnie nic. Wtedy, tak naprawdę pierwszy raz w życiu, nauczyłem się przyjmować pomoc. Znam masę ludzi, którzy się tego do dzisiaj wstydzą, zwłaszcza facetów. Wszyscy myślą, że ktoś im to potem wypomni i przez to wolą się męczyć.

Co dokładnie wydarzyło się na Wołoskiej? Paweł nie pamięta. Zna to tylko z opowieści.

Zapaliło się zielone, Paweł ruszył z drugiego rzędu i wyprzedził samochody zbierające się do startu. Kilkanaście metrów dalej na skrzyżowanie wjechał samochód dostawczy. Paweł jechał prosto na niego, ze stosunkowo niewielką prędkością, bo kilka sekund po ruszeniu ze świateł nie da się jechać szybko. Do dzisiaj nie wie, dlaczego hamulec wcisnął dopiero pół metra przed paką dostawczaka. – Nie wiem, co się stało. Jeżdżę od '91 roku, patrzyłem się na wprost, samochód stał jak ściana. Pomroczność jasna? Zamknąłem oczy na piętnaście sekund? Nie wiem i chyba nigdy się nie dowiem.

Istnieje nagranie z wypadku, pochodzi z kamery jednego z kierowców, który był wtedy na skrzyżowaniu. Ale Paweł nie chce go oglądać. – Po co? Żeby mi się coś odblokowało, żebym miał z tego potem koszmary?

Głowa wykasowała mu zresztą więcej niż sam wypadek. Nie pamięta, co robił tydzień wcześniej. Nie pamięta, dlaczego kiedyś sprzedał poprzedni motocykl. Zdarza się, że nie rozpoznaje osób, z którymi spędził kilka lat życia. – Dwa razy miałem taką sytuację. Nie miałem zielonego pojęcia, kim jest człowiek, z którym podobno pracowałem dziesięć lat. I nie rozpoznaję kolegi, z którym przez pięć lat siedziałem w jednej klasie w technikum.

Dlaczego rozmawiam akurat z Pawłem, skoro nie gnał autostradą „na żyletki" między tirami, nawet nie jarają go wysokoobrotowe dzikie ścigacze, porusza się statecznym „turystykiem"?

Bo Paweł to weteran dwóch kółek i zjadł zęby na wielu gatunkach maszyn. Jego historia pozwala lepiej zrozumieć i ryzyko, na jakie „kamikadze" narażają siebie oraz innych, i to, co ich do tego skłania.

•

Fascynacja motocyklami zakiełkowała u niego jeszcze w latach 80., w wózkowni na Bemowie. Chodził do szóstej klasy podstawówki. Pamięta, jak koledzy z sąsiedniego bloku składali Junaka. Dziś kultowego, wtedy – choć już powoli zyskiwał status „polskiego Harleya" – przez laików traktowanego jak Syrenka czy Warszawa – gomułkowska namiastka pojazdu z lat 50. i 60., dogorywający w krzakach, na podwórkach, ale jak się nie ma, co się lubi… – Tak się na tym znali, że przykręcili przód motocykla

Komisarz Bojarski: Motocykl w chwili upadku leci już bez człowieka. I ta pędząca kula armatnia robi spustoszenie tam, gdzie trafi

1 RP

eprasa.pl ed2416b7a2

odwrotnie. Ale wtedy już wiedziałem, że chcę mieć swój – opowiada.

Sklepów motocyklowych praktycznie nie było. Komisów też prawie nie. – Na tym polegała część zabawy, że jak już ktoś miał ten motor, to wszyscy wiedzieli, że musiał się o niego naprawdę postarać. Masz coś, czego inni nie mają i czego mieć nie mogą – mówi Paweł.

Swoją pierwszą maszynę sprowadził z Kanady pod koniec technikum, w 1992 roku. Honda Interceptor 1100R, sto trzydzieści koni, silnik w układzie V, sylwetka i osiągi podobne do kultowego Kawasaki Ninja, którym Tom Cruise jeździł w filmie „Top Gun". W Polsce takiego sprzętu nie było za żadne pieniądze. – Jak przyjechał i na niego usiadłem, to sobie pomyślałem, że mi odbiło dość konkretnie – wspomina. Pojemność ponad litr i 130 koni – tyle, co w samochodzie osobowym, i to nie najsłabszym, lecz przy masie 250 kilo i niespełna 4 sekundach do „setki" – to raczej odważny wybór na pierwszą maszynę.

Paweł jeździł nim do dziewczyny do Łomży i nad morze. Samochodem podróż zajmowała wtedy 8 godzin drogi. Interceptorem 3. – Motocykl dawał mi wtedy poczucie niezależności. Nie miałem wcześniej samochodu, więc to był mój pierwszy środek transportu, którym mogłem pojechać, gdzie chciałem. I wrócić tego samego dnia – opowiada. A lubił jeździć na tyle szybko, że podróż w tę i z powrotem po kraju zajmowała kilka godzin. Rekord prędkości: 260 na godzinę na pożyczonym Suzuki GSX-R 750.

– Po co ci to było? – pytam.

– Żeby zobaczyć, jak to jest. Na dobrym motocyklu do 160 nic nie czujesz, jak przy 80 w samochodzie. Kiedy wskazówka dochodzi do 200, wszystko się zmienia. Droga zwęża się w oczach do jednego pasa, a to, co po bokach, robi się rozmazane. Ciarki idą od dołu pleców, wzdłuż kręgosłupa, po sam kark. W głowie nie ma miejsca na żadną inną myśl. Wszystko, co cię gryzło, zostaje gdzieś kilometr z tyłu.

– I to jest przyjemne? – upewniam się.

– Oj bardzo.

Na przestrzeni lat zdarzały mu się tak zwane obcierki, ale nie robiły na nim większego wrażenia. Raz autobus zahamował przed nim bez kierunkowskazu. Innym razem wyjechał mu na drogę samochód, a kolega, który prowadził grupę, nie zdążył zahamować. Paweł przeleciał wtedy nad maską. – Wiem, co to znaczy, że życie przelatuje ci przed oczami, bo faktycznie masz wtedy czas pomyśleć. Chociaż szczerze mówiąc, to nie myślałem o życiu, tylko leciałem z myślą, że zatłukę tego gnoja, który nam wyjechał.

Nikt z jego ekipy motocyklowej nie miał w zwyczaju rozkładać takich sytuacji na czynniki pierwsze. – Zaliczyliśmy glebę, pojechaliśmy dalej, opowiedzieliśmy, ha, ha, ha, i koniec tematu. Dzisiaj to bym pewnie siedział i się zastanawiał, co mogło się stać.

Pierwszy znajomy zginął pod Łomiankami, na wzniesieniu zwanym Kiełbasianą Górką – nazwa pochodzi od stojącej tam wówczas budy z hot-dogami i karkówką. Wpadł między dwie ciężarówki. – Byłem gówniarzem, miałem jakieś dwadzieścia kilka lat i w ogóle tego nie brałem do siebie. Każdy z nas był przecież wtedy nieśmiertelny.

– A kiedy przestałeś tak myśleć?

– Dopiero po tym wypadku na Wołoskiej.

Przestał być nieśmiertelny, ale z motocykla nie zrezygnował. Wrócił, jeszcze zanim zaczął normalnie chodzić. – W ortezie jeździłem. Wiedziałem, że jak będę to odsuwał nawet o miesiąc czy dwa, to już nigdy nie wsiądę. Zacznie się myślenie, że przecież prawie nie przeżyłeś i ledwo chodzisz, więc gdzie ty się pchasz na ten motocykl. Trzeba było to zrobić od razu.

Kupił małego Harleya, czyli coś, co sam nazywa motocyklową emeryturą. Przez rok grzebał przy nim w garażu, naprawiał, przerabiał. Przejechał może tysiąc kilometrów.

– Za każdym razem, jak skręcałem w prawo, miałem gdzieś z tyłu głowy, że nie do końca czuję się bezpiecznie. Po prostu odeszła mi zajawka na motor. Nie mam tak, że mnie ciągnie. Nie ma tego – mówi. Sprzedał Harleya, a po motorach został kask wymalowany w amerykańską flagę.

●

Paweł, weteran motocyklowy po pięćdziesiątce, to dzisiaj stara szkoła. Pamięta czasy deficytu, bez sklepów motocyklowych, a tym bardziej bez Instagrama i TikToka – a to tam dzisiaj można oglądać popisy ryzykantów, które sprawiają, że znacznie więcej dzieciaków stwierdza: „też bym tak chciał". A spróbować jest o wiele łatwiej niż w młodości pokolenia X.

Od czasów, kiedy z kolegami przesiadywał w wózkowni na Bemowie, zmieniło się wszystko. Żeby jednak zrozumieć, z jakim boomem motocyklowym mamy obecnie do czynienia, trzeba cofnąć się jeszcze dalej.

W PRL motocykle były pojazdami używanymi masowo. Dla wielu rodzin motor zastępował samochód, na który nie było wówczas szans, chyba że dysponowało się gotówką, i to w dolarach, albo miało cierpliwość czekać w kilkuletniej kolejce. W 1970 roku w Polsce zarejestrowanych było prawie 1,8 mln motocykli i skuterów, w połowie lat 70. już prawie dwa miliony. Jeździło się nimi głównie na prowincji, nie przypadkiem nazwę „wueski", popularnego motocykla z WSK Świdnik, rozszyfrowywano jako Wiejski Sprzęt Kaskaderski. W latach 80. to tam było ponad trzy czwarte wszystkich motocykli.

Im bliżej końca Polski Ludowej, tym samochody – z państwowych fabryk albo zachodnie na giełdach – stawały się dostępniejsze, aż wyparły jednoślady. Ale nie od razu. Jeszcze w 1990 roku zarejestrowanych motocykli było 1,36 mln. W roku 2005 już tylko 754 tysiące, najmniej w historii statystyk po 1989 roku. Nowych maszyn zarejestrowano wtedy w całym kraju niespełna 4 tysiące.

Ale w drugiej połowie lat 2000. podstawowe potrzeby transportowe już zostały zaspokojone, coraz więcej ludzi zaczęło zbierać owoce bolesnej transformacji ustrojowej i konsumować w zachodnim stylu – a tam już w latach 70. motocykl ze środka lokomocji stał się gadżetem i stylem życia. Statystyki sprzedaży zaczęły powoli rosnąć – a prawdziwy przełom przyszedł w sierpniu 2014 roku. Wówczas weszły w życie przepisy, dzięki którym każdy, kto posiada prawo jazdy na samochód osobowy co najmniej od trzech lat, może bez egzaminu wsiąść na motocykl o pojemności do 125 cm sześciennych. „Stodwudziestkipiątki" są dziś najliczniejszą grupą na drogach, a wśród motocykli nie starszych niż cztery lata stanowią prawie 40 proc.

Sprzedaż jednośladów dzisiaj bije rekordy rok po roku. W 2025 roku zarejestrowano ponad 41 tysięcy nowych motocykli, najwięcej od początku pomiarów. W 2026 roku do końca sierpnia było ich już ponad 47 tysięcy, więcej niż w całym poprzednim roku. A to tylko „nówki" – do tego dochodzą motocykle używane, sprowadzane z zagranicy. W tym roku zarejestrowano ich już prawie 66 tysięcy.

Ile motocykli jeździ dziś po polskich drogach? Przez lata statystyki zawyżały „martwe dusze", czyli pojazdy, które dawno trafiły na złom, ale nikt ich nie wyrejestrował. Podobnie zresztą jak w przypadku samochodów, przez co narastał mit Polski jako krainy śmiertelnie niebezpiecznych weteranów szos. W czerwcu 2024 roku Ministerstwo Cyfryzacji wyczyściło rejestr i wygasiło rejestrację ponad 7 milionów pojazdów istniejących tylko na papierze. Po tym sprzątaniu okazało się, że na koniec 2024 roku w Polsce było zarejestrowanych 1,42 mln motocykli. Wciąż mniej niż w szczytowych latach PRL, ale jeśli trend się utrzyma, to niebawem motocykliści pasjonaci zbliżą się liczebnością do lat 70.

●

Filip kupił motocykl, bo ukradli mu rower. Najpierw rozglądał się za nowym rowerem, później myślał o „elektryku", następnie przeskoczył na strony z szybkimi hulajnogami, ale wszystko miało za mały zasięg. Już prawie zde-

Motocyklowy boom: rekord goni rekord

Pierwsze rejestracje nowych motocykli w Polsce. W 2025 roku – 41 366, osiem razy więcej niż w 2006. Rok 2026 pobił ten wynik już w sierpniu: od stycznia zarejestrowano 47 304 nowe motocykle, o 42 proc. więcej niż w tych samych miesiącach rok wcześniej.

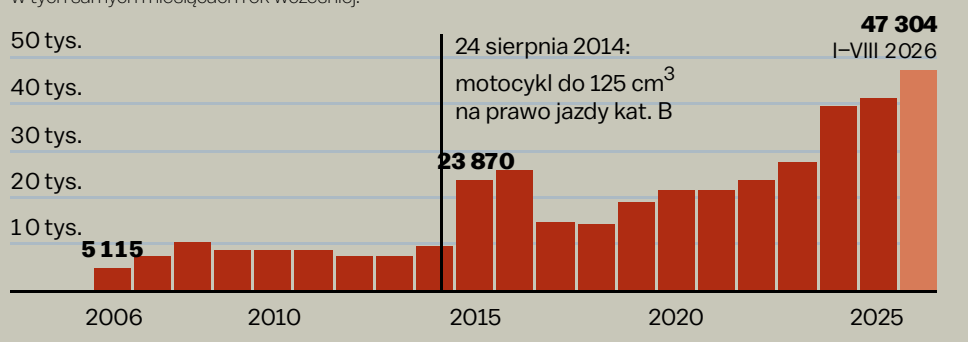

Pierwsze rejestracje nowych motocykli, bez motorowerów. Skok w 2015 roku to skutek przepisów, które pozwoliły kierowcom z prawem jazdy kat. B wsiąść bez egzaminu na motocykl do 125 cm^3: liczba nowych maszyn wzrosła z 9 845 do 23 870, a 125-ki stanowiły 74 proc. z nich. Jaśniejszy słupek – od stycznia do sierpnia 2026 roku; w tych samych miesiącach 2025 roku zarejestrowano 33 225 nowych motocykli. Za 2005 rok PZPM podaje tylko, że było ich „niespełna 4 tysiące".

Głośny wydech i jazda na jednym kole – co grozi motocykliście

Przepisy obowiązujące w październiku 2026 roku.

94 i 96 dB
limit hałasu na postoju dla motocykli bez homologacji – do 125 cm^3 i większych. Dla homologowanych: wartość z tabliczki plus 5 dB. Za przekroczenie policja zatrzymuje dowód rejestracyjny.

od 1 500 zł
grzywna za celową jazdę na jednym kole albo celowy poślizg – nowe wykroczenie od 29 stycznia 2026 roku. Od 30 marca 2026 roku policja zatrzymuje za to także prawo jazdy na trzy miesiące.

ponad 20 tys.
podpisów pod petycją stowarzyszenia Miasto Jest Nasze o fotoradary akustyczne. W lipcu 2026 roku sejmowa komisja petycji przekazała ją Komisji Infrastruktury.

Wypadki motocyklistów: ponad połowę powodują inni kierowcy

Dane policji za 2025 rok.

2 378
wypadków z udziałem motocyklistów

197
zabitych: 190 kierujących i 7 pasażerów – o 14 proc. mniej niż w 2024 roku

2 253
rannych

Kto spowodował wypadek z udziałem motocyklisty

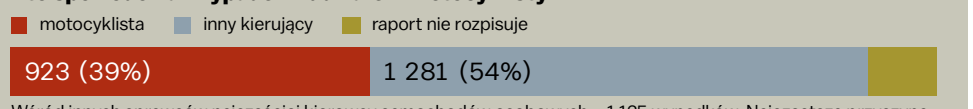

Wśród innych sprawców najczęściej kierowcy samochodów osobowych – 1 135 wypadków. Najczęstsza przyczyna: nieustąpienie motocykliście pierwszeństwa (898). Gdy winny był motocyklista, w 492 z 923 wypadków jechał za szybko jak na warunki na drodze. Pozostałych 174 wypadków raport nie przypisuje.

Zabici motocykliści – kierujący i pasażerowie

W latach 2005–2025 ginęło ich od 157 do 295 rocznie, choć nowych motocykli rejestrujemy dziś osiem razy więcej niż w 2006 roku.

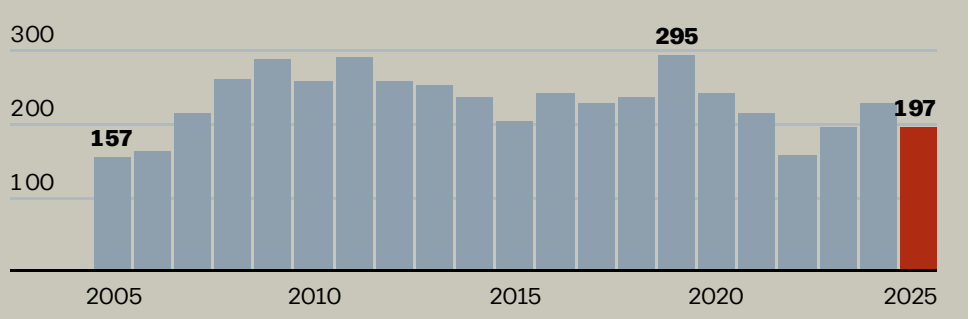

Ryzyko na każdy przejechany kilometr

Kierowca samochodu
ryzyko śmierci: 1

Motocyklista
od 9 do 30 razy wyższe

Na ten sam przejechany dystans, zależnie od kraju. Dane ITF/OECD, głównie z 2011 roku, z państw, które liczą przebiegi motocykli. Polska ich nie liczy, więc tego wskaźnika nie da się dla niej wyznaczyć.

125-ka na prawo jazdy na samochód. Bez uprawnień – wysoka kara

Przepisy obowiązujące w październiku 2026 roku.

125 cm^3 na kat. B
Od 24 sierpnia 2014 roku, kto ma prawo jazdy kat. B od co najmniej trzech lat, może bez egzaminu jeździć motocyklem do 125 cm^3, 11 kW (ok. 15 KM) i 0,1 kW na kilogram masy. Tylko w Polsce.

1 500-30 000 zł
grzywna za jazdę bez uprawnień od 1 stycznia 2022 roku – orzeka ją sąd, mandatu nie ma. Do tego obowiązkowy zakaz prowadzenia pojazdów na pół roku do trzech lat.

Rejestracje – PZPM na podstawie Centralnej Ewidencji Pojazdów, bez motorowerów. Hałas i uprawnienia – ustawa o kierujących pojazdami, Kodeks wykroczeń, rozporządzenie w sprawie warunków technicznych pojazdów. Wypadki – Komenda Główna Policji, raporty za lata 2005–2025. Ryzyko na kilometr – ITF/OECD 2015. Piktogramy – Phosphor Icons (MIT).

© GAZETA WYBORCZA. INFOGRAFIKA: TOMASZ LEBIODA, 6.10.2026. ŹRÓDŁO: PZPM/CEP, ISAP, KGP, ITF/OECD

eprasa.pl ed2416b7a2

cydował się na skuter. – W końcu stanęło na tym, że skoro już skuter, to dlaczego nie motocykl, tak bardziej po męsku – uśmiecha się.

Cztery lata później 25-letniego dziś Filipa w internecie śledzą setki tysięcy ludzi, gdzie znany jest jako Vibe Biker. Oglądają Warszawę z perspektywy jego żółtej Hondy: światła, korki, gazowanie na czerwonym ku uciesze dzieciaków. Rozpoznawalność przyniosły mu krótkie rozmowy z politykami, których przekonał, żeby usiedli za kierownicą jego maszyny.

Pierwsza była Joanna Senyszyn – rozmowa z pierwszą damą lewicy i ulubienicą młodej publiczności nią okazała się wiralem. Wyświetlenia przerosły wszystko, czego się spodziewał. Później o motorach rozmawiał między innymi z Krzysztofem Bosakiem, Leszkiem Millerem, Przemysławem Czarnkiem, a nawet dwójką byłych prezydentów, Bronisławem Komorowskim i Andrzejem Dudą. – Polityk w internecie rozmawia tylko o polityce. Jak musi opowiedzieć o czymś innym, otwiera się w nim takie wewnętrzne dziecko. Prawie każdy, jak odkręcił manetkę, miał banana na twarzy – mówi Filip.

Zanim jednak zaczął jeździć oklejony swoimi logosami po mieście, musiał nauczyć się, jak w ogóle obsługiwać motocykl. Wykupił dwie godziny za dwieście złotych na placu manewrowym. 21-letni wówczas chłopak nie wiedział nawet, jak się zmienia biegi. – Coś słyszałem, że jakąś nogą, że lewą ręką jest sprzęgło.

Instruktor podprowadził mu starą Hondę CBF 125, dwanaście koni. Filip jeździł w kółko. Trzydzieści na godzinę, w porywach czterdzieści. Nieśmiało wrzucał trójkę. – Wydawało mi się, że to jest niesamowicie mocne. Całe dwanaście koni! – śmieje się. Jego obecny motocykl, żółta Honda CBR 600 – rasowy ścigacz reklamowany hasłem „Osiągi prosto z toru" – ma ich sto dziesięć.

Pierwszy własny, KTM Duke 125 – motor miejski, ale mocny, tak zwany „naked / street", kupił pod Legionowem. Filip to podręcznikowy przykład motocyklisty, któremu drogę otworzyła nowelizacja z sierpnia 2014 roku: kto od co najmniej trzech lat ma prawo jazdy kategorii B, może bez kursu i bez egzaminu wsiąść na motocykl o pojemności do 125 cm i mocy do 11 kW, czyli około 15 koni.

Jeździł tak dwa lata, zanim zapisał się na kurs na pełną kategorię. Wielu jego starszych kolegów o kursach nawet nie myślało. – Bardzo dużo osób jeździło bez prawa jazdy. Prawda jest taka, że to było nagminne. Znam takich, co zrobili papiery po dziesięciu latach jeżdżenia, bo konsekwencje były śmieszne.

Zmieniło się to dopiero, kiedy kary wzrosły. Od 1 stycznia 2022 roku jazda bez uprawnień nie kończy się już góra kilkusetzłotowym mandatem: grzywna zaczyna się od 1500 zł, a w sądzie może sięgnąć 30 tysięcy. Do tego sąd musi orzec zakaz prowadzenia pojazdów na pół roku do trzech lat – i to wszystkich, więc motocyklista złapany bez kategorii A traci też prawo jazdy na samochód.

– Co cię w tej jeździe na motocyklu najbardziej kręci? – pytam.

– Lubisz jeździć na rowerze? No to na motocyklu też byś polubił. Zawsze staram się tłumaczyć, że to jest to samo, tylko szybciej. No dobra, dużo szybciej. Kolanami ściskasz bak, pracujesz nogami. Odkręcasz manetkę i maszyna wyrywa do przodu.

Rozpędzał się do 200 na godzinę, ale podkreśla, że szybka jazda potrafi być fizycznie bardzo męcząca. – Wystaw głowę z auta przy tej prędkości. Tak samo wali w ciebie wiatr, tylko że masz kask. Jak siedzę wyprostowany, czuję się jak żagiel. Żeby jechać, trzeba się położyć na baku i schować za szybką. Stać się z motocyklem jednym ciałem.

Przez pierwsze dwa lata jeździł sam. Swoją ekipę ma od tego sezonu: pięć, sześć, czasem siedem motocykli. W kaskach mają interkomy, więc słyszą się przez całą drogę. Wieczorami spotykają się na stacjach benzynowych albo na tak zwanych spotach – pod Stadionem Narodowym, salonem Ferrari koło lotniska albo pod Kolumną Zygmunta. Na takich spotach obejrzeć można maszyny, poznać znajomych. Czasem przejedzie radiowóz, zrobi kółko i pojedzie dalej.

Paweł:
Na dobrym motocyklu do 160 nic nie czujesz, jak przy 80 w samochodzie. Kiedy wskazówka dochodzi do 200, droga zwęża się do jednego pasa, to, co po bokach, robi się rozmazane. Ciarki idą od dołu pleców, wzdłuż kręgosłupa, po sam kark. W głowie nie ma miejsca na żadną inną myśl. Wszystko, co cię gryzło, zostaje gdzieś kilometr z tyłu

Jak poznać, z kim lepiej nie jechać? Filip twierdzi, że ani po motorze, ani po sprzęcie poznać się nie da, bo ludzie potrafią zaskoczyć. – Mam takiego jednego kolegę. Poukładany, odpowiedzialne stanowisko, nikt by nie pomyślał, że coś z nim nie tak. A wsiada na motocykl i totalnie mu odbija szajba. Jak jeździ normalnie, to mu się nudzi.

Z takimi nie jeździ. Z tymi, którzy przeciskają się między autami z dużą prędkością albo gnają poboczem, też nie.

Filip nie udaje, że na motorze nie ma niebezpieczeństwa. – Od początku wiedziałem, z czym to się je. Mamy szybszy przejazd przez korki, trochę zabawy, trochę przyjemności z ryczenia wydechu. Ale w zamian nic nas nie chroni.

Choć ma pełną świadomość, jak potrafią napsuć krwi patościgacze, uważa, że generalnie kierowcy powinni być motocyklistom wdzięczni. – Wyobraź sobie Wisłostradę, popołudnie. Pięćdziesiąt samochodów w korku, a w każdym jedna osoba. Między nimi dwudziestu motocyklistów przeciska się na przód…

– Dla kierowcy to mega irytujące – wchodzę mu w słowo.

… ale zapala się zielone i już ich nie ma. A gdyby tych dwudziestu siedziało w autach, stałoby siedemdziesiąt samochodów – przekonuje Filip. – My nic nikomu nie zabieramy. Ryzykujemy życie, a kierowca dostaje mniejszy korek. Mam wrażenie, że ludzie w ogóle tego nie rozumieją.

Skoro, jak przekonują motocykliści, niemal całe ryzyko jest po ich stronie, nie generują korków, emitują mniej spalin, dlaczego tak wielu osobom przeszkadzają?

Pierwsza sprawa to prędkość i niebezpiecznie popisy, takie jak jazda na tylnym kole po Marszałkowskiej. Większość motocyklistów zgodnie z prawdą powie, że „to dzbany bez wyobraźni na starych ścigaczach za grosze", a oni tego nie robią. Filip też nie. – Rzadko coś takiego widzę. Łatwo przegiąć i rozwalić motocykl – mówi. Wheelie, czyli jazdy na tylnym kole, chciałby się kiedyś nauczyć, ale planuje zrobić to na szkoleniu, na motocyklu z metalowym stelażem z tyłu, który nie pozwala przewrócić się na plecy.

Prędkość – wiadomo. Ale wielu innych zmotoryzowanych irytuje też bezkarność motocyklistów, w pewnym sensie usankcjonowana. Większość fotoradarów i kamer na odcinkowych pomiarach prędkości rejestruje nadjeżdżający pojazd. A gdzie motocykl ma tablice? „Wobec przepisów są równi i równiejsi" – liczne komentarze w takim duchu można znaleźć na forach pod tekstami o wyczynach ścigaczy.

Druga sprawa to hałas. Latem 2025 roku kilkaset osób zebrało się na placu Centralnym w piżamach, szlafrokach, kapciach, uzbrojeni byli w poduszki i śpiwory. Marsz „Warszawa nie śpi" zwołało stowarzyszenie Miasto Jest Nasze. Na tekturach nad głowami uczestnicy nieśli hasła w rodzaju „Bezsen o Warszawie". Chodziło o nocne wyścigi i o głośne wydechy, które strzelają pod oknami. Zebrali 20 tysięcy podpisów pod petycją, w której domagali się zamontowania fotoradarów akustycznych, czyli urządzeń, które same wyłapują zbyt głośne pojazdy. W lutym 2026 roku aktywiści osobiście złożyli je w Sejmie. Nic z tego nie wynikło, więc na początku września wyszli na ulice po raz drugi, tym razem już w zwykłych ubraniach. Marsz „Ciszej, proszę!" przeszedł spod Pałacu Kultury pod ratusz na placu Bankowym i dalej, pod Komendę Stołeczną Policji.

Rzeczywiście, kiedy Filip odkręca manetkę, jego Honda daje o sobie znać. Wydech ma raczej z tych głośnych niż cichych. Nie dlatego, że lubi budzić całe osiedla po nocach. – Kiedy w KTM-ie zmieniłem wydech na głośniejszy, to nagle zobaczyłem, że ludzie mnie zauważają. Zjeżdżają nieco do linii, nie zmieniają pasa mi przed nosem. Lusterka w samochodach są małe, mają martwe punkty. Kierowca może cię nie zobaczyć, ale z takim wydechem na pewno usłyszy.

Choć przyznaje, że chodzi też o przyjemność: niski bas, głębszy dźwięk przy wysokich obrotach.

– A co na to sąsiedzi? Też doceniają niski bas? – pytam.

Mówi, że rano, zanim odpali silnik, wyprowadza motocykl z osiedla na piechotę. Pcha go między blokami, bo zimny silnik na ssaniu ryczy jeszcze głośniej i obudziłby wszystkich. A wieczorem, kiedy wraca, podjeżdża na niskich obrotach i zatyka rurę wydechową butem. – Ale szczerze, to chyba nie ma dobrego wyjścia z tej sytuacji. Motocykliści mają swoje argumenty w sprawie wydechów, a ludzie i tak będą wkurzali się na hałas.

W Komendzie Stołecznej Policji spotykam się z komisarzem Robertem Bojarskim z Wydziału Ruchu Drogowego. Służy w policji od 32 lat. Motocykle zna bardzo dobrze, sam jeździ od młodości, spędził też kilka dobrych lata na motorze służbowym. – Mamy na wyposażeniu sonometry. Dla każdego rodzaju pojazdów, także dla motocykli, są określone wartości. Jeżeli widzimy, że może być odchył od normy, to badamy – tłumaczy, kiedy pytam, co można zrobić z tym hałasem.

Dla motocykli norma to 94 albo 96 decybeli, zależnie od pojemności. Kiedy pomiar ją przekracza, policja traktuje głośny wydech jak każdą inną usterkę. Może zatrzymać dowód rejestracyjny i dać właścicielowi siedem dni na naprawę. Do tego grzywna, nawet do kilku tysięcy złotych.

Drugi problem, który wzbudza najwięcej emocji, zwłaszcza tych, którzy motocykle znają z perspektywy samochodów, to prędkość. Bojarski z własnej służby najczęściej pamięta wypadki z udziałem motocyklistów, w których przyczyną było wymuszenie pierwszeństwa albo gwałtowna zmiana pasa – ale zaznacza, że to właśnie prędkość decyduje o skali nieszczęścia i rozmiarze szkód.

– Szybko nigdy, ale to nigdy nie będzie bezpiecznie. Motocykl w chwili upadku najczęściej leci już bez człowieka. Motocyklista rozbija się gdzieś osobno, maszyna jeszcze gdzie indziej. I ta pędząca kula armatnia, bo inaczej tego nie można nazwać, robi spustoszenie tam, gdzie trafi – opowiada policjant.

– A co pan sądzi o tym argumencie, że przecież ryzykuje głównie motocyklista, bo własnym życiem? A kierowca samochodu, o ile to nie jest kraksa na ekspresówce czy autostradzie, wgniecionymi drzwiami, urwanym lusterkiem, w najgorszym razie stłuczeniami – pytam.

– Nie zgadzam się w żadnej mierze. Po pierwsze, to czy jego życie nie jest ważne? Takie myślenie tylko o sobie, tu i teraz, jest bardzo krótkowzroczne. Po drugie, w takich wypadkach giną też osoby postronne, również dzieci. A nawet jeśli zginie tylko motocyklista, to zostaje ktoś, kto w tym wypadku uczestniczył. Są udokumentowane przypadki ludzi, którzy spowodowali śmiertelny wypadek, nie poradzili sobie z tym i odebrali sobie życie – mówi Bojarski.

Komisarz pracuje również jako policyjny negocjator. I bywa wzywany do ludzi, którzy chcą odebrać sobie życie. – Kiedy ktoś mówi, że ryzykuje tylko sobą, to przypominają mi się rozmowy z samobójcami. Bo taka wypowiedź w zasadzie graniczy z myślą samobójczą. A ja wiem, że ludzie, których udało się uratować, potrafią tydzień później nas szukać, żeby podziękować. Mieli po prostu słaby moment.

Kiedy komisarz Bojarski mówi o skutkach wypadków, też odnosi się do praktyki, którą widział naocznie, a nie teorii. Przez lata obsługiwał najpoważniejsze wypadki w Warszawie i okolicach, zabezpieczał ślady, później prowadził dochodzenia. Jeden pamięta do dziś. Ciało motocyklisty było rozerwane na części. Głowa w kasku kilkadziesiąt metrów od korpusu. Ręka kilka pasów dalej. Fragment obojczyka został w kurtce. Lekarz z karetki wypisał akt zgonu. Policjanci przynosili mu dokumenty do radiowozu, a on nie mógł z niego wysiąść.

– Bo patrzyłem na niego z daleka, jeszcze przed oględzinami, i miałem wrażenie, jakbym patrzył na siebie. Jakbym to ja tam leżał. Jako młody chłopak też wyprawiałem na motocyklu różne rzeczy.

Motocyklistów przybywa z każdym sezonem, a wielu z nich ma prawo jazdy jedynie na samochód. Bojarski jednak wcale nie martwi się najbardziej o tych, którzy dopiero zaczynają. – W statystykach od lat najbardziej niebezpieczni są kierowcy w wieku 21–24 lata, a nie ci zaraz po egzaminie. Świeżo upieczony jeszcze szanuje przepisy. Ale jak pojeździ dwa, trzy lata, to wtedy wkrada się brawura.

Co by poradził komuś, kto lubi odkręcić manetkę?

– Przenieść się na tor. Jak ktoś zrozumiał, że ma taką tendencję, ale jeździ szybko tylko na torze, to dla mnie jest szczyt odpowiedzialności. Gdybym komuś zrobił krzywdę i do końca życia wiedział, że ktoś przeze mnie jest niepełnosprawny, nie wiem, jak bym sobie z tym poradził. A tor jest tak zbudowany, że nawet upadek ma szansę skończyć się dobrze.

Sam przyznaje, że kocha motocykle, ale adrenaliny radzi szukać gdzie indziej. – Największą przygodą jest przeżyć życie bezwypadkowo. Motocykl nie jest od tego, żeby czuć adrenalinę. Kto zaczyna ją czuć, zaczyna się od niej uzależniać. A to prędzej czy później kończy się tragicznie.

W 2025 roku motocykliści uczestniczyli w 2378 wypadkach.

- Zginęło w nich 190 kierujących i siedmioro pasażerów, a ponad 2,2 tysiąca osób zostało rannych.
- W porównaniu z rokiem 2024 liczba zabitych spadła o 14 procent, choć motocykli przybyło w tym czasie prawie 190 tysięcy.
- Ponad połowę tych wypadków spowodowali inni uczestnicy ruchu, najczęściej kierowcy samochodów, którzy nie ustąpili motocykliście pierwszeństwa.
- Sami motocykliści byli sprawcami 923 wypadków.
- Dla porównania, rowerzyści odpowiedzialni byli za 1188. Stąd popularny w środowisku argument, że na motocyklu jest bezpieczniej niż na rowerze.
- W przeliczeniu na przejechany kilometr motocyklista ginie na drodze ponad 20 razy częściej niż kierowca samochodu.

Nawet jeśli to nie on zawinił. I nawet jeśli, tak jak kiedyś Paweł i jego koledzy, czuje się nieśmiertelny.

1 RP

eprasa.pl ed2416b7a2

ŚWIAT

Jeśli śmierć i cierpienie 80 tysięcy Palestyńczyków i 3 tysięcy Żydów ma do czegoś doprowadzić, to konieczny jest wielki gest i wielka propozycja. **Nic innego nie zadziała**

Z **JANEM HARTMANEM** ROZMAWIA **MICHAŁ OLSZEWSKI**

ZDJĘCIE **FOT. JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL**

Ja i nienawiść?

Pan mnie z kimś myli

Jan Hartman

• profesor filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego (Wydział Nauk o Zdrowiu) i publicysta. Urodzony w 1967 roku we Wrocławiu, absolwent Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Autor ponad 20 książek, publicysta. Ostatnio wydał „Etykę życia publicznego", „Zmierzch filozofii" oraz autobiograficzną „Spowiedź antychrysta".

1 RP

eprasa.pl ed2416b7a2

FOT. REUTERS/RONEN ZVULUN

• Okolice Re'im w południowym Izraelu, gdzie odbywał się muzyczny festiwal Nova – w trzecią rocznicę krwawego ataku Hamasu. 7 października 2026 r.

Wojna Izraela o przetrwanie toczy się jakieś 80 lat i cały czas szlifowane są standardy jej prowadzenia. Jeśli dochodzi do ich złamania, wybuchają awantury

Przychodzę do pana w związku z trzecią rocznicą ataku Hamasu na Izrael. I z pytaniem, jaką drogę przeszedł pan przez ten czas. Nie jest pan tym samym Janem Hartmanem, co wówczas, kiedy terroryści atakowali młodzież na festiwalu muzycznym, prawda?
– Nie jestem, bo przeszedłem głęboką przemianę. Za kilka miesięcy kończę 60 lat i wchodzę okres, kiedy człowiek zaczyna urządzać sobie ostatni etap aktywnego życia. To zmienia perspektywę. Jednak to, co nastąpiło po 7 października 2023, miało znaczenie kluczowe. Gdybym musiał całe te trzy lata streścić w dwóch słowach, powiedziałbym: przerażenie i rozczarowanie.

Myślałem, że od gniewu przeszedł pan do nienawiści.
– Ja?

Pan. Jestem pańskim czytelnikiem i widzę zmianę.
– Nienawiść? Jestem zaskoczony, bo wydawało mi się, że moje wypowiedzi są raczej pełne smutku i rezygnacji. Ale czasem i gniewu, fakt.

Z pewnością odebrałem w ciągu tych lat lekcję życia. Wyzbyłem się rozmaitych złudzeń, utraciłem wiele ważnych znajomości, ale też zagłębiłem się bardziej w życie żydowskie, na przykład życie warszawskiej gminy, do której należę. Poczułem znacznie silniejszą niż wcześniej solidarność z tą garstką polskich Żydów, którzy odmówili udziału w rytuale potępienia Izraela.

Niestety, wielu z nas mówi, pisze i podpisuje to, czego oczekują od nich ich liberalno-inteligenckie środowiska zawodowe.

Liberalna inteligencja ma jakieś oczekiwania wobec polskich Żydów?
– Tak, żąda gestów oportunizmu, a nawet swego rodzaju samokrytyki. Dobry Żyd to Żyd kajający się za Izrael. Jak w 1968 r. Stąd moje rozczarowanie i przerażenie. Te nazwiska pod różnymi „listami" i „oświadczeniami"...

Przygnębiają mnie własne stracone złudzenia wobec Polski i wobec polskich Żydów.

Myślałem, że strategia, która streszcza się w haśle „Nigdy więcej" i koncepcja wychodzenia z mroków antysemityzmu, którą reprezentował nasz autorytet Marian Turski, jakoś działa. Okazało się, że nie działa. Że uczenie o Holokauście jest nieskuteczne, a może nawet przeciwskuteczne, bo irytujące dla nieżydowskich odbiorców. Okazało się, że tymi samymi metodami, które z powodzeniem stosowali Sowieci, współpracujące z Sowietami ugrupowania i państwa arabskie w latach 60. i 70., również dzisiaj można zdobywać ogromny poklask opinii publicznej. Jest to dla mnie szokujące.

I dla nas, bo myślę, że mogę to powiedzieć w imieniu dużej części polskich Żydów.

Wielu z nas przeżyło rozczarowanie, utraciło przyjaciół i żyje w poczuciu niezrozumienia i osamotnienia. Jesteśmy przerażeni skalą, mocą i jednoznacznością „antysyjonistycznej" wrogości.

Środowiska żydowskie rozpadły się wzdłuż linii oportunizmu. Jedni, tak jak w latach 60., złożyli samokrytykę i potępili Izrael, a drudzy, tak jak ja, tego nie zrobili i musieli ponieść tego konsekwencje. Wisimy na pluszowych krzyżach, a antysemici szydzą, że są tylko pluszowe. A przecież na pluszowym też boli.

Za to ci, którzy pozostali lojalni wobec tożsamości żydowskiej, bardzo się do siebie zbliżyli. Co więcej, odkryliśmy, że pośród nieżydowskich przyjaciół, oddanych sprawom kultury żydowskiej, mamy ten sam podział. Wielu z nich stało się zajadle antyizraelskimi, ale niektórzy nie. A do nich jeszcze dołączyli nowi przyjaciele.

I chcę skorzystać z tej okazji, żeby gorąco podziękować tym bardzo nielicznym, lecz jakże ważnym dla nas osobom, które nas wspierają, nie mając żydowskich korzeni. Na przykład Samuelowi Maruszewskiemu, który założył niewielką organizację zwalczającą antysemityzm „Sitwa" i ponosi poważne konsekwencje.

Jakie?
– Ma duże nieprzyjemności na Uniwersytecie Wrocławskim, gdzie jest doktorantem.

Ja zaś mówię o nienawiści, bo bardzo łatwo w pańskich oczach zostać nazistą. Wystarczy mieć wątpliwości co do polityki Izraela, a już wytacza pan najcięższe z możliwych oskarżeń.
– Pan mnie z kimś myli, bo ja jestem bardzo krytyczny wobec izraelskiej polityki i nie boję się rozmawiać o błędach, przestępstwach czy nawet zbrodniach, jakich dopuszczali się izraelscy żołnierze, broniąc swojej ojczyzny.

To dlaczego w swoich wypowiedziach tak często piętnuje pan rzekomy nazizm przeciwników wojny prowadzonej przez Izrael w Strefie Gazy?
– Piętnuję, gdy za ofiary Gazy obwinia się Izrael, a Hamas i jego mocodawców wyłącznie w kontekście 7 października. Powielanie narracji fanatyków islamskich i sowieckich propagandzistów, ochocze powtarzanie kłamstw o Izraelu, oznacza wpisywanie się w tradycję sojuszu arabsko-hitlerowskiego, zastąpionego potem sojuszem arabsko-sowieckim. Hamas jest ruchem dżihadystycznym, wywodzącym się z Bractwa Muzułmańskiego. Trzeba wiedzieć, że świecie dżihadu Hitler i naziści są pozytywnymi bohaterami.

A jeśli ktoś wznosi publicznie na ulicach Warszawy albo Paryża okrzyk „From the river to the sea, Palestine will be free!", to krzyczy to samo, co terroryści krzyczą od lat 60., mając niedwuznacznie na myśli wymordowanie i wypędzenie Żydów z Izraela. Kto chce „uwolnić" Palestynę od Żydów, ten wpisuje się w nazizm.

Pan przechodzi od gniewu do nienawiści i to jest dla mnie zaskakujące, ponieważ wiemy coraz więcej o koszmarnych działaniach Izraela. Natomiast pan ma coraz mniej wątpliwości.
– Nie. Nigdy nie wzbraniałem sobie ani innym krytyki rządów Izraela bądź potępiania takich czy innych zbrodniczych czynów popełnianych przez żołnierzy.

Żydzi są narodem próżnym w tym sensie, że przypisują sobie szczególne kwalifikacje etyczne. Również religia żydowska ma w sobie posłannictwo etyczne. Dlatego w Izraelu nieustannie toczy się spory o to, czy w roku 1948, 2016 albo 2026 żołnierze mieli prawo zabić, czy może była to zbrodnia. Wojna Izraela o przetrwanie toczy się jakieś 80 lat i cały czas szlifowane są standardy jej prowadzenia. Są bardzo wyśrubowane, a przez to też często dochodzi do ich naruszania w realiach brutalnej walki. A wtedy wybucha wielka awantura.

Bardzo bym chciał, żeby wszyscy patrzyli uzbrojonym Izraelczykom na ręce, żeby tych sytuacji, kiedy niepotrzebnie giną ludzie, albo wręcz są po prostu zabijani czy mordowani, było jak najmniej.

Wyśrubowane? Ci żołnierze, którzy zgwałcili w obozie Sde Teiman palestyńskiego więźnia pałką, co nagrała kamera, zostali uniewinnieni. Wszyscy.
– Nie mamy powodów przypuszczać, że wymiar sprawiedliwości w Izraelu zasługuje na zaufanie w mniejszym stopniu, niż na przykład w Polsce. Może ten wyrok był niesprawiedliwy, ale żeby się w tej sprawie wypowiedzieć, to trzeba być blisko tej sprawy, więc ja się nie wypowiem. Poziom praworządności, ale i poziom zdziczenia życia politycznego w Izraelu i w Polsce są porównywalne.

Ja się wypowiem, ponieważ obejrzałem film nagrany kamerą przemysłową i on nie pozostawia wątpliwości. Zgwałcili go pałką, a potem sąd wojskowy oddalił zarzuty.
– W Gazie w ciągu ostatnich lat zdarzyły się nieporównanie gorsze rzeczy. Niepotrzebnie zginęły tysiące ludzi, to nie ulega wątpliwości. Czy mogło zdarzyć się inaczej? Każda armia na wojnie popełnia zbrodnie.

Ja dopominam się, żeby unikać czarno-białego obrazu nie tylko tego konfliktu. Pan pyta o przestrzeń między gniewem a rzekomą nienawiścią – tak, jest we mnie gniew, ponieważ wojna pomiędzy Hamasem a Izraelem jest malowana przez liberalne elity, również przez was, dziennikarzy, na czarno-biało. Izrael jest w niej nieludzkim agresorem, a Hamas to niemalże jacyś „bojownicy", broniący „wolnej Palestyny". Przedstawianie Izraelczyków jako notorycznych sprawców, a Palestyńczyków jako notorycznych ofiar jest chore. A choroba nazywa się antysemityzm.

1 RP

eprasa.pl ed2416b7a2

Wie pan, jestem z zawodu etykiem i boleję, że nie uczy się ludzi analizy etycznej, prowadzącej do odpowiedzialnych moralnych ocen.

Czyli jakiej analizy?
– Czyli na przykład takiej, w której istnieje świadomość, że wygodna opozycja sprawca-ofiara jest idealizacją i że w realnym życiu te role mogą się przeplatać. Dlatego tak trudno nie tylko panu zrozumieć, że kraj, który popełnia zbrodnie wojenne, może jednocześnie zasługiwać na bardzo wysoką ocenę ogólną, jeśli chodzi o sposób prowadzenia wojny.

Zbrodnicze działania powinniśmy porównywać z działaniami innych armii w podobnych okolicznościach. Powinniśmy pytać o moralną słuszność celów. A także sprawdzać, jak te zbrodnie były traktowane przez wymiar sprawiedliwości.

Powtórzę po raz trzeci: ci żołnierze zostali uniewinnieni.
– Oczywiste dla mnie jest, że Izrael ma wysokie standardy etyczne i oczywiste, że je łamie. Jak często? Moim zdaniem to są incydenty. Izraelczycy nie postępują jak Rosjanie, którzy celowo zburzyli teatr w Mariupolu, grzebiąc pod ruinami 300 osób. Izrael przed atakiem na dany punkt ostrzega ludność, która tam się znajduje, podczas gdy palestyńscy terroryści traktują swoich cywilów jako zakładników i uniemożliwiają im ucieczkę.

Czy słyszał pan o operacjach „Ewangelia" albo „Lawenda"?
– Coś słyszałem.

Przypomnę: to były operacje, w których sztuczna inteligencja namierzała członków Hamasu, po to, żeby uderzyć w niego dronem albo pociskiem. Żołnierze izraelscy opowiedzieli prasie nieoficjalnie, jak wyglądały dopuszczalne proporcje ofiar cywilnych i bojowników, ustalane już przez oficerów dowodzących akcjami. W pierwszych tygodniach wojny śmierci jednego hamasowca mogła towarzyszyć śmierć 20 cywilów. Później liczbę dopuszczalnych ofiar cywilnych obniżono do 5.
– Jeśli to prawda, to były bezdyskusyjnie zbrodnicze proporcje. Jak mówię, można było oszczędzić tysiące ludzi. Mimo to jestem głęboko przekonany, że ani U.S. Army, ani żadna inna armia nie może się równać jak dotąd, jeśli chodzi o wysokie standardy prowadzenia wojny, z Izraelem, którego armia popełnia wiele zbrodni.

Swoją drogą, z tego, co wiem, to generalny stosunek bandytów z Hamasu do ofiar cywilnych wynosi 1:2. W wojnie miejskiej, gdy ludność cywilna notorycznie używana jest jako tzw. żywe tarcze, to imponujący wynik.

To dane wojska izraelskiego. Władze Strefy Gazy wyliczyły to na 1:4.
– Gratuluję źródła! Nazywa pan bandziorów mordujących bez litości, również Palestyńczyków, „władzami"? Dla nich życie ludzkie nic nie znaczy.

Podobnie jak dla wojsk izraelskich. Izraelscy żołnierze strzelali do sanitariuszy.
– Nie dlatego, że zamierzali zabijać niewinnych ludzi. To przecież działa na korzyść Hamasu.

Jak to „na korzyść"?
– Hamasowi zależy, żeby cywilnych ofiar palestyńskich było jak najwięcej – po to, by wzbudzać tymi ofiarami, zwłaszcza dziecięcymi, jak największą nienawiść do Żydów i Izraela. Ponieważ bronią Palestyńczyków jest antysemicka nienawiść. Dlatego czynią z każdego domu twierdzę pełną cywilów-zakładników.

W przeciętnym mieszkańcu Europy czy nawet Ameryki to, co robi Hamas, w ogóle nie budzi emocji. Winowajcą jest tylko Izrael. Ten, kto rzuca bomby, jest winien i tyle. Protestuję i będę protestował przeciwko tak prymitywnym kryteriom oceny sytuacji.

Idziemy w przeciwnych kierunkach: im więcej wiem o działaniach Izraela, tym bardziej jestem nimi zszokowany. Pan im więcej o nich wie, tym goręcej je uzasadnia.
– Przeraża mnie, że ludzie inteligentni powtarzają prymitywne grepsy hamasowskiej propagandy. Mówią o ludobójstwie i eksterminacji. Przedstawiają Izrael jako coś w rodzaju rekonstrukcji reżimu nazistowskiego, który odgrywa się za Holocaust, powtarzając go na niewinnych, pokój miłujących Palestyńczykach. To nie jest zwykła podatność na propagandę wojenną, naiwność czy ignorancja. To jest odradzanie się odwiecznego schematu Żyda-winowajcy, którego trzeba obwinić za wszystko.

I podlewa się to jeszcze sosem obłudy, wyrażającej się w rzekomej sympatii dla Palestyńczyków. Ale człowiek, który woła „Wolna Palestyna od rzeki do morza", nie jest przyjacielem Palestyńczyków. Jest ich wrogiem.

Hamas gnębi i torturuje Palestyńczyków, a z wolną Palestyną ma tyle wspólnego, że wraz z innymi fanatykami na Bliskim Wschodzie uniemożliwia jej powstanie. Fanatycy chcą wielkiego teokratycznego kalifatu, a nie żadnych „Palestyn". Palestyńczycy stali się zakładkami polityki dżihadu i taranem w walce fundamentalistów o unicestwienie Izraela.

Natomiast kto użala się nad zabitymi Palestyńczykami, oskarżając Izrael, a przechodzi do porządku dziennego nad nieustającym terrorem Hamasu, ten powiela wulgarnie kłamliwą propagandę islamską. Jest antysemitą i do tego osłania Hamas, ciemiężący naród palestyński i dokonujący na nim niesłychanych zbrodni.

Zadziwia mnie łatwość, z jaką pan wskazuje, kto jest antysemitą.
– Każdy, kto sprzyja Hamasowi, bierze udział w akcjach propagandowych szerzących nienawiść do Izraela i wzmacniających ducha Hamasu, we flotyllach, manifestacjach, pikietach na uniwersytecie, jest antysemitą, który znalazł dla siebie kulturowo bezpieczną formę antysemityzmu, skutkiem podpowiedzi sowieckich propagandystów „rebrandowanym" pół wieku temu na antysyjonizm. I każdy z tych ludzi uczestniczy we wspomnianym przeze mnie mechanizmie napędzania przemocy w Gazie.

I jest antysemitą i jeszcze nazistą.
– Jeżeli robi to sukcesywnie i w sposób zorganizowany, jest nazistą.

Jeżeli partia Razem żąda bojkotu towarów wyprodukowanych przez Żydów w Judei i Samarii, to w sposób oczywisty wpisuje się w długą tradycję bojkotu i pogromów. No i powiela łgarstwo, jakoby przemoc na tak zwanym Zachodnim Brzegu Jordanu była jednostronna, Żydzi zaś byle jej wyłącznymi sprawcami.

Poziom praworządności, ale i poziom zdziczenia życia politycznego w Izraelu i w Polsce są porównywalne

Tych wszystkich młodych ludzi awanturujących się na ulicach zachodnich i amerykańskich miast czy na kampusach Palestyńczycy też nie obchodzą. Chodzi im o pojednanie się z rodzicami, z przodkami w tym jednym punkcie, w którym się mogą pojednać. Na imię mu antysemityzm, z tą różnicą, że nienawidzący Żydów sami nie określają się już, jak dawniej, mianem antysemitów, lecz antysyjonistów.

Ale to jest uprawianie gry w jakiegoś okrutnego pomidora. Pan, słysząc krytykę działań Izraela, może w każdym momencie zawołać „antysemityzm". I to zamyka dyskusję.
– Antysemitów dzisiaj bardzo łatwo rozpoznać. Jeśli ktoś określa się jako antysyjonista, to oznacza, że nie daje Żydom prawa do istnienia narodowego państwa żydowskiego na Bliskim Wschodzie. To tak, jak gdyby ktoś powiedział panu: „nie mam nic przeciwko Polakom, ale nie zgadzam się na istnienie państwa polskiego". Śmiechu warte, prawda?

Oczywiście, w niektórych kontekstach syjonizm oznacza ideologię radykalnej prawicy izraelskiej. Ale w potocznym znaczeniu „antysyjonizm" nie tego dotyczy i znaczy po prostu kwestionowanie prawa Żydów do własnego państwa narodowego.

Poza tym ta mantra „nie każda krytyka Izraela jest antysemityzmem" jest wrednie antysemicka. Nikt tak nie uważa ani nie twierdzi. Głupia, wroga insynuacja. Sam mogę do końca tej rozmowy powtarzać, że wojsko izraelskie popełnia zbrodnie i że jestem przeciwnikiem Netanjahu, podobnie jak, przypuszczalnie, większość polskich Żydów.

Bardzo to arbitralne. Flotyllę, która płynęła do Gazy, żeby uwrażliwić opinię społeczną na łamanie praw podstawowych przez Izrael, uznaje pan za gest antysemicki?
– Oczywiście. Jeśli organizatorzy płyną, żeby nielegalnie przełamać blokadę izraelską i nawet niespecjalnie udając, że chodzi o żywność, to oznacza, że chcą skonfrontować się z wojskiem izraelskim i wzmocnić wizerunek Hamasu jako organizacji rzekomo broniącej sprawy palestyńskiej i wolności Palestyny. To jest wierutne kłamstwo, tak jak kłamstwem jest przekaz tych akcji, że to Żydzi ponoszą zasadniczą odpowiedzialność za głód w Strefie Gazy.

Może mnie pan nazwać antysemitą, trudno. Ale Izrael bez wątpienia ponosi odpowiedzialność za głód w Gazie.
– Generalną i podstawową odpowiedzialność za głód w Gazie ponosi Hamas, który rozkradał pomoc żywnościową i zarabiał na niej pieniądze, sprzedając z wielokrotnym zyskiem.

W odpowiedzi Izrael zlikwidował 400 punktów dystrybucji żywności i zostawił 4, położone na południu Strefy. Droga do nich prowadziła przez strefy zmilitaryzowane. To intencjonalny gest, który może kwalifikować się jako zbrodnia wojenna. Władze Izraela musiały wiedzieć, że ta decyzja pogłębi chaos, przyniesie głód i ofiary.
– I znowu stosuje pan czarno-biały schemat, a potem dziwi się mojej irytacji. Uważam, że winą za okresowy głód w niektórych częściach Strefy Gazy, tak jak winą za śmierć dziesiątek tysięcy Palestyńczyków, należy obarczać zarówno Izrael, jak i Hamas. Ale wina Izraela jest pochodną winy Hamasu. Gdyby spełnił swój moralny obowiązek i poddał się, nie byłoby ani ofiar, ani głodu.

Izrael znosił terror Hamasu przez kilkanaście lat, ograniczając się do punktowych akcji odwetowych, bo bał się konsekwencji strzelania do żywych tarcz. Po 7 października nie mógł już kontynuować tej polityki.

Tak że owszem, żywność mogła być dostarczona do Gazańczyków i głodu by nie było. Ale również prawdą jest, że bandyci przechwytywali pomoc i zapewniali sobie dzięki niej środki do przeżycia. Co Izrael miał z tym zrobić? Próbuję panu pokazać, że ocena wojennych sytuacji od strony moralnej jest trudna. Można mieć dobrą wolę i być winowajcą.

Można mieć też dobrą wolę i każde okrucieństwo dyskontować tym, co robi druga strona.
– Jest jeden powód, dla którego giną palestyńscy cywile: Hamas nie chce się poddać. A straty cywilne działają na arenie międzynarodowej na korzyść terrorystów, ponieważ podsycają nienawiść do Izraela.

Jeszcze chwila, a dam się przekonać, że Izrael był za dobry dla Palestyńczyków.
– Izrael jest jedynym państwem w regionie, które parło do tego, żeby utworzyć państwo palestyńskie. Oczywiście, fundamentaliści islamscy i te wszystkie organizacje, niby to palestyńskie, robiły wszystko, żeby tak się nie stało, żeby storpedować proces pokojowy i stworzenie układu dwupaństwowego. Bo gdyby istniało państwo palestyńskie, prawo do istnienia zyskałby również Izrael.

Ale tego nie mogą znieść arabskie reżimy, fundamentaliści ani Iran. Gdyby Żydzi wyznawali islam, nie byłoby w ogóle problemu. Ale to niewierni!

Mam wrażenie, że umyka panu zasadnicza motywacja, która kieruje protestującymi przeciwko okrucieństwom Izraela. Na imię jej „współczucie". Nie mam nic wspólnego z terrorystami z Hamasu, a współczuję Palestyńczykom.
– Może chodzi o współczucie z powodu despotii Hamasu? Albo prześladowań ze strony Jordańczyków i innych? To Żydzi współczują Palestyńczykom. Ja również. A przede wszystkim życzę im, aby mimo przeszkód ze strony USA, udało się wreszcie wyzwolić Palestynę z rąk terrorystów.

Winę Izraela widzę w tym, że Hamas rządzi Gazą między innymi z powodu błędnej kalkulacji polityków żydowskich. Część elit izraelskich była przekonana, że swoista czystka etniczna przeprowadzona w 2005 roku, czyli siłowe wyrzucenie Żydów z Gazy, uspokoi sytuację i doprowadzi do powstania zalążka niezależnego państwa palestyńskiego. USA, Izrael i Europa pompowały w Gazę pieniądze, mimo że już wkrótce po zwycięstwie wyborczym Hamasu w Gazie było widać, że to nie jest pokojowa organizacja, która chce zbudować normalny kraj.

Zatem 7 października 2023 zobaczyliśmy ostateczny krach tego naiwnie idealistycznego projektu. Wszyscy mamy na sumieniu Palestyńczyków, ponieważ stali się obiektem absurdalnego eksperymentu. Bombardowanie miłością przyniosło w długiej perspektywie bombardowanie amunicją.

Może pamięć mnie zwodzi, ale nie przypominam sobie tej polityki miłości wobec Palestyny. Mówi pan tak, jakby przed 7 października 2023 Palestyńczycy na Zachodnim Brzegu byli traktowani inaczej jak niewolnicy.
– Niewolnicy?! Były różne okresy, ale dopiero po rzezi zdecydowana większość Izraelczyków przestała wierzyć w idealistyczny projekt rozwiązania dwupaństwowego.

eprasa.pl ed2416b7a2

Zgodzę się z panem, że Palestyńczycy na terenach odebranych Jordanii i kontrolowanych przez Izrael doświadczyli wiele zła. Nie tyle jednak, ile doznają go ze strony państw arabskich.

Jasne, pamiętam, co widziałem w Libanie. Od wysiedlenia z 1948 roku minie niedługo 80 lat, a nadal są obywatelami drugiej kategorii, nie mają prawa własności, obywatelstwa. Tylko czy to w jakimkolwiek stopniu usprawiedliwia Izrael?
– Nie usprawiedliwia, ale pokazuje jakim nadużyciem jest budowanie prostej opowieści o złym państwie izraelskim, które ciemięży Palestyńczyków. Wrogiem państwowości palestyńskiej jest na przykład Jordania, gdzie mieszkają miliony Palestyńczyków. Mimo to uwaga świata skupia się na Izraelu.

Nadal lepiej być Palestyńczykiem w Judei czy Samarii niż w Libanie czy Jordanii. Nie mówiąc już o rzeszy Palestyńczyków – obywateli Izraela, wśród których są parlamentarzyści, profesorowie żydowskich uczelni, a czasem nawet izraelscy ministrowie.

To nieprawda. Przecież do prawa izraelskiego wiosną tego roku wprowadzono przepisy, które za atak na Izraelczyka ze skutkiem śmiertelnym pozwalają skazać Palestyńczyka na karę śmierci w trybie przyspieszonym i na byle jakich poszlakach.
– To jakaś legenda. Jeśli Żyd popełni zbrodnię terrorystyczną wobec państwa izraelskiego, też zostanie skazany na karę śmierci.

Nie zostanie, ponieważ okolicznością obciążającą jest negowanie państwowości Izraela.
– Nie ma tu żadnego różnicowania, bo nie brakuje Żydów, którzy są wrogami państwa izraelskiego. I z całą pewnością z tego paragrafu zostaliby skazani na karę śmierci. Gdybym był terrorystą, też podpadałbym pod ten paragraf.

Jeśli coś mnie dziwi, to to, że kraj od 80 lat prowadzący wojnę z armiami, państwami i organizacjami terrorystycznymi, nie stosował kary śmierci. Nie jestem zwolennikiem kary śmierci i nie popieram tej ustawy, ale to samo w sobie jest bardzo dziwne.

Swoją drogą – i tu wracam do głównego wątku naszej rozmowy – ościenne kraje torturują, mordują swoich obywateli, stosują szeroko karę śmierci, ale to akurat liberalnej opinii publicznej specjalnie nie wadzi. I mówię to jako przeciwnik Ben Gwira, Smotricza i izraelskich partii faszystowskich. Nigdy też nie popierałem Netanjahu.

Czyli po prostu Izrael doszlusowuje standardami do krajów ościennych? Radość radykałów w Knesecie po uchwaleniu kary śmierci była upiorna. Tam strzelały korki od szampanów. Jeden z liderów skrajnej prawicy, Itamar Ben Gwir, dostał od żony na 50 urodziny tort z szubienicą. To się nazywa zdziczenie, panie profesorze.
– Mam nadzieję, że przegrają wybory i powstanie inna koalicja. Tak czy inaczej, Izrael żegna się z marzeniem o wolnym państwie palestyńskim, z którym da się prowadzić pokojową politykę.

Ale tak, polityczne życie izraelskie, podobnie zresztą jak polskie, pełne jest ekscesów i skandali. Co nie zmienia faktu, że zarówno Polska, jak i Izrael należą do Zachodu i obowiązują w tych państwach pewne standardy praworządności.

Na szczęście Polska nie musi praktykować praworządności w warunkach wojennych.

Pan żyje w jakimś micie praworządnego państwa Izrael. Obywatelski Komitet Przeciwko Torturom w Izraelu otrzymał w latach 2000-2024 ponad 1,7 tysiąca skarg od osób zarzucających służbom specjalnym tortury. Ani jedna osoba nie została postawiona przed sądem.
– To znaczy, że prawdopodobnie oskarżenia były fałszywe.

Albo zadziałał mechanizm taki, jak w przypadku żołnierzy, którzy zgwałcili więźnia. Wina ewidentna, ale sąd staje po stronie sprawców, bo walczą o wolny Izrael.
– Oskarżenie o tortury jest w Izraelu traktowane znacznie poważniej niż na przykład w Stanach Zjednoczonych. Upieram się, że sądy w Izraelu nadal są niezawisłe, a standardy praworządności dość wysokie.

Na tyle wysokie, że po wyborach Netanjahu stanie przed sądem?
– Mam nadzieję, że tak się stanie, że przegra wybory i odpowie za przestępstwa korupcyjne. Mam również nadzieję, że wojskowi, którzy popełnili przestępstwa, będą mieli procesy, choć nie spodziewałbym się tu wysokich wyroków.

Jak potoczą się losy Izraela?
– Izrael jest największą potęgą militarną w regionie. Zyskał szacunek, dowodząc, że jest silny, nieugięty i że Iran musi się z tym faktem liczyć. Co więcej, wojna z Iranem zmieniła zupełnie układ sił na Bliskim Wschodzie i skruszyła antyizraelską koalicję. Nagle okazuje się, że Izraelczycy są partnerami dla Emiratczyków czy Saudów, a Iran stał się dla nich wrogiem.

Często nam to umyka: wojna pomiędzy Izraelem a Hamasem ma wymiar religijny?
– Tak, nienawiść do Izraela na Bliskim Wschodzie ma głębokie podłoże religijne i bez interwencji przywódców duchowych nie da się jej okiełznać. Nowe pokolenie bardziej umiarkowanych przywódców islamskich i judaistycznych musi w końcu podnieść to, że są to wielkie religie monoteistyczne z jednego duchowego szczepu.

Jestem człowiekiem zupełnie niereligijnym i niewierzącym, ale zdaję sobie sprawę z potęgi religii na Bliskim Wschodzie i wiem, że sami politycy, nawet jeśli to są szejkowie, prezydenci, królowie, nie wystarczą.

Wracajmy powoli na nasze podwórko. Napisałby pan jeszcze raz o Franku Sterczewskim, który płynął we flotylli Sumud to, co rok temu?
– Tak, tyle że łagodniejszym tonem.

Cytuję: „Za udział w propagandowej akcji nazistowskiej organizacji terrorystycznej Hamas Sterczewski powinien być sądzony i ukarany w Izraelu. W Polsce ma bowiem podwójny immunitet: parlamentarny i społeczno-polityczny. Wspieranie terroryzmu jest u nas ścigane, chyba że są to terroryści wyspecjalizowani w mordowaniu Żydów. Życzę polskim nazistom z hamasowskich kutrów, żeby posiedzieli sobie w jednym z cieplutkich więzień na pustyni Negew. Oczywiście razem z palestyńskimi terrorystami pod jedną celą. Nauczy się, jak jest J...ć Żydów! po arabsku".

Przecież żąda pan postawienia go przed sądem.
– To była wypowiedź, w której bardzo pilnowałem, aby trzymać się wyłącznie idei praworządności. „Przełamywanie blokady" to jest rodzaj ataku na siły militarne, a jednocześnie wspieranie Hamasu. Nie mam zatem wątpliwości, że to działalność przestępcza. On i pozostali uczestnicy flotylli powinni siedzieć w więzieniu, ale aż tak praworządny Izrael nie jest, żeby zadzierać z tyloma krajami Zachodu i urządzać procesy ludziom, którzy zaatakowali kordon wojskowy i chcieli się przebić ze swoim poparciem dla terroryzmu.

Natomiast antysemici w swoim obłędzie nienawiści zobaczyli w tym wpisie coś, co by mi nigdy nawet nie przyszło do głowy! Podobno aluzyjnie życzyłem Sterczewskiemu tortur! Ruszyła wściekła nagonka w mediach, a redakcja „Polityki" została tak zastraszona przez funkcjonariuszy hamasowskiej propagandy, że mnie zawiesiła.

Swoją drogą, antysemici naprawdę wierzą, że co dziesiąty terrorysta siedzący w izraelskim więzieniu jest torturowany!

Dziwi się pan tym reakcjom? Rozpoczęliśmy rozmowę od nienawiści.
– Owszem, jestem bardzo pobudliwy, zapalam się, ale zaraz mi przechodzi. Mam jakby izraelski temperament, który w tamtym regionie świata jest akceptowany, a u nas nie.

Ostatnio jednakże to się u mnie zmienia. Może się starzeję? Ja już się nawet nie gniewam na antysemitów. Współczuję im, że przeżywają tyle negatywnych emocji. Ba, nawet wobec Brauna nie czuję już tego gniewu, co kiedyś.

Jak pan, polski patriota, polski Żyd, czuje się w Polsce, w której wszystko przesuwa się na prawo i w której Grzegorz Braun, pełnoprawny uczestnik życia politycznego, składa wpis w księdze kondolencyjnej w ambasadzie Iranu po śmierci Alego Chameneiego, który przez lata budował bliskowschodni terroryzm?
– Odtwarzają się schematy znane z czasów sanacji z Polski lat trzydziestych. Bardzo nad tym boleję, ale obawiam się, że zaszliśmy tak daleko, jeśli chodzi o sytuację międzynarodową i zagrożenie rosyjskie, że wyniki wyborów parlamentarnych w poszczególnych krajach naszego regionu schodzą na drugi plan.

Mam nadzieję, że nawet Braun rozumie, że jednak Polskę i inne kraje regionu trzeba obronić. Wierzę premierowi Tuskowi, który mówi nam codziennie, że jesteśmy w epoce przedwojennej. A jeśli tak, to kluczową sprawą jest nie to, czy antysemita Braun jest w parlamencie, tylko czy państwa europejskie będą w stanie stworzyć wspólny front.

Takie szczegóły, jak pochód Konfederacji przez Polskę nie mają większego znaczenia. Większe znaczenie mają wybory we Francji i wybory w Niemczech.

Mówił pan o osamotnieniu.
– Czy mogę czuć się inaczej w kraju, w którym Braun zdobywa kolejne punkty, a aktywista propalestyński Omar Faris zamieszcza epitafium na cześć zmarłego niedawno japońskiego terrorysty Kozo Okamoto? Braun idzie do ambasady irańskiej, Faris opłakuje terrorystę, który wziął udział w zamordowaniu 26 ludzi na lotnisku w Tel Awiwie. I żaden ostracyzm społeczny ich nie dotyka.

Zatem wychwalanie terrorystów, jeżeli to są terroryści mordujący Żydów, jest całkowicie akceptowalne. Ale najbardziej, jeszcze raz to powiem, było dla mnie szokujące, jak szybko część polskich Żydów spełniła oczekiwanie, aby grzecznie potępili Izrael i nie wdawali się w zbędne dyskusje.

Zatem nie tylko ja, ale każdy polski Żyd, który śmie mówić o antysemityzmie i pokazywać, jak niejednoznaczna jest katastrofa w Gazie, musi czuć się osamotniony. Między innymi również wokół mnie wytworzyła się próżnia, ponieważ jasno deklarowałem, że za wojnę i cierpienie cywili odpowiada Hamas. Okazało się, że to wyklucza z dyskursu i z towarzystwa.

Zawsze wierzyłem, że nienawistne komentarze antysemickie, które pojawiają się pod moimi tekstami, o czymkolwiek napiszę, to subkultura internetowa. Teraz widzę, jaki byłem naiwny. Ale naprawdę nie czuję już gniewu.

Często myślę, ile trwała solidarność z Izraelem po rzezi 7 października. Nasuwa się porównanie z 11 września 2001. Atak na World Trade Centre wstrząsnął światem i do dzisiaj budzi współczucie dla Amerykanów, będąc częścią światowej biografii cierpienia. Tymczasem 7 października wywołał, nie wiem, ułamek tej reakcji. I już po kilku dniach, podniosła się fala nienawiści do Izraela, zalewając wszystkie kraje zachodnie. Podkreślam, po kilku dniach.

Okazało się, że Hamas lepiej zna na się na ludziach niż Żydzi.

Nie przesadza pan?
– Dla pana to może być przesada, dla mnie uwolnienie od złudzeń. Niezależnie, jak będzie wyglądał Izrael po wyborach, na pewno za mojego życia nie będzie już w Polsce tego, o czym marzyłem i co wydawało się na wyciągnięcie ręki – normalności, zwykłego, neutralnego stosunku do Żydów, minimum przyzwoitości i zdrowego rozsądku.

„Wojna kognitywna" została przez Izrael przegrana. A terroryści triumfują. ●

1 RP

> Dopiero po rzezi zdecydowana większość Izraelczyków przestała wierzyć w idealistyczny projekt rozwiązania dwupaństwowego

Jeśli chodzi o stosunki z Zachodem, to Izrael bardzo dużo stracił. Polityka przyjaźni rozbiła się o dziedziczony kulturowo i zawsze gotowy wybuchnąć na nowo masowy antysemityzm. A stosunki z Ameryką stoją dziś pod znakiem zapytania i są bardzo rozchwiane, bo antyizraelskość w Ameryce po raz pierwszy osiągnęła znaczne rozmiary.

Jednakże najbardziej przegrał Izrael w polityce wewnętrznej, gdyż wojna doprowadziła do zdziczenia w stosunkach politycznych. Jeżeli nie dojdzie do zmiany rządu, Netanjahu nie odejdzie i nie powstanie inna koalicja, Izrael będzie politycznie gnił od środka. Podkreślałem izraelską praworządność, ale przyszłość demokracji jest tam zagrożona.

To, co wyrosło na prawo od Likudu, czyli partii Netanjahu, jest absolutnie nie do zaakceptowania w cywilizowanej polityce. Dlatego cała inteligencja żydowska w diasporze i w Izraelu, ta liberalno-lewicowa, świecka, niecierpliwie czeka na nadchodzące wybory, licząc, że powstanie nowa koalicja.

Nowy rząd w Izraelu, jeśli powstanie, jest w stanie zaproponować coś Palestyńczykom, czy po prostu wróci do „przycinania trawnika", czyli uderzania raz na jakiś czas w terrorystów, z pełną świadomością, że odbudują struktury?
– Nie ma wyboru: jeśli śmierć 80 tysięcy Palestyńczyków i 3 tysięcy Żydów ma do czegoś doprowadzić, to konieczny jest wielki gest i wielka propozycja. Nic innego tu nie zadziała.

Powtórzę, że Żydzi są aroganccy i przypisują sobie jakieś nadzwyczajne kwalifikacje moralne. Zatem teraz powinni wznieść się ponad wojenną dzikość. Bo wojna degraduje wszystkich, Izraelczyków też.

eprasa.pl ed2416b7a2

Galia Petkowa, standuperka, właścicielka pierwszego baru dla lesbijek w Sofii

O CZYM MARZĄ KOBIETY I OSOBY LGBT+ W BUŁGARII?

Kamelia Cenewa i Dorotea Stefanowa z Fundacji Lespectra

Mimi Sziszkowa, prawniczka i aktywistka

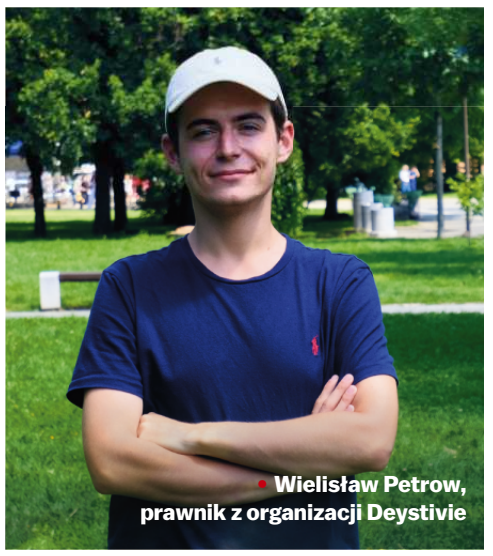

Wielisław Petrow, prawnik z organizacji Deystivie

Rosjanin dostał w Bułgarii status uchodźcy, Białorusin nie. „Już trzy lata walczymy, by mógł tu zostać z mężem".

Tekst i zdjęcia:
Anna Wyrwik

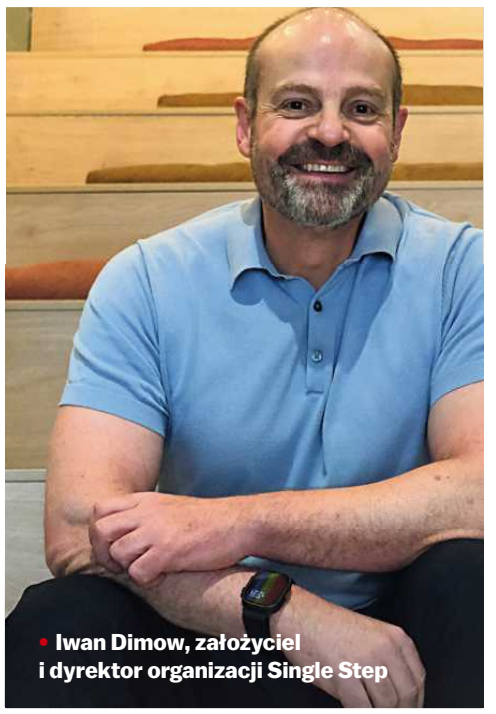

Iwan Dimow, założyciel i dyrektor organizacji Single Step

International Lesbian, Gay, Bisexual and Intersex Association (ILGA) – wspiera społeczność LGBT+ – czy też LGBTI, gdzie „I" oznacza mieszczącą w sobie różne tożsamości i opcje „interpłciowość" – od 1978 roku.
Zrzesza 2,3 tys. organizacji członkowskich ze 170 krajów na wszystkich kontynentach. Od 2009 co roku jej europejska filia publikuje Tęczową Mapę, obejmującą 49 państw, sklasyfikowanych pod względem praktyk prawnych i politycznych wobec osób nieheteronormatywnych w skali od 0 do 100 proc.

Chodzi zarówno o działania systemowe, od tak oczywistych jak wolność zgromadzeń czy wolność słowa, przez ustawy dotyczące równości małżeńskiej, prawa do rejestrowania związków jednopłciowych, procedury umożliwiające prawne uzgodnienie płci i systemową ochronę prawną osób LGBT+, po zachowania w przestrzeni społecznej – przestępstwa z nienawiści i mowę nienawiści.

W tegorocznym rankingu pierwsze miejsce zajęła Hiszpania – 89 proc., drugie Malta (88 proc.), a trzecie Islandia (86 proc).
Wśród państw Unii Europejskiej najgorzej wypadły: Rumunia (42. pozycja i 19 proc.), Bułgaria (40. pozycja i 20 proc.) i Polska (39. pozycja i 22 proc.).

– Ten wynik bardzo dobrze odzwierciedla sytuację w naszym kraju – mówi Iwan Dimow, założyciel i dyrektor bułgarskiej organizacji Single Step, która od 10 lat wspiera osoby LGBT+ w tym kraju.

Siedzimy w centrum społeczno-kulturalnym The Steps na ulicy Braci Miładinow w centrum Sofii, gdzie prócz siedziby fundacji jest miejsce na konferencje, wydarzenia korporacyjne, warsztaty artystyczne, zajęcia jogi, pokazy drag queens i weekendowe imprezy.

Single Step powstała po tym, jak pewien człowiek opowiedział Dimowowi, że chciał popełnić samobójstwo, bo bycie gejem w Bułgarii go przytłoczyło. Dimow po 20 latach w Nowym Jorku i Sydney postanowił wrócić.

– Zbudowaliśmy sieć psychologów w całym kraju, najpierw na czacie online, a następnie stacjonarną – opowiada z iskrą w oku, która została mu jeszcze z Ameryki.

Według raportu „Postawy wobec uczniów LGBTI w szkołach bułgarskich", sporządzonego na podst. badań Single Step w 2024 r. wśród ponad tysiąca uczniów ze wszystkich 28 regionów kraju, 60 proc. osób nieheteronormatywnych w wieku licealnym planuje wyjechać z kraju z powodu niechęci do osób LGBT+.

Drugim powodem jest ekonomia. Bułgaria od lat ma najniższe w UE wskaźniki ekonomiczne:
– PKB per capita w 2025 r. wyniósł 28 300 euro przy średniej unijnej 41 600
– Indeks Percepcji Korupcji (wskaźnik poziomu korupcji) za 2025 r. wyniósł 40, przy średniej unijnej 62.

– Wszystko się ze sobą wiąże – tłumaczy Dimow. – Młode osoby LGBT+ są dręczone w domu, w szkole, w mediach, wszyscy dają im do zrozumienia, że nie są częścią społeczności, a potem idą do pracy i też nie mogą być sobą. Jak mają być produktywni, nie będąc sobą? Wyjeżdżają więc z kraju. A Bułgaria pozostaje najbiedniejszym państwem Unii. Do tego najbardziej skorumpowanym. Pomyśl, jak w kraju z taką niechęcią do osób LGBT+ można szantażować polityka czy biznesmena ukrywającego, że jest gejem.

Single Step nie tylko organizuje pomoc psychologiczną, ale też prowadzi centrum karier, dzięki któremu osoby LGBT+ mają szansę znaleźć pracę w tolerancyjnych miejscach. I zastępuje państwo w dziedzinie ochrony zdrowia.

Problemem osób LGBT+ w korzystaniu ze służby zdrowia jest stygmatyzacja. Dlatego wiele z nich przez lata nie robiło testów na HIV. Lub w ogóle nie chodziło do lekarza, bo wielu lekarzy nie ma odpowiedniej wiedzy albo po prostu chęci, by np. udzielać porad medycznych dotyczących tranzycji. W 2025 r. Single Step nawiązała pierwsze partnerstwo z lokalnym prywatnym ośrodkiem zdrowia, skoncentrowane na profilaktyce w zakresie ginekologii, chorób wewnętrznych, dermatologii, psychologii i otorynolaryngologii. – Usługa ta obejmuje bezpłatne badania kontrolne i zabiegi kosmetyczne w obniżonej cenie, wykonywane przez specjalistów – cieszy się Dimow. – Utworzyliśmy pierwszą sieć lekarzy rodzinnych przyjaznych osobom LGBT+ w Sofii.

●

W siedzibie Deystvie, w centrum Sofii, w sąsiedztwie Narodowego Pałacu Kultury, spotykam się z parą młodych prawników, Wielisławem Petrowem i Joanną Radojewą.

Deystvie oznacza „działanie" w sensie prawnym, np. działanie prawa albo konkretnego przepisu. Organizacja pod tą nazwą powstała w 2010 r. i jest jedną z najstarszych bułgarskich instytucji działających na rzecz osób LGBT+. Przez lata współorganizowali Sofia Pride, organizują m.in. Forum Praw Człowieka i Festiwal Filmów Równości , ale przede wszystkim zapewniają wsparcie prawne.

Petrow i Radojewa są w dobrych humorach, bo po raz pierwszy od 2020 r. bułgarski sąd pozwolił na zmianę płci i imienia po tranzycji płciowej. To efekt orzeczenia TSUE z marca tego roku w tej sprawie. Dziś, ponad dwa miesiące po naszym spotkaniu, w Bułgarii jest już więcej takich przypadków.

Wszystko to jest konsekwencją sprawy Szipowa – nazwisko jest fikcyjne dla zachowania anonimowości – w której mieszkająca we Włoszech obywatelka Bułgarii będąca po tranzycji walczyła o prawne uznanie tożsamości płciowej obywatelki Bułgarii, mieszkającej we Włoszech, będącej po tranzycji. Deystvie wygrało sprawę przed Trybunałem Sprawiedliwości Unii Europejskiej.

Problem polegał na tym, że w Bułgarii brak jest wyraźnej procedury w prawie krajowym, która by to przewidywała. A problem nie jest tylko godnościowy czy formalny, przekłada się na realne życie – dla osoby po tranzycji taka sytuacja powoduje, że w pracy musi wciąż posługiwać się „deadname", czyli nieistniejącą już tożsamością, a ze względu na nietolerancyjne środowisko często do tej tożsamości dopasować swój wygląd i zachowanie.

eprasa.pl ed2416b7a2

– Pilnie potrzebujemy zmian legislacyjnych, mogących rozwiązać większość problemów, z którymi borykają się osoby LGBT+ w Bułgarii – mówi Radojewa. – Ważne też, by bułgarskie sądy zaczęły przestrzegać orzeczeń TSUE i Europejskiego Trybunału Praw Człowieka – dodaje Petrow.

Opowiadają o kolejnych sprawach.

Jedna dotyczy zawartego w Danii małżeństwa Rosjanina i Białorusina. Para przyjechała do Bułgarii. Rosjanin ze względu na swoją działalność opozycyjną ma status uchodźcy, więc może zostać Białorusin takiego statusu nie posiada.

– Bułgarski system prawny nie uznaje małżeństw tej samej płci, więc ich związek nie jest argumentem za tym, by wydać mu pozwolenie na pobyt – tłumaczy Petrow. – Już trzy lata walczymy o to, by mógł tu zostać z mężem.

Prawnicy Deystvie reprezentują przed TSUE i ETPC wiele par, które zawarły związek małżeński w UE i chcą go uznać w Bułgarii. Zgodnie z wyrokiem TSUE z listopada 2025 r. powinny móc to zrobić.

Z polskiego przykładu wiemy jednak, że nie jest to takie oczywiste. 31 sierpnia magazyn „Replika” pisał o 268 parach, które dokonały w naszym kraju transkrypcji zagranicznych aktów małżeństw jednopłciowych.

W Bułgarii takich par jest zero.

– Obecnie przed sądami bułgarskimi nie toczą się żadne tego typu sprawy – mówi Petrow. – Trwa jednak postępowanie w sprawie rozwodu pary jednopłciowej, której małżeństwo zostało zawarte za granicą. Ostateczny wyrok może okazać się przełomowy.

●

Jest jeszcze jedna historia, o której warto wspomnieć. „Baby Sara” to najgłośniejsza sprawa Deystvie, która świetnie pokazuje poziom prawnego absurdu. Prowadziła ją Denica Ljubenowa, szefowa działu prawnego Deystvie.

Sara to urodzona w 2019 r. córka dwóch lesbijek, Kaliny, obywatelki Bułgarki, i Jane, posiadającej brytyjskie obywatelstwo Terytoriów Zamorskich, bo urodzonej na Gibraltarze. To tam w 2018 r. kobiety wzięły ślub.

Hiszpania odmówiła Sarze obywatelstwa, ponieważ jej mamy nie są Hiszpankami. Jane nie mogła przekazać obywatelstwa dziecku, ponieważ urodziła się poza Wielką Brytanią.

Pozostała Bułgaria. Gmina Sofia odmówiła wydania aktu urodzenia, ponieważ wnioskodawczyni nie chciała pokazać dowodów zawierających informacje o pochodzeniu dziecka od jego biologicznej matki.

– Para heteroseksualna nigdy nie byłaby poproszona o taki dokument – zaznacza Radojewa.

Sprawa trafiła do sądu, a ten zwrócił się o opinię do TSUE, który w 2021 r. orzekł na korzyść Sary. W czerwcu matki wniosły o wydanie aktu urodzenia, ale gmina Sofia się nie zgodziła. Deystvie wniosła apelację do Naczelnego Sądu Administracyjnego, ale ten orzekł, że między Sarą i jej matką nie ma pokrewieństwa, więc nie dostanie obywatelstwa. W końcu Sara została obywatelką Hiszpanii.

Takich dzieci jak Sara jest w Unii około 100 tysięcy.

Decyzja TSUE w sprawie „Baby Sara” doprowadziła do próby wprowadzenia we Wspólnocie rozwiązań legislacyjnych, które zobowiązywałyby państwa unijne do uznania rodzicielstwa dziecka.

W 2021 r. „Strategię UE na rzecz praw dziecka” w Radzie Unii Europejskiej zablokowały Polska i Węgry, argumentując, że dokument promuje ideologię gender, wspiera środowiska LGBT+ i tak dalej. W wyniku kompromisu strategia weszła w życie rok później.

●

Wszyscy, z którymi rozmawiam o prawach osób LGBT+ w Bułgarii, prędzej czy później mówią o polityce, a jak mówią o polityce, to mówią o Rosji, Kremlu i dezinformacji.

– Społeczny strach przed LGBT+ rozkręcił się w 2004 r. wraz pojawieniem się platform

60

PROC.
• **nieheteronormatywnych Bułgarów w wieku licealnym zamierza wyjechać z kraju**

0

PAR
• **dokonało w Bułgarii transkrypcji zagranicznych aktów małżeństw jednopłciowych. W Polsce – 268**

59

PROC.
• **Bułgarów czuje się niekomfortowo spotykając się osobiście z parą tej samej płci**

społecznościowych i algorytmów. Obecnie jest jedną z głównych sił napędowych prawicy, wykorzystywaną jako narzędzie do tworzenia podziałów – mówi Mimi Sziszkowa, absolwentka prawa, aktywistka i specjalistka od rozpoznawania propagandy, dezinformacji i manipulacji politycznych, z którą spotykam się w The Steps.

W 2024 r. parlament Bułgarii uchwalił nowelizację ustawy o oświacie, rozszerzając jej zakres w celu zakazania „propagandy LGBTQ+” w szkołach. Ustawa zakazuje „propagowania, popularyzowania lub promowania w systemie oświaty – w jakikolwiek sposób, bezpośrednio lub pośrednio – idei i poglądów związanych z nietradycyjną orientacją seksualną lub określaniem tożsamości płciowej jako inna niż biologiczna”.

– Ta ustawa dała przyzwolenie na znęcanie się nad dziećmi w szkole – mówi Petrow z Deystvie.

Z raportu Single Step wynika, że:

• **75 proc.** młodzieży LGBT+ „ukrywa swoją orientację seksualną przed wszystkimi nauczycielami”.

• **74 proc.** „ujawniło ją tylko niewielkiej grupie kolegów z klasy lub nikomu”.

• **68 proc.** „w ciągu ostatniego roku czuło się niebezpiecznie w szkole ze względu na swoją orientację seksualną”,

• **54 proc.** „unika co najmniej jednego miejsca w szkole lub jej okolicy, ponieważ czuje się tam zagrożona lub niebezpiecznie”.

• **83 proc.** badanych przyznało, że często lub bardzo często słyszało w szkole homofobiczne obelgi od innych uczniów,

• **68 proc**. słyszało takie obelgi od swoich nauczycieli lub innych pracowników szkoły.

• **24 proc.** było ofiarami „przemocy fizycznej (np. popychania lub szarpania)”,

• **12 proc.** badanych doświadczyło „napaści fizycznej (np. bicia, kopania lub uderzenia bronią)”.

• **50 proc.** rozważało samobójstwo.

Wszystkie te wyniki są gorsze niż w raporcie 2018 roku.

– To prawo jest bardzo szkodliwe. Wszystkie przepisy, konstytucja Bułgarii, orzeczenia TSUE i ETPC mówią, że jest niedopuszczalne i powinno zostać natychmiast zmienione – mówi Radojewa.

Nie zostało. Warto zaznaczyć, że było wzorowane na podobnej ustawie węgierskiej z 2021 r., która była wzorowana na ustawie rosyjskiej.

– Wszystko to jest częścią tego, co nazywamy kremlowskim podręcznikiem – tłumaczy Dimow. – Typowa rosyjska narracja, czyli że LGBT+ jest importowane z Zachodu.

Dimow wspomina młodość w komunistycznej Bułgarii, gdy temat LGBT+ nie istniał. Wówczas to nie byli ludzie ani dobrzy ani źli, bo po prostu nie było ich w świadomości w ogóle.

– Nie było, ponieważ nie istniał język, który by ich nazywał – tłumaczy Sziszkowa. – Zresztą wciąż nie istnieje. W bułgarskim nie mamy słów do nazywania wielu zjawisk, więc czerpiemy te słowa z Zachodu. Przykładem jest LGBTQI. Łatwo zaatakować taki skrót, który brzmi jednocześnie obco, groźnie i sztucznie, jak akronimy z politycznej, biurokratycznej czy korporacyjnej nowomowy.

Podobnie jak łatwo zaatakować słowo „gender”, o czym w Polsce świetnie wiemy. W Bułgarii jest podobnie i „gender” często używane jest jako obelga.

– My, Bułgarzy i Bułgarki, nie wiemy, kim jesteśmy – mówi Sziszkowa. Ma na myśli to, że jej rodacy nie do końca wiedzą, kim są, zawieszeni między Wschodem i Zachodem, między komunistyczną i postkomunistyczną przeszłością a niejasną przyszłością. Bo podgryzany w kwestii dobrobytu przez Chiny, a kulturowo i militarnie porzucany przez Amerykę Zachód przestaje być tym, do czego przez dekady aspirowano – a wtedy rosyjska propozycja „żeby było jak dawniej, gdy panował ład i porządek” jawi się jako nieoczekiwanie atrakcyjna.

– Żywimy się bajkami rosyjskiej propagandy, które mają na celu jedynie odciągnięcie nas od współczesności i pozostawienie w tyle.

●

Bułgarskie organizacje i fundacje LGBT+ utrzymują się z grantów i programów prywatnych fundacji oraz ze środków z zagranicy. Rząd nie zapewnia żadnych pieniędzy na takie działania. Nic nie wskazuje, by miało się to zmienić.

W styczniu 2026 r. Rumen Radew zrezygnował z urzędu prezydenta Bułgarii, by założyć partię polityczną Postępowa Bułgaria i wystartować z nią w wyborach parlamentarnych. Wygrał z wynikiem 44,6 proc. i został premierem. W kampanii unikał konkretów.

– Według mnie Radew jest bardziej niebezpieczny niż poprzednicy, bo nie wiemy, czego się po nim spodziewać – mówi Sziszkowa.

Na razie premier próbuje lawirować. W Europie stara się udawać proeuropejskość. Choć nie zawsze mu to wychodzi.

– Bułgarski rząd jest wyraźnie prorosyjski – ocenia Sziszkowa. – Ministra spraw zagranicznych Welisława Petrowa-Czamowa powiedziała, że Bułgaria nie będzie popierać symbolicznych gestów przeciwko Rosji. W lipcu z powodu sprzeciwu Bułgarii Unia Europejska nie nałożyła sankcji na patriarchę Cyryla, zwierzchnika Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej, i na Wagita Aleksperowa, rosyjskiego miliardera powiązanego z Kremlem oraz koncernem naftowym Łukoil.

W Bułgarii z działaniem według – jak to nazwał Dimow – kremlowskiego podręcznika Radew się nie kryje. Pokazał to podczas tegorocznego Miesiąca Dumy.

– W czerwcowej Paradzie Równości w Sofii wzięło udział prawie 20 tys. osób – mówi Simeon Wasilew z Fundacji GLAS (Gays & Lesbians Accepted In Society), organizatora Sofia Pride.

Wydarzeniu towarzyszyło Forum Biznesowe, Sofia Pride Arts, Sofia Pride Film Fest, Sofia Pride Sports i inne imprezy. Na koncercie wystąpiła Dara, tegoroczna zwycięzczyni Eurowizji.

– Pierwsza Sofia Pride w 2008 roku była kameralna – wspomina Wasilew. – Dziś to jedno z największych wydarzeń na rzecz praw człowieka w Bułgarii. Wiele ambasad i instytucji międzynarodowych publicznie nas wspiera, wywieszając tęczowe flagi lub wydając oświadczenia solidarności.

Co się przez te lata nie zmieniło?

Ani Urząd Miasta Sofii, ani żadna publiczna instytucja nigdy flagi nie wywiesiła. Nie zmieniły się też negatywne komentarze płynące z ust polityków, szczególnie z prawej strony sceny, którzy nazywają paradę „zagrożeniem dla dzieci, rodzin i tradycyjnych wartości”. Nie zmieniło się też to, że prawa strona paradę chce na różne sposoby powstrzymać. Prawa do pokojowych zgromadzeń chroni jednak bułgarska konstytucja.

Sofia Pride pozostaje jedynym corocznym tego typu wydarzeniem w Bułgarii. Kilka lat temu odbyła się jedna edycja Parady Równości w Burgas, ale spotkała się z gwałtownymi kontrmanifestacjami i więcej nie była już organizowana.

Od 2018 r. Sofia Pride ma konkurencję – Miesiąc Rodziny. Kontrmarsz wykorzystuje wszelkie możliwe wątki prawicowej i konserwatywnej propagandy wymierzonej nie tylko w osoby LGBT+, ale i w prawa kobiet.

– W tym roku po raz pierwszy partia rządząca oficjalnie poparła Miesiąc Rodziny. Postępowa Bułgaria określa się mianem partii proeuropejskiej, więc tym bardziej niepokojącym sygnałem jest to, że przyjmuje retorykę kojarzoną z ruchami antyeuropejskimi i skrajnie prawicowymi – martwi się Wasilew. – Na dodatek bułgarska telewizja publiczna została partnerem medialnym wydarzenia!

●

Ponownie idę do The Steps. Tym razem, by spotkać się z Kamelią Tzenewą i Doroteą Stefanową z Lespectr, organizacji walczącej o prawa queerowych kobiet i osób niebinarnych, prowadzącej intersekcjonalną platformę medialną.

– Naszym celem jest, by w bułgarskiej przestrzeni publicznej było więcej informacji o aktywizmie i problemach osób LGBT+. U nas bardzo mało osób mówi w ogóle o jakichkolwiek grupach marginalizowanych. Media głównego nurtu nie podejmują tematu – mówi Tzenewa i zwraca się bezpośrednio do mnie: – To, co teraz robisz, w Bułgarii nie mogłoby mieć miejsca.

Tzenewa i Stefanowa są młode i mają w sobie wiarę charakterystyczną dla wszystkich młodych aktywistek i aktywistów, którzy z błyskiem w oku i podniesionymi głowami stają naprzeciwko zadowolonych z siebie, aroganckich, noszących garnitur, jak bojówkarski uniform, polityków o średniowiecznych poglądach.

W Bułgarii trudno o innych. Jedyną opcją, na którą środowisko LGBT+ może głosować, jest proeuropejska i jako tako liberalna koalicja partii Kontynuujemy Zmianę i Demokratyczna Bułgaria, które w parlamencie działają osobno, ale startując razem w ostatnich wyborach, uzyskały 12,62 proc.

– Podobno to dla nas jedyna opcja, ale tak naprawdę oni nie zajmują stanowiska w kwestiach społecznych, jakby nie chcieli zrazić do siebie ludzi – mówi Tzenewa. – Gdy uchwalano prawa przeciwko LGBT+, byli nieobecni albo nieprzygotowani. A niektórzy politycy uważający się za proeuropejskich mówią coś w stylu: „Nawet na Zachodzie ograniczają prawa LGBT+, więc weźmy z nich przykład, bo oni poszli za daleko i teraz przez to cierpią”.

Spotykamy się w The Steps, bo to miejsce, gdzie osoby LGBT+ w Sofii czują się bezpiecznie. Nie wszędzie tak jest.

– Myślałam o wywieszeniu flagi na balkonie, ale nie mam pieniędzy na ewentualną wymianę okien – mówi Tzenewa, gdy pytam o to, dlaczego w Sofii nie ma tęczowych barw. Jedyna tęcza, jaką widziałam, to ta w napisie „#VISIT SOFIA”, nawiązująca raczej do radosnych emocji niż do różnorodności płciowej i tożsamościowej. – Może w jakimś przedszkolu jeszcze się znajdzie – ironizuje Stefanowa. – Ruch anty-LGBT twierdzi, że ukradliśmy tęcze dzieciom.

Strach o szyby w oknach nie jest przesadą. Od wielu osób słyszę opowieści o tym, co spoty-

eprasa.pl ed2416b7a2

ka osoby LGBT+ na ulicach stolicy Bułgarii. Obrażanie, zaczepki, pobicia. Dlatego większość osób w przestrzeni publicznej stara się wtopić w tłum. Tzenewa mówi, że wczoraj po raz pierwszy widziała w Sofii parę całujących się chłopaków. – To było wzruszające! Mieli około 16 lat. Może nadchodzi nowe pokolenie.

Optymistyczna scenka rodzajowa miała miejsca w najstarszym i największym parku Sofii – Borisova Gradina, czyli Ogrodzie Borysa. Czyli tam, gdzie 30 września 2008 r. doszło do głośnego morderstwa. 25-letni student medycyny Michaił Stojanow zginął z ręki dwóch młodych mężczyzn, którzy mówili potem, że „czyścili park z gejów".

– Znam wiele osób, które zostały zaatakowane za to, że wyglądały zbyt queerowo. Przez to ludzie bardzo się pilnują – mówi Stefanowa.

Jeśli ktoś się nie dopasuje, może usłyszeć np. „Zabijemy was, pedały". Słowo „pedał" w bułgarskim oznacza to samo, co w polskim i jest podobnie używane. Czyli zarówno, by obrazić osobę o innej orientacji seksualnej, jak i by obrazić kogoś tak po prostu.

●

– Było popołudnie. Minęłam się z nim. Powiedział „pedał" i odszedł. Po chwili usłyszałam, że za mną biegnie. Dogonił mnie. Pobił. Wybił cztery zęby.

Galia Petkowa pochodzi z Dobricza, 80-tysięcznego miasta położonego na wschodzie kraju. Mówi, że było tam ciężko i w końcu mama powiedziała jej, że jeśli nie może zmienić swojej orientacji seksualnej, powinna przeprowadzić się do większego miasta. Wyjechała do Sofii. Tu w 2004 r. otworzyła Club Essence, pierwszy w Bułgarii bar dla lesbijek.

– Przychodziło do nas wiele dziewczyn, dla których to było jedyne miejsce, gdzie mogły być sobą, trzymać się za ręce, całować i tak dalej – wspomina Petkowa, gdy siedzimy w barze 65 Fireflies, w centrum miasta. – Teraz takich miejsc jest więcej, bo klimat się trochę zmienił. Tyle że wtedy nas nie bili.

I tu opowiada historię pobicia sprzed czterech lat. Stało się to w Sofii, niedaleko jej domu, gdy spacerowała z psem. Policjanci powiedzieli, że nie mogą znaleźć sprawcy, mimo że Petkowa go kojarzyła. Powiedzieli, że może dokonać obywatelskiego aresztowania. Spytała: „Za co ja wam płacę z moich podatków?".

Petkowa jest też pierwszą w Bułgarii queerową stand-uperką. Jej spektakl nosi znaczący tytuł „Normal". – Opowiada o moim życiu i o wszystkim tym, czego ludzie nie uważają za normalne, mimo że jest normalne. Ktoś kiedyś powiedział, że normalne jest tylko to, co robią osoby heteroseksualne. Przecież my robimy to samo. Jakie ma znaczenie, czy ktoś jest homo, hetero czy trans? Mamy to samo ciało. Wszyscy potrzebujemy miłości, zrozumienia, wsparcia, poczucia bezpieczeństwa. Wszyscy jesteśmy ludźmi.

Na razie Petkowa występuje tylko w Sofii, bo nie wie, co by się stało, gdyby spróbowała pokazać „Normal" w innym mieście. Może Warna albo Płowdiw? To dwa największe po Sofii, a więc i najbardziej, w dobrym tego słowa znaczeniu, kosmopolityczne miasta Bułgarii, dlatego od niedawna tam też działają organizacje na rzecz osób LGBT+. Nigdzie indziej.

Pytam ją o potrzebę zmian. Czego by chciała najbardziej? Co uważa za najpilniejsze?

– Mówię to zawsze i wszędzie, na scenie i w rozmowach z ludźmi: „Nie chcę więcej praw. Chcę, byśmy mieli te same prawa!".

●

O potrzebę zmian pytam wszystkich.

– Edukacja – odpowiada bez namysłu Sziszkowa. – Tylko ona może sprawić, że ludzie przestaną wierzyć w brednie, np. te dotyczące osób LGBT+, jak to uczą dzieci seksu. A po drugie walka z korupcją, bo to korupcja trzyma ludzi w ryzach.

Dimow mówi o potrzebie zmian w mentalności ludzi. – Nas jako ludzi definiuje charakter, który jest mieszanką tysiąca rzeczy. W moim przypadku jedną z nich jest to, że jestem gejem. Jednak nie można oceniać mnie tylko na podstawie tej cechy. A to właśnie robi społeczeństwo. Nieważne, co zrobię, jakie sukcesy osiągnę, czy jakich doznam porażek, definiuje mnie tylko bycie gejem.

Na stronie Lespectra czytam: „Naszą misją jest stworzenie przestrzeni, w której kobiety i osoby LGBTQI+ mogą marzyć, dzielić się pomysłami i wspólnie pracować na rzecz zjednoczonego i sprawiedliwego świata".

– O czym marzą kobiety i osoby LGBT+ w Bułgarii? – pytam. Zapada cisza.

– Myślę, że umieściłyśmy tu to zdanie, ponieważ zapomniałyśmy, jak to jest marzyć. I chcemy zacząć marzyć na nowo. Ostatnio rozmawiałam z osobą, która mówiła mi, że za każdym razem, gdy wyjeżdża do zachodniego kraju, ciągle trzyma się za rękę ze swoją partnerką. Chcą się tym nacieszyć, wykorzystać czas, gdy czują się bezpiecznie. A potem zawsze trochę płaczą.

●

W jednym z miasteczek nad Morzem Czarnym rozmawiam z młodym chłopakiem, który kelneruje w restauracji ojca. Wyższe wykształcenie, bardzo dobra angielszczyzna, aż pali się, by dyskutować o polityce. Marzy, by w końcu wyjechać gdzieś za granicę i zobaczyć świat.

Mówię mu, że jadę do Sofii pisać reportaż o sytuacji osób LGBT+ w Bułgarii. – Wiesz... – mówi. – Dla mnie LGBT są OK, ale nie rozumiem, dlaczego muszę ich widzieć wszędzie w przestrzeni publicznej.

Po czym dodaje, że społeczeństwo bułgarskie jest konserwatywne i niegotowe. Potwierdzając mimowolnie, że Bułgaria jest w ogonie Unii Europejskiej, jeśli chodzi o traktowanie osób LGBT+, nie tylko systemowo, ale i w wymiarze ludzkim, emocji społecznej, odruchowych reakcji. Bo bułgarska ulica do nieheteronormatywności ma stosunek taki, jak polska dekadę-dwie temu: „niech się kochają, ja nikomu do łóżka nie zaglądam, sam, sama takich znam, ale czy muszą się tak publicznie całować w tych skórzanych majtkach".

Mimo że Bułgarię od sąsiadujących z nią w rankingu ILGA Rumunii, Polski czy Węgier nie dzieli duża różnica punktowa, różnica „życiowa", obserwowana na codziennej ulicy jest widoczna. I to nawet w porównaniu do gorzej wypadającej w suchym rankingu Rumunii.

Ulice Bukaresztu czy Timisoary są bardziej kolorowe, młodzi ludzie z ich fantazją i indywidualizmem są widoczni, a orientacja i płeć są składowymi tej ekspresji – i z wyjątkiem patologicznych jednostek, które nie umieją ukryć niechęci czy pohamować agresji, nikt nie robi z tego problemu. Zupełnie jak w Budapeszcie, Krakowie czy Warszawie.

Sofia jest pod tym względem szara, a o innych miastach Bułgarii nie ma co wspominać.

Choć pojawia się coraz więcej kolorowych łat i lekki powiew optymizmu. Z badań tej samej Fundacji GLAS wynika, że z roku na rok niewielki, ale jednak jakiś tam procent ludzi coraz przychylniej patrzy na osoby LGBT+. „Im więcej bezpośrednich kontaktów z osobami LGBTI, tym większe prawdopodobieństwo przełamania barier wynikających z dominujących stereotypów" – piszą autorzy badania.

W 2025 r. 59 proc. bułgarskiego społeczeństwa nadal czuło się niekomfortowo, spotykając się osobiście z parą tej samej płci. Mimo to 50 proc. uważało się za osoby tolerancyjne w stosunku do LGBT+. I już aż 47 proc. nie zmieniłoby swojego stosunku do bliskiego członka rodziny, gdyby był osobą LGBT+. ●

Kraj/34455492

1 RP

eprasa.pl ed2416b7a2

FOT. GETTY IMAGES

NASZE DZIECI SĄ GŁUPSZE NIŻ MY?

Angielskie nastolatki właśnie udowodniły, że te bezsensowne, wkuwane na pamięć regułki, daty i bitwy działają.

Kamil Fejfer

W pierwszej połowie września poznaliśmy wyniki zeszłorocznych testów PISA badających umiejętności uczniów, którzy ukończyli 15 lat. Prowadzony od ponad ćwierćwiecza program sprawdza kompetencje w zakresie czytania, matematyki i nauk przyrodniczych. Zeszłoroczni 15-latkowie z krajów rozwiniętych wypadli najgorzej w historii badania.

Polskie nastolatki poradziły sobie całkiem nieźle. Ale niestety lepiej niż ich starsi dziś koledzy w poprzednich latach. Jedynie – lub aż – udało nam się powstrzymać spadek ich kompetencji intelektualnych. Młodzież z bogatych krajów naprawdę jest coraz głupsza.

I to nie jest jojczenie człowieka w średnim wieku, przekonanego, że ludzkość osiągnęła szczyt rozwoju w momencie jego młodości (co oczywiście jest prawdą). Mamy wiele przekonujących dowodów na to, że dzieje się coś naprawdę niepokojącego. Pytanie nie brzmi „czy młodzi głupieją", tylko dlaczego tak się dzieje?

„Wyniki Programme for International Student Assessment wśród państw OECD uległy pogorszeniu, a średnie osiągnięcia w zakresie nauk przyrodniczych, czytania i matematyki spadły do?? najniższego poziomu w historii badania" – czytamy na stronie Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju, odpowiadającej za przeprowadzenie testów.

Z każdą edycją – a sprawdziany są przeprowadzane co 3 lata – do programu przystępowało coraz więcej uczestników. W ostatnim rozdaniu w testach wzięło udział 91 krajów, ale też regionów, na przykład wybrane bogate prowincje Chin; tam zresztą 15-latkowie osiągnęli najlepsze noty.

Testy wypełniło w sumie ponad 760 tysięcy młodych osób, co było grupą reprezentatywną dla 33 milionów nastolatków na całym świecie.

Sprawdziany nie mają charakteru egzaminów wpływających na dalszą ścieżkę edukacyjną. Nie są też częścią lokalnych systemów edukacji i nie odnoszą się wprost do stopnia opanowania przez uczniów treści z miejscowych programów nauczania. To międzynarodowy i zestandaryzowany test wiedzy ogólnej i umiejętność logicznego rozumowania.

W jednym z zadań z poprzednich edycji pojawiła się na przykład prośba o uszeregowanie kraterów meteorytowych pod względem wielkości oraz określenie, który był najstarszy. Wbrew pozorom to ostatnie polecenie nie było trudne – kratery na siebie zachodziły, najnowszy więc musiał być ten, który zachował się w całości. Inne pytanie odnosiło się do internetowej dyskusji, w której kobieta pytała na forum o to, czy może podać swoim kurom antybiotyki. Test polegał na precyzyjnym rozumieniu tekstu pisanego.

Z raportu „Gotowi na przyszłość? Umiejętności piętnastolatków w zmieniającym się świecie" Instytutu Badań Edukacyjnych możemy się dowiedzieć, że w zeszłym roku testom poddano w sumie nieco ponad 7 tys. polskich uczniów, którzy byli reprezentatywni dla ogólnej liczby około 400 tys.15-latków.

2 RP

eprasa.pl ed2416b7a2

„Zaczęliśmy pracę nad PISA w latach 90., kiedy jakość systemów mierzono głównie ilością środków przeznaczanych na edukację oraz liczbą lat, jaką uczniowie spędzili w szkołach, co o samych wynikach nauczania mówiło nam niewiele" – stwierdza jeden z największych światowych autorytetów w dziedzinie edukacji, Andreas Schleicher, szef PISA oraz współtwórca programu w rozmowie z Euronews.com.

Wyniki testów są przedstawiane w formie punktów, a następnie przenoszone na sześć poziomów. Poziom 1 oznacza zupełnie podstawowe umiejętności – wykonywanie prostych instrukcji i bazowe rozumienie informacji. Na poziomie drugim uczeń potrafi zastosować podstawową wiedzę, ale nie radzi sobie z rozszyfrowaniem nieco bardziej złożonych poleceń. Poziom ten jest fundamentem dalszego funkcjonowania w systemie edukacyjnym. Każdy kolejny stopień przekłada się na bardziej złożone umiejętności. „Szóstka" jest zarezerwowana dla 15-latków o najwyższych umiejętnościach.

Zmiany wyników pomiaru umiejętności matematycznych wśród uczniów w Polsce i średnio w wybranych* krajach OECD i UE w latach 2003–2025

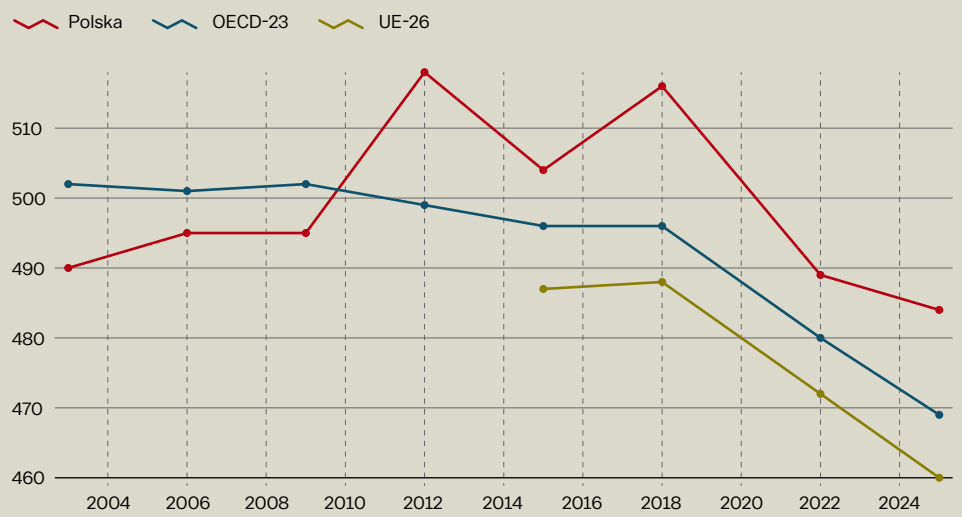

* W przypadku OECD uwzględniono 23 kraje biorące udział we wszystkich edycjach badania, w przypadku UE – kraje obecnie należące do UE z wyłączeniem Luksemburga, który nie uczestniczył w badaniu w 2022 roku.

Odsetki polskich uczniów na poszczególnych poziomach umiejętności matematycznych w 2025 roku ze względu na typ szkoły

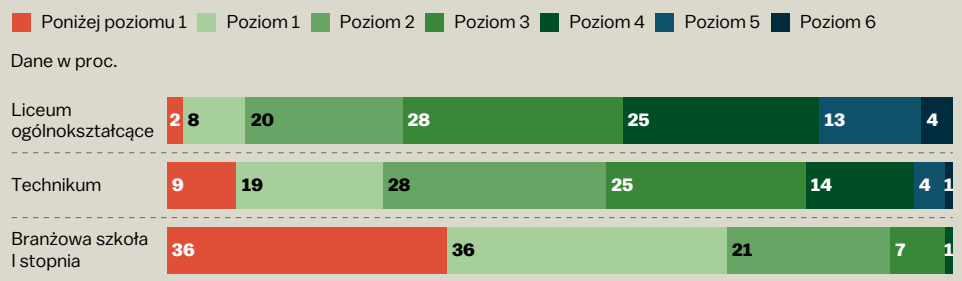

Ze względu na zaokrąglenia wartości mogą nie sumować się dokładnie do 100%.

ŹRÓDŁO: WYNIKI BADANIA „GOTOWI NA PRZYSZŁOŚĆ? UMIEJĘTNOŚCI PIĘTNASTOLATKÓW W ZMIENIAJĄCYM SIĘ ŚWIECIE", PISA 2025; OPRACOWANIE NA PODSTAWIE DANYCH OECD PISA

© GAZETA WYBORCZA

•

- Średni wynik w części z nauk przyrodniczych wyniósł w naszym kraju 495 punktów; średnia dla Unii Europejskiej to 476, dla OECD – 482.
- W przypadku matematyki to 484 punktu, UE – 460, OECD – 463.
- Jeśli chodzi o czytanie, nasi 15-latkowie uzyskali 482 punkty. Znów zauważalnie lepiej niż średnia dla krajów rozwiniętych.

Czy więc jest się czym cieszyć? Cóż, nie bardzo. Prześledźmy sprawę na przykładzie umiejętności matematycznych.

W dużej mierze nasza wysoka pozycja wynika z tego, że „głupienie" młodych Polaków zachodzi mniej gwałtownie niż w przypadku reszty świata rozwiniętego. Uśrednione wyniki i dla Unii Europejskiej, i dla 23 krajów OECD – która zrzesza 38 najbardziej rozwiniętych gospodarek świata, jednak dane porównywalne są właśnie dla 23 państw – pogarszają się co najmniej dwóch edycji.

Największe spadki widać w ostatnim czasie, czyli po pandemii. U nas udało się zatrzymać część negatywnego trendu, ale „uśredniony" uczeń w OECD i UE miał mniej szczęścia. Tam zbocze trendu jest tak samo pochyłe, jak w pandemicznym czasie 2022. Szacuje się, że ubytek tych 20 punktów odpowiada utracie jednego roku nauczania.

Trend widać również w rozbiciu na poszczególne poziomy wiedzy. Jeśli chodzi o kompetencje matematyczne, w naszym kraju rekordowy był odsetek uczniów, którzy uplasowali się w okolicach poziomu 1. W 2025 było to 26 proc. Innymi słowy, jedna czwarta uczniów nie ma kompetencji pozwalających bezproblemowo kontynuować naukę.

A naprawdę ciekawie – a raczej nieciekawie – robi się, kiedy rzucimy okiem na wyniki uwzględniające rodzaj szkoły. Nie jest wielkim zaskoczeniem, że najlepiej z testami poradziły sobie nastolatki z liceów. Jedynie 10 proc. uplasowało się na poziomie lub poniżej „jedynki". Za to w przypadku szkół branżowych niemal 72 proc. przebadanych! Ewidentnie do tych szkół jest negatywna selekcja kompetencyjna – choć przecież choćby ze Skandynawii wiadomo, że systemy szkolnictwa mogą podciągać również mniej zdolnych uczniów.

Kiedy rzucimy okiem na wykresy odnoszące się do czytania ze zrozumieniem i nauk przyrodniczych, wszędzie zauważymy bardzo podobny trend. Bardziej niż wyraźny: od ponad dekady uczniowie są coraz głupsi.

Ale przecież wszyscy znamy przykłady naprawdę inteligentnych, rozgarniętych i ciekawych świata nastolatków czytających Dostojewskiego, interesujących się astronomią, czy zasadami działania sztucznej inteligencji. Tak, takie dzieci z pewnością istnieją! A ich nadreprezentacja bez wątpienia występuje w klasie średniej wyższej (jeśli czytacie państwo tego *long reada*, to z dużym prawdopodobieństwem do tej właśnie grupy należycie), co wynika za kumulacji kapitału genetycznego i kulturowego. Problem leży gdzie indziej: w tym, że obniża nam się średnia z testów – i że coraz więcej osób trafia do grona tych, którzy intelektualnie radzą sobie naprawdę kiepsko.

To jeszcze „The Economist", jeden z najważniejszych i najlepszych analitycznie tytułów prasowych na świecie. „Średni wynik w 23 państwach członkowskich OECD biorących udział w każdej edycji PISA osiągnął szczyt w 2012 roku. Od tego czasu zaczął spadać" – czytamy. „Z matematyki i przedmiotów ścisłych 15-latkowie osiągają wyniki, które dekadę temu osiągałyby 14-latki".

•

To, co widzimy w testach PISA, jest częścią szerszego procesu, od co najmniej kilkunastu lat dostrzegalnego w krajach rozwiniętych. Chodzi o tak zwany odwrócony efekt Flynna.

James Flynn, psycholog zajmujący się inteligencją, dostrzegł w latach 80. bardzo interesujące zjawisko. Po przeanalizowaniu danych z kilkunastu krajów zauważył, że średni odczyt ilorazu inteligencji – który zaczął być badany w latach 30. XX wieku – z dekady na dekady wzrastał. Dla przykładu, w USA w latach 1932-78 IQ wzrósł niemal o 14 punktów. To z kolei oznacza, że osoba wybitnie inteligentna żyjąca w czwartej dekadzie XX wieku byłaby zaledwie ponadprzeciętnie inteligentna niecałe pół wieku później.

Efekt Flynna był ewidentnym przejawem postępu społecznego. Ludzie zyskiwali kompetencje intelektualne dzięki coraz dostępniejszej i coraz lepszej ofercie edukacyjnej. Na trendzie korzystały również, a może przede wszystkim, biedniejsze warstwy społeczeństwa.

Ale edukacja nie jest jedynym wytłumaczeniem zjawiska. Eksperci podnoszą kwestię coraz mniej zanieczyszczonego środowiska, co „odblokowało" moce intelektualne ludzi. Ci z państwa, którzy oglądali serial Netflixa „Ołowiane dzieci" lub czytali książkę, na podstawie której powstał, wiedzą, że ołów szkodzi na rozwój umysłowy. Jego eliminacja – jak również wielu innych metali ciężkich i chemikaliów emitowanych przez przemysł – przyczyniła się do poprawy funkcjonowania poznawczego.

Podobny efekt przyniosła demokratyzacja dostępu do zdrowszej żywności.

Zmieniła się również sama kultura, która stała się bardziej naukowa – w tym sensie, że zachęca nas do nowego, szerszego oraz głębszego kategoryzowania związków między obiektami.

Jednym z przykładów, które przytacza się, aby zobrazować tę zmianę, dotyczy związku między psem a królikiem. W społeczeństwach współczesnych większość ludzi powie, że jedno i drugie to zwierzęta, ssaki, mają po 4 nogi, są kręgowcami. W społeczeństwach przednaukowych zależność mogłaby być przedstawiona w inny sposób: pies służy do polowania na króliki.

Tu trzy uwagi na marginesie.

Pierwsza: nie, nie jest tak, jak chcą szydercy i urodzeni sceptycy, że testy na inteligencję odzwierciedlają jedynie zdolność do rozwiązywania testów na inteligencje. Wyniki testów są predykcyjne w bardzo wielu dziedzinach – od osiągnięć szkolnych przez osiągnięcia zawodowe, dochód, ryzyko popełnienia przestępstwa po, nawet, liczbę rozwodów oraz ryzyko otyłości. Inteligencja jest dającą się zmierzyć zdolnością ludzkiego umysłu do rozpracowywania świata.

Druga: IQ ma swój komponent kulturowy i wolicjonalny. O tym pierwszym już trochę powiedzieliśmy. Niektóre kultury są silniej posadowione w abstrakcyjnych sposobach myślenia, co przekłada się na wyższe IQ. Lecz na to, jak wypadniemy w testach, wpływa również to, jak bardzo się zaweźmiemy, żeby je rozwiązać. To oczywiście nie znaczy, że inteligencja jest wynikiem tylko tych dwóch rzeczy. IQ ma też komponent genetyczny – choćbym nie wiem, jak się starał, nie zostanę wybitnym matematykiem. Mogę rozumieć matematykę, ale łapać ją w lot – to jest po prostu poza moim zasięgiem.

I trzecia sprawa. Istnieje konsensus, że inteligencja ma dwie składowe: tak zwaną inteligencję płynną i inteligencję skrystalizowaną. Inteligencja płynna to właśnie ów „genetyczny komponent", pewne widełki naszych możliwości poznawczych, nasza szybkość, zwinność w myśleniu. Inteligencja skrystalizowana z kolei to nasze nabyte zdolności myślenia, które my sami i – głównie ona – otaczająca nas rzeczywistość może wspierać bądź nie.

To właśnie na poziomie inteligencji skrystalizowanej dokonywał się efekt Flynna. Wiedzieliśmy poprawę w testach IQ, ponieważ coraz więcej ludzie uczyło się myśleć w sposób systematyczny i abstrakcyjny i przyswajało sobie coraz więcej informacji o świecie (te bezsensowne regułki, daty i bitwy).

A później coś się popsuło. Badania dla krajów rozwiniętych wskazują, że plateau poziomu IQ nastąpił w latach 90. A we wczesnych latach 2000 efekt Flynna zaczął się powoli odwracać. Przyspieszenie następuje w okolicach końca pierwszej dekady i początku drugiej dekady XXI wieku.

Badacze pod kierownictwem psycholożki Elizabeth M. Dworak z Northwestern University przedstawili dowody, że w Stanach Zjednoczonych spadek IQ miał miejsce między rokiem 2006 i 2018. „Tendencja wystąpiła we wszystkich grupach wiekowych i poziomach wykształcenia, zarówno u kobiet, jak i u mężczyzn. Najwyraźniejsze spadki odnotowano wśród dorosłych w wieku od 18 do 22 lat oraz wśród osób z niższym wykształceniem" – czytamy w omówieniu badania na portalu ScienceAlert.com. Konkluzja wielu analiz jest zbliżona: w bardzo wielu krajach rozwiniętych widać spadek zdolności poznawczych. Dotyczy nie tylko młodzieży, ale tam jest odczuwalny najbardziej.

Dodajmy na marginesie: w wielu państwach rozwijających się wciąż występuje efekt Flynna – bo później zaczęły się piąć się po drabinie edukacyjnej, bo polepsza się jakość diety, bo bardziej pilnuje się jakości środowiska naturalnego. Jednym z krajów, gdzie przyrost kompetencji widać jest choćby Turcja, która zyskała w testach PISA.

•

Wiarygodna hipoteza wygląda następująco: po pojawieniu się efektu plateau dla IQ w latach 90. i delikatnym wahnięciu na koniec stulecia mieliśmy „dobitkę" mniej więcej na przełomie pierwszej i drugiej dekady XXI wieku, czyli w momencie upowszechniania się smartfonów. Liczne badania pokazują, że to one wpływają na nasze zdolności poznawcze. Samo OECD przy okazji raportu opisującego wyniki PISA z poprzedniej edycji wskazywało, że korzystanie ze smartfonów korelowało z pogorszeniem się wyników testów. „Uczniowie, którzy spędzali do jednej godziny dziennie mniej w czasie wolnym, używając telefonów, mieli średnio o 49 punktów lepsze wyniki z matematyki niż ich rówieśnicy, którzy byli przyklejeni do ekranów od pięciu do siedmiu godzin. Zjawisko występowało nawet po korekcie na profil socjoekonomiczny ucznia bądź szkoły".

Smartfony rozleniwiają nas poznawczo na różne sposoby.

Po pierwsze, podkradają naszą uwagę. Taki efekt sugerują w czasopiśmie naukowym „Journal of the Association for Consumer Research" naukowcy pod kierownictwem Adriana F. Warda, psychologa poznawczego specjalizującego się w zachowaniach konsumenckich i relacji człowiek-komputer.

Studenci rozwiązujący testy w jednym pokoju z telefonami byli „okradani" ze skupienia przez samą obecność tych urządzeń. Częściej niż druga grupa poproszona przez badaczy o złożenie mobilnych urządzeń w oddzielnym pomieszczeniu myśleli o tym, czy na

eprasa.pl ed2416b7a2

ich komórkach pojawiały się powiadomienia. Co rzecz jasna wybijało ich umysły ze skupienia na zadaniach. Długotrwałe działanie w takim trybie zmienia nasze funkcjonowanie poznawcze. Wszyscy chyba czujemy, że trudniej jest nam skupić się na dłużej niż w czasach przedsmartfonowych.

I tu wkracza druga kwestia. Otóż czas, który poświęcamy na wgapianie się w ekrany to czas, którego nie poświęcamy na czytanie, podwyższanie lub budowanie kompetencji. Co brzmi jak z kursów coachingowych, ale odnosi się również do uczniów.

Mamy więc pierwszego podejrzanego. Drugim podejrzanym o „ogłupianie" nas jest oczywiście pandemia. Nie w sensie wygenerowania mgły mózgowej, tylko odebrania, zwłaszcza młodym ludziom, drogocennego czasu na kształcenie.

Oczywiście mieliśmy naukę zdalną, jednak jej efekty w porównaniu z lekcjami twarzą w twarz były, delikatnie mówiąc, mało spektakularne. Młodzi ludzie na „zdalkach" nierzadko nie uczyli się prawie w ogóle. Podczas e-lekcji poza ekranem Zooma czy Teams przeglądali smartfony, bujali w obłokach, myśleli o niebieskich migdałach. Oczywiście takie rzeczy zdarzają się również podczas tradycyjnych lekcji. Ale w realu w pomieszczeniu jest nauczyciel, który może ucznia przywołać do porządku. Wpływ pandemii widać bardzo dobrze w badaniach PISA. Poprzednia edycja testów przeprowadzanych w 2022 roku pokazała gigantyczny spadek kompetencji intelektualnych 15-latków.

Trzeci duży czynnik, który wpływa na pogarszanie się kompetencji intelektualnych (nie tylko) nastolatków to sztuczna inteligencja. Timothy Cook, autor portalu PsychologyToday.com zajmujący się między innymi wpływem AI na procesy edukacyjne, przytacza anegdotę o swoim koledze-akademiku, który zadał studentom ekonomii zadanie: mieli przeczytać na kolejne zajęcia kilkustronicowy tekst na temat podaży i popytu. Artykuł był w formacie PDF. Kiedy przyszło do dyskusji, okazało się, że niemal każdy student zwracał uwagę na te same kwestie, podpierał się tymi samymi argumentami, a do opisu używał zjawisk bardzo podobnego języka. Studenci wrzucili oczywiście PDF-a do modelu językowego, by streścił im artykuł.

To, co zrobili, ma swoją nazwę i jest stare jak świat: poznawcze odciążanie, *cognitive offloading*, to nic innego jak delegowanie procesów intelektualnego na zewnątrz.

Ale zaraz, czy my nie znamy już tego marudzenia? Podobne zastrzeżenia dobiegały zewsząd w momencie rozpowszechniania się systemu GPS czy wyszukiwarki Google'a.

Wic polega na tym, że tamte obawy okazały się być prawdziwe. Ja na przykład nie bardzo już potrafię poruszać się samochodem po mieście bez nawigacji. To nie jest jedynie anegdota, jednostkowy przypadek nieporadności lub umysłowego rozleniwienia. Badania Louisy Dahmani i Véronique D. Bohbot z McGill University opublikowane w prestiżowym „Scientific Reports" pokazują – acz na niewielkiej próbie – że intensywne korzystanie z nawigacji satelitarnej zauważalnie upośledza zdolności przestrzenne.

Jedna czwarta polskich uczniów nie ma kompetencji pozwalających bezproblemowo kontynuować naukę. Największe problemy poznawcze mają ci ze szkół branżowych – to niemal 72 proc. przebadanych

W przypadku wyszukiwarek występuje analogiczne zjawisko zwane „efektem Google'a": gorzej zapamiętujemy informacje pochodzące z wyszukiwarek.

Wykorzystująca eksperyment naturalny – różne momenty wdrażania AI w Chinach – analiza przeprowadzona przez ekonomistów Davida Strömberga, Victora Lei i Yanhui Wu wzięła na tapet wyniki szkolne prawie 27 tys. chińskich uczniów. Badacze zauważają, że korzystanie ze sztucznej inteligencji poskutkowało wzrostem ocen z prac domowych o 18 proc. oraz skróceniem czasu ich wykonywania o 30 proc. Jednocześnie wyniki ze sprawdzianów poleciały o 20 proc. Stało się dokładnie to, czego można było się spodziewać – sztuczna inteligencja zwiększyła wydajność pracy uczniów, jednocześnie spowodowała, że sami... stali się głupsi.

Ja też używam sztucznej inteligencji do researchu. Uwaga do złośliwców: za każdym razem sprawdzam dane, wiele razy już się naciąłem na halucynacje. I wskazówka dla ciekawskich: zawsze proście model językowy o wiarygodne źródło, a następnie o przytoczenie konkretnego fragmentu ze źródła na poparcie stawianej przez AI tezy. Później jeszcze sami przejrzyjcie ten kawałek.

Sztuczna inteligencja przyspiesza część mojej pracy, co oznacza, że mam więcej czasu na wyciąganie wniosków – lub na zadanie kolejnych, coraz precyzyjniejszych pytań, które wskażą mi bardziej złożone mechanizmy. Ale ma to swoją cenę. Przed erą AI, czyli jakieś dwa lata temu, zanim napisałem dłuższy tekst, częściej czytałem nie tylko wstępy do kilku artykułów naukowych – bo tam najczęściej podsumowany jest konsensus w danej dziedzinie i różne spojrzenia na problem – ale też całe eseje. Częściej więc trafiałem na wątki poboczne, które nie tylko były superciekawe, ale czasem również na tyle ważne, że po prostu musiałem je zawrzeć w swoim artykule.

Więc AI znakomicie pogłębia zadany temat, ale przycina szersze konteksty. Nawet jeżeli precyzyjnie promptując sztuczną inteligencję uzyskujemy konkretne odpowiedzi na nurtujące nas pytania, to tracimy z oczu boczne ścieżki i zakamarki wiedzy, na które trafilibyśmy przypadkiem, googlując w stary sposób. Jak u chińskich dzieci: szybsze i lepsze wykonanie konkretnego zadania w zamian za stanie się głupszym w sensie szerokiego, elastycznego myślenia.

Jakbyśmy sami, i chińskie dzieci, i ja, i państwo, zmieniali się w AI.

●

Tylko że dziennikarze, analitycy – a także księgowi, nauczyciele i ogólnie dorośli – oddelegowują kompetencje, które już mają Timothy Cook porównuje to do mięśnia, który staje się słabszy, gdy go nie używamy dłuższy czas, ale można go znów go wyćwiczyć. Ale dzieciaki tego mięśnia nie mają od początku. My, dorośli, mamy już kompetencje, których wielu młodych po prostu nie wykształci. „Nie zyskujesz formy, oglądając sport. Zyskujesz formę, uprawiając sport" – mówił szef PISA Andreas Schleicher. „To samo dotyczy uczenia się. Nauka nie dokonuje się przez konsumpcję treści; nauka odbywa się poprzez interakcję z ideami, porównywanie. A sztuczna inteligencja może zaburzyć ten proces. To właśnie obserwujemy".

No dobrze, ale nastolatki to nie są bezwolne zombie, mogłyby wziąć się w garść – powie ktoś. Lecz Timothy Cook stwierdza, że młodzi nie mogą oprzeć się „odciążeniu poznawczemu" nie dlatego, że są leniwi czy rozpieszczeni, tylko dlatego, że dzisiejszy system jest zaprojektowany w ten, a nie w inny sposób. Pełen technologii zmuszającej nas do korzystania z niej – bo jak funkcjonować w codziennym życiu bez smartfona – zachęt ekonomicznych oraz parametryzacji i standaryzacji, vide polskie egzaminy ósmoklasisty i matury.

Choć – to już osobista refleksja, niepodparta badaniami – lenistwo „zetek" i „alf" może odgrywać rolę. Rozumiane nie moralnie i oceniająco, a antropologicznie, jako część natury ludzkiej. Gdyby AI pojawiła się półtorej dekady wcześniej, to swoje myślenie wyoutsorcowaliby do niej millenialsi. A gdyby proces zaszedłby ponad ćwierć wieku temu, to byliby na niego podatni młodzi przedstawiciele pokolenia X.

●

Czynniki ogłupiające młodych w świecie rozwiniętym są silniejsze niż oddziaływanie większości systemów edukacyjnych. Ale na pocieszenie – istnieją wyjątki od tej reguły.

Polsce po pandemicznym spadku wyników PISA udało się wyhamować trend. Ale ciekawszym przypadkiem jest Anglia – nie „Anglia" jako Wielka Brytania, ale część składowa Zjednoczonego Królestwa – której jako jednemu z nielicznych krajów i regionów rozwiniętych udało się głupienie dzieci zauważalnie odwrócić.

Hipotezę, jakim cudem, wysuwa „The Economist". Dość niewygodną, bo idącą w poprzek utartych przekonań wykształconej i postępowej klasy średniej wyższej o nowoczesnej edukacji: otóż suteczną odtrutką na dzisiejsze otoczenie rynkowe, społeczne, kulturalne, na sztuczną inteligencję, FOMO i algorytmy serwisów społecznościowych, jest stara, dobra pamięciówka i sprawdziany.

Szacowna gazeta ma mocny argument na poparcie tej ryzykownej reakcyjnej tezy: Walia, Szkocja i Irlandia Północna są przecież częścią tego samego państwa, muszą więc w nich działać zbliżone procesy. A jednak gdy w Anglii nastąpiła poprawa w testach PISA, pozostałe krainy odnotowały spadki zbliżone do średniej krajów OECD.

Otóż każde z dawnych wyspiarskich królestw ma nieco inny system edukacyjny. „The Economist" zwraca uwagę, że około półtorej dekady temu reforma szkolnictwa w Anglii poszła w odwrotnym kierunku niż w większości bogatego świata. Zamiast nauczania „umiejętności miękkich" angielski rząd postawił na wypełnienie programu faktami i na częstsze egzaminów, co wymagało od uczniów pilniejszej nauki.

Czyżby całe to „kucie na blachę formułek" oraz uczenie się „bezsensownych dat i budowy pantofelka" nie było koniec końców takie bezsensowne? ●

OGŁOSZENIE PŁATNE Kraj/34414015

W sprzedaży!

TEMAT NUMERU:

JAK SIĘ DOGADAĆ Z DORASTAJĄCYM DZIECKIEM

oraz:
- Agresja nastolatka. Co za nią stoi
- Matki z ADHD
- Orzeczenia i opinie. Sprawdź, co należy się w szkole
- Fakty i mity o diecie dziecka

SPONSOR WYDANIA
MÖLLER'S OMEGA-3

żyć lepiej psychologia codziennie
Więcej o psychologii czytaj na wysokieobcasy.pl/zyclepiej

2 RP

eprasa.pl ed2416b7a2

KULTURA

Cała moja amerykańska przeszłość nie była planowana, ale bez wątpienia mnie ukształtowała.

Z AKTORKĄ **MAŁGORZATĄ ZAJĄCZKOWSKĄ** ROZMAWIA **MARTA GÓRNA**
ZDJĘCIE: **MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL**

Trzeba prowokować los

eprasa.pl ed2416b7a2

FOT. KUBA LASKOWSKI / AURORA FILMS

• „Noc Walpurgii", debiut filmowy Marcina Bortkiewicza. Jako starzejąca się diva operowa Nora Sedler

Aktorstwo to nie tylko talent. To zawód, w którym trzeba mieć otwartość dziecka i skórę nosorożca. Dwie sprzeczności. Trzeba mieć osobowość kamikadze

Kiedy aktorka może wreszcie przyznać sama przed sobą, że jest dobra w tym, co robi?
– Nie mam pojęcia. Gdzieś tam w głębi duszy wiem, że jestem dobrą aktorką, ale ciągle mam wątpliwości.

Skąd się biorą?
– Kiedy dostaję fajny scenariusz, boję się, czy udźwignę rolę tak, jak to sobie wyobrażam. Im jestem starsza, tym więcej mam wątpliwości i obaw. Kiedy oglądam swoje stare role, nagrania spektakli, Teatru Telewizji czy różne występy z młodości, widzę, że nie miałam warsztatu, ale miałam za to nieograniczoną organiczność, byłam nieustraszona i spontaniczna. Im aktorka jest starsza, tym lepiej zna technikę i różne triki, a zatraca ten spontan.

Żeby być dobrą aktorką, trzeba zapomnieć o technice, myśleć o człowieku, którego ma się zagrać, jak o żywej osobie. Ale nie jest to demotywujące, raczej napędzające. Cały czas coś ze sobą w ten sposób załatwiam.

Co na przykład?
– A to wychodzi przy materiale. Przy każdej postaci załatwiam coś innego. Na przykład w „Nocy Walpurgii" z 2015 roku załatwiłam sporo. Ta rola wiele ode mnie wymagała. Nie jestem w życiu prywatnym osobą taką jak moja Nora, część niej zostawiłam sobie na później. Nora jest bohaterką, która, wchodząc do pokoju, zasysa powietrze. Cały świat kręci się wokół niej, wszyscy ludzie podporządkowują się jej kaprysom. A jeśli tego nie robią, trudno. Dla niej nic nie jest warte tego, żeby się nad tym zatrzymać.

W aktorstwie trzeba wyłączyć siebie. Każdy z nas ma w sobie dobro i zło. Śmiano się kiedyś z takiego aktora przedwojennego. Oczywiście nie pamiętam, jak się nazywał, ale chodziło o to, że przychodził na próby i pytał, czy gra dobrego czy złego człowieka. Dopiero potem dotarło do mnie, że zadawał podstawowe pytanie. Inne motywy ma dobry bohater, a inne zły. Wszystko rozbija się o to, jakie kto ma zamiary. Złą osobę gra się fantastycznie, dobrą nieco gorzej, bo dobro jest w ogóle mało efektowne.

Dużo mnie kosztowało wcielenie się w kobietę, która nie ma w sobie empatii, myśli: „Jesteś ze mną albo cię nie ma". Kiedy przed wejściem na plan ludzie słyszeli, że Marcin Bortkiewicz chce mnie obsadzić w „Nocy Walpurgii", mówili: „Zajączkowska?". Bo ja tutaj, w Polsce, takich ról nie grałam.

Ta rola poszerzyła moje emploi, wszyscy zobaczyli, że nie jestem małą, miłą blondynką. To zresztą bolączka kina, że patrzy się na aktora przez pryzmat tego, jakie role już zagrał, a nie tego, jakie ma możliwości. Świat się zmienił, nikt już nie czeka na następną rolę aktora, tylko na kolejny film. A tych powstaje tyle, że nie obejrzałabyś ich wszystkich, nawet gdybyś cały dzień siedziała w kinie. Wszystko rozbija się dziś o dobrą promocję. Kiedy stawiałam pierwsze kroki w aktorstwie, fachu człowiek uczył się w teatrze, pod okiem mistrzów. Z punktu widzenia aktorskiego zaczynałam w lepszych czasach.

W tych nowych trudno się odnaleźć?
– Nie mnie. Mam swoją pozycję, mogę wybierać, w czym chcę grać. Późno też zrozumiałam, ale zrozumiałam, że poza aktorstwem istnieje również życie. Ono także jest fascynujące, czasami nawet bardziej.

A co robisz w tym swoim nowym życiu?
– Czasami nic. I jest mi z tym genialnie. Czytam książkę, rozmawiam przez telefon, oglądam dobry film, idę na wystawę, spaceruję z psem, bez psa albo z psem idę nad morze, gdzie mogę cały sezon chodzić w jednych klapkach i nikt nie zwraca na to uwagi. Życie inaczej mi teraz smakuje. I to nie jest rezygnacja, tylko wybór. Mam 70 lat, nic już nie muszę. Oczywiście doceniam to, że wciąż dostaję fajne propozycje. Ale o pracę nie muszę się już starać, mam wolność. Biorę to, co mi pasuje – finansowo albo artystycznie.

FOT. TCD/PROD.DB / ALAMY STOCK PHOTO

• „Wrogowie" (1989), ekranizacja powieści Isaaca Bashevisa Singera. Zagrała Polkę, która podczas wojny ukrywa Żyda, a po wojnie w USA zostaje jego żoną. Na zdj. z Anjelicą Huston

W Teatrze Polonia gram u Krystyny Jandy z Jankiem Peszkiem, Marysią Seweryn i jest to ogromna przyjemność. A w Teatrze 6. Piętro w obsadzie są także młodzi ludzie, z którymi uwielbiam pracować. Bardzo ożywcze są ich energia, plany i marzenia.

Zastanawiasz się czasami, jak wyglądałaby twoja pozycja w Polsce, gdybyś nigdy nie wyjechała do Stanów Zjednoczonych? Tam wróżono ci nominację do Oscara za „Wrogów", grałaś z Glenn Close i u Woody'ego Allena. Spędziłaś tam blisko 20 lat.
– Nie. Może byłabym tutaj gwiazdą, która dostaje wspaniałe role, a może wręcz przeciwnie? Gdybanie nie jest w moim stylu. Moje życie było pełne niespodzianek i nie zmieniłabym w nim niczego. Miałam dobre rozdanie, nie przestawiłabym w nim ani jednego elementu, nawet tych bolesnych. Gdy wysuniesz jeden kawałek układanki, reszta się rypnie. A przecież na dobre mi to wszystko wyszło.

Cała moja amerykańska przeszłość nie była planowana, ale bez wątpienia mnie ukształtowała. Pracowałam, wyszłam za mąż, urodziłam dziecko, spędziłam tam najlepsze lata, a kiedy pod koniec lat 90. wróciłam do Polski, nie żałowałam tego ani przez moment.

W USA nauczyłam się tego, że jeśli na czymś mi zależy, nie ma sensu czekać, trzeba prowokować los.

Kiedy wróciłam, przez chwilę nie miałam żadnych propozycji. Więc przetłumaczyłam sobie sztukę „Kocham O'Keeffe", w której zagrałam z Krzysiem Kolbergerem, a potem wystawiłam monodram. Nie byłam związana żadnym etatem, mogłam robić, co mi się spodoba. Wierzę, że etaty w teatrze dają wielu aktorom nie tylko poczucie bezpieczeństwa, ale i ołowiane buty. Nie dają za to motywacji do działania, tylko do czekania.

My tu w Polsce głównie czekamy, aż ktoś nas odkryje.
– A najpierw trzeba coś zaproponować, zaserwować komuś możliwość odkrycia nas. Zawsze tak było. Od lat 70., kiedy zaczynałam, zmieniło się bardzo wiele, ale to wciąż pozostaje niezmienne. Nasza mentalność u swoich podstaw, nasze marzenia ciągle są takie same. Dlatego możemy wciąż na nowo wystawiać sztuki Szekspira i dziwić się, jak bardzo jest aktualny. Kiedy zaczynałam, przysięgam, że nie myślałam o karierze i sławie. Chciałam po prostu grać. Nawet jeśli coś sprawiało mi trudności, zawsze był w tym jakiś element gry, była w tym radość. Kiedy wyjechałam do USA, to za głosem serca, a nie za karierą. Co ja opowiadam? Chcesz, żebym sama siebie zdefiniowała, a to jest strasznie trudne.

Trudno siebie dobrze poznać.
– Dokładnie tak. Wydaje ci się, że dobrze siebie poznałaś, a raptem się okazuje, że znałaś jedynie to, jak o sobie myślisz. Jestem ostrożna z mówieniem, że nigdy bym nie zrobiła tego czy tamtego. W latach 70. zaklinałam się, że nigdy w życiu nie wyjadę do Ameryki, a tu proszę. Wielkie deklaracje o tym, czego byśmy nigdy nie zrobili, to pewnego rodzaju mechanizm obronny. Bronimy się przed przyznaniem, że nie zawsze zachowalibyśmy się tak, jak sobie to wyobrażamy. Ludzie dobrzy stają się w sytuacjach granicznych lepsi, a źli – gorsi.

Dużo myślisz nad przemijaniem?
– Trochę kluczysz. Chcesz mnie zapytać, czy przeszkadza mi to, że się starzeję? Gdybyś mnie zapytała, czy, gdybym zawarła pakt z diabłem, chciałabym znowu być młoda, odpowiedziałabym, że w żadnym wypadku.

1 RP

eprasa.pl ed2416b7a2

Mój najlepszy czas w życiu to była pięćdziesiątka. Wtedy czułam się najbardziej rozumna, miałam dużo siły, dobrze wyglądałam.

Bardzo fajny okres miałam też tuż przed 50. urodzinami. Nie chciałabym znowu mieć 20 lat, tych wszystkich rozterek i drżączek. W moim wieku najbardziej przeszkadza mi teraz kręgosłup, który boli. Ale teraz poznaję siebie na nowo. W wielu sprawach staję się bardziej zasadnicza, w innych bardziej otwarta. Radykalnie nie znoszę teraz chamstwa, ale jestem otwarta na wszelkie przejawy inności. Teraz jest mi wszystko jedno, jak ktoś wyraża siebie.

A co do wieku... Niedawno Piotr Kamiński zrobił nowe tłumaczenie sztuk Szekspira, wystawiliśmy „Makbeta" z Krzysiem Stelmaszykiem i Andrzejem Grabowskim, a ja, 70-letnia kobieta, grałam Lady Makbet, bo ta sztuka może być też o ludziach w tym wieku. Dlaczego nie? Teraz 70-latka jest kobietą, która ma coś do zaproponowania sobie i innym. Dawniej tak nie było. Wolniej starzejemy się dziś biologicznie, rzadziej patrzymy na siebie przez pryzmat wieku, mogę grać role, które pół wieku temu dla aktorki w moim wieku byłyby niedostępne. Oglądałaś ostatnio „Czterdziestolatka"?

Karwowski jest tam w moim wieku.
– No właśnie. Wtedy 40-latek to był pan w kapelusiku i z teczką, dziś tak wyglądają ludzie po siedemdziesiątce. Wszystko się przesunęło. W kinie też. Są role dla kobiet dojrzałych i bardzo dojrzałych, dla starszych aktorów. Młodzi reżyserzy i reżyserki robią na studiach etiudy o starszych ludziach. Zapytałam kiedyś jedną dziewczynę, dlaczego chce o nich opowiadać. Odpowiedziała, że ją fascynują. A ja? Mogę mieć siwe włosy, mogę mieć zmarszczki, co nie znaczy, że nie dbam o siebie i o to, jak wyglądam. Urodziłam się optymistką. Wierzę, że z tym można się urodzić.

A z talentem?
– Też. Nie wszyscy to wykorzystują, ale z tym albo przychodzi się na świat, albo nie. Ale aktorstwo to nie tylko talent. To zawód, w którym trzeba mieć otwartość dziecka i skórę nosorożca. Dwie sprzeczności. Wielu bardzo utalentowanych ludzi nie wytrzymuje presji. Widzowie widzą tylko efekty naszej pracy, nie widzą tego seryjnego odrzucenia, z którym się borykamy, nim wreszcie dostaniemy rolę. Po takiej serii trzeba na nowo znaleźć w sobie siłę, wiarę w to, że wciąż można coś zaproponować. Trzeba mieć w tej profesji osobowość kamikadze. Ciągle przecież wystawiasz się na ocenę innych.

Nie tylko na ekranie, ale też w mediach.
– To jest wpisane w zawód. Nie przejmuję się tym i nigdy się nie przejmowałam. Dostałam pewność siebie w domu. Wychowali mnie dziadkowie, którzy byli pedagogami, sporo ode mnie wymagali i potwornie mnie rozpieszczali. Nigdy nie powiedzieli mi, że coś, co chcę robić, nie ma sensu. A media? Większość dziennikarzy interesuje to, dlaczego się rozwiodłaś, jak radzisz sobie z wychowaniem dziecka. Czytam czasami wypowiedzi innych aktorek, które zarzekają się, że dziecko nawet nie odczuło, iż ciągle ich nie ma, bo grają. Gówno prawda. Jak to możliwe? Matka aktorka ciągle uczy się roli, wraca późno, nie dociera do niej, co dziecko mówi, bo jest nieprzytomna.

Masz przyjaźnie, które trwają latami?
– Moja przyjaźń z Marysią Mamoną trwa od lat 70., możemy sobie powiedzieć wszystko. Ale zaprzyjaźnić się tak z kimś teraz już bym nie potrafiła. Miewam nowych znajomych, ale to nie są przyjaźnie. Z Marysią przeżyłyśmy razem kawał życia, pamiętamy swoich rodziców, nigdy nie sprawiłyśmy sobie zawodu. Mamy długi staż i kompletnie się akceptujemy. Z biegiem czasu grono ludzi wokół ciebie się kurczy.

Dlaczego?
– Naturalna selekcja. Na pewnym etapie jest się z ludźmi blisko, niektóre przyjaźnie mają sens tylko w określonym momencie życia. Jeśli ktoś zrobi mi świństwo, od razu go skreślam.

Bywasz bezwzględna?
– Ale nie dlatego, że ktoś mi nie podał wachlarza na czas, tylko dlatego, że bardzo zależy mi na jakości pracy. Kiedy dochodzi do konfrontacji, idę za ciosem, potem zawsze przychodzi refleksja i kiepsko się czuję ze swoją bezwzględnością. Umiem powiedzieć „przepraszam", ale z natury jestem raptusem. Czasami idę na skróty, byle do celu. Po co tracić na coś dwa dni, skoro można to załatwić od razu?

Czyli masz charakterek?
– Mężczyźnie nie zadałabyś takiego pytania. Co rozumiesz przez „charakterek"? To etykietka dla aktorek, które mają swoje zdanie i potrafią zawalczyć o to, co jest dla nich ważne. Szkoda mi czasu na jałowe dyskusje, zarówno w pracy, jak i w życiu prywatnym. Wiem już, co jest dla mnie, a co nie. A kiedy ma się tyle lat co ja, zależy też na kulturze porozumiewania się.

Kiedy byłam młodsza, pewnie się nad tym nie zastanawiałam, nie miałam takich przemyśleń. Jeśli chciałam z kimś pracować i się udawało, miałam poczucie, że mi się poszczęściło, na wiele przymykałam oko. Ale też miałam dużo szczęścia, jeśli chodzi o ludzi, u boku których się uczyłam. Dostałam podstawy szacunku w zawodzie: wszystkich słucha się z jednakową uwagą, nieważne, kim są. Teraz oglądam się za siebie i naprawdę czuję, że miałam farta. I mam go do dziś. Słuchaj, pierwszy raz w życiu nie tylko ja nie wymagam od siebie, ale też nikt niczego ode mnie nie wymaga.

To znaczy?
– Przypomnij sobie: już w dzieciństwie ciągle czegoś od ciebie wymagano. A to żebyś przynosiła lepsze oceny, a to żebyś ładniej pisała. Miałam tak samo. Potem wciąż czegoś ode mnie chciano na studiach, założyłam rodzinę, miałam dziecko, spłacałam kredyty, zajmowałam się rodzicami. Teraz mogę sama wybierać obowiązki, mieć pieska, bo chcę tego obowiązku. To jest dla mnie czas wolności. I nie ma w tym żadnej ściemy. ●

Małgorzata Zajączkowska

• Rocznik 1956. W 1979 r. ukończyła PWST w Warszawie (obecnie Akademia Teatralna) Karierę rozpoczęłą w Teatrze Narodowym, a debiutowała w filmie „Zdjęcia próbne" Agnieszki Holland. Przed stanem wojennym wyjechała do Paryża, a potem do USA. W Hollywood wystąpiła m.in. w filmach: „Strzały na Broadwayu" Woody'ego Allena i „Wrogowie" Paula Mazursky'ego (za tę rolę docenili ją amerykańscy krytycy filmowi a studio Fox zgłosiło do oscarowej nominacji, jednak ostatecznie jej nie dostała) oraz w bardzo popularnym serialu „Wszystkie moje dzieci".

• Po powrocie do Polski w latach 90. zagrała m.in. w: „Żółtym szaliku" (reż. Janusz Morgenstern), „Jesteś Bogiem" (reż. Leszek Dawid) i „Zaćmie"(reż. Ryszard Bugajski) oraz w serialu „Złotopolscy". Uznanie krytyków przyniosła jej rola w nagradzanej w kraju i na świecie „Nocy Walpurgii"(2015) w reż. Marcina Bortkiewicza. Do amerykańskiego kina wróciła rolą w dramacie komediowym „Lepiej późno niż wcale" (2023) Lisy Steen, w którym wystąpiła z Karen Gillan.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34414016

LITERÓWKA

Znajdziesz wszystkie **46 słów?**

APLIKACJA WYBORCZEJ

Zeskanuj i graj za darmo

1 RP

• Demis Hassabis. Brytyjski informatyk i neurobiolog, współzałożyciel i dyrektor generalny DeepMind. Laureat Nobla w dziedzinie chemii w 2024 r. Biuro firmy DeepMind w Londonie, 9 październik 2024 r.

ALASTAIR GRANT/ASSOCIATED PRESS/EAST NEWS

LEPSZE ŻYCIE SIĘ NIE OPŁACA

Jedna sztuczna inteligencja świetnie robi prezentacje, druga pomaga zrozumieć Alzheimera i padaczkę. Dlaczego Amerykaniewolą tę pierwszą

Piotr Cieśliński

Lanim sztuczna inteligencja nauczyła się pisać za nas maile, streszczać zebrania, tworzyć reklamy i poprawiać programistom kod, pomogła naukowcom rozwiązać problem, z którym zmagali się przez ponad pół wieku.

Ten problem to trójwymiarowa struktura białek, podstawowych cząsteczek budujących nasze organizmy i sterujących ich funkcjonowaniem.

Każde białko zaczyna jako łańcuch aminokwasów, ale nie zostaje prostą nitką. Zagina się, zwija, tworzy pętle, i spirale, aż przyjmuje konkretny trójwymiarowy kształt. A od tego kształtu w ogromnej mierze zależy, co potrafi zrobić: czy będzie enzymem przyspieszającym reakcję chemiczną, przeciwciałem rozpoznającym wirusa czy receptorem odbierającym sygnały z otoczenia komórki.

Przez dziesięciolecia poznawanie trójwymiarowych struktur białek wymagało żmudnych eksperymentów, między innymi krystalografii rentgenowskiej, a później mikroskopii krioelektronowej. Zrekonstruowanie struktury mogło trwać miesiące albo lata.

Biolodzy wiedzieli zarazem, że informacja o ostatecznym kształcie musi być w jakiś sposób zapisana w samej sekwencji aminokwasów. Nie potrafili jednak tego zapisu wystarczająco dobrze rozszyfrować.

I właśnie ten niezwykle istotny dla biologii i medycyny problem dekadę temu zaatakował AlphaFold, jeden z pierwszych skutecznych modeli AI, stworzony w firmie brytyjskiego informatyka i neurobiologa Demisa Hassabisa.

•

Hassabis urodził się w Londynie w rodzinie imigrantów. Jego ojciec pochodził z Cypru, matka z Singapuru. Jako dziecko był szachowym talentem, potem pisał gry komputerowe, studiował informatykę w Cambridge, a następnie zrobił doktorat z neurobiologii. Fascynowały go jednocześnie dwa pytania: jak działa ludzki umysł i czy jego zdolności można odtworzyć w maszynie?

Mózg był jedną z najważniejszych inspiracji tworzenia pierwszych modeli AI jeszcze w połowie zeszłego wieku. Pierwsze algorytmy uczenia maszynowego były inspirowane pytaniem, jak może uczyć się biologiczny mózg. Informatyka i neuronauka przez dziesięciolecia wzajemnie się napędzały.

W 2010 roku Hassabis założył DeepMind, który cztery lata później Google kupił za około 400 mln funtów. Już pierwsza wersja programu AlphaFold wygrała w 2018 roku międzynarodowy konkurs CASP, w którym zespoły próbują przewidzieć struktury białek. Dwa lata później AlphaFold przewidział struktury niemal wszystkich białek człowieka, a potem prawie wszystkich około 200 mln białek znanych z sekwencji organizmów na Ziemi.

To była rewolucja. Sztuczna inteligencja, technologia wyrosła z informatyki i częściowo inspirowana ludzkim mózgiem, pomogła więc dokonać przełomu w biologii. Informację, na którą wcześniej badacz mógł czekać miesiącami czy latami, teraz można było otrzymać w ciągu minut. W 2024 r. Demis Hassabis i John Jumper dostali za to osiągnięcie połowę Nagrody Nobla z chemii (drugą połowę otrzymał David Baker za komputerowe projektowanie nowych białek).

Podczas paryskiego szczytu AI w lutym 2025 słuchałem Hassabisa, gdy mówił, że dzięki sztucznej inteligencji będziemy mogli mierzyć się z największymi wyzwaniami nauki. Rozwiązywać problemy, z którymi sa-

eprasa.pl ed2416b7a2

mi sobie nie radzimy. Projektować nowe leki i materiały, rozwijać syntezę jądrową, odkrywać podstawowe prawa fizyki. Wierzył, że AI może zapoczątkować „nową złotą erę odkryć". Nazywał to „nauką z cyfrową prędkością".

●

Tyle że jeszcze zanim Hassabis dostał Nobla, wydarzyło się coś, co zmieniło kierunek rozwoju tej technologii. 30 listopada 2022 OpenAI udostępniło w internecie ChatGPT. Firma nazywała go skromnie „research preview", wersją badawczą, dzięki której chciała zbierać opinie użytkowników i poznawać słabości systemu. Można było poprosić maszynę o napisanie listu, streszczenie dokumentu, wytłumaczenie teorii względności dziecku, poprawienie programu komputerowego albo ułożenie planu podróży. Model często się mylił i z imponującą pewnością siebie opowiadał bzdury, halucynował, jak mówiono, ale miliony ludzi po raz pierwszy mogły własnymi rękami dotknąć technologii, którą wcześniej oglądali przede wszystkim w laboratoriach.

ChatGPT pokazał możliwości AI każdemu. Nie trzeba było być biologiem strukturalnym ani programistą. Wystarczyło wejść na stronę i zadać pytanie.

To trochę przypomina historię internetu. Jego przodek, ARPANET, wyrósł z finansowanego przez Pentagon projektu badawczego i początkowo łączył głównie ośrodki akademickie i badawcze. Później sieć stała się masowym produktem i infrastrukturą praktycznie wszystkiego, od handlu i bankowości po zdjęcia kotów.

Z AI stało się podobnie, tylko znacznie szybciej. AlphaFold wykonywał jedno bardzo wyspecjalizowane zadanie o ogromnej wartości naukowej. ChatGPT potrafił po trochu tysiące rzeczy. Jego następcy nauczyli się pisać programy, tłumaczyć, analizować dokumenty, generować obrazy i filmy, rozwiązywać zadania matematyczne. Potem pojawili się agenci AI, którym można już powierzyć nie pojedyncze pytanie, ale całe wieloetapowe zadanie.

Ta uniwersalność była magnesem dla inwestorów. Program do przewidywania struktur białek jest potrzebny przede wszystkim biologom, laboratoriom i firmom farmaceutycznym. Model ogólnego zastosowania można próbować sprzedać niemal każdemu: programiście, prawnikowi, księgowemu, lekarzowi, bankowi, szkole, redakcji czy urzędowi. Można pobierać abonament od pojedynczego użytkownika, sprzedawać dostęp przedsiębiorstwom albo wbudować model w wyszukiwarkę, telefon, pakiet biurowy czy system obsługi klienta.

●

Kapitał bardzo szybko to zrozumiał. Stanford AI Index, coroczny przekrojowy raport o rozwoju sztucznej inteligencji, podaje, że w 2025 roku prywatne inwestycje w firmy zajmujące się AI osiągnęły na świecie 344,7 mld dolarów.

Niemal połowa tej kwoty, 170,9 mld, przypadła na generatywną AI, czyli systemy potrafiące tworzyć nowe treści, od tekstów i obrazów po filmy czy programy komputerowe. To ponad trzykrotnie więcej niż rok wcześniej.

W tym samym roku 2025 amerykańskie Narodowe Instytuty Zdrowia (NIH) wydały na badania nad mózgiem i całym układem nerwowym około 11,9 mld dolarów. To około 14 razy mniej niż globalny prywatny kapitał skierowany tylko do generatywnej AI.

Dziesięcioletni Human Brain Project, jedno z największych przedsięwzięć badawczych w historii Unii Europejskiej, mające stworzyć nowe narzędzia do badania mózgu, w którym uczestniczyło 155 instytucji z 19 krajów, miał budżet ledwie 607 mln euro.

Human Genome Project, który dał nauce pierwszą sekwencję ludzkiego genomu, kosztował około 6,5 mld dolarów, po przeliczeniu na obecne ceny.

Startupy rozwijające technologie kwantowe przyciągnęły w 2025 r. około 12,6 mld., a firmy pracujące nad nowym, czystym i wydajnym źródłem energii – syntezą termojądrową – około 2,6 mld dolarów w ciągu roku.

Ba, cały program Apollo, wraz z rakietami Saturn, statkami kosmicznymi, infrastrukturą i pracą setek tysięcy ludzi, kosztował około 300 mld w przeliczeniu na dzisiejsze dolary.

A więc prywatne inwestycje w samą generatywną AI tylko w jednym roku osiągnęły wartość odpowiadającą ponad połowie kosztów całego wieloletniego programu, który wysłał ludzi na Księżyc.

Oczywiście te liczby nie są bezpośrednio porównywalne. Jedne dotyczą prywatnego kapitału na całym świecie, inne publicznych programów badawczych w USA albo Europie. Pokazują jednak, że Big Techom udało się w kilka lat zmobilizować kapitał w skali wcześniej kojarzonej z największymi programami technologicznymi całych państw.

●

A wszystko wskazuje na to, że ten rachunek został dopiero otwarty i jeszcze mocno wzrośnie. Mechanizm przypomina silne sprzężenie zwrotne. Ta firma, która stworzy lepszy model, zdobywa więcej użytkowników i kontraktów. Rośnie jej wycena lub kapitalizacja giełdowa. Łatwiej więc zdobywa kolejne miliardy, za które kupuje procesory, buduje centra danych i podkupuje najlepszych badaczy. Ale przecież konkurencja nie śpi i za chwilę wypuszcza nieco potężniejszy model.

W efekcie prace nad najpotężniejszymi systemami niemal całkowicie przeniosły się z uniwersytetów do przemysłu. Stanford AI Index podaje, że w 2025 roku ponad 90 proc. znaczących nowych modeli AI powstało w firmach. Koszt wejścia do pierwszej ligi zrobił się po prostu zbyt wysoki.

Rozpędza się wyścig o niewyobrażalnej skali inwestycji. W tym roku Amazon zapowiedział około 220 mld dolarów wydatków, Alphabet około 200 mld, Meta ponad 130 mld. Zaczyna brakować nie tylko procesorów, ale też energii i miejsc, w których można stawiać kolejne centra danych. Google i Meta chcą więc przenieść część obliczeń AI w kosmos, plany zakładają nawet milion nowych satelitów, a w budowie tej megakonstelacji będzie uczestniczyć Starship – najpotężniejsza rakieta kiedykolwiek zbudowana przez człowieka. Trudno o lepszą ilustrację tego, jak daleko zaszła eskalacja.

●

Taka skala finansowania AI z pewnością nie pozostanie bez wpływu na środki, jakie pozostaną na kluczowe przecież badania mózgu, genomu czy energii termojądrowej.

Nie powinno to jednak szczególnie dziwić. Wyobraźmy sobie dwa zespoły dysponujące równie świetnymi naukowcami i potężnymi komputerami.

Pierwszy zespół tworzy następcę ChatGPT. Korporacje mogą niemal od razu wdrożyć go z nadzieją na zwiększenie produktywności milionów swoich pracowników i obniżenie kosztów. Czy takie są rzeczywiste efekty masowego stosowania AI, to już osobne pytanie, ale każda nowa umiejętność AI może niemal od razu stać się masowym produktem.

Drugi zespół buduje coś, co dla uproszczenia nazwijmy „AlphaFoldem dla mózgu". System znajduje zależności między budową neuronów, aktywnością genów, połączeniami między komórkami i działaniem całych obwodów. Być może pomoże zrozumieć chorobę Alzheimera, padaczkę albo mechanizmy pamięci.

Załóżmy nawet, że odnosi spektakularny sukces. Co dzieje się następnego dnia?

Nie ma pieniędzy dla dobra ludzkości

344,7 mld dol.
• wyniosły inwestycje w firmy sztucznej inteligencji w 2025 roku

11,9 mld dol.
• wydały w tym czasie amerykańskie Narodowe Instytuty Zdrowia na badania nad mózgiem i układem nerwowym

2,6 mld dol
• przyciągnęły od inwestorów w 2025 roku firmy pracujące nad nowym, czystym i wydajnym źródłem energii – syntezą termojądrową

607 mln euro
• to 10-letni budżet Human Brain Project, unijnego programu badania mózgu

6,5 mld dol
• kosztował słynny Human Genome Project, który dał nauce pierwszą sekwencję ludzkiego genomu

Prywatne inwestycje w samą generatywną AI tylko w jednym roku osiągnęły wartość odpowiadającą ponad połowie kosztów wieloletniego programu, który wysłał ludzi na Księżyc

Niewiele. Nie dlatego, że odkrycie jest mało ważne. Może być znacznie ważniejsze niż to, że nowy chatbot sprawniej przygotowuje prezentacje. Problem polega na tym, że w biologii od wyniku obliczenia czy symulacji do gotowego produktu jest długa droga. Trzeba sprawdzić go w komórkach, tkankach i organizmach. Jeśli prowadzi do terapii, trzeba ją opracować, zbadać toksyczność, przeprowadzić próby kliniczne i uzyskać zgodę regulatorów. Między świetną prognozą modelu a pacjentem, któremu rzeczywiście pomoże, może minąć dekada.

Model językowy ma oczywistą przewagę. Jeżeli dzisiaj lepiej programuje, jutro można udostępnić go programistom. Jeśli lepiej analizuje umowy, można sprzedać go kancelariom. Nie trzeba czekać latami. Można wystawić fakturę w następnym miesiącu. Dlatego modele ogólnego zastosowania dostały ekonomiczny dopalacz, którego wyspecjalizowane zastosowania naukowe najczęściej nie mają. Dlatego największe pieniądze idą dzisiaj nie w technologie, które mogą rozwiązać najważniejsze problemy ludzkości, lecz raczej w te, które pozwalają produkować lepsze memy w serwisach społecznościowych.

●

Ktoś mógłby powiedzieć, że to już nie jest prawdą, że historia zatoczyła koła, a AI znowu rozwiązuje wielkie problemy naukowe.

We wrześniu OpenAI ogłosiło, że system złożony z około 10 tysięcy agentów AI znalazł rozwiązanie problemu Naviera-Stokesa, jednego z siedmiu problemów milenijnych matematyki. OpenAI nie ujawniło kosztu eksperymentu. Ale podobno według dzisiejszych stawek za korzystanie z modeli AI kosztowałoby to kilka milionów dolarów, nie licząc danych wejściowych i infrastruktury.

OpenAI samo napisało, że celem publikacji jest pokazanie „znaczącego postępu" swoich modeli. Słowem, firma chciała pokazać światu, czego potrafi dokonać jej kolejna, nieudostępniona jeszcze generacja AI. Tak więc nauka wróciła na pierwszy plan, ale... w roli narzędzia marketingowego. Nierozwiązany od dziesięcioleci problem stał się ekstremalnym testem, mającym dowodzić wielkich możliwości tej komercyjnej technologii. AlphaFold powstał dlatego, że naukowcy mieli konkretny wielki problem biologiczny i zbudowali AI, aby pomogła go rozwiązać. Teraz realizowany jest odwrotny scenariusz: firma ma niezwykle potężną AI i szuka wielkiego problemu naukowego, na którego przykładzie mogłaby się pochwalić jego możliwościami.

Matematycy szybko zauważyli tę różnicę. Kilka dni po ogłoszeniu OpenAI grupa medalistów Fieldsa, najwyższego w matematyce wyróżnienia, opublikowała deklarację pod tytułem „Poważny problem z dostosowaniem AI do matematyki" („A Severe Misalignment of AI in Mathematics"). Jej autorzy nie kwestionują możliwości sztucznej inteligencji ani sensu wykorzystywania jej w matematyce. Protestują przeciwko sytuacji, w której rozwiązywanie słynnych problemów zaczyna być traktowane przez firmy jako sprawdzian (benchmark) postępu modeli. Ich zdaniem celem matematyki nie jest produkowanie odpowiedzi „prawda czy fałsz", lecz zdobywanie zrozumienia, opracowywanie nowych metod i stawianie nowych pytań.

Problem nie dotyczy tylko matematyki. Najpotężniejszych modeli, tysięcy agentów i centrów danych kosztujących miliardy dolarów nie mają dziś uniwersytety. Dysponuje nimi kilka wielkich korporacji.

Wcześniej przemysł oczywiście także wpływał na kierunki badań. Farmacja wybierała cząsteczki, które warto rozwijać, wojsko finansowało technologie przydatne dla obronności, koncerny energetyczne inwestowały w określone źródła energii. Nowością jest jednak skala obecnej przewagi biznesu. Jeżeli pewnych eksperymentów poznawczych nie będzie można już przeprowadzić bez tysięcy agentów i gigantycznej mocy obliczeniowej, właściciel narzędzia zyska wpływ również na wybór pytania zadawanego naturze.

Problem Milenijny jest wymarzonym trofeum. Jest słynny, ma jasne kryterium sukcesu, prestiż i elektryzujący wszystkich milion dolarów nagrody. Znacznie gorzej wygląda żmudna praca na przykład nad jednym z mechanizmów Alzheimera, z serią częściowych wyników i eksperymentami, z których dziewięć na dziesięć zakończy się ślepą uliczką. Tu firmy mogą być znacznie mniej skłonne poświęcić swoje zasoby.

Jeżeli jednak konkurencja między OpenAI, Google DeepMind, Anthropicem i innymi firmami sprawi, że sztuczna inteligencja zacznie rozwiązywać stare zagadki matematyki, projektować leki i odkrywać nowe materiały, można by temu przyklasnąć. Nauka może na tym ogromnie skorzystać.

Coraz ważniejsze jednak staje się pytanie, kto będzie decydował, na jakie problemy skierujemy najpotężniejsze narzędzia poznawcze, jakie kiedykolwiek stworzyliśmy?

Kiedy w Paryżu słuchałem Demisa Hassabisa, powiedział, że AI może być najkorzystniejszą i najbardziej rewolucyjną technologią stworzoną przez ludzkość. Zaraz jednak dodał: „Wszystko zależy od tego, jak my, ludzie, ją wdrożymy i co z nią zechcemy zrobić". ●

eprasa.pl ed2416b7a2

Kulturalne weekendy

FILHARMONII UCIECZKA DO PRZODU

FOT. MARCIN STĘPIEŃ / AGENCJA WYBORCZA.PL

• Obecny nowoczesny gmach Filharmonii Łódzkiej przy ul. Narutowicza 20/22, został zaprojektowany przez Romualda Loeglera. Otwarto go w 2004 roku.

To, co powinno być celem każdej takiej instytucji – zbliżanie się ludzi do sztuki dźwięków – **w Łodzi się udało.**

Anna S. Dębowska

Wiktoria leczy zwierzęta, a w orkiestrze gra na altówce. Jej mąż Pietro, prawdziwy Włoch z Włoch, opanował grę na waltorni. Dzięki wspólnemu muzykowaniu ich paroletni związek zacieśnił się do tego stopnia, że stanęli na ślubnym kobiercu.

Pobrali się, będąc już członkami półamatorskiej CZYŻby Orkiestry, działającej przy Filharmonii Łódzkiej im. Artura Rubinsteina. Na ich ślub koledzy z orkiestry przygotowali oprawę muzyczną.

– Nazwę wzięliśmy od nazwiska dyrygenta Henryka Czyża. Jako obdarzony poczuciem humoru popularyzator muzyki klasycznej twierdził, że nie jest ona taka straszna, jak ją malują. Był zwolennikiem przybliżania jej wszystkim. To bardzo pasuje do idei naszej orkiestry. Cotygodniowe próby organizujemy zresztą w sali jego imienia – mówi Artur Koza, chórmistrz Filharmonii Łódzkiej, inicjator i dyrygent CZYŻby Orkiestry.

CZYŻby dobry pomysł na życie

Na różnych instrumentach grają w niej prawnicy, lekarze, nauczyciele, informatycy, księgowi, pracownicy korporacji. Jedni uczyli się w szkołach muzycznych, inni na lekcjach prywatnych. Z różnych powodów zrezygnowali.

Nie sądzili, że kiedykolwiek wrócą do grania, szczególnie w zespole. A taka tęsknota czasem się pojawiała.

Półtora roku temu znaleźli ogłoszenie, że Filharmonia Łódzka organizuje nabór do półamatorskiej orkiestry. Przyszli na przesłuchanie i zostali. Próby trwają po kilka godzin, a oni są szczęśliwi, bo to dla nich odskocznia od dnia codziennego.

Jestem tu z ekipą, która realizuje cykl „Kulturalne weekendy". Z Arturem Kozą rozmawiam na balkonie sali koncertowej Filharmonii Łódzkiej. To współczesny obiekt z widownią na 600 miejsc siedzących. Jedyna sala koncertowa w Polsce, która od 2014 roku ma podwójne organy – zbudowane w stylu barokowym i romantycznym.

Wyglądają bardzo nowocześnie w swojej ascetycznej elegancji, na którą składają się rzędy srebrzystych piszczałek różnej wielkości.

– Nie spodziewaliśmy się, że na ogłoszenie odpowie od razu kilkadziesiąt osób – wspomina Artur Koza. – Ludzie nie grali po kilka lat i nagle okazało się, że chcą do tego wrócić, wystarczyło nasze ogłoszenie. Ci, którzy mieli instrumenty w domu, wyciągnęli je, poćwiczyli i przygotowali program. Pomysł stworzenia orkiestry okazał się strzałem w dziesiątkę – ocenia.

CZYŻby Orkiestra grała już cztery koncerty na zawodowej estradzie Filharmonii Łódzkiej. W sezonie artystycznym 2026/2027 muzycy pod wodzą Artura Kozy zamierzają wystąpić trzykrotnie, za każdym razem z innym repertuarem. Widać, że rośnie apetyt muzyków na granie i występowanie.

Muzyka bez stresu

Najbliższy koncert zaplanowano na 12 stycznia przyszłego roku, czasu jest więc mało. W pierwszy wtorek października, po trzech miesiącach przerwy spotkali się na próbie.

Pojawiło się kilka nowych osób, ale wciąż mają w składzie bardzo dużo skrzypiec, a prawie w ogóle altówek, aż siedem fletów poprzecznych, a żadnego oboju. Po prostu pewne instrumenty są popularniejsze od innych.

Orkiestra radzi sobie zarówno z niedoborem, jak i z nadpodażą – opracowania orkiestrowe klasycznych utworów symfonicznych przygotowuje dla niej kompozytor Jan Gromski.

W szkole muzycznej słyszeli: „Musisz być lepszy", „Musisz więcej ćwiczyć". Teraz chcą się zajmować muzyką bez odczuwania stresu.

– W tym zespole nikt nie powinien czuć się oceniany ani porównywany do innych. Muzykowanie ma dawać radość – podkreśla Artur Koza.

CZYŻby Orkiestra przyniosła dwa świetne efekty. Po pierwsze, wytworzyła się wspólnota. Po drugie, orkiestra zgromadziła wokół siebie sporą publiczność – bywa, że są to osoby, które nigdy nie były w filharmonii, a teraz przychodzą, również na inne koncerty.

Zgodnie z etymologią słowa „filharmonia" (z greckiego „phileo" – „miłuję" i harmonia – „współdziałanie"), instytucja o tej nazwie jest miejscem, które jednoczy miłośników muzyki.

To, co powinno być celem każdej takiej instytucji – zbliżanie się ludzi do sztuki dźwięków – w Łodzi się udało.

Musimy reagować

– Nazywamy to ucieczką do przodu – mówi Tomasz Bęben.

Z zawodu jest pianistą, od 15 lat kieruje Filharmonią Łódzką. To już jego trzecia kadencja. Spotykamy się w wielkim, przeszklonym foyer na drugim piętrze. Przez szyby wpada słońce, robi się optymistycznie.

Dyrektor – cały na biało – wręcza mi elegancko oprawioną książkę „Artur Rubinstein. Łódzkie tropy". Nie ma chyba bardziej znanego polskiego muzyka niż legenda światowej pianistyki, Artur Rubinstein, syn miasta Łodzi, wychowany w kamienicy przy ul. Piotrkowskiej. Nic dziwnego, że został patronem tutejszego domu muzyki.

– Zmieniło się. Pamiętam filharmonię, do której chodziłem jako uczeń szkoły muzycznej w Sieradzu. W stosunku do tej instytucji, którą przyszło mi dziś zarządzać, to był po prostu inny świat.

Na czym polega różnica? – Przede wszystkim na ofercie – odpowiada dyrektor. – Na tym, że nie jesteśmy tylko od muzyki klasycznej i nie tylko dla znawców. Przychodzą do nas nowi odbiorcy. Mają zupełnie inne oczekiwania, na które musimy reagować. A przychodzą dlatego, że tu jest fajne miejsce, tu można się spotkać z przyjaciółmi, nie dostać po głowie i wyjść z poczuciem dobrze spędzonego czasu. Muzyka może być źródłem przyjemności – mówi Tomasz Bęben.

W programie nadal króluje repertuar symfoniczny i oratoryjny. – To jest nasze główne zadanie, dlatego właśnie, że na-

eprasa.pl ed2416b7a2

FOT. DARIUSZ KULESZA/ARCHIWUM FILHARMONII ŁÓDZKIEJ, FOT. PAP/CTK

• **Półamatorska CZYŻba Orkiestra, działająca przy Filharmonii Łódzkiej, ze swoim dyrygentem Arturem Kozą**

FOT. PIOTR DRZEWIECKI/ARCHIWUM FILHARMONII ŁÓDZKIEJ, DARIUSZ KULESZA/ARCHIWUM FILHARMONII ŁÓDZKIEJ, DARIUSZ KULESZA/ARCHIWUM FILHARMONII ŁÓDZKIEJ

• **Filharmonia Łódzka to najstarsza – po warszawskiej – orkiestra symfoniczna w kraju. Jej korzenie sięgają 1915 roku, kiedy to powstała Łódzka Orkiestra Symfoniczna.**

• **Tomasz Bęben, pianista i menedżer kultury, od 2011 roku jest dyrektorem Filharmonii Łódzkiej. W 2022 roku został powołany na trzecią kadencję na tym stanowisku.**

zywamy się filharmonią. Ale musimy jednocześnie organizować warsztaty, spotkania, CZYŻby Orkiestrę, Chór dla (nie)opornych, niestandardowe zajęcia dźwiękowe dla dzieci i młodzieży. Wszystko po to, aby ubiec moment, w którym skończy się potrzeba słuchania Mozarta czy Beethovena – przekonuje dyrektor.

Zamiast Oscara, muzyka

Jego wielkim sukcesem są „Kolory Polski", istniejący od 25 lat wędrowny festiwal letni Filharmonii Łódzkiej. Instytucja współpracuje z wieloma podmiotami w regionie. To one proponują program letnich koncertów. Miejscowe społeczności wspólnie decydują, czego chcą słuchać, a muzycy z Łodzi im tego dostarczają. Najważniejsze jest wysokiej jakości wykonanie – ludzie chcą być traktowani poważnie.

Teraz dyrektor Tomasz Bęben realizuje swój następny projekt. To Centrum Edukacji Muzycznej. W przytulonym do gmachu filharmonii, dawnego teatru Thalia. Ostatnio mieściło się tam kino Bałtyk – do wejścia zachęcała replika statuetki Oscara. Od lat to pustostan.

Sejmik województwa łódzkiego przekazał filharmonii ten budynek w akcie darowizny na cel publiczny. Tam będzie Centrum Edukacji Muzycznej, miejsce spotkań wszystkich zainteresowanych muzyką i kulturą.

– Nie będzie to tylko budynek, w którym będzie prowadzona działalność. Ta działalność ma być tam generowana, a prowadzona wszędzie indziej – wtrąca dyrektor.

Jego pomysł na to miejsce wygląda tak: wyobraźmy sobie prostą melodię z „Carmina Burana" [kantata sceniczna niemieckiego kompozytora Carla Orffa], przygotowaną specjalnie dla chóru pasjonackiego. Do Centrum Edukacji Muzycznej w Łodzi przyjeżdżają chórmistrzowie z regionu, uczą się sposobów pracy z amatorami. Przygotowują „Carminę Buranę", a filharmonia produkuje koncert w wielkiej przestrzeni.

– Marzy mi się Atlas Arena, a w niej orkiestra symfoniczna, chór profesjonalny i chór pasjonatów, którzy biorą udział w wydarzeniu niezwykłym. Czy to nie jest podstawa, żeby się czuć podmiotowo, radośnie, biorąc udział w wieloetapowym procesie obejmującym dziesiątki osób skupionych na wspólnym celu? To są wszystko te emocje, których tak bardzo potrzebujemy – mówi dyrektor Filharmonii Łódzkiej. ●

• **Co dwa tygodnie dziennikarze „Wyborczej" są w innym miejscu w Polsce** – w wybranej instytucji kultury. Odkrywają ich zasoby. Opowiadają o ludziach, którzy je tworzą. Odwiedziliśmy już Muzeum Warszawy, dzisiaj Filharmonie Łódzkiej, a kolejne spotkanie odbędzie się w Muzeum Narodowym w Warszawie.
• Relacje wideo z tych podróży na **Wyborcza.pl**

Artur Rubinstein – patron Filharmonii

„Warszawę strasznie kochałem i ogromnie byłem ciekaw, co w niej stworzyliście nowego. Łódź to co innego. To wzruszenie, wielkie przeżycie, wspomnienia. (...) Czy istnieje Grand Hotel? A pasaż Mayera? Kawiarnia Manteuffla? I występ pewnie będę miał w tej samej sali, co przed laty... Tak cieszę się, że zobaczę Łódź, ale i bardzo się tego boję" – mówił Artur Rubinstein (1887-1982), legenda, jeden z największych pianistów ubiegłego stulecia.

W 1975 roku przyjechał do Łodzi. Z Orkiestrą Filharmonii Łódzkiej, na 60-lecie jej istnienia, grał koncert pod dyrekcją Henryka Czyża. Był to hołd wielkiego pianisty dla rodzinnego miasta. Mistrz miał wówczas 88 lat i wciąż podróżował między kontynentami.

Dziennikarze go nie odstępowali. Oprowadzał ich po Łodzi. „Wspominał – a pamięć miał fenomenalną – i pokazywał wszystko dokładnie. Na podwórku kamienicy nr 78 przy ulicy Piotrkowskiej – okna sypialni rodziców i gabinetu papy i pokoju, gdzie się urodził" – napisał we wspomnieniach dyrygent Henryk Czyż.

Zdolności muzyczne Artur ujawnił w wieku trzech lat. Uczył się gry na fortepianie w Łodzi i Warszawie. Kiedy miał 7 lat rozpoczął studia w Berlinie. Regularnie koncertował od 12 roku życia. Jako 17-latek debiutował w Paryżu, dwa lata później pierwszy raz objechał z koncertami do USA. W 1937 r. został okrzyknięty jednym z największych pianistów stulecia. Czas II wojny spędził w USA, w 1946 przyjął amerykańskie obywatelstwo. Nie zapomniał o Polsce. Co jakiś czas przyjeżdżał i grał w Warszawie. W 1945 r. w patriotycznym uniesieniu wykonał „Mazurka Dąbrowskiego" na konferencji w San Francisco, protestując przeciwko nieobecności polskiej flagi.

„Jego grę cechowała wielka kultura, daleka od wyabstrahowanej wirtuozerii. Był elegancki, wytworny, poetycki, niekiedy wyrafinowany. Kochał grać i manifestował to już samą sylwetką przy instrumencie – czuł się przy fortepianie wspaniale i stan ten potrafił przelać na słuchaczy" – napisał Stanisław Leszczyński.

Filharmonia Łódzka przyjęła imię Artura Rubinsteina w 1984 r., w dwa lata po jego śmierci. ●

OGŁOSZENIE
Kraj/34452974

REKLAMA

ORGANIZATOR

PARTNER PROJEKTU:
PGE POLSKA GRUPA ENERGETYCZNA

eprasa.pl ed2416b7a2

RAMIĘ ŚWIĘTEGO

Płyniemy katamaranem po Dunaju. Z ludźmi wracającymi do domów, robotnikami i żołnierzami. Do Sfântu Gheorghe nie można się inaczej dostać. Wszędzie tylko kanały i rozlewiska.

Marta Panas-Goworska, Andrzej Goworski

Płyniemy Dunajem z trojgiem dzieci, teściową i książką Emila Hakla „Zasady śmiesznego zachowania", w której bohater wiezie nad Morze Czarne urnę z prochami ojca.

Towarzyszy nam wiatrzysko, a na miejscu w Sfântu Gheorghe (Święty Jerzy) puste plaże i pięć psów, które samozwańczo podejmują się roli przewodników po mokradłach. Noce wypełniają nam ptasie odgłosy z rezerwatu w Delcie Dunaju. Rachunek za tę cudną pustkę i zanurzenie w przyrodzie przyjdzie później, kiedy na przystani dowiemy się, że łodzi powrotnej nie ma.

Co trzeba wiedzieć o Delcie

Dunaj ma trzy główne ramiona, którymi jego wody wpadają do Morza Czarnego:

• **Kilia (Chilia)** – północne, największe, to częściowo granica między Rumunią a Ukrainą.

• **Sulina** – środkowe, najważniejsze dla żeglugi morskiej, przy jego ujściu leży miasto Sulina.

• **Sfântu Gheorghe** – południowe, kręte i najdziksze. Przy jego ujściu znajduje się nasz cel – miejscowość Sfântu Gheorghe.

Delta Dunaju to jeden z najmłodszych lądów w Europie – formować się zaczęła, gdy rzeka wypełniła osadami zatokę Morza Czarnego – jakieś 7,5 tysiąca lat temu. I wciąż się powiększa, jest w ruchu, bo rzeka z nowych osadów tworzy nowe wyspy i kanały. Dziś ma ponad 5200 km kw. po stronie rumuńskiej, a jako transgraniczny rezerwat biosfery – razem z ukraińską częścią – 7322 km kw.

Deltę tworzy labirynt ponad 300 jezior i tysiące kilometrów kanałów. Jest domem dla ponad 4,3 tys. gatunków zwierząt i prawie 3 tys. gatunków roślin; gniazduje tu i odpoczywa podczas migracji grubo ponad 300 gatunków ptaków, a w wodach żyje ponad 100 gatunków ryb, w tym kilka gatunków jesiotra.

Barka i ziemniaki

W Mahmudii Dunaj jest szeroki, przy zaciągniętym chmurami niebie zielonobury. Porywisty wiatr marszczy wodę. Przy drodze biegnącej wzdłuż ramienia Sfântu Gheorghe jest kilka przystani; przy naszej przycumowano barkę, na którą wchodzi się jak na pomost.

Katamaran z Tulczy miał być o 14.30, ale bosman mówi, że się spóźni, więc siadamy przy bagażach i patrzymy, jak barka zapełnia się ludźmi. Nie wyglądają na wycieczkowiczów. Ktoś przytachał drzewka owocowe, ktoś sadzonki kwiatów, łopaty i worki nawozu. Jest też rower w częściach. Młody mężczyzna dźwiga dwa wory ziemniaków, obok starzec w dresie pcha dwukołowy wózek z zakupami.

Wiatr co chwila porywa jakąś folię albo reklamówkę i rzuca do wody, więc wszyscy pilnują rzeczy. Mamy torby, plecaki, jedzenie i dziecięce kocyki. Płyniemy zobaczyć Deltę, a większość tych ludzi po prostu wraca do domu.

Wodny autobus

Dunaj ma 2850 km. Od Schwarzwaldu do Morza Czarnego przepływa przez 10 państw. Zebrał po drodze wodę z ogromnego obszaru kontynentu, ale tutaj ta europejska geografia zmienia się w codzienną logistykę Delty – rozkład rejsów i zaopatrzenie.

Katamaran to poprostu lokalny autobus na wodzie. Patrzymy jak się zbliża do barki i cumuje. Zaczna się przenoszenie tobołów. Wsiadamy. W zadaszonej części pasażerskiej z minibarem robi się tłoczno: urzędnik, lekarz, dwóch żołnierzy i grupa budowlańców.

Za ladą stoi wielki mężczyzna w białej marynarce i spodniach z lampasami. Ma przekrzywioną kapitańską czapkę. Budowlańcy płacą plastikowymi rumuńskimi banknotami za rumuńskie piwo Ursus, wychodzą z nim na rufę, palą, po kwadransie wracają po kolejne.

Marta też wychodzi na pokład. Dopiero teraz widać, jak ten świat różni się od drogi, którą przyjechaliśmy: zieleń trzcin ma srebrzysty, miejscami metaliczny połysk, korzenie drzew schodzą do wody, między nimi pojawiają się pomosty i prowizoryczne miejsca noclegu dla sezonowych rybaków. Mija nas barka z dwiema wojskowymi ciężarówkami.

„Powiedz tym motherfuckerom..."

Do Mahmudii dotarliśmy wynajętą Toyotą, bo kilka dni wcześniej nasz siedmioosobowy Renault Scenic, nazywany Baryłką, stracił moc pod Miszkolcem. Teresa, babcia naszych dzieci, nasza mama i teściowa, uparła się jednak, żeby nie wracać. Znaleźliśmy więc w wypożyczalni wielką Toyotę, zapakowaliśmy rzeczy i naszą szóstkę, i ruszyliśmy dalej.

Na Węgrzech świeciło słońce. Auto długie jak żaglówka, sunęło przez pola po autostradzie i wydawało się, że to koniec kłopotów. Ale po rumuńskiej stronie zatrzymał nas patrol. Młody policjant sprawdził dokumenty i powiedział, że ubezpieczenie auta jest nieważne. Zagroził nam mandatem równowartości 500 euro i lawetą. Dzwonimy więc do wypożyczalni. Kobieta po drugiej stronie zapewnia, że ubezpieczenie jest aktualne i zaraz przyśle skan mailem.

Czekamy i czekamy. Policjanci kontolują inne samochody i też czekają. Po historii z Baryłką wizja ponownego wypakowywania całej rodziny na poboczu staje się coraz bardziej realna. W aucie robi się nerwowo. I wtedy policjant podchodzi do Andrzeja i prosi go na bok.

– We are boys – zaczyna i pyta, z kim jedziemy. Żona, dzieci, matka?

– Teściowa – odpowiada Andrzej.

Policjant mówi, że on też jest „family man" i skoro jedziemy z rodziną, to nas puszczą. Oddaje dokumenty. Ma tylko prośbę: ludziom z wypożyczalni mamy przekazać od rumuńskiej policji, że są „motherfuckers".

Ruszamy. Dopiero po kilkunastu minutach przychodzi mail z aktualnym ubezpieczeniem.

Droga do Babadag i Dobrudży

Przez następne kilkaset kilometrów Rumunia stopniowo zmieniała skalę. Jakbyśmy przybliżali mapę na telefonie. Skończyły się drogi szybkiego ruchu, zwolniliśmy, jechaliśmy teraz przez centra małych miejscowości, mijaliśmy niewielkie cerkwie, coraz częściej – meczety.

W Babadag zatankowaliśmy i wypłaciliśmy z bankomatu plastikowe leje z przezroczystym okienkiem. Przy bramach stały trójkołowe pojazdy przypominające kosiarki połączone z wózkiem na zakupy, mężczyźni siedzieli na murkach, po ulicach chodziły duże psy. Między parterowymi domami co i rusz wyrastały większe, bogato zdobione budynki, a przed ich bramami samochody na niemieckich tablicach. Z auta oglądaliśmy tylko powierzchnię świata, który Andrzej Stasiuk opisywał w „Jadąc do Babadag" – tę część Europy, przez którą zwykle tylko się przejeżdża lub nad nią przelatuje.

Dalej był stepowy krajobraz Dobrudży. Wiatr toczył przez szosę suche krzaki niczym w westernie, po bokach błyskały już rozlewiska i mokradła, zabudowa była coraz rzadsza. Przez 1500 km dzielących Warszawę od Delty samochód był podstawowym środkiem transportu. Za chwilę stanie się bezużyteczny.

1 RP

POZNAJMY NASZĄ EUROPĘ

• Chcemy rozwijać wśród Polaków poczucie europejskiej tożsamości, pokazując różnorodność krajów członkowskich Unii Europejskiej. Co tydzień na łamach „Magazynu Wyborczej" i w serwisie Wyborcza.pl będziemy publikować teksty opisujące ciekawe miejsca, tradycje i kulturę kolejnych krajów Wspólnoty. W ramach projektu przedstawiamy także działalność Parlamentu Europejskiego i jego wpływ na życie Europejczyków. Analizujemy wyzwania stojące przed Wspólnotą, m.in.: kryzys migracyjny, wojnę w Ukrainie czy walkę z dezinformacją. Działania współfinansowane są przez UE w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji. Materiały i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają poglądy autorów. Parlament Europejski nie odpowiada za ich treść.

eprasa.pl ed2416b7a2

FOT. SOGODEL VLAD / SHUTTERSTOCK

JERZEGO

Delta Dunaju. Rezerwat biosfery UNESCO

Jedna z największych atrakcji przyrodniczych Rumunii i jeden z najcenniejszych obszarów mokradeł w Europie. Żyje tu ponad 300 gatunków ptaków, w tym największe na świecie kolonie pelikanów.

1. **Las Letea** - las na wydmach nazywany „europejską dżunglą"
2. **Mila 23** - tradycyjna wieś lipowańska

● **Okolice jezior Fortuna i Roșu** - miejsca obserwacji kolonii pelikanów

Trzy ramiona Delty Dunaju
3. **Chilia (Kilia)**
4. **Sulina**
5. **Sfântu Gheorghe (Święty Jerzy)**

Miejscowości po stronie rumuńskiej
6. **Sfântu Gheorghe**
7. **Mahmudia**
8. **Murighiol**
9. **Tulcza**
10. **Văcăreni**
11. **Sulina**

Ukraina

Rezerwat Biosfery Delta Dunaju

Miejscowości po stronie ukraińskiej
12. **Izmaił**
13. **Kilia**
14. **Wilkowo**
15. **Kanał Bystroje**

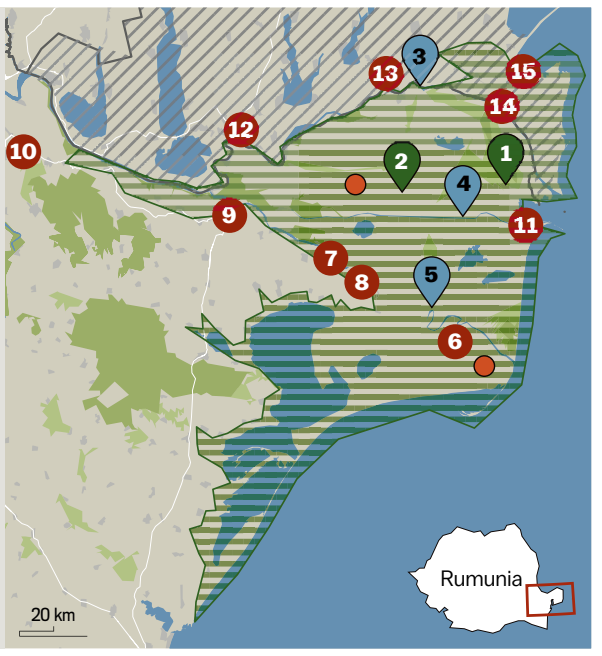

© GAZETA WYBORCZA

MAPA: JOANNA PATYK

◀ **Podobne domki rybackie często się spotka w rozlewiskach delty Dunaju: w Sfântu Gheorghe, Mili 23 czy Sulinie. Rzeka wyznacza tu rytm życia. Łódź jest tu podstawowym środkiem transportu, ale turystyka powoli staje się ważniejsza od rybołówstwa**

FOT. POROJNICU STELIAN / SHUTTERSTOCK

● **Delta Dunaju słynie z kolonii pelikanów kędzierzawych i białych. To chyba największe ich siedliska w Europie**

FOT. POROJNICU STELIAN / SHUTTERSTOCK

● **Stada dzikich koni swobodnie przemieszczają się między wydmami, lasami i trzcinowiskami delty**

Co i ile kosztowało?

• Kwoty w złotówkach są orientacyjne i podajemy je po przejrzeniu płatności z konta bankowego. Wydatki na Węgrzech były rozliczane w forintach, w Rumunii – w lejach.

• Toyota: 9-osobowe auto z automatyczną skrzynią, wynajęta w Miszkolcu – 3000 zł za tydzień plus 2100 zł zwrotnej kaucji.

• Prywatny parking przy porcie w Mahmudii – 13 zł za dobę (15 lei). Nie trzeba wcześniej rezerwować miejsca.

• Katamaran Mahmudia-Sfântu Gheorghe – ok. 50 zł od osoby plus bagaż; nie ma biletów ulgowych dla dzieci. Za naszą szóstkę zapłaciliśmy w jedną stronę 330 zł (400 lei). Rejs trwa mniej więcej półtorej godziny.

• Prywatna motorówka: 700 zł (850 lei). To ponad dwa razy więcej niż regularny rejs naszej szóstki w jedną stronę.

• Nocleg: 2000 zł za cztery doby dla trzech dorosłych i trojga dzieci, w dwóch pokojach, ale bez śniadania. To cena poza wakacyjnym szczytem; w takim terminie bez większego problemu można znaleźć podobny albo tańszy nocleg.

• Gotówka: warto zabrać leje. W Sfântu Gheorghe w części sklepów i lokali można płacić kartą, ale gospodarze sami radzą przywieźć gotówkę. Podstawowe zakupy da się zrobić na miejscu. Rumuńskie ceny są na ogół nieco niższe niż w Polsce, ale w samej Delcie część produktów kosztuje więcej niż na rumuńskim „lądzie", bo praktycznie wszystko trzeba tu dowieźć wodą.

• I jeszcze jedno: na winiecie nie warto oszczędzać. Kilka dni temu dostaliśmy list z Węgier. Otwieramy: kara za przejazd autostradą bez ważnej winiety – prawie 700 zł. Okazało się, że wjechaliśmy na płatny odcinek 45 minut wcześniej, niż zaczynała obowiązywać wykupiona przez nas winieta

W plecaku mamy Hakla, a on ma urnę

Pomysł na ten wyjazd pojawił się 14 lat temu. Andrzej pracował wtedy jako korektor polskiego wydania „Zasad śmiesznego zachowania" czeskiego pisarza Emila Hakla w tłumaczeniu Julii Różewicz. To niewielka, ale głęboka, wręcz filozoficzna, a zarazem niezwykle zabawna książka. Umierający ojciec prosi w niej syna, by po śmierci zabrał jego prochy nad morze. Syn rusza z urną do Rumunii, przedziera się przez Deltę Dunaju i dociera do Suliny. Ta scena została Andrzejowi w pamięci – wtedy jeszcze jako świetna realizacja literackiego wątku.

Na początku lutego 2026 roku, po długiej chorobie, zmarła babcia Celinka. Nie dożyła swoich 101. urodzin. W czasie II wojny światowej była kapitanem, potem prowadziła dom, w którym to mężczyźni robili kariery i sięgali po kolejne tytuły. Była prababcią naszych dzieci, naszą babcią i mamą Teresy.

Teresa ze swoim rodzeństwem miesiącami czuwała przy chorej matce. Po pogrzebie rzucała się w kolejne zajęcia. Liczyliśmy, że fizycznie odetchnie, a potem przyjdzie czas godzenia się ze stratą. Tak się nie działo.

I wtedy wrócił Hakl ze swoją historią o urnie i drodze nad morze.

Ale nie jedziemy jego śladem. Hakl płynie innym ramieniem Dunaju i dociera do Suliny, my wybieramy Sfântu Gheorghe. Został nam jednak jego obraz Delty: „Nie można tu polegać na mapie, wszystko płynie, zarasta, gnije, coś zostaje przysłonięte przez tatarak, co innego pochłonięte przez bagno. Kanały się zatykają, przesuwają, wyspy wędrują".

W jednej ze scen obok trzcin przesuwa się ogromny frachtowiec YAN SHAN, tak wielki, że z perspektywy bohatera wygląda jak ściana żelaza. Dziś kanałem Sulima płyną nie mniejsze statki z paliwem i amunicją do Ukrainy, a stamtąd – ze zbożem.

U Hakla było też zdanie: „Być w ruchu. Szukać, którędy iść dalej". W naszej podróży okazuje się mieć ono bardzo praktyczne znaczenie. Ktoś pilnuje dzieci, ktoś pilnuje terminów i liczy pieniądze, ktoś dzwoni do wypożyczalni. Więc my też potrzebowaliśmy ruszyć się z miejsca, załatwiać kilka spraw, podjąć odkładane decyzje, choć może trochę inaczej. Po drodze rozpadła się Baryłka i cały plan trzeba było ułożyć od nowa.

Kiedy katamaran dobija do Sfântu Gheorghe, książka wraca do plecaka. Babcia Celinka postępowała podobnie: kiedy coś należało zrobić, po prostu brała się za to. Teresa po jej śmierci też nie przestawała działać, ale poruszała się po znajomym terenie. Teraz po raz pierwszy gdzieś z tym bólem wyjeżdża.

Hakl wiezie przez Deltę urnę z prochami ojca. Teresa urny nie ma, ale też zabiera ze sobą to, co zostało po matce i sprawdza, czy z takim ciężarem można ruszyć dalej.

eprasa.pl ed2416b7a2

Ziemia trójkołowców

Na przystań w Sfântu Gheorghe zjeżdżają elektryczne trójkołowce, połączenie motocykla, powozu i taczki. Miejscowi często prowadzą je na stojąco, niczym woźnica, brakuje tylko bata. W kilka minut wszystko, co było na pokładzie i pomoście rozjeżdża się po piaszczystych ulicach.

Na jeden z pojazdów ładujemy nasze torby i plecaki. Córka naszych gospodarzy nie mówi po angielsku, my nie mówimy po rumuńsku, ale aplikacja w telefonie wystarcza, żeby bagaże pojechały we właściwą stronę. Choć później okaże się, że z bardziej skomplikowanymi rozmowami telefon radzi sobie znacznie gorzej.

Idziemy za trójkołowcem przez wieś. Domy są parterowe, przy gankach pojawiają się kolumienki i ornamenty, za płotami jabłonie, śliwy, figowce i mnóstwo kwiatów.

Samochody nie znikają jednak całkowicie. Później zobaczymy jeszcze dwa traktory, jeepa, policyjną Dację i ciężarówkę, która pewnie przypłynęła tu barką z zapasem paliwa. I to pokazuje miejscową hierarchię: nawet auto potrzebuje łodzi.

Nasza kwatera, Cerdacul cu Stuf, stoi przy jednej z piaszczystych ulic. Mamy dwa duże pokoje z łazienkami, co przy sześciu osobach jest bardzo wygodne. Dzielimy pokoje i ładowarki – towar łatwo gubiący się i arcyważny zarazem – i rozpakowujemy się. Dzieci są niezmordowane – jakby awaria samochodu, setki kilometrów i przesiadka na statek w ogóle ich nie dotyczyły. Domagają się morza!

Do plaży mamy niecałe dwa kilometry. Przy końcu osady mijamy wojskowe budynki. Jeden maszt stoi a drugi właśnie budują. Jak dowiemy się później, Rumunia rozwija w regionie infrastrukturę antydronową, w tym amerykański system MEROPS wykorzystujący m.in. technologie AI. Na razie jednak zajmuje nas obserwowanie drogi. Przed nami podmokłe łąki, trzciny i kałuże, jak się zdaje zagradzające przejście. I wtedy pojawiają się przewodnicy.

Pięć psów prowadzi nas nad morze

Najpierw dołącza jeden, po chwili drugi, potem trzeci, w końcu jest ich już pięć. Pięć wielkich psów. Gonią się po piachu, wskakują do wody, nurkują w trzcinach, ale potem od razu wracają do nas i oglądają się, czy nadal idziemy za nimi.

Dzieci cieszą się z psiej eskorty. Gdy przyspieszamy, psy biegną przodem; kiedy któreś z dzieci zostaje z tyłu, zatrzymują się i mu asystują. Przestajemy żartować, że nas prowadzą, bo naprawdę nas prowadzą.

Kiedy znikają w szuwarach, to po chwili nad trzcinami podrywają się dziesiątki ptaków. Część z nich jest jasna, wielkości mniej więcej kaczki, inne drobne i szare, przemykają nisko nad wodą. W Delcie można spotkać m.in. kaczki, mewy, rybitwy czy czaple, ale nie mamy pewności i nie próbujemy ich dokładniej nazwać. Psy wypadają z trzcin zziajane i wyraźnie zadowolone z siebie.

Po drodze nie spotykamy ani jednego człowieka, za to mijamy stadka swobodnie pasących się krów. Raz widzimy też niewielkie stado koni. Przyglądamy się czy nie mają skrępowanych przednich nóg, ale nie – przechodzą swobodnie między wodą a trawą i właściwie nie zwracają na nas uwagi.

• **W Sfântu Gheorghe środkiem wszelkiego transportu są elektryczne trójkołowce. Te lokalne „taksówki" dowożą też turystów z przystani do pensjonatów i na plażę.** FOT. ANDRZEJ GOWORSKI

Za nami majaczy wojskowa infrastruktura, nieco dalej latarnia morska. Wokół kałuże i rozlewiska, nad nimi potargane chmury gnane wiatrem. Co chwila przez ten krajobraz przelatuje jakieś ptaki. Zieleń urywa się tylko tam, gdzie na ścieżkę wchodzi woda.

Morze Czarne i pelikany

Fałda rysująca się przed nami, jakby piaszczysty wał, oznacza kres zielonej Delty. Wchodzimy na nią i oto przed nami Morze Czarne – pusta plaża i wiatr, który raz przynosi zapach słonej wody, a za chwilę woń krowiego łajna znad łąk.

Na piasku stoi duża metalowa konstrukcja. Wygląda jak pas transmisyjny, ale nie mamy pojęcia, do czego służył. Do przesypywania piachu? Nie zastanawiamy się nad tym za długo, bo oto obok przechodzi sobie pelikan. Wielki ptak z charakterystycznym workiem pod dziobem spokojnie zmierza w stronę wody.

Psy tracą rozsądek i rzucają się w jego stronę, ale pelikan nawet nie przyspiesza. Rozkłada skrzydła, unosi się nad wodę i przez chwilę kołuje nisko nad falami, jakby się z nich naigrywał. Psy podskakują, próbują go dosięgnąć, ale tylko z pluskiem lądują w wodzie.

Jesteśmy na samym końcu największej i najlepiej zachowanej delty Europy, ale najbardziej uderza nie jej skala, tylko ruch. Tutaj ląd wciąż się tworzy, woda przesuwa granice, jeziora i kanały zmieniają kształt, trzciny zarastają dawne przejścia.

FOT. ANDRZEJ GOWORSKI

• **Na czarnomorskiej plaży samotny krzyż z tabliczką dla Teodora (1951-2002) z Galati czyli Gałacza, który postawiła tu jego rodzina**

Delta nie wygląda jak skończony krajobraz. Bardziej jak wielki ospały stwór, który bez przerwy się porusza, opierając się tylko o morze.

Szwendamy się po plaży i znajdujemy metalowy krzyż z tabliczką: „Cioclu Teodor, ur. 1951, zm. 2002, Galati. Wieczna pamięć. Nigdy cię nie zapomnimy. Rodzina".

I momentalnie pojawia się Hakl. Jego bohater wchodzi do zimnej wody i bez odrobiny patosu żegna się z popiołami ojca: „Otwieram i sypię. Na razie, nie gniewaj się".

W brzuchu przyrody

Przez kolejne dni, z przerwą na obiady, które gotujemy sobie w kuchni naszej kwatery, wałęsamy się po okolicy. Wracamy na plażę, dzieci bawią się przy wodzie, włóczymy się między domami, ogrodami i rozlewiskami. Za dnia wzrok bez przerwy ma coś do roboty: kwiaty, psy, ptaki, wodę między trzcinami, ale też przewody elektryczne i telekomunikacyjne, które w wielu rumuńskich miejscowościach biegną nisko nad ulicami. Tutaj zwisają jakby niżej, niemal nad głowami, prowadzone w wiązkach od słupa do słupa.

Pewnego wieczoru jeszcze raz idziemy nad morze. W nocy znika większość tego, co widzieliśmy tu za dnia. W latarce widać tylko kilka metrów ścieżki i wtedy Delty przede wszystkimi się słucha.

Z rozlewisk dochodzi kwilenie, gęganie, kląskanie i pohukiwanie. Głosy nakładają się i odbijają od wody, nie sposób ustalić, czy zwierzę znajduje się kilka metrów od nas, czy po drugiej stronie mokradła. Coś odzywa się z lewej, chwilę później odpowiada z prawej. W trawie szura, w wodzie chlupie, nad nami piszczy, wiatr porusza trzcinami. Każdy dźwięk bez widocznego źródła – w naszej wyobraźni – automatycznie czyni zwierzę większym, wręcz potwornie ogromnym i groźnym.

Nagranie tego nie oddaje. Na nocnym wideo zostaje ciemność, snop latarki i hałas, który telefon spłaszcza do jednego tła. Ale na miejscu naprawdę ma się wrażenie, że weszło się do brzucha przyrody. Tym większe jest nasze zdziwienie, kiedy latarka wreszcie wyławia z ciemności sprawczynię jednego z najbardziej donośnych hałasów. Żaba wygląda jak nadęta, obrażona brązowa piłeczka do tenisa – malutka, a głośna jak sam książę ciemności.

Do kwatery wracamy z tym wielogłosem w uszach i obrazem istotki, która miała być potworem.

Nie ma łodzi

Dzień przed wyjazdem córka gospodarzy spytała, czy potrzebujemy transportu na przystań. Tak, na godzinę 12. Rozmawiamy za pośrednictwem aplikacji. Pytamy ją jeszcze o statek. Z odpowiedzi wnioskujemy, że odpływa o 13.30. Następnego dnia przyjeżdża po nas trójkołowcem, ładuje bagaże i zawozi na przystań. Za pośrednictwem smartfona zadaje pytanie, po którym wszyscy przestajemy być pewni czegokolwiek:

– A skąd odpływa wasza łódź? Pokazujemy miejsce, do którego przypłynęliśmy. – Stąd.

Kobieta sprawdza w telefonie, potem dzwoni. My też sprawdzamy, ale im dłużej, tym mniej zgadza się to z wczorajszymi ustaleniami. Po chwili już wiadomo: regularnego statku tego dnia nie ma.

Tymczasem jutro musimy zwrócić auto w Miszkolcu, kilka godzin później mamy autobus do Warszawy; Baryłka wróci po trzech tygodniach na lawecie. Doba dłużej w Sfântu Gheorghe wszystko przesuwa, kolejny nocleg i kolejne koszty i nie ma pewności, że jutro komunikacja będzie zgodna z tym, co zrozumiemy z telefonu.

Planujemy alternatywne rozwiązania np. nową nocną drogę na Węgry, a córka gospodarzy dzwoni do znajomych. Po pewnym czasie udaje się znaleźć prywatną motorówkę.

Cena: 850 lei. Dla porównania regularny rejs naszej szóstki w jedną stronę to ok. 400 lei. Nie ma co się zastanawiać. Wydajemy ostatnie leje.

Zaczyna padać. Kobieta prowadzi nas do zadaszonej motorówki przy pomoście. Brakuje tylko kapitana. Pojawia się mężczyzna około pięćdziesiątki z wyjątkowo białymi zębami, wchodzi na pokład i zaczyna szukać kluczy. Przy sterze, pod siedzeniami. Mijają minuty, kapitan gdzieś dzwoni i znowu sięga pod siedzenie. Klucze leżą między puszkami po piwie Ursus.

Nad tą samą wodą

Motorówka pędzi w górę rzeki. Przez aplikację pytamy Tache, czyli naszego kapitana, z jaką prędkością płyniemy.

– Trochę ponad 40 km na godzinę – odpowiada. Przy takich obrotach silnik spala, jak szacuje, „zaledwie" około 20 litrów benzyny na godzinę. Andrzej pyta: a ile jelsi da pełny gaz.

– Może 50-60 litrów na godzinę.

– 50-60? Ooo!

I tak cena 850 lei za prywatny rejs przestaje nas dziwić.

Tache rozpędza motorówkę mniej więcej do 50 km na godzinę. Płyniemy blisko brzegów, kapitan ścina zakręty i zwalnia przed sieciami oznaczonymi zielonymi bojami. Miejscami ogromne pnie i gęste korony tworzą ścianę, przez którą trudno zobaczyć, co jest dalej.

– W tych zaroślach może kryć się potwór – mówią dziewczynki.

Teraz rzeczywiście miałby się gdzie ukryć. Znów mijamy krowy, pojedyncze konie i prowizoryczne obozowiska rybaków. Niektóre stoją niemal na wodzie, jakby kilka desek, plandeka i łódź wystarczały, by mieć tutaj sezonowy adres. Tache mówi, że część rybaków przyjeżdża do pracy z Mołdawii. Przekrzykując huk silnika oraz szum wody, zaczyna opowiadać o codzienności mniej widowiskowej niż widoki za plandeką.

Do „cywilizacji", jak mówi, dociera się wodą. Mieszkańcy nauczyli się robić zapasy, bo po brakujący produkt nie można po prostu pojechać samochodem. Dawniej podstawą życia było rybołówstwo. Teraz, w jego ocenie, ryb jest mniej, a ważniejsza stała się turystyka. Sfântu Gheorghe wyrosło jako osada rybacka, później pojawiły się większe inwestycje dla przyjezdnych i nowe źródła zarobku. W Delcie istniało też duże przetwórstwo rybne; po 1991 roku wiele dawnych zakładów zniknęło, w tym wielka, zaopatrująca całą Rumunię i produkująca na eksport, także do PRL, fabryka konserw w Sulinie.

Pytamy Tache o Ukrainę.

– Drony? – Nie.

Tache mówi, że w Sfântu Gheorghe ich nie słyszy i nie widzi, a hałasy i problemy są dalej na północ i w górę rzeki.

Pytamy o martwe delfiny na plażach, o których czytaliśmy: czy wojna mogła zwiększyć ich śmiertelność przez podwodny hałas, fale uderzeniowe eksplozji, wojskowe sonary albo skażenie morza paliwem, amunicją i produktami wybuchów.
Tache zna przypadki martwych delfinów wyrzuconych na brzeg, ale mówi przede wszystkim o zwierzętach zaplątanych w sieci i nie potwierdza opowieści o masowym padaniu delfinów z powodu wojny.

Powiedzieliśmy mu, że przygotowujemy artykuł o Delcie. Tache nie rozwija już wojennego wątku i wraca do opowieści o rzece. Niebawem jednak geografia wojny przesunie się bliżej. 25 lipca rumuński F-16 zestrzeli drona około 10 km na północny zachód od Sfântu Gheorghe. Rumuński MON poda, że zniszczono go nad niezamieszkanym, trudno dostępnym terenem. Czyli takim, przez który płyniemy.

I jechać dalej

Motorówka pędzi. Najbardziej widowiskowy rejs po delcie odbywamy kiedy najmniej zależy nam na zwiedzaniu. Chcemy już być w Mahmudii. Pojawia się przystań. Samochód stoi tam, gdzie go zostawiliśmy. Przerzucamy bagaże z łodzi do auta, zapinamy dzieci w fotelikach.

Tache odpływa, a my ruszamy na zachód. I wtedy znów wraca Hakl ze swoim: „Być w ruchu. Szukać, którędy iść dalej". Kiedyś było to zdanie z dobrej książki. Przed wyjazdem brzmiało jak myśl o żałobie i o Teresie. W Delcie nabrało prostszego znaczenia: czasem drogi, którą miało się wrócić, po prostu nie ma. Trzeba znaleźć inną. I jechać dalej. ●

1 RP

eprasa.pl ed2416b7a2

ADAM MICHNIK POLECA

TU OBYWATELE, OBOK PODDANI.
A to Polska właśnie

Rok 1863. U nas powstanie, w Londynie pierwsza linia metra. Taki był nasz dystans do rozwiniętego Zachodu. Dlatego takim cudem wydaje się sukces Polski po 1989

Krzysztof Król*

FOT. ZE ZBIORÓW MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO

• **„Gen. Sowiński na szańcach Woli", dzieło Wojciecha Kossaka namalowane w latach 1922-23. Obraz przedstawia bohaterską śmierć generała Józefa Sowińskiego (6 września 1831 roku) podczas obrony Warszawy w czasie powstania listopadowego. Obecnie w zbiorach Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie**

Książka o ostatnich 200 latach historii Polski ujęta w rozmowach z 27 historykami to marzenie wielbiciela historii. Mirosław Maciorowski przeprowadza czytelnika przez skomplikowane losy, wybory i trudne decyzje. Przyświeca mu stwierdzenie Cycerona: „Nie znać historii to być zawsze dzieckiem".

Kilkadziesiąt wywiadów wywołuje zadumę nad prawidłowościami polskiej historii, powtarzającymi się pytaniami, z których najczęstsze jest „bić się czy nie bić". Polska historiografia przeżyła wiele prób syntetycznego określenia sporów, od podziału na zwolenników Oświecenia i Ciemnogrodu, postępowców i wsteczników, czy wybierających model zachodniego obywatelstwa lub wschodniego posłuszeństwa. Pamiętam jeszcze ze szkoły w latach 70., że powstanie listopadowe było uznawane za „wsteczne", a styczniowe za „postępowe".

„Tu stoję, inaczej nie mogę"

Maciorowski nazwał książkę „Powstańcy. Marzyciele i realiści". Lektura ponad tysiąca stron pokazuje, że możliwy jest inny podział, na obywateli i poddanych, hardych i uległych, buntujących się i godzących z losem. Dzieje od przegranego powstania przesądzającego koniec I Rzeczypospolitej do wygranego powstania „Solidarności" umożliwiającego narodziny III RP wskazują, że polskie spory nie zależą od pochodzenia społecznego, majątku czy nawet nadarzających się okazji.

Książka jest wypełniona bohaterami walczącymi w każdych, nawet najbardziej dramatycznych okolicznościach. Są przedstawiciele ubogiej szlachty jak Tadeusz Kościuszko, niegodny, by związać się z córką magnata, są dzielni księża jakobini jak Hugo Kołłątaj, są przedstawiciele chłopstwa jak Wincenty Witos, robotnicy jak Lech Wałęsa, są Tatarzy, Żydzi, Białorusini, Niemcy, Ukraińcy, którzy wybrali polskość, są ludzie wszystkich wyznań.

Autor nie odwołuje się wprawdzie do Żeromskiego, ale duch „Snu o szpadzie" towarzyszy całej książce. Jeszcze bardziej polskie losy tłumaczy Józef Piłsudski w „Liście do Felka [Perla] lub tego, co mój nekrolog pisać będzie", pisanym przed akcją ekspropriacyjną w Bezdanach w 1908 roku: „Walczę i umrę jedynie dlatego, że w wychodku, jakim jest nasze życie, żyć nie mogę, to ubliża – słyszysz! – ubliża mi, jako człowiekowi z godnością nie niewolniczą".

Każdy, kto uczestniczył w walce, wysłuchał dziesiątek podobnych stwierdzeń. Poznałem je z ust ostatnich żołnierzy Legionów, oficerów Armii Krajowej, wreszcie działaczy opozycji antykomunistycznej siedzących w areszcie na Rakowieckiej. Rogate słowa Piłsudskiego są sensem filozofii czynu Stanisława Brzozowskiego czy siły bezsilnych Václava Havla.

W podziale na obywateli i poddanych tych pierwszych jest zawsze mniej, ale czasami wiatr historii daje im szansę zwycięstw. W opozycji tłoku nie było - odpowiadam na pytanie o zasięg działań opozycyjnych w latach PRL-u. Trudno powiedzieć, co wywołuje „gen buntu", dlaczego poszczególne jednostki, być może losowo, czują obmierzłość wobec pokory czy poddaństwa. Historia stwarza ludzi mówiących jak Marcin Luter: „Tu stoję, inaczej nie mogę". I tylko tacy zmieniają bieg dziejów.

Podział na obywateli i poddanych implikuje stosunek do Oświecenia i dziedzictwa wielkiej rewolucji francuskiej, która, wprawdzie boleśnie, pokazała, że w żyłach ludzkich płynie taka sama czerwona krew. Francuskie zrywy były dla „obywateli" wzorem – od słów Mazurka Dąbrowskiego przywołujących Bonapartego po „Warszawiankę" malującą: „W tęczę Franków Orzeł Biały...". Ducha Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela z 1789 roku odnajdujemy do dzisiaj – od rewolucji „Solidarności" po zasady funkcjonowania Unii Europejskiej. Basil Kerski, przez blisko 15 lat dyrektor Europejskiego Centrum Solidarności, wprost wyprowadzał „Solidarność" z ducha Marsylianki.

Szukajcie młodych

Z książki Maciorowskiego można wyprowadzić wiele fascynujących powtarzalności.

Jedną z bardziej oczywistych, choć cały czas niedocenianych, jest wpływ na historię ludzi młodych. Jan

eprasa.pl ed2416b7a2

Kiliński w insurekcji warszawskiej miał 33 lata, podobnie jak Jakub Jasiński w Wilnie, tyle samo lat miał inicjator nocy listopadowej Piotr Wysocki, Maurycy Mochnacki – 27, Ludwik Mierosławski rozpoczynający powstanie wielkopolskie w 1848 r. – 34, przywódca „czerwonych" Stefan Bobrowski – 23, Michał Bobrzyński skończył 29 lat, gdy ukazały się jego „Dzieje Polski", w 1905 roku Stefan Okrzeja miał 18 lat, Walery Sławek 25. Stąd zresztą stający na czele Pierwszej Brygady 46-letni Piłsudski nazywany był „dziadkiem".

Dowódca powstania w getcie warszawskim Mordechaj Anielewicz miał 24 lata, a Marek Edelman był jeszcze młodszy, w marcu 1968 roku Adam Michnik miał 21 lat, Bogdan Borusewicz w 1980 liczył 31, a Władysław Frasyniuk i Zbigniew Bujak po 25. Lech Wałęsa był ich starszym kolegą, bo miał aż 36 lat.

Młodość rewolucjonistów udowadnia tezę, że życie jest wydatkowaniem energii, zarówno w skali indywidualnej, jak i zbiorowej. Dlatego zresztą warto przyglądać się, co się dzieje w pokoleniach wchodzących w dorosłe życie.

Istotną perspektywą książki jest próba spojrzenia na historię z różnych części Polski. Nie można przecież mówić o zaborach na Śląsku, ponieważ ich tam nie było. Wystarczy wyobrazić sobie też, co spotkałoby Drzymałę, gdyby pod panowaniem cara próbował latami prowadzić z administracją spór prawny o swój wóz i wykorzystywać przeciw niej przepisy państwa.

Także poziom represji był nieporównywalny. Wanda Krahelska, działaczka Organizacji Bojowej PPS, rzuciła bombę w carskiego generała-gubernatora warszawskiego Skałona; po ucieczce do Galicji została ostatecznie osądzona przez sąd przysięgłych w Wadowicach i mimo przyznania się do udziału w zamachu uniewinniona.

Ważnym składnikiem dziejów naszego kraju jest wielokulturowość i multireligijność. Romuald Traugutt pochodził z rodziny o saksońskich korzeniach, której przedstawiciele zdążyli się spolonizować, a jego dziadek walczył już w insurekcji kościuszkowskiej. Kastuś Kalinowski, wywodzący się z polskiej szlachty przywódca powstania styczniowego na Litwie i Białorusi, dziś należy także do białoruskiego panteonu narodowego.

Jednym z głównych motorów podziemnej PPS był Aleksander Sulkiewicz, którego urzędnicy moskiewscy zatrudnili w komorze celnej, bo nie przypuszczali, że muzułmanin i Tatar może być polskim patriotą organizującym przemyt broni i bibuły.

W Legionach walczyło kilkuset Polaków pochodzenia żydowskiego. Sam Piłsudski, co wspomina w pamiętnikach jego brat Bronisław, mówił: „U człowieka główną rolę gra moralność. Że religia i wszystkie inne przepisy są dla ludzi bez rozumu i wykształcenia, jest to ich postrachem i chroni od zepsucia, a człowiekowi rozumnemu trzeba tylko postępować moralnie".

Z szablą u boku przeciw ZOMO

W książce Maciorowskiego widać rosnące pęknięcie pomiędzy nami a rozwiniętymi krajami Zachodu, pewnie wywodzące się jeszcze z czasów reformacji i kontrreformacji. Jesteśmy jako naród słusznie dumni z Konstytucji 3 Maja 1791 roku, ale zestawienie jej z konstytucją USA z 1787 pokazuje zarazem granice polskiego Oświecenia.

Tomasz Nałęcz: - Jako polski historyk muszę przyznać rację politykom i historykom ukraińskim. Traktat ryski to był rozbiór Ukrainy i Białorusi dokonany przez bolszewicką Rosję i odrodzoną Polskę

Prof. Jarosław Czubaty przywołuje w książce Konstytucję Księstwa Warszawskiego, nadaną przez Bonapartego, a zawierającą artykuł IV: „Znosi się niewola. Wszyscy obywatele są równi przed obliczem prawa".

Wprowadzony w Księstwie Warszawskim Kodeks Napoleona przyniósł świeckie prawo małżeńskie, śluby cywilne i rozwody. Po ponownym podziale ziem polskich sytuacja prawna mieszkańców poszczególnych zaborów zaczęła się jednak coraz bardziej różnić. Na terenach byłego zaboru rosyjskiego funkcje urzędów stanu cywilnego pełniły parafie, stosując właściwe dla poszczególnych wyznań reguły małżeńskie.

W niepodległej Polsce silny sprzeciw Kościoła katolickiego przyczynił się do zablokowania prób ujednolicenia prawa małżeńskiego; uczyniono to dopiero w 1946 roku. Nawet

Ta książka jest wypełniona bohaterami walczącymi nawet w dramatycznych okolicznościach. Są ubodzy szlachcice jak Kościuszko, dzielni księża jakobini jak Kołłątaj, robotnicy jak Wałęsa. I Ukraińcy, którzy wybrali polskość

wówczas, po 150-letniej praktyce, prawica pogardliwie nazywała cywilny akt małżeństwa „ślubem na kartę rowerową".

Symbolicznie skalę rosnącego dystansu do rozwiniętego Zachodu pokazuje rok 1863. U nas – powstanie styczniowe, w Londynie – uruchomienie pierwszej linii metra. Stąd takim cudem wydaje się rozwój Polski po 1989 roku, szczególnie po wstąpieniu do Unii Europejskiej, co spowodowało szybkie zmniejszanie się rozwojowego dystansu.

Polskie 200 lat pokazuje, że trudno jest mówić o Niemcach jako odwiecznych wrogach. Maciorowski opisuje entuzjastyczne przyjmowanie powstańców listopadowych w krajach niemieckich, budowano im bramy triumfalne i organizowano festiwale. Fryderyk Wilhelm III zalegalizował polskie Warszawskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, a Antoni Radziwiłł wżenił się w rodzinę panującą.

W Lipsku działali Tadeusz Kościuszko i Józef Wybicki, a III część „Dziadów" Adama Mickiewicza nie bez powodu nazywa się „Dziadami drezdeńskimi". Prof. Małgorzata Karpińska przywołuje Franciszka Druckiego-Lubeckiego, który „postawił na przemysł lekki. Z Niemiec sprowadzono tkaczy, którzy zakładali nieduże, ale liczne warsztaty. Okazało się to strzałem w dziesiątkę".

Koło Polskie w Reichstagu składało się z kilkunastu posłów, z których najbardziej znany był Wojciech Korfanty, wybierany od 1903 roku mimo zwalczania go przez lokalnego biskupa.

Historię Polski cechuje także pewna ciągłość, „sztafeta pokoleń" czy Norwidowskie „Syn minie pismo, lecz ty spomnisz, wnuku...". Prof. Małgorzata Karpińska mówi w „Powstańcach": „Królestwo Kongresowe można by nazwać XIX-wiecznym PRL-em". Prof. Andrzej Friszke podkreśla obecność w KOR-ze przedwojennych socjalistów, aktywistów i działaczy wolnościowych: Anieli Steinsbergowej, Ludwika Cohna, Antoniego Pajdaka, oficera Kedywu AK Józefa Rybickiego. „Biuletyn Informacyjny" wydawany przez środowisko KSS „KOR" nie tylko nazywał się tak jak pismo ZWZ/AK, ale był drukowany w „wolnej wałkowo-bębnowej drukarni polowej im. J. Piłsudskiego".

Historia Polski bogata jest w przypadki nawet większej rozpiętości czasowej. Legionowy oficer Kazimierz Pluta przyjął pseudonim „Czachowski" po legendarnym przywódcy powstania styczniowego z Kielecczyzny, walczył w 1939 roku, był członkiem Komendy Głównej Armii Krajowej odpowiadającym za kwestie logistyczne, a pod koniec życia jako „Pluta-Czachowski" został sygnatariuszem antykomunistycznego Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela.

Jego kolega, również żołnierz Marszałka, Mieczysław Boruta-Spiechowicz swoje ostatnie publiczne wystąpienie miał w obecności Lecha Wałęsy na krajowym zjeździe „Solidarności" w 1981 roku w Gdańsku w Hali Olivia. Zmarł w 1985 roku, ale jeszcze w stanie wojennym próbował namawiać rodzinę, by umożliwiła mu stanięcie w czasie manifestacji przeciwko ZOMO w mundurze przedwojennego generała, z szablą u boku.

Nie byli ulubieńcami biskupów

Dzieje nowoczesnej Polski to także potwierdzenie, że Kościół, uważany przez prawicę za synonim polskości, bywa tak samo podzielony jak reszta narodu. W tym samym czasie żyli zarówno patriota jakobin Hugo Kołłątaj, jak targowiczanie Ignacy Massalski i Józef Kossakowski, powieszeni w czasie insurekcji kościuszkowskiej. Jan Kiliński w swoich pamiętnikach opisuje, że jako szef milicji powstańczej dopilnował, aby przed wykonaniem wyroku nuncjusz zdjął tytuł kościelny ze zdrajcy-biskupa. W losach powstania styczniowego przeplatają się księża bohaterowie i kolaboranci.

Kościół katolicki nie był także wolny od nacjonalizmów. Kard. Edmund Dalbor składał homagium wierności cesarzowi Niemiec i razem z biskupem Adamem Sapiehą protestował przeciwko uczestnictwu nuncjusza w czasie pierwszego spotkania biskupów w niepodległej Polsce. Sapieże ten konflikt wyjątkowo się nie opłacił. Nuncjusz Achille Ratti tego konfliktu nie zapomniał; trzy lata później został Piusem XI i Sapieha za jego pontyfikatu kapelusza kardynalskiego nie otrzymał – dostał go dopiero w 1946 r. od Piusa XII.

Podobnie w czasach PRL-u księża wspierający opozycję antykomunistyczną, m.in. Jerzy Popiełuszko na Żoliborzu, Kazimierz Jancarz w krakowskich Mistrzejowicach, Jan Umiński w Sulejowie, Adolf Chojnacki w Krakowie-Bieżanowie, Stefan Miecznikowski w Łodzi, nie byli ulubieńcami biskupów i musieli często lawirować nie tylko wobec władz państwowych, lecz także wobec niechętnej ich aktywności części hierarchii kościelnej.

Cechą historii podkreślaną w książce jest także to, że rzeczywistość potrafi przebijać się przez propagandową skorupę. Dr hab. Marcin Zaremba w rozmowie z Maciorowskim wspomina rewoltę grudniową 1970 roku:

„Rzucali w milicjantów butelkami z benzyną. Nie wiadomo, kto wpadł na pomysł z koktajlami Mołotowa, mam hipotezę, że impulsem mógł być serial »Kolumbowie« według powieści Romana Bratnego (1957). Premierę miał zaraz przed buntem, we wrześniu 1970 r. Finał serialu rozgrywał się podczas powstania warszawskiego, a powstaniec »Malutki«, grany przez Marka Perepeczkę, zginął właśnie z butelką benzyny w ręce".

Podobną rolę odegrał „Popiół i diament" w reżyserii Andrzeja Wajdy pokazujący przykład odwagi działacza podziemia w czasie ubeckiego przesłuchania. Władze komunistyczne zresztą, promując historyczne ruchy rewolucyjne i powstańcze, mimowolnie kreowały postawy buntu. Bojowa pieśń Gustawa Ehrenberga z 1835 roku, przyjęta później za hymn ruchu chłopskiego, została w 1982 roku w obozie internowanych w Głogowie przerobiona przez więźniów na „Gdy naród po latach zapragnął wolności,/ partyjni w stolicy radzili;/ Gdy naród pomyślał o niepodległości,/ partyjni na Moskwę patrzyli;/ O cześć wam, czerwoni magnaci...".

To był rozbiór Ukrainy

Maciorowski wydobywa z rozmówców refleksje na poziomie praw historycznych. Prof. Jarosław Czubaty mówi: „Jak Rosja przegrywa wojnę, dzieje się coś niezwykłego. Po przegranej wojnie krymskiej umarł car Mikołaj I (1796-1855), a kraj przeżył gwałtowny wstrząs, w wyniku którego doszło do głębokiej reformy wewnętrznej inspirowanej z góry. Po klęskach w I wojnie światowej wybuchła rewolucja, która zmiotła carat. Po wojnie w Afganistanie w XX w. upadły Związek Radziecki i komunizm". Ciąg dalszy tej historii obserwujemy dzisiaj po napaści Moskwy na Ukrainę.

Prof. Tomasz Nałęcz, opisując koncepcje polityczne z lat 1918-1919, mówi: „Miał wrócić stan sprzed czasów potęgi Wielkiego Księstwa Moskiewskiego, a później Rosji, czyli sprzed XVI w. Piłsudski chciał po prostu cofnąć historię o jakieś 400 lat!". Dzisiaj to dla niektórych postulat nadal aktualny.

W książce nie brak trudnych, wstydliwych, a nawet haniebnych momentów historii Polski. Prof. Jarosław Czubaty przywołuje słowa Szymona Askenazego, że polska elita polityczna, poza wyjątkami, dobrze poczuła się w „błotku porozbiorowym". W Rzeczypospolitej szlacheckiej obowiązywała zasada równości stanu szlacheckiego, niechętna arystokratycznym tytułom i hierarchiom. Po upadku państwa rody magnackie zaczęły zabiegać o tytuły u monarchów zaborczych. Znaczna część tytułów hrabiowskich, którymi później obnosiły się polskie rodziny, pochodziła z nadań pruskich, rosyjskich czy austriackich.

Co znamienne, ich oficjalne uznanie przetrwało niewolę tylko o kilka lat: konstytucja marcowa z 1921 roku wprost stwierdzała, że Rzeczpospolita nie uznaje „herbów, tytułów rodowych i innych". Prof. Tomasz Nałęcz wprost przyznaje: „Jako polski historyk powiem to ze ściśniętym sercem, lecz muszę przyznać rację politykom i historykom ukraińskim, którzy twierdzą, że traktat ryski to był rozbiór Ukrainy i Białorusi dokonany przez bolszewicką Rosję i odrodzoną Polskę".

Maciorowski odnosi się do pogromów, zdrad i kolaboracji, aż po haniebne donosicielstwo w czasach okupacji hitlerowskiej, szmalcownictwo i zbrodnie dokonywane na Polakach już po zakończeniu II wojny światowej. Jego rozmówcy nie starają się być propagandystami, ale wyznają zasadę Józefa Mackiewicza, że „tylko prawda jest ciekawa".

Polacy i Niemcy razem tańczą reggae

Zaletą książki jest posługiwanie się częściej znakiem zapytania niż wykrzyknikiem. Jej autor nie ucieka też od podkreślania różnic w opiniach historyków, co więcej, za pomo-

wyborcza | MAGAZYN WYBORCZA

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCY: Agata Żelazowska, Bartosz T. Wieliński;
MAGAZYN WYBORCZEJ: Michał Olszewski (szef) Mirosław Maciorowski (Ale Historia), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Andrzej Kulasek, Grażyna Żabińska
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA:
Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Polska Press
PREZES ZARZĄDU: Aleksandra Sobczak
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl;
tel.: 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.
IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD KONTROLOWANY

eprasa.pl ed2416b7a2

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Kazimierz Brakoniecki*

Rewolucjonista

Slavoj Žižek w białej sypialni w Lublanie
nie może zasnąć po napisaniu książki
o umiłowaniu rewolucyjnego terroru.
Lenin nie dokończył dzieła ani Stalin,
Trocki, Mao Tse-tung, Che Guevara, Pol Pot.
Szkoda, miliony krwi na darmo,
nie powstało idealne społeczeństwo równej śmierci.

Filozof opiera głowę o ścianę nocnych straceń,
na której wisi zdjęcie Stalina w białym kitlu oprawcy,
higienisty ludzkiej ubojni, księgowego mordu.
Czuje że się urodził za późno, a może za wcześnie,
dysponuje tylko oświeconą gilotyną mózgu.

Nie jest Marksem, który opracował gułag utopii,
nie jest Platonem, który wymyślił państwo bez poetów
ani Heideggerem, teologiem germańskiej Grecji,
ani Leninem wbijającym do głowy niewolników
zardzewiałe idee jak ćwieki do trumny socjalizmu,
ani Sartre'em przemawiającym z beczki do robotników,
którego manifest zaszyfrowano za pomocą sztucznej inteligencji.

Powiedzcie, póki sobie w Europie spokojnie żyjecie,
co ma zrobić z nasieniem terroru impotent Slavoj Žižek.

***Kazimierz Brakoniecki.** Ur. w 1952 r., poeta, eseista, tłumacz, regionalista. Mieszka w Olsztynie. Wiersz ukazał się w jego najnowszym tomiku „Ostre Bardo", Forma, Szczecin 2026.

FOT. ROBERT ROBASZEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

cą przypisów odsyła do stron, gdzie dany fakt jest inaczej interpretowany. Nie pozwala także na wprowadzanie do dyskursu błędów i emocji. Wyjątki od tej zasady są szczęśliwie tylko dwa.

Polsko-brytyjski naukowiec prof. Richard Butterwick, główny historyk Muzeum Historii Polski, obcesowo próbuje rozstrzygnąć spór, czy prymas Poniatowski otruł się ze strachu przed powieszeniem w czasie insurekcji kościuszkowskiej, czy też zmarł z powodów naturalnych, gdy postawiono przed jego pałacem szubienicę. Butterwick mówi „Te oskarżenia nie miały żadnych podstaw".

Historyk bagatelizuje też rzeź Pragi, jedną z największych masakr ludności cywilnej w końcu XVIII wieku: „Przesada. Mniej więcej w tym samym czasie w walkach w Wandei, gdzie rewolucja francuska tłumiła rojalistyczne powstanie, ofiar było znacznie więcej". Kuriozalnie brzmi też, gdy Butterwick ocenia wydarzenia sprzed kilkudziesięciu lat: „podczas paryskiego Maja '68 tragedia powróciła jako farsa". Tak jednoznaczne zlekceważenie fali buntów młodzieżowych, która przyniosła trwałe skutki społeczne i kulturowe, zaskakuje u historyka deklarującego dystans wobec prostych ocen przeszłości.

Prof. Robert Traba rok temu na łamach „Wyborczej" wyrzucał polsko-brytyjskiemu historykowi ocenę: „Dzieje Polski miały różne momenty, lepsze i gorsze, ale tych lepszych było znacznie więcej. Dlatego moim zdaniem największy nacisk powinniśmy położyć na część poświęconą sukcesom i dumie".
Prof. Traba zarzuca takiemu myśleniu anachronizm i „eliminację części prawdy historycznej". Wypowiedzi Butterwicka budzą niepokój o jakość stałej wystawy MHP.

Historyk Adam Zamoyski mówi Maciorowskiemu „Francuzi i Brytyjczycy namiastkę przyszłego polskiego rządu widzieli w Komitecie Dmowskiego. (...) Nikt nie wiedział zbyt wiele o Piłsudskim, przed wojną był on na Zachodzie postrzegany wyłącznie jako socjalista i terrorysta, który detonował bomby i napadał na pociągi".

Tymczasem Józef Piłsudski jeszcze podczas działalności socjalistycznej, m.in. dzięki kilkumiesięcznemu pobytowi w Anglii w 1896 roku i uczestnictwu w kongresie II Międzynarodówki, wszedł w krąg czołowych postaci europejskiej socjaldemokracji. Zetknął się tam ze środowiskiem takich ludzi jak Karl Kautsky, jeden z najważniejszych teoretyków europejskiej socjaldemokracji, Émile Vandervelde, późniejszy minister spraw zagranicznych Belgii i przewodniczący II Międzynarodówki, Hjalmar Branting, późniejszy premier Szwecji i laureat Pokojowej Nagrody Nobla, czy Keir Hardie, jeden z ojców brytyjskiej Labour Party.

Co szczególnie istotne, wybitni przedstawiciele międzynarodowego ruchu socjalistycznego, m.in. Wilhelm Liebknecht, Karl Kautsky i Gieorgij Plechanow, popierali postulat wyraźnego powiązania programu socjalistycznego ze sprawą niepodległości Polski, o co zabiegała ówczesna PPS. Do broszury przygotowywanej przez Piłsudskiego swoje artykuły nadesłali m.in. Alexandre Millerand, późniejszy premier Francji i prezydent Republiki Francuskiej, oraz Jean Jaurès, wieloletni lider francuskich socjalistów. Słynna była też wyprawa Piłsudskiego do Tokio w czasie wojny rosyjsko-japońskiej.

Międzynarodowe kontakty Piłsudskiego, szczególnie z Francją, zaowocowały w czasie wojny z bolszewikami oraz w późniejszych relacjach międzypaństwowych. Natomiast sam Dmowski, ze względu na obsesyjny antysemityzm, był przez część polityków i dyplomatów ententy uważany za postać co najmniej kontrowersyjną.

Puentą książki Mirosława Maciorowskiego jest zdanie Adama Michnika, że nie wolno godzić się ze złem; puentą Muzeum Historii Polski ma być rozpadający się pomnik Dzierżyńskiego jako symbol upadku PRL-u; puentą historii lat 1794-1989 może zatem być scena z dawnego niemieckiego Rügenwalde, czyli od 80 lat polskiego Darłowa, w którym polska i niemiecka młodzież radośnie bawi się na festiwalu „Reggaenwalde" i nie widzi w tej grze słów niczego złego. ●

Tytuł i śródtytuły - „Wyborcza".

FOT. KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Krzysztof Król

• Ur. w 1963 roku. Działacz opozycji demokratycznej i więzień polityczny w PRL-u, poseł na Sejm I i II kadencji, doradca prezydenta Bronisława Komorowskiego, doradca sejmowej Komisji Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Środków Przekazu.

Mirosław Maciorowski, **„Powstańcy. Marzyciele i realiści. Historia na nowo opowiedziana"** Zbiór wywiadów.

Agora, Warszawa 2025

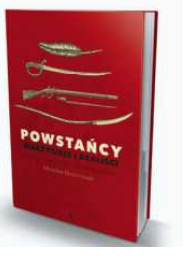

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34414014

W PIĄTEK W WYBORCZEJ DODATEK SPECJALNY

PRZEWODNIK PO FILHARMONIACH

• Anna S. Dębowska zabierze nas do filharmonii w całej Polsce
• Poznamy ich architekturę, plany koncertowe oraz ludzi, którzy je tworzą: dyrygentów, muzyków, menedżerów kultury
• Zajrzymy też za kulisy, by odkryć ciekawostki i anegdoty

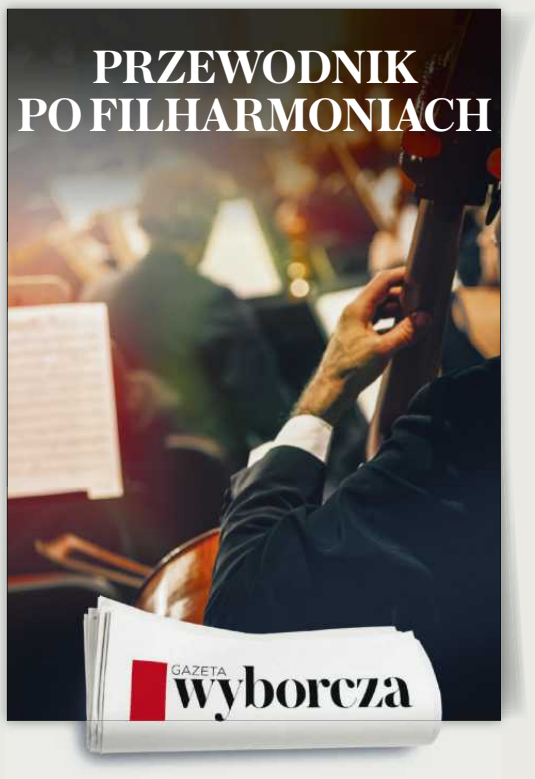

1 RP

eprasa.pl ed2416b7a2

ALE HISTORIA

Czy można kogoś skazać na karę śmierci za mowę nienawiści?
Przypadek Juliusa Streichera pokazuje, że tak.

• **Julius Streicher (1885-1946), w mundurze i ze swastyką na ramieniu. W 1925 roku Hitler mianował go gauleiterem Frankonii, którym był przez 15 lat. Założył i wydawał skrajnie antysemickie pismo „Der Stürmer"**
FOT. SHAWSHOTS / ALAMY STOCK PHOTO / BE&W

Apostoł ANTYSEMITYZMU

1 RP

eprasa.pl ed2416b7a2

Noemi Grin

Podżeganie, którego dopuścił się Streicher, do mordowania i eksterminacji w czasach, gdy Żydzi na Wschodzie byli zabijani w najstraszniejsze sposoby, wyraźnie stanowi prześladowanie na podłożu politycznym i rasowym w odniesieniu do zbrodni wojennych zdefiniowanych w Karcie [Karta Londyńska Międzynarodowego Trybunału Wojskowego opisująca normy prawne procesów norymberskich] i stanowi zbrodnię przeciwko ludzkości”.

Tak 1 października 1946 roku Międzynarodowy Trybunał Wojskowy w Norymberdze uzasadniał wyrok śmierci na Juliusa Streichera. Piętnaście dni później człowiek określony przez komendanta więzienia, pułkownika Burtona C. Andrusa mianem najbardziej zajadłego antysemity Trzeciej Rzeszy zakończył życie na szubienicy. Tuż przed egzekucją wykonał nazistowskie pozdrowienie i powiedział: „Purim tysiąc dziewięćset czterdzieści sześć” oraz: „Pewnego dnia bolszewicy was też powieszą”.

Dlaczego wśród skazanych na śmierć największych zbrodniarzy Trzeciej Rzeszy znalazł się także redaktor naczelny periodyku „Der Stürmer”? Czemu nie dostał kary więzienia, choćby dożywocia, jak inni naziści, którzy uczestniczyli w budowaniu państwa Hitlera jedynie zza biurka?

HERR HITLER, PAN JEST WODZEM!

Urodził się 12 lutego 1885 roku w bawarskim Fleinhausen, był synem wiejskiego nauczyciela, a ojcowski zawód ukształtował sposób jego działania i myślenia. Twierdził, że już w wieku pięciu lat został antysemitą – wtedy ksiądz powiedział mu, że to Żydzi ukrzyżowali Chrystusa.

Jako trzynastolatek postanowił pójść w ślady ojca i zapisał się na trwający pięć lat kurs nauczycielski, a po jego ukończeniu w 1904 roku natychmiast zaczął pracę w zawodzie.

W czasie I wojny światowej zaciągnął się do bawarskiej armii, w której zasłużył na Krzyże Żelazne I i II klasy. W 1918 roku, jak wielu innych zdemobilizowanych żołnierzy, był rozczarowany postanowieniami, które zapadły na konferencji pokojowej w Wersalu i tym, w jaki sposób zostały wprowadzone w życie w Niemczech. To rozczarowanie umacniało go w bezkrytycznej wierze w propagandę prawicowych partii, które głosiły, że przegrana Niemiec to efekt żydowskiego spisku.

W 1919 roku wstąpił do skrajnie prawicowego Niemieckiego Związku Ochrony i Obrony, ale uznał, że ta partia jest niewystarczająco radykalna, i już rok później przeniósł się do antysemickiej Deutschsozialistiche Partei. Zaczął wydawać dla niej tygodnik „Deutsche Volkswille”, pismo nie tylko antysemickie, ale również bezpardonowo atakujące jezuitów. Nie podobało się to wielu innym członkom partii i w efekcie wewnętrznych konfliktów zmniejszono dofinansowania pisma, co wpędziło redaktora naczelnego w długi. Ratunku postanowił poszukać u zaczynającego wówczas karierę Adolfa Hitlera.

W dziennikach Streichera czytamy, że kiedy w 1922 roku wysłuchał jednego z jego przemówień, poczuł, iż Los wezwał go po raz drugi i że ma przed sobą największe wyzwanie swojego życia. „Herr Hitler! Nazywam się Julius Streicher! W tej godzinie wiem: mogę być tylko pomocnikiem. Ale pan jest wodzem! Oto przekazuję panu ruch ludowy we Frankonii, który założyłem” – tymi słowami miał zaoferować Hitlerowi swoje usługi.

Czy przystępując do NSDAP, Streicher kierował się wyłącznie pobudkami ideologicznymi? Chęć dalszego publikowania antyżydowskich treści może i była życiową misją redaktora, jednak musiał też spłacić długi. Zresztą Streicher i później nie wahał się przed wykorzystywaniem swej politycznej pozycji do tego, by się wzbogacać.

Był więc fanatykiem czy koniunkturalistą? Można odpowiedzieć na to pytanie tak: był zarówno fanatycznym koniunkturalistą, jak i oportunistycznym fanatykiem. Oba określenia wydają się adekwatne. Nie zmienia to faktu, że, kreując swoją wewnątrzpartyjną pozycję, utrzymywał pozory czysto ideologicznych motywacji, spłacając materialny dług wobec partii swoją niezachwianą lojalnością.

PROSTAK I ELITA

Z Żydami Streicher postanowił walczyć przede wszystkim za pomocą prasy. Gdy nie udało mu się przeforsować pomysłu, by „Deutsche Volkswille” stała się oficjalnym głosem hitlerowskiej partii, a jego stosunki z Waltherem Kellerbaumem, redaktorem współprowadzącym, pogorszyły się, w kwietniu 1923 roku założył nowe, jeszcze bardziej wulgarne i bezwzględne w opiniach pismo „Der Stürmer” (Szturmowiec). Ukazywało się aż do upadku Trzeciej Rzeszy.

Streicher nie poprzestał jednak na propagandzie, aktywnie organizował i zagrzewał do boju zmilitaryzowane grupy zwolenników Hitlera w trakcie puczu monachijskiego w listopadzie 1923 roku, za co trafił do więzienia. Zasłynął również tym, że jako pierwszy we Frankonii wywiesił flagę ze swastyką na budynku użyteczności publicznej. Hitler szybko go docenił i przez następne lata się odwdzięczał – wspierał redaktora „Der Stürmera” finansowo i bronił przed innymi członkami NSDAP, ponieważ – jak powiedział nam Klaus Mann w „Mefiście” – „piekło nie było skąpe, piekło płaciło”.

Nie jest tajemnicą, że Führer podsycał konflikty między swoimi ludźmi, by móc następnie je rozwiązywać. Kreował w ten sposób wizerunek surowego, lecz sprawiedliwego wodza. Przypadek Streichera świetnie ilustruje ten mechanizm. Najbardziej prominentni członkowie partii go nie znosili, ponieważ dzięki żarliwemu oddaniu z każdym rokiem zyskiwał coraz większe względy Hitlera. Stawał się przez to dla nich coraz większym zagrożeniem, szczególnie że za swoją lojalność został nagrodzony funkcją gauleitera, czyli lidera NSDAP we Frankonii.

Co ciekawe, jednocześnie Führer unikał redaktora, ponieważ uważał go za zbyt głupiego i prostego, by wejść do elitarnego, najbliższego Hitlerowi kręgu. Te intuicyjnie diagnozy przywódcy Trzeciej Rzeszy zostały potwierdzone podczas procesów norymberskich przez psychiatrów, którzy stwierdzili, że Streicher ma najniższy iloraz inteligencji ze wszystkich oskarżonych.

Paradoksalnie oliwy do ognia wewnątrzpartyjnego konfliktu dolewały także skrajnie antysemickie poglądy i publikacje redaktora. Gdy NSDAP dopiero się kształtowała i umacniała swoją pozycję na scenie politycznej, antyżydowska propaganda nie była popularna, wielu wyborców odstręczała. W latach 20. i na początku 30. naziści skupiali się na narracji o odbudowaniu świetności Niemiec oraz przywróceniu społeczno-ekonomicznego ładu. Jeszcze w 1936 roku z tych powodów, ale także w obawie przed reakcją przedstawicieli innych państw, na czas igrzysk olimpijskich w Berlinie Hitler i Goebbels rozkazali usunąć z ulicznych gablot „Der Stürmera”.

PORNOGRAF TRZECIEJ RZESZY

Antysemicka propaganda nie zniknęła jednak na stałe ani z przestrzeni publicznej, ani z planów Streichera. Pod koniec lat 30. za partyjne pieniądze otworzył wydawnictwo, które specjalizowało się w „podręcznikach” instruujących dzieci, jak rozpoznać Żyda. Goebbels określił te książki mianem „potwornych bzdur”, a samego Streichera – ze względu na erotyczno-perwersyjny wydźwięk ilustracji w tych publikacjach – „pornografem Trzeciej Rzeszy”.

Mimo pogardy partyjnych towarzyszy Streicher odnosił sukcesy w polityce. Opierając się na ideologii opisanej w „Micie XX wieku” Alfreda Rosenberga oraz we wręcz szaleńczy sposób rozszerzając granice goebbelsowskiej propagandy, publikował w „Der Stürmerze” dowody na międzynarodowy żydowski spisek. W świecie mglistych obietnic odzyskania dawnej niesprawiedliwie odebranej Niemcom chwały, a także w zalewie zagmatwanych historii o niebezpiecznych „obcych”, którzy to uniemożliwiają, znalazł się człowiek, który postanowił znaleźć dowody na słuszność tych opowieści.

Mogło to mieć skutek odwrotny do oczekiwanego, czego najpewniej obawiali się czołowi nazistowscy propagandziści. Oficjalny przekaz NSDAP miał bowiem na celu nie pokazywanie konkretnych przykładów żydowskiego spisku (poza przegraną w 1918 roku), ale jedynie wykreowanie obrazu świata pełnego zagrożenia i doprowadzenie do tego, że społeczeństwo uzna nazistowskich przywódców za swoich jedynych obrońców.

Podczas procesu w Norymberdze oskarżeni z elity Trzeciej Rzeszy unikali Streichera jak ognia. Gardzili nim, wypierali się jakichkolwiek z nim związków

Noemi Grin

• ur. 2003, absolwentka wydziału Artes Liberales, studentka Interdyscyplinarnych Studiów Nad Dyskursem na Wydziale Socjologii UW. Zajmuje się badaniami wpływu języka propagandy na społeczeństwo

Znajdowanie i publikowanie „dowodów”, które nie tylko nie były niepodważalne, ale wręcz ocierały się o absurd, wiązałoby się z niebezpieczeństwem zrozumienia przez naród, że w istocie karmiony jest kłamstwami.

DOWODY NA ISTNIENIE SPISKU

Streicher jednak w mistrzowski sposób wynajdywał i opisywał przypadki zgonów i morderstw, zwłaszcza dzieci, i obarczał za nie winą Żydów. Dwie dziewczynki, których lekarzem był Żyd, umarły na szkarlatynę? Pan doktor truł je od lat. Znaleziono w rowie ciało chłopca? Zostało tam porzucone przez Żydów, którzy potrzebowali krwi do zrobienia macy. Opisywał te przypadki w „Der Stürmerze”, a większość artykułów powielała znany do dziś stereotyp: Żydom chodzi o krew, której upuszczenie ma służyć dopełnieniu mrocznych rytuałów, a więc pozbawić prawdziwych Niemców duszy. „Morderstwo” na jednostce stawało się symboliczną zbrodnią dokonaną na całym narodzie.

Jak pisał Viktor Klemperer w swoim dzienniku z lat 1933-1945, narracja streicherowska szybko wyszła poza prasę i propagandę – stała się ucieleśnieniem słowa. Ciała podrzucane w dzielnicach lub na posesjach Żydów miały dowodzić ich bestialstwa. „Kto walczy z Żydem, siłuje się z diabłem” – krzyczał nagłówek „Der Stürmera” w 1936 roku. Ludzie zaczynali w to wierzyć, ponieważ jak inaczej wyjaśnić zgony niewinnych rodaków? Zwłaszcza że Goebbels, mimo niechęci do Streichera, podchwyciwszy jego opowieść, mówił, że każde przestępstwo prowadzi do Żyda winowajcy.

Dla Streichera te działania nie miały tylko wymiaru ideologicznego i propagandowego. Oskarżenia Żydów o morderstwa i spiskowanie legitymizowały przejmowanie ich majątków przez naczelnego „Der Stürmera”. W NSDAP było to zachowanie powszechne, jednakże część skonfiskowanego mienia należało przekazać partii, czego Streicher nie robił. W 1940 roku stało się to podstawą do postawienia go w stan oskarżenia. Choć w rzeczywistości prawdziwym powodem było obrażenie przez niego córki Hermana Göringa – naczelny „Der Stürmera” rozpuścił plotkę, jakoby została sztucznie poczęta. Himmler, chcąc zdobyć dowody winy Streichera i usunąć go z partii, kazał go śledzić i podsłuchiwać.

POD PARASOLEM FÜHRERA

Po wybuchu II wojny światowej „Der Stürmer” stał się dla nazistów jeszcze większym problemem. Budżet wojenny nie przewidywał finansowania gazety, która nie dość, że nie przynosiła zysków, to jeszcze publikowała treści, które w ostatecznym rozrachunku mogły szkodzić. Periodyk przetrwał tylko dzięki temu, że Hitler nakazał łożyć na jego utrzymanie. Rozwiało to nadzieje innych nazistów, żeby strącić Streichera z politycznego piedestału. Sytuacja nieznacznie się zmieniła, gdy redaktor przegrał wspomniany proces i w konsekwencji odebrano mu tytuł gauleitera oraz zakazano opuszczania posiadłości w Norymberdze. Dzięki temu wyrokowi inni zarządcy landów i ziem okupowanych, a także urzędnicy państwowi postanowili zakazać dystrybucji „Der Stürmera”. Starał się o to na przykład jeden z najwyżej postawionych urzędników ministerstwa propagandy Hans Fritzsche. Podczas procesów norymberskich wyjaśnił, że chciał zakazać wydawania pisma na terenie, który mu podlegał, „nie tylko dlatego, że jego okładka była najlepszą propagandą antyniemiecką, ale też ze względu na kwestię dobrego smaku”. Wnioski Fritzschego były jednak odrzucane, pozwolono mu jedynie cenzurować periodyk, z czego jednak zrezygnował, bo zależało mu na całkowitym usunięciu „Der Stümera” z obiegu i pozbawieniu Streichera wpływów.

Lepiej poszło dowódcy Hitlerjugend Baldurowi von Schirachowi, który usunął pismo z kanonu lektur w podległej mu organizacji z obawy przed jego szkodliwością dla „szlachetnego niemieckiego ducha”.

Hitler jednak popierał Streichera i – jak pisze Allan Bullock – jeszcze w grudniu 1941 roku wyłaził ze skóry, by „wyrazić mu swoje uznanie”. Do końca wojny redaktor utrzymywał siebie i pismo z pieniędzy Hitlera, a gdy dowiedział się o jego samobójstwie, uciekł z rodziną w austriackie Alpy, gdzie został zatrzymany przez Amerykanów. Żołnierzem, który go aresztował, był major Henry G. Plitt – amerykański Żyd. W trakcie procesów norymberskich popularne stało się powiedzenie: „Największy żydożerca został aresztowany przez Żyda”.

eprasa.pl ed2416b7a2

GDY ZNIKAJĄ NORMY

Dlaczego Julius Streicher został w Norymberdze skazany na karę śmierci? Przecież tylko pisał i publikował – jak wielu innych w Trzeciej Rzeszy, których tak surowa kara nie spotkała. Nigdy, jak podkreślał podczas procesu, nikogo nie zabił. Nie był ministrem, nie uczestniczył w planowaniu Zagłady, nie ustanawiał i nie egzekwował praw. Był gauleiterem, ale przecież tylko do 1940 roku. Owszem, przejmował mienie żydowskie, ale robił to każdy, kto mógł.

Żeby na to pytanie odpowiedzieć, trzeba postawić – za brytyjskim historykiem Richardem J. Evansem – jeszcze jedno: „Czy wartości moralne cechujące społeczeństwo są tak słabe, że jego gotowość do naruszania konwencjonalnych nakazów ludzkiej przyzwoitości nie napotyka żadnych granic?”.

Evans stawia tezę, że przed popełnianiem zbrodni czy przestępstw powstrzymują nas zakorzenione w społeczeństwie normy moralne. Jednym z pierwszych przejawów kształtującego się totalitaryzmu jest odwrócenie lub odrzucenie panujących standardów. Stwarza to warunki do wprowadzania kultu jednostki, ukonstytuowania figury zbawcy. Poprzez niemal religijne jego upostaciowienie uzasadnia się bezspornie, dlaczego społeczeństwo powinno za nim podążać. Dzięki wszechobecnej propagandzie przestaje ono składać się z oddzielnych bytów, odrzuca indywidualizm na rzecz przekształcenia się w masę, która ma konkretny cel – wypełniać wolę dyktatora i upodabniać się do niego.

Taki kult wywołuje problem odpowiedzialności w społeczeństwie. Czy jednostka rzeczywiście jest winna, jeśli rząd nie egzekwuje obowiązujące dotąd prawa i unieważnia albo odwraca o 180 stopni dotychczasowe normy? Uznajemy, że są one swego rodzaju przymusem, który odnosi się do braku przyzwolenia – na mordowanie, kradzież czy mowę nienawiści. Jeśli jednak władza przez propagandę – m.in. prasę – tworzy nowe normy, jednocześnie prezentując je jako prawdy objawione, może skutecznie budować wolę, a w konsekwencji konieczność podążania za nimi.

PRAWDA ZWYCIĘZCÓW

Czy to oznacza, że należy zabijać i niszczyć, gdyż nowa norma to nakazuje i usprawiedliwia? Wysiedlać i okradać? Czy jednostka, już jako bezimienna część społecznej masy, musi się stosować do nowych praw czy też – być może – chce to robić? Gdzie przebiega granica między tym, czego chcą – często wybrane demokratycznie – partia i jej przywódca, a tym, czego chce społeczeństwo? Czy ta granica i związana z nią różnica w ogóle jeszcze istnieje? Czy może, mówiąc za autorem „Łaskawych” Jonathanem Littellem, traci się po prostu prawo do tego, żeby nie zabijać?

Rządzący twierdzą, że działają w imieniu narodu – naród zaś, że działa w myśl idei głoszonej przez władzę. W tym błędnym kole nie da się już ocenić, kto ma rację i co jest prawdą. Nie wiadomo, kto ponosi odpowiedzialność za to, co dzieje się w państwie. Zachwianie porządku – społecznego i prawnego – skutkuje zarówno wątpliwościami związanymi z odpowiedzialnością za własne czyny, jak i problemem ze zdefiniowaniem prawdy. Tej indywidualnej i tej zbiorowej. Propaganda, w tym jej wszystkie nośniki – chociażby sztuka czy prasa – zaburza obraz rzeczywistości. Konsekwentnie powtarzana narracja staje się nową prawdą – prawdą zwycięzców, a jak powiedział Hitler: „Zwycięzców nikt nie będzie rozliczał z kłamstwa”.

MOJA WOLA WASZĄ WIARĄ

Najbardziej fanatycznym szerzycielem i jednocześnie jednym z twórców nowej, jedynej prawdy stał się właśnie Julius Streicher, który sam siebie określał mianem „apostoła antysemityzmu”. Ideologia nazistowska była dla niego jedyną religią, a on, w swoim mniemaniu, jednym z niewielu prawdziwych jej głosicieli. Treści publikowane na łamach „Der Stürmera” były antysemityzmem jadowitym, totalnym, ukierunkowanym nie tylko na nawoływanie i w konsekwencji doprowadzenie do eksterminacji całego narodu, ale również na płynące z tego materialne korzyści.

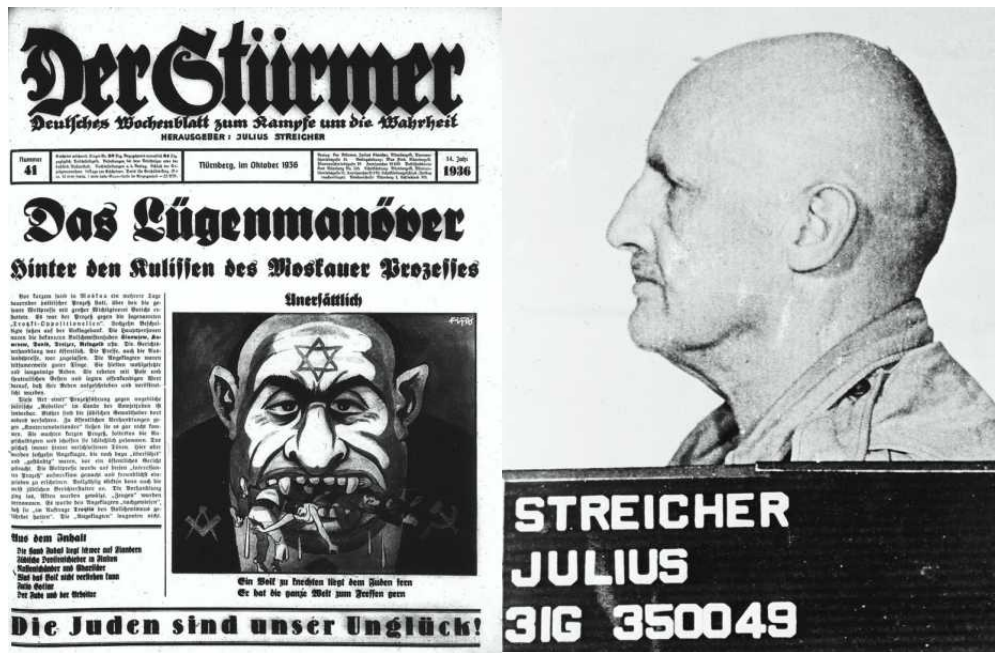
Der Stürmer
Deutsches Wochenblatt zum Kampfe um die Wahrheit
HERAUSGEBER: JULIUS STREICHER
Nummer 41 Tümberg, im Oktober 1936 14. Jahr 1936
Das Lügenmanöver
Hinter den Kulissen des Moskauer Prozesses
Unersättlich
Ein Volk zu knechten liegt dem Juden fern
Er hat die ganze Welt zum Treffen gern
Aus dem Inhalt
Die Juden sind unser Unglück!

• **Pierwsza strona „Der Stürmera” z lipca 1936 roku. Na dole, pod antysemicką ilustracją, napis: „Żydzi są naszym nieszczęściem”. Julius Streicher na zdjęciu wykonanym w więzieniu podczas procesu w Norymberdze** FOT. EDDIE GERALD / ALAMY STOCK PHOTO / BE&W; AP/EAST NEWS

Streicher był jednym z tych, którzy w Trzeciej Rzeszy najaktywniej wytwarzali poczucie przyzwolenia na łamanie dotychczasowych norm, legitymizując jednocześnie własne przestępcze działania. Należy jednak znów zapytać, czy przyzwolenie jest jednoznaczne z przymusem. Nawet jeśli granica między tymi pojęciami jest cienka, czasem niezauważalna, przymus pojawia się wtedy, kiedy jednostka, bądź też całe społeczeństwo, nie widzi innego wyjścia jak tylko podążać za głosem partii i jej przywódcy.

Na łamach „Der Stürmera” i podczas wieców politycznych Streicher nie pozostawiał czytelnikom i słuchaczom wyjścia. Wzbudzał silne emocje, nieustannie posługując się propagandą strachu. Nie osadzał jej w sferze domysłów i wyobraźni, tylko przedstawiał „dowody” na to, że śmiertelne zagrożenie mieszka tuż obok. Wzbudzał wręcz euforyczne emocje, przemawiając ku chwale Hitlera i udowadniając, że jedynie wódz i jego działania są lekarstwem na żydowską chorobę.

Ktoś mógłby powiedzieć: „To tylko słowa”. Można je było łatwo zweryfikować, odciąć się od nich, odrzucić, zdemistyfikować, nie dać się, mieć własny rozum, zachować stare dobre wartości. Jednak, jeśli nieustannie słyszy się jedno słowo: „Żyd”, i to w negatywnym kontekście, który wzbudza lęk, nietrudno uwierzyć w tę płynącą z samej góry narrację.

„Epoka żydowskiego intelektualizmu dobiegła końca – oświadczył Goebbels. – Zwycięstwo niemieckiej rewolucji usunęło przeszkody tarasujące niemiecką drogę”. Te słowa wypowiedział 10 maja 1933 roku – to data często pomijana w opowieści o rozwoju nazizmu, jednak zdaje się kluczowa dla historii Streichera. Tego dnia niemieccy studenci w wielu miastach Rzeszy palili na placach książki sprzeczne z ideami NSDAP lub napisane przez autorów zakazanych przez partię. Nowa rzeczywistość, nowa prawda boi się fikcji, która mogłaby ją skomentować. Dlatego to wydarzenie było czymś więcej niż symbolicznym wykluczeniem osób o odmiennych poglądach. Spalono Słowo, które mogło pomóc społeczeństwu zrozumieć stan, w którym się znalazło. I co może równie ważne – przez kogo się w nim znalazło.

10 maja 1933 roku jedno słowo zostało oficjalnie zastąpione drugim – takim, które nie znosiło sprzeciwu, było emanacją woli jego twórcy, a także wyznaniem wiary narodu. Wprost zostało to wyartykułowane dwa lata później przez Hitlera: „Moja wola – która musi być religią nas wszystkich – jest waszą wiarą!”.

KARYKATURA NAZISTY

Zarówno publikowanie przez Streichera namacalnych „dowodów” na żydowski spisek przeciwko Niemcom, jak i fizyczne unicestwienie wartości humanistycznych, które – jak przewidział Heinrich Heine – było tylko preludium do palenia ludzi, doprowadziło pośrednio do zaniknięcia wolnej woli. Społeczeństwu zostały odebrane dotychczasowe punkty odniesienia, powstała jedna wola i jedna prawda. Każde podżeganie do przemocy prowadziło do umocnienia przekonania, że takie działanie jest konieczne i słuszne. Zmieniła się motywacja społeczeństwa – w miejsce bezsilności, złości i strachu pojawiła się wiara w działanie i przekonanie, jak trzeba postąpić. Należy mordować, pisać donosy, niszczyć lub kraść mienie innego. Kto nie jest z nami, ten przeciw nam. Kto nie jest z nami, ten jest Żydem, czyli złem. Złem wszechobecnym – które czai się obok, ale też za granicami, i nie zawaha się wykorzystać pierwszej okazji, by je przekroczyć. To zło kreowane jest za pomocą słów, które, jak się okazuje, wystarczą, żeby społeczeństwo jednostek przybrało wspólną tożsamość i stało się masą.

Streicher był świadomy tego mechanizmu i stosował go tak bezwzględnie, że wzbudzał wstręt nawet w innych członkach partii. Widać to w opisach procesów norymberskich. Paradoks sytuacji poraża, bo przecież byli to ludzie, którzy, kiedy Streicher rozpowszechniał swoje antysemickie wymysły, planowali, a później organizowali transporty Żydów do komór gazowych.

Podczas procesu oskarżeni unikali Streichera, wręcz wypierali się jakichkolwiek z nim związków. Göring mógł się przyczynić do jego skazania na śmierć, donosząc, że przed wojną i w jej pierwszym roku przywłaszczał sobie mienie żydowskie – a więc czerpał materialne korzyści ze swojej działalności, a nie tylko ideologiczną satysfakcję.

Streicher został wykluczony nie tylko ze względu na swój radykalizm. Osoby, które się z nim zetknęły podczas procesów, przedstawiają go jako odpychającego erotomana. Więzienny psychiatra Leon Goldensohn opisywał: „Ciągle się uśmiecha na pograniczu obleśnego grymasu i drwiny, wykrzywiając swoje wielkie usta o cienkich wargach i mrużąc żabie oczy, istna karykatura lubieżnika pozującego na mędrca”.

Erika Mann, która w 1935 roku określiła wydaną przez Streichera książkę dla dzieci mianem „sadystycznego prostactwa, demagogicznego zakłamania, bezguścia i ludzkiej deprawacji”, wróciła z emigracji do Norymbergi jako korespondentka wojenna i spotkała się z nim w więzieniu. Streicher na jej widok się obnażył, więc wyszła z celi i nigdy nie przeprowadziła wywiadu.

Wspomnienia innych nazistów, psychiatrów, komentatorów życia społecznego Trzeciej Rzeszy na temat Streichera zostawiają obraz człowieka, który tak naprawdę był karykaturą nazisty. Członka partii objętego swego rodzaju hitlerowskim immunitetem, ale nie dopuszczanego do elitarnego, wewnętrznego kręgu NSDAP. Twórca najpopularniejszego, lecz najbardziej znienawidzonego nie tylko przez ofiary, ale także przez wielu wysoko postawionych nazistów periodyku Trzeciej Rzeszy.

Streicher nie był „nazistą banalnym”. Ani w ujęciu Hannah Arendt, ponieważ sam wychodził z inicjatywą, a nawet ignorował rozkazy – miał misję do wypełnienia i wykorzystywał wszystkie środki, by ją realizować. Ani w sposobie, w jaki objawiał się jego antysemityzm: zajadły, bezkompromisowy i wulgarny. Ktoś, kogo moglibyśmy określić „nazistą banalnym”, zachowywałby się raczej w sposób wyważony – postępowałby tak, jak chce partia, ponieważ to łatwiejsze, bezpieczniejsze i nie niesie ze sobą ciężaru odpowiedzialności. Celem Streichera było nie służenie Führerowi i ojczyźnie, lecz powolne bogacenie się i eksterminowanie narodu żydowskiego – na jego własnych zasadach. Nie podążał po prostu za przykazaniami partii, tylko wymyślił własny dekalog. I wierzył weń tak mocno, że nawet nie wypierał się swojej działalności podczas procesów norymberskich, powtarzał tylko, że nikogo nie zabił.

PRZESTAŁ ŻUĆ GUMĘ

Mimo zachowania budzącego odrazę strażników i współwięźniów Streicher był nienaturalnie spokojny. Uważał, że proces został zorganizowany przez Żydów, lecz on jest niewinny, co oznacza, że jest bezpieczny. „Niezachwianie fanatyczny jak zawsze, Streicher wydawał się całkowicie nieporuszony zgromadzonymi dowodami, które budziły wstyd, a przynajmniej zakłopotanie i reakcje obronne u innych” – zanotował psychiatra więzienny Gustave Gilbert.

Powstało wiele opracowań procesów norymberskich będących próbą zrozumienia tego, co działo się w Niemczech od 1922 roku. Przypadek Streichera jest wyjątkowy – został skazany na śmierć za zbrodnie przeciwko ludzkości, ponieważ szerzył mowę nienawiści. Nie miał krwi na rękach, lecz – jak pisał o nim Littell – atrament. Oprócz niego z podobnym uzasadnieniem na stryczek poszedł Alfred Rosenberg – twórca ideologii Trzeciej Rzeszy i minister bez teki w rządzie Hitlera.

Streicher nie sprawował faktycznej władzy i nie wysłał nikogo na śmierć, przynajmniej nie własnymi rękami. Korzystał jednak z dostępnych mu narzędzi – prasy, a co za tym idzie: słowa, które systematycznie wsiąkało w niemieckie społeczeństwo, wymagając posłuszeństwa i dając przyzwolenie.

Przyzwyczajeni jesteśmy do tego, że winny jest ten, kto działa, kto popełnia zakazane prawem czyny, dlatego skazanie Streichera na śmierć z powodu szerzenia złego słowa może zaskakiwać. Czy za pisanie można pójść na stryczek? Jak widać, można – skoro fikcja kształtuje rzeczywistość, a władza boi się słowa; skoro to literatura i prasa stanowią solidne fundamenty każdego państwa totalitarnego. Jeśli Streicher i jego publikacje kreowały nową rzeczywistość i nową prawdę – a konsekwencje wiary w nią okazały się tak straszliwe – to być może uświadomienie sobie tego faktu przez trybunał spowodował właśnie taki wyrok.

Dla Streichera ta decyzja również musiała być szokująca, o czym może świadczyć jedna z relacji z procesów zamieszczona w „Głosie Ludu” w 1946 roku. Poświęcono mu w niej tylko jeden krótki akapit: „Julius Streicher skrzyżował ramiona i oparł się o poręcz ławy oskarżonych dla wysłuchania wyroku. Po raz pierwszy przestał żuć gumę. Słucha uważnie z zagadkowym wyrazem twarzy. Streicher jest uznany winnym zbrodni przeciwko ludzkości”. ●

1 RP

eprasa.pl ed2416b7a2

POLSKIE FATUM MACIEJA KOZŁOWSKIEGO

By już na wstępie nie wywoływać u czytelnika złego nastroju, napiszmy, że Kozłowski rodzinne fatum przełamał, a wszystko kończy się happy endem.

Jarosław Kurski

„Przemytnik wolności”, opowieść o życiu Macieja Kozłowskiego, to niskonakładowa perełka, warta zadania sobie trudu, by ją kupić, przeczytać i mieć na półce. To połączenie wywiadu rzeki z reportażem historycznym. Trudno, żeby było inaczej, skoro Bereś i Burnetko to rasowi dziennikarze, a Kozłowski oprócz tego, że niegdyś redaktor „Tygodnika Powszechnego”, to jeszcze historyk, himalaista, opozycjonista, więzień polityczny, a w wolnej Polsce – dyplomata i ambasador RP w Izraelu. O nim to opowieść, ale nie tylko.

Czytamy więc świadectwo wieków XX i XXI. Takich książek siłą rzeczy będzie coraz mniej, niestety. Każda nowa pozycja jest więc niezwykle cenna, zwłaszcza że Kozłowski świetnie opowiada.

OJCA NIE POZNAŁ

Maciej Kozłowski, typowy krakowski inteligent z kręgu „Tygodnika”, z przedwojennej ziemiańskiej rodziny spod krakowskiej Luborzycy, który zapewne, gdyby się urodził gdzie indziej, w jakimś normalnym, nudnym, demokratycznym kraju, żyłby życiem ciekawym, ale nie buntowniczym. Usłyszelibyśmy o nim może jako o wybitnym taterniku albo archeologu, bo opozycjonistą zostawać by nie musiał.

Tymczasem nad Kozłowskim, który w PRL-u przystąpił do opozycji, oraz nad jego rodziną zawisło jakieś tragiczne fatum. I może taki właśnie powinien być tytuł tej książki – polskie fatum – bo rzadko się zdarza takie nagromadzenie w jednym życiu rodzinnych tragedii splecionych z polską historią.

Kozłowski, dziecko wojny, przyszedł na świat podczas okupacji i zanim świadomie zdołał poznać ojca, już go stracił. Ojciec – Jan Kozłowski – został aresztowany przez Gestapo w wyniku fali masowych zatrzymań po wpadce dowódcy Okręgu Kraków AK płk. Józefa Spychalskiego „Lutego”. Traktowany jako zakładnik, z ustami zatkanymi gipsem i z rękami związanymi drutem, został rozstrzelany w publicznej egzekucji przy ulicy Lubicz w Krakowie. Zbrodnia była niemieckim odwetem za nieudaną akcję odbicia dowódcy. Maciej nie tylko nie poznał ojca, ale też nigdy się nie dowiedział, gdzie spoczęły jego szczątki.

STRYJA NIE BRONI, NAZYWA ZDRAJCĄ

Fatum dalej jednak wisi nad Kozłowskimi. Brat ojca, Leon Kozłowski, to opowieść sama w sobie, której bratanek poświęcił zresztą osobną książkę – „Sprawa premiera Leona Kozłowskiego. Zdrajca czy ofiara?”. Tu, w „Przemytniku wolności”, poświęca stryjowi jeden rozdział, pozostawiając czytelnika z niedosytem.

Ten przedwojenny premier obozu sanacyjnego, bliski współpracownik Józefa Piłsudskiego, nie był ze zrozumiałych względów ulubieńcem rządu Władysława Sikorskiego. To za jego premierostwa powstała bowiem Bereza Kartuska i uchwalono autorytarną konstytucję kwietniową. Po zwolnieniu z Łubianki, gdzie trafił po wkroczeniu Sowietów do Lwowa w 1939 roku i po zawarciu porozumienia Sikorski – Majski, przekroczył linię frontu niemiecko-sowieckiego i dotarł do Berlina. Szybko zyskał niezasłużoną sławę kandydata na „polskiego Quislinga” i został zaocznie skazany za zdradę na karę śmierci, której jednak nie wykonano. Na zaproszenie Niemców odbył podróż do Katynia, gdzie był świadkiem ekshumacji polskich oficerów.

Maciej Kozłowski nie broni stryja. Wprost nazwa go zdrajcą, ale dostrzega liczne okoliczności łagodzące. Nie będę ich tu wymieniał, warto sobie samemu przeczytać. Jedna rzecz wydaje się arcyciekawa i nowa. Leon Kozłowski rozmawiał w Katyniu z okolicznymi chłopami, którzy zaklinali się, że gdy trwały tu rozstrzeliwania w kwietniu 1940 roku, widzieli w willi NKWD niemieckich oficerów. Świadczyłoby to o wspólnym niemiecko-sowieckim, a nie tylko sowieckim planie likwidacji polskiej inteligencji, co w świetle paktu Ribbentrop-Mołotow jest wysoce prawdopodobne, ale na co dowodów w postaci dokumentów nie ma. Leon Kozłowski zginął w Berlinie w 1944 roku rzekomo podczas nalotu. Tylko że tego dnia żadnego nalotu na stolicę III Rzeszy nie było...

• **Luty 1970 roku, Sąd Wojewódzki w Warszawie. Maciej Kozłowski zeznaje jako oskarżony podczas tzw. procesu taterników, młodych ludzi, którzy przemycali przez granicę polsko-czechosłowacką zakazane w PRL-u książki i czasopisma, m.in. paryską „Kulturę”**
FOT. PAP/CAF/STANISŁAW CZARNOGÓRSKI

SIOSTRA ZGINĘŁA W KARAKORUM

Fatum nie odpuszcza. Matka Kozłowskiego, wdowa po Janie Kozłowskim Maria z domu Amouraux, osoba o wielkiej sile charakteru, jako jedna z nielicznych wówczas kobiet z doktoratem z botaniki, z dwójką dzieci wykazuje się po wojnie heroizmem dnia codziennego. Pozbawiona majątku, nękana przez UB stara się wykarmić i wykształcić dzieci, z których każde z osobna będzie powodem nie tylko radości, ale i trosk.

Barbara, siostra Macieja, romanistka, ambitna, odważna, niezależna i tak jak brat himalaistka, dusi się w PRL-u, z którego przy pierwszej okazji wyjeżdża, stając się obywatelką świata – Helsinki, Paryż, Bolonia, Genewa... Ginie podczas wyprawy na Broad Peak w Karakorum, którą prowadziła Wanda Rutkiewicz. W czasie podejścia źle się poczuła. Prawdopodobnie była to choroba wysokościowa. Właśnie nastawała ta trwająca do dziś parszywa epoka himalaizmu, w której egoizm i parcie na wynik zwyciężają nad ludzką solidarnością wspinaczy. Nikt z nią nie wrócił. Barbara zginęła, idąc sama, pięćset metrów od obozu.

Tragizmu postaci matki dopełnia aresztowanie syna Macieja w końcu lat 60., które było dla niej ciosem psychicznym. Zmarła w 1980 roku.

PRZEMYTNIK WOLNEGO SŁOWA

Czas na samego Macieja Kozłowskiego i jego fatum, którym była sprawa „taterników” przemycających przez Tatry książki paryskiej „Kultury”. Wszystko zaczęło się od wizyty dwudziestoletniego Kozłowskiego w Maisons-Laffitte pod Paryżem w 1963 roku i od spotkania z Jerzym Giedroyciem.

Szlak wiódł przez Rysy i służył do systematycznego dostarczania do kraju dzieł Gombrowicza, Miłosza czy Orwella. Kozłowski przypomina tu postać litewskiego knygnešysa – przemytnika książek, który dla ocalenia języka litewskiego ryzykuje carskie zesłanie lub więzienie. Poprzez tę analogię Bereś i Burnetko wpisują losy Kozłowskiego w opowieść o „piechocie wolnego słowa” – od litewskich lasów, przez piłsudczykowską „bibułę” i konspirację okresu II wojny światowej, aż po tatrzańskie szlaki paryskiej „Kultury”. W żadnej bowiem broni palnej nie ma takiej siły jak w wolnym słowie. Tego każde państwo totalitarne obawia się najbardziej.

Niestety, wszystko kończy się wraz z upadkiem Praskiej Wiosny. Namierzenie przez tajne służby Czechosłowacji, wpadka w Polsce, areszt, relegowanie z uczelni, gra w ciuciubabkę ze Służbą Bezpieczeństwa, proces, więzienie... A w wolnej już Polsce oskarżenie o współpracę z SB i trwająca przez lata walka o dobre imię. Walka zakończona szczęśliwie.

MIANOWANY ŻYDEM

Bo gdyby w PRL-u Kozłowski w mateczniku siedział, zamiast się buntować, gdyby zapisał się do partii, gdyby nie przemycał książek, tchórzliwie żył i nikomu się nie narażał, pies z kulawą nogą by się nim nie zainteresował. A tak w wolnej już Polsce sam wywołał z lasu „fatum Kozłowskich”, bo – jak wiadomo – w naszym kraju każdy dobry uczynek musi zostać przez rodaków ukarany już za życia.

Polskie losy bywają tragikomiczne, śmieszne, gorzkie i pełne paradoksów. No i Żydów tropi się u nas do siódmego pokolenia. Kozłowskiego w 1968 r. marcowi naganiacze posądzili o złe pochodzenie i wyrzucili z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Nolens volens jako Żyd z mianowania poczuł solidarność z żydowskim losem, co po latach pracy w MSZ zaowocowało jego misją dyplomatyczną w Izraelu, walką z antysemityzmem, działaniami na rzecz pojednania polsko-żydowskiego. Znalazł też osobiste szczęście w postaci późnego związku z Izraelką polskiego pochodzenia – Nili Amit. W ten oto sposób polskie fatum Kozłowskich zostało ostatecznie przebite jak upiór osinowym kołkiem. ●

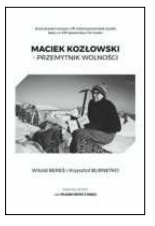

Witold Bereś i Krzysztof Burnetko

„Maciek Kozłowski – Przemytnik wolności”
Wyd. vis-à-vis Etiuda

eprasa.pl ed2416b7a2

Amazonki

ISTNIAŁY NAPRAWDĘ

Nie nosiły sztywnej, metalowej zbroi ukształtowanej na wzór piersi. I wcale nie wypalały sobie jednej z nich, żeby móc lepiej strzelać z łuku.

Z **ADRIENNE MAYOR,** BADACZKĄ STAROŻYTNOŚCI, ROZMAWIA **KASPER KALINOWSKI**

• **Posąg Amazonki z łukiem gotowym do strzału w miejscowości Samsun w północnej Turcji**

FOT. THANKFUL PHOTOGRAPHY / ALAMY STOCK PHOTO / BE&W

KASPER KALINOWSKI: Zacznijmy od najprostszego pytania, na które odpowiedź okazuje się trudna: czy Amazonki naprawdę istniały?

ADRIENNE MAYOR, autorka książki „Amazonki. Wojowniczki starożytnego świata”: Istnieją dwa rodzaje Amazonek: zaciekłe wojowniczki z mitologii greckiej oraz prawdziwe, historyczne wojowniczki zamieszkujące stepy wokół Morza Czarnego, które wpłynęły na powstanie tych mitów. W starożytnej literaturze i sztuce greckiej Amazonki były opisywane jako „równe mężczyznom” – podobno były równie odważne i biegłe w walce jak wojownicy płci męskiej. W mitach Amazonki stawiały czoła największym greckim bohaterom. Herakles, Tezeusz i Achilles udowodnili swoją odwagę, pokonując potężne królowe Amazonek: Hipolitę, Antiopę i Pentezyleę. Amazonki po raz pierwszy zostały opisane w „Iliadzie” Homera jako sojuszniczki Trojan w czasie wojny trojańskiej. Legenda o założeniu Aten głosiła, że Grecy pokonali niegdyś najeźdźczą armię Amazonek, których ojczyzną były tereny wokół Morza Czarnego.

Czy w mitologicznych Amazonkach było cokolwiek prawdziwego? Poświęciłam temu wiele lat badań. Okazuje się, że faktycznie istniały kobiety z krwi i kości, które prowadziły życie Amazonek właśnie na tych ziemiach, gdzie Grecy umiejscawiali mityczne wojowniczki.

Wierzcie lub nie, ale niektórzy staroświeccy badacze klasyki nadal uważają Amazonki za postacie czysto fikcyjne, wymyślone przez greckich mężczyzn po to, by służyć jako antykobiece symbole lub po prostu zastępować Persów. Uważam jednak, że starożytni autorzy, tacy jak Herodot, Platon i Strabon, zdawali sobie sprawę, iż mityczne Amazonki były powiązane z prawdziwymi jeźdźczyniami-łuczniczkami, które należały do koczowniczych plemion Scytów. Terminy „Scytia” i „Scytowie” odnoszą się do ziem i ludów północnego regionu Morza Czarnego – na Ukrainie oraz w południowej Rosji.

Dzięki bioarcheologii i analizie DNA szczątków kobiet pochowanych wraz z bronią i śladami ran bojowych dysponujemy obecnie przytłaczającymi dowodami na to, że scytyjskie Amazonki rzeczywiście istniały. To właśnie te koczownicze jeźdźczynie-łuczniczki ze stepów odegrały rolę w kształtowaniu wyobrażeń starożytnych Greków o Amazonkach.

1 RP

eprasa.pl ed2416b7a2

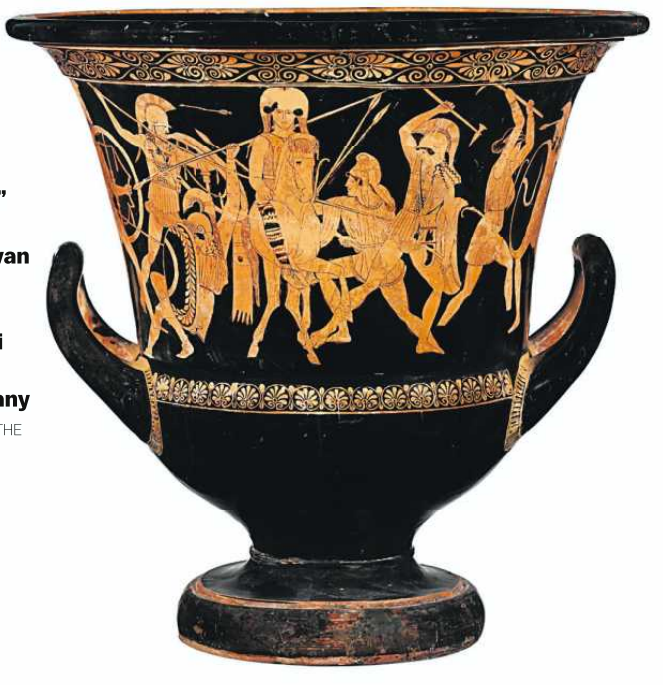

▲ **„Bitwa Amazonek”, akwaforta z 1547 roku autorstwa francuskiego grafika Léona Daventa** FOT. ZBIORY THE METROPOLITAN MUSEUM OF ART

◀ **Obraz „Amazonki i Scytowie” z około 1629 roku, autorstwa niderlandzkiego malarza Otto van Veena** FOT. ALAMY STOCK PHOTO / BE&W

▶ **Bitwa Greków z Amazonkami na terakotowym naczyniu do mieszania wina z wodą, datowany na 460-450 rok p.n.e.** FOT. ZBIORY THE METROPOLITAN MUSEUM OF ART

Możemy dokładnie określić obszar, na którym mieszkali Scytowie? Jedna z legend głosi, że byli potomkami mitycznych Sarmatów – twierdzenie to powtarzała polska szlachta, ale w pani książce przemierzamy ogromny obszar: od Morza Czarnego i Kaukazu po Azję Środkową i granice Chin, a ślady wojowniczek docierają nawet do rzymskiej Brytanii. Co właściwie łączyło tak odległe społeczności?

– Niezliczone plemiona koczowniczych ludów stepowych, znane jako Scytowie, przemierzały ogromne odległości na rozległym terytorium od Dunaju po Wielki Mur Chiński, który zbudowano po to, by je powstrzymać! Ludy te należały do wielu grup etnicznych i posługiwały się różnymi językami, miały też własną historię i lokalne zwyczaje, ale wszystkie były ze sobą kulturowo powiązane. Łączyły je dwie kluczowe cechy: ich życie skupiało się na jeździe konnej i opanowaniu łucznictwa.

Dwie wojowniczki, których szczątki znaleziono w Wielkiej Brytanii, były oficerami kawalerii sarmackiej. Przybyły z terenów dzisiejszej Ukrainy do północnej Anglii, należały do sarmackich najemników, którzy zostali zatrudnieni przez Rzymian i wysłani do ochrony Muru Hadriana. Herodot opisał legendę o powstaniu Sarmatów, wielkiej konfederacji plemion koczowniczych, które w starożytności przemieszczały się po północnym regionie Morza Czarnego.

Wspomniałeś, że polscy arystokraci lubili się powoływać na sarmackie dziedzictwo. Jednym ze sposobów „sprawdzenia” tego twierdzenia mogłoby być zadanie im pytania, czy polscy Sarmaci uważali, że kobiety są równe mężczyznom, i czy wychowywali swoje córki dokładnie tak samo jak synów. Ciekawe jest to, że również Goci twierdzili, iż są potomkami wojowniczych królowych Amazonek.

Filmowe wzorce w rodzaju Wonder Woman granej przez Gal Gadot czy Xeny nie są więc najlepszym punktem odniesienia. Pisze pani, że charakterystyczna „piersiasta zbroja” byłaby wręcz niebezpieczna. Dlaczego?

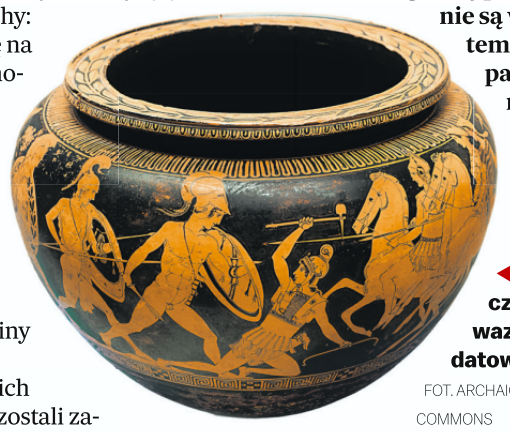

◀ **„Tezeusz i Grecy walczący z Amazonkami”, waza wykonana w Attyce, datowana na 450 rok p.n.e.** FOT. ARCHAIOPTIX, CC BY-SA 4.0, VIA WIKIMEDIA COMMONS

– W żadnej epoce wojowniczki nie zdecydowałaby się na noszenie sztywnej, metalowej zbroi ukształtowanej na wzór piersi. Taki gorset byłby nie tylko niewygodny i krępujący ruchy, ale też, co ważniejsze, występujące w niej rozcięcie lub zagłębienie między miseczkami tworzy efekt lejka, który kieruje cios mieczem, toporem lub włócznią prosto w serce i płuca. Zbroja w stylu „kształtne piersi” występuje wyłącznie w komiksach i filmach fantasy po to, aby przyciągać wzrok mężczyzn. Prawdziwe wojowniczki odrzuciłyby taką „samobójczą zbroję”. Nosiłyby praktyczną zbroję piersiową, jakiej używali mężczyźni – lnianą, z elastycznych płyt, lub metalową, ukształtowaną tak, by odbijać ciosy z dala od mostka, serca i płuc.

Scytyjski łuk kompozytowy był niezwykłą konstrukcją. Wspomina pani o starożytnym łuczniku, który miał posłać strzałę nawet na ponad pół kilometra. Jak działała ta broń i dlaczego tak dobrze nadawała się do walki z konia?

– Ten łuk był starannie konstruowany z laminowanych pasków drewna i kleju. Nadawano mu charakterystyczny kształt łuku refleksyjnego, który przypomina łuk Kupidyna. Jego wykonanie zajmowało lata, co czyniło go niezwykle cennym – i właśnie dlatego w grobach łuczników odnaleziono tak niewiele egzemplarzy. W starożytności wraz z wojowniczkami i wojownikami chowano jedynie kołczany ze strzałami. Sam łuk był zbyt cenny, by go utracić, i przechodził w posiadanie innego, żyjącego wojownika.

Chociaż łuk refleksyjny nie jest duży, jego specyficzna, sprężysta konstrukcja i kształt pozwalają strzelać z niego z ogromną siłą na duże odległości. Niewielkie rozmiary i moc sprawiały, że idealnie nadawał się dla łucznika galopującego na koniu podczas bitwy. Powiedziałabym nawet, że genialne połączenie konia dobrej rasy i łuku wyrównywało szanse kobiet w społeczeństwach scytyjskich. Kobieta uzbrojona w scytyjski łuk refleksyjny była na koniu równie szybka i zabójcza jak mężczyzna.

Gdybyśmy spotkali prawdziwą Amazonkę na stepie 2500 lat temu, to jak by wyglądała? Nosiłaby spodnie?

– Amazonki z mitów nosiły praktyczne ubrania, takie same jak scytyjscy mężczyźni i kobiety: tunikę z długimi rękawami lub spodnie, a do tego buty. Spodnie zostały wymyślone przez ludy jeżdżące konno na północnych stepach. Grecy wierzyli, że to Amazonki je wymyśliły; przypisywali to odkrycie trzem różnym królowym-wojowniczkom. Spodnie lub odpowiednik naszych legginsów są niezbędne, by zapobiegać otarciom, i doskonale sprawdzają się w surowym klimacie. Były pierwszą odzieżą szytą na miarę – kawałki wełny lub skóry łączono i zszywano. Różniło się to znacznie od ubioru starożytnych kultur, w których nie jeżdżono konno – tam wszyscy nosili proste prostokąty materiału przypinane na ramionach.

eprasa.pl ed2416b7a2

A jakimi językami mówiły kobiety, które Grecy nazywali Amazonkami? Ich imiona zachowane w greckich źródłach zdradzają pochodzenie?
– Eurazja, a zwłaszcza region Kaukazu, była, i nadal jest, tyglem wielu rodzin językowych. Prawdziwe Amazonki z plemion koczowniczych, które posłużyły za wzór dla tych mitycznych, mówiły wieloma językami. Niektórzy mieszkańcy obszaru Morza Czarnego i Kaukazu posługiwali się językami irańskimi, ale inni prawdopodobnie nieindoeuropejskimi kaukaskimi, takimi jak czerkieski, gruziński, abchaski i ubyski. Inne grupy koczownicze, poza Morzem Czarnym i Kaspijskim, mówiły językami nieirańskimi.

Co niezwykłe, zachowało się ponad dwieście imion starożytnych Amazonek! Pochodzą z mitów oraz kultur starożytnej Grecji, Egiptu, Persji i innych. Wiele imion widnieje na greckich malowidłach wazowych przedstawiających sceny z życia Amazonek. Niektóre pochodzą ze źródeł niegreckich i odzwierciedlają języki odpowiedniczek Amazonek – kobiet z kultur koczowniczych w Azji Zachodniej. Interesujące jest to, że tak wiele z tych imion wiąże się z końmi i bronią lub wskazuje na cechy charakteru związane z odwagą.

Według jednego z najważniejszych greckich mitów Amazonki dotarły aż pod Ateny. Czy może się za tym kryć pamięć jakiegoś rzeczywistego najazdu ludów stepowych czy to wyłącznie mit?
– Ateny miały legendę założycielską, która opisywała, jak wielka armia Amazonek najechała dawno temu młode miasto z północy i niemal zniszczyła Akropol. Opowieść o tym, jak ateński bohater Tezeusz i dzielni Ateńczycy odnieśli ciężko wywalczone zwycięstwo i wypędzili Amazonki z miasta, traktowano jako prawdziwe wydarzenie z odległej przeszłości. Ale żadne ludy stepowe nigdy nie najechały Grecji ani nie zaatakowały Aten.

Starożytni Grecy wiedzieli jednak o najazdach i podbojach Scytów w Azji Mniejszej i Eurazji, a zaciekli łucznicy konni ze stepów budzili w tamtych czasach grozę. Myślę więc, że mit ten odzwierciedla wiedzę Greków na temat wojowniczych Scytów oraz obawy przed najazdami. Stanowi to podstawę ekscytującej opowieści epickiej – w starożytności ludzie wskazywali pola bitew i miejsca pochówku Amazonek w okolicach Aten. Wielka, legendarna bitwa o Ateny została uwieczniona w wielu dziełach sztuki, freskach, marmurowych płaskorzeźbach na Partenonie oraz na niezliczonych malowidłach na wazach.

W grobach młodych dziewcząt znaleziono figurki wojowniczek. Czy Amazonki mogły być wzorem dla dziewcząt wychowywanych w społeczeństwie, które dorosłym kobietom pozostawiało niewiele swobody?
– Wiemy, że każdy Grek – mężczyzna, kobieta i dziecko – znał wiele opowieści o Amazonkach. Grecy otaczali się ich wizerunkami na publicznych malowidłach, w monumentalnych rzeźbach i na ceramice. Co greckie kobiety sądziły o Amazonkach wiodących surowe, atletyczne życie, tak odmienne od ich własnego? Na pewno nie wiemy, choć istnieją pewne wskazówki. Nie ma pewności czy owe małe lalki odnalezione w grobach młodych dziewcząt w Grecji i Azji Mniejszej z V wieku p.n.e. i późniejszych były ich ulubionymi zabawkami czy też figurkami rytualnymi. Myślę, że były to jednak zabawki. Lalki z terakoty są realistycznie pomalowane, a niektóre mają ruchome ręce i nogi, niczym starożytne lalki Barbie. Można je było ubierać w miniaturowe stroje. Wiemy na pewno, że to Amazonki, bo mają zbroje, włócznie, tarcze oraz hełmy albo spiczaste czapki z nausznikami w stylu scytyjskim, dokładnie takie same jak czapki Amazonek w sztuce greckiej.

Te małe lalki sugerują, że Amazonki były postrzegane pozytywnie przez greckie dziewczynki i kobiety. Kolejną wskazówką, że darzyły je sympatią, jest fakt, że przedstawiane są często w czasie walki, a czasem nawet zabijają greckich wojowników. Takie obrazy były bardzo popularne na ceramice używanej wyłącznie przez kobiety jako słoiki na perfumy, pudełka na biżuterię i kosmetyki, a także narzędzia do tkania.

W starożytnej Grecji pozycja kobiet była mocno ograniczona, a jednocześnie opowiadano o silnych, niezależnych i niebezpiecznych kobietach. Czego właściwie się w nich Grecy bali, a co ich fascynowało?
– Myślę, że zarówno kobiety, jak i mężczyźni rozumieli przesłanie o równości i niezależności istniejące wśród Amazonek w mitach oraz wśród „barbarzyńców" z okolic Morza Czarnego. Zgodnie z nim kobiety były równie dzielne i wojownicze jak mężczyźni.

W sztuce Amazonki zawsze przedstawiano jako atrakcyjne, silne, atletyczne i bohaterskie. Można przypuszczać, że mity o nich dały Grekom – zarówno mężczyznom, jak i kobietom – ekscytującą wizję czegoś, co było niemożliwe w ich społeczeństwie, ale o czym krążyły pogłoski, że istnieje w odległej krainie zwanej Scytią, ojczyźnie Amazonek. Poruszające opowieści o kobietach-wojowniczkach budziły uczucia podziwu i niepokoju, szacunku i strachu. Jednak mimo tych ambiwalentnych emocji opowieści o Amazonkach cieszyły się wielką popularnością. Myślę, że wynikało to z faktu, że dały Grekom „bezpieczną" i zarazem ekscytującą możliwość wyobrażenia sobie egalitarnego społeczeństwa, w którym mężczyźni i kobiety mogliby się spotykać na równych prawach, a nawet stać się towarzyszami.

Seks scytyjskich Amazonek był intensywny i rozwiązły. Odbywał się na świeżym powietrzu, poza małżeństwem, w sezonie letnim

Cały rozdział poświęca pani piersiom Amazonek. To jeden z najbardziej znanych mitów – głosi, że wypalały sobie prawą pierś, żeby łatwiej strzelać z łuku. Skąd wzięła się ta historia?
– Nazwa „Amazon" nie pochodzi ze starożytnej greki. Została zapożyczona z nieznanego języka sprzed czasów Homera, w którym po raz pierwszy pojawiła się w piśmie około 700 r. p.n.e. Jednak w V wieku p.n.e. grecki historyk o imieniu Hellanicus, kierowany patriotyzmem, próbował przekształcić tę zapożyczoną obcą nazwę w greckie słowo. Ponieważ nazwa „a-mazon" brzmiała nieco podobnie do greckiego wyrażenia oznaczającego „brak piersi", Hellanicus twierdził, że Amazonki usuwały swoją prawą pierś. Uzasadniał to tym, że piersi utrudniają naciąganie łuku lub rzucanie oszczepem. Wszyscy jednak wiemy, że nie utrudniają. Pomysł ten jest absurdalny i był kwestionowany już w starożytności. Co więcej, żaden ze ówczesnych artystów nigdy nie przedstawił Amazonki z jedną piersią.

Pochodzenie nazwy „Amazonka" jest niepewne i prawdopodobnie ma ona wiele źródeł. Jedna z teorii głosi, że wywodzi się od starożytnego irańskiego słowa „ha-mazon" oznaczającego „wojowniczkę" lub od czerkieskiego imienia „Amezane" oznaczającego „matkę lasu lub księżyca".

A ich życie seksualne? Greckie źródła przypisywały Amazonkom swobodę wyboru partnerów, seks poza małżeństwem czy związki, w których panuje znacznie większa równość. Ile w tych relacjach może być obserwacji ludów stepowych, a ile greckiej fantazji?
– W starożytności krążyło mnóstwo spekulacji, plotek i pogłosek na temat ich życia seksualnego. Amazonki z mitów i legend historycznych miały niewiele wspólnego z prawdziwymi greckimi kobietami, podporządkowanymi ojcom i mężom i spędzającymi życie w domach na tkaniu i opiece nad dziećmi. Amazonki z mitów i prawdziwe Scytyjki zachowywały się raczej jak wolni greccy mężczyźni, którzy mogli uprawiać seks z kimkolwiek chcieli.

Kilku starożytnych greckich historyków donosiło, że prawdziwe wojowniczki z regionu Morza Czarnego umawiały się na spotkania z mężczyznami z sąsiednich plemion, by uprawiać z nimi seks, bez małżeństwa i jakichkolwiek więzi emocjonalnych. Tym Grekom, którzy wierzyli, że Amazonki były społecznością kobiet wrogo nastawionych do mężczyzn, ten koczowniczy zwyczaj wyjaśniał, w jaki sposób się rozmnażały. W innych starożytnych relacjach pojawiały się opowieści o kobietach scytyjskich, które straciły większość swoich mężczyzn na wojnie. W tych przekazach mówiono, że praktyczne wdowy szukały seksu z obcymi, aby zapewnić przetrwanie swojego plemienia.

W przypadku niektórych społeczności koczowniczych istnieją dowody na praktykowanie w nich wolnej miłości – posiadanie wielu partnerów seksualnych zarówno przez mężczyzn, jak i kobiety, a także poliandrię – wielu mężów lub mężczyzn, i poligamię – wiele żon lub kobiet. Historyk Ksenofont opisał „bezkrytyczne, publiczne stosunki seksualne" wytatuowanego plemienia Mosynojków z Pontu, mitycznej ojczyzny Amazonek. Z kolei Herodot donosił, że Agatyrsi, koczownicze plemię tracko-scytyjskie, swobodnie współżyją, „żeby wszyscy między sobą byli braćmi i krewnymi i nie żywili nawzajem ani zazdrości, ani wrogości". Według geografa Strabona wśród Syginnów z północno-zachodniego Kaukazu najlepsze kobiety spośród powożących rydwanami mogły „żyć z każdym, kogo sobie wybrały". Strabon opisał również praktyki seksualne górskich plemion północno-zachodniego Iranu, w których „kobiety uważają za rzecz chwalebną mieć tylu mężczyzn, ilu tylko możliwe, a jeśli mają ich mniej niż pięciu, traktują to jak klęskę". Kobiety z innej grupy koczowniczej w pobliżu Morza Kaspijskiego, Tapuri, zazwyczaj miały dzieci z kilkoma mężczyznami.

Zarówno Herodot, jak i Strabon zgadzali się w tym, że słynne plemię Massagetów, na którego czele stała wojownicza królowa Tomyris, która pokonała perskiego króla Cyrusa, powszechnie tworzyło pary będące równorzędnymi partnerami, z opcją „otwartego małżeństwa". Sygnałem wskazującym na współżycie seksualne był kołczan zawieszony na zewnątrz wozu kobiety. Podobnie wśród koczowniczych plemion Kaukazu sygnałem, że kobieta przyjmuje seksualnego gościa, była jego włócznia wbita w ziemię przed jej namiotem.

Seks scytyjskich Amazonek był intensywny i rozwiązły. Odbywał się na świeżym powietrzu, poza małżeństwem, w sezonie letnim. Według Herodota, który osobiście przeprowadzał wywiady ze Scytami w rejonie Morza Czarnego, młode kobiety, które wykazały się w walce, mogły uprawiać seks z dowolnym mężczyzną według własnego wyboru. Niektórzy współcześni badacze postrzegają te szczegóły w starożytnych greckich źródłach jako wyimaginowane odwrócenie domowego życia porządnych greckich kobiet. A także jako pewnego rodzaju zniekształcenie wymyślone przez mężczyzn, aby utożsamić niezależne wojowniczki z dzikimi zwierzętami. Ja zgadzam się z badaczami, którzy sugerują, że Herodot i inni pisarze zachowali prawdziwe fakty etnograficzne. Uważam, że niektóre starożytne greckie opisy życia seksualnego legendarnych Amazonek opierały się na rzeczywistych doświadczeniach walczących kobiet ze Scytii.

W mitach Amazonki miały zwykle królową. Jak było naprawdę?
– Dla koczowników ze Scytii każdy był pełnoprawnym członkiem społeczności i każdy przyczyniał się do przetrwania grupy, jeżdżąc konno, polując na zwierzynę, strzelając z łuku i broniąc plemienia. Dlatego chłopcy i dziewczęta byli traktowani jednakowo, ubierali się tak samo i uczyli się jeździć konno, posługiwać się bronią, polować, brać udział w najazdach i wojnach. Oznaczało to, że wysoko wykwalifikowane kobiety mogły przewodzić wyprawom łowieckim i wojennym tak samo jak mężczyźni. Uważam, że wśród prawdziwych Scytów były kobiety, które awansowały na stanowiska przywódcze i uznawano je za wodzów równie często jak mężczyzn. Za przywódcami podążano, o ile byli kompetentni i odnosili sukcesy. Mamy wiele historycznych relacji o męskich przywódcach, których następczyniami zostawały kobiety.

Nie jesteśmy zdani wyłącznie na źródła greckie. Jaki obraz Amazonek znajdziemy w tekstach innych kultur, np. sagach kaukaskich, z których wiele przetrwało?
– Dla mnie fascynujące w większości niegreckich opowieści o wojowniczych kobietach podobnych do Amazonek jest to, że, zamiast walczyć ze sobą na śmierć i życie jak w mitach homeryckich, przeciwnicy – mężczyźni i kobiety – są tak równi, że żadna ze stron nie wygrywa. Walczą do wyczerpującego impasu, a potem zakochują się w sobie i zostają sojusznikami. Stają się towarzyszami w miłości i na wojnie. Cóż za romantyczna idea!

Od pierwszego wydania książki minęło ponad dziesięć lat, archeogenetyka i bioarcheologia zrobiły w tym czasie ogromny postęp. Jak zmienił się w tym czasie wizerunek Amazonek? Zmieniłaby pani coś w książce?
– Dodałbym wszystkie nowe odkrycia archeologiczne z ostatnich kilkunastu lat dotyczące kobiet pochowanych wraz z bronią. To ekscytujące, że odkryto groby, które dowodzą, że Amazonki były postaciami rzeczywistymi – coś, co wcześniej podejrzewano, teraz zostało udowodnione. Wiele szczątków wojowniczek znaleziono w Hiszpanii, Egipcie i innych miejscach. Archeolodzy stali się znacznie bardziej świadomi istnienia kobiet-wojowniczek, więc nie zaprzeczają już ich istnieniu. Omówiłabym również starożytnego ducha Amazonek w odniesieniu do współczesności – do miejsc ogarniętych dziś wojną, gdzie dzielne kobiety walczą u boku mężczyzn ze straszliwymi wrogami. Na przykład kurdyjskie bojowniczki walczące przeciwko ISIS czy Ukrainki broniące swojej ziemi przed rosyjskimi najeźdźcami. ●

Adrienne Mayor

• Badaczka starożytności związana z Uniwersytetem Stanforda, specjalizuje się w antyku i historii nauki. Autorka wielu książek, m.in. „Bogowie i roboty. Jak ludzie starożytności wymyślili sztuczne życie" i „The Poison King: The Life and Legend of Mithradates, Rome's Deadliest Enemy", która znalazła się w finale National Book Award.

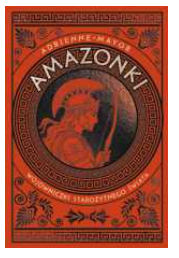

Amazonki. Wojowniczki starożytnego świata

Adrienne Mayor
tłum. Violetta Dobosz
Znak Horyzont

1 RP

eprasa.pl ed2416b7a2

Okruchy historii

Ziemia faudy czy traumy?

W nowym sezonie serialu „Fauda” widać wpływ, jaki na jego twórców wywarł atak Hamasu z 7 października 2023 roku.

Motyka

Prof. Grzegorz Motyka – historyk, politolog, pracownik Instytutu Studiów Politycznych PAN

Niecierpliwie czekałem na kolejny sezon izraelskiego serialu „Fauda” opowiadającego o działaniach grupy funkcjonariuszy Szin Bet przeciwko Hamasowi i Hezbollachowi. Dzięki wartkiej akcji i pokazaniu brutalnej rzeczywistości Bliskiego Wschodu serial zdobył ogromną popularność. Najnowszy, 5. sezon, jest równie wciągający. Bez trudu można jednak w nim zauważyć wpływ, jaki na społeczeństwo izraelskie – w tym na twórców serialu – wywarł atak z 7 października 2023 roku i śmierć ponad tysiąca współobywateli. Brutalność bojowników Hamasu realizujących operację „Potop Al-Aksa” wstrząsnęła Izraelem, uświadamiając wszystkim, co ich czeka w wypadku zwycięstwa dżihadystów.

Pierwsze sezony serialu koncentrowały się na tytułowej faudzie oznaczającej w języku arabskim bałagan, zamieszanie, chaos. Bliski Wschód został w nich przedstawiony jako region, gdzie wszyscy walczą ze wszystkimi, a wojna podjazdowa jest nieodłączną częścią krajobrazu. Widzowie mieli dojść do wniosku, że do zarządzania tytułowym chaosem koniecznie potrzebny jest Izrael będący kotwicą bezpieczeństwa i stabilizawtorem pokoju.

W najnowszym sezonie po tym optymizmie zostało niewiele. W każdym odcinku podkreśla się, że atak 7 października był doświadczeniem granicznym. Wszyscy bohaterowie opowieści cierpią z tego powodu głęboką traumę – jeden stracił pamięć, drugi szuka zemsty na zabójcach rodziny, widząc w niej sens dalszego życia, kolejnemu rozpada się rodzina. Nawet oficerka wywiadu, która zdaje się panować nad sytuacją, w chwili, kiedy jest sama, sięga po antydepresyjne tabletki. Towarzyszy temu atmosfera nieufności wobec własnego państwa. Zwroty o braku wiary w system przewijają się w dialogach kilkakrotnie.

Dwa oddzielne odcinki – faktycznie stanowiące autonomiczną całość – pokazują tragedię 7 października, w tym nieskuteczne próby zatrzymania bojowników Hamasu podejmowane przez małe grupy żołnierzy i policjantów oraz masowe mordy na ludności cywilnej zabijanej w dotąd bezpiecznych domach. Nie pominięto nawet rzezi, do której doszło na Festiwalu Supernova. Widz po obejrzeniu tych odcinków lepiej pojmuje rozterki i depresję doświadczonych osobiście bohaterów, którzy nie potrafili przyjść z pomocą mordowanej rodzinie i przyjaciołom. I przekonuje się, że zemsta dotknęła faktycznych zabójców. To wszystko jest pokazane przejmująco i z przekonaniem.

Sam również po obejrzeniu najnowszej „Faudy” lepiej rozumiem gniew, ba, wściekłość Izraelczyków, z jaką prowadzą działania przeciwko Hamasowi. Jeśli jednak serial dobrze tłumaczy intencje armii izraelskiej, to przecież i tak nie potrafi ukryć, a tym bardziej usprawiedliwić zbrodni wojennych, które towarzyszą jej brutalnym akcjom. Ekranowi bohaterowie bez wahania podejmują decyzje o interwencjach, których konsekwencją jest śmierć napastników. Kiedy jeden z nich zabija rannego, już bezbronnego i poddającego się członka Hamasu, jego kolega natychmiast tłumaczy skonsternowanym współpracownikom: „To trauma”. Nie trzeba być wojskowym, by wiedzieć, że w realu podobne poczynania muszą prowadzić na dużą skalę w najlepszym razie do zbrodniczych pomyłek.

Ale z drugiej strony nie wątpię w szczerość intencji głównego bohatera Dorona, który po odczytaniu modlitwy o pokój nad grobem przyjaciela wybucha płaczem. Wcześniej obiecał uwikłanej w nieswoją wojnę Francuzce, że będzie się starał unikać stosowania przemocy. W tych kadrach przebija tęsknota całego Izraela nie tyle nawet za pokojem, ile za jakąś normalnością, za brakiem ciągłych alarmów bombowych i zamachów. Tylko czy taka stabilizacja jest w ogóle możliwa?

Gdy Eli udający terrorystę wdaje się w rozmowę z zachodnimi ochotnikami do Hamasu, ci przekonują go z zapałem, że palestyńska niepodległość musi oznaczać likwidację państwa izraelskiego. Wszystkich Żydów czeka śmierć, o ile sami nie wyjadą „tam, skąd przyszli”. „Czyli do Algierii?” – prycha Eli, słysząc te słowa, przypominając o wypędzeniu z krajów arabskich po 1948 roku blisko miliona Żydów (z samej Algierii do Izraela przyjechało ich wtedy 10 tys.). Dalsze działania Eliego, chroniące kraj przed kolejnymi zamachami, mają uświadomić widzom, że Izrael, choć poraniony i straumatyzowany, jest też zdeterminowany, aby wygrać i przetrwać. Bo Izraelczycy są w swojej ojczyźnie. ●

Historia krzepi

Manewr Piłsudskiego

Gdy kilka miesięcy po zamachu majowym marszałek odwiedził Radziwiłłów w Nieświeżu, wszyscy zastanawiali się, o co mu chodzi?

Nałęcz

Sto lat temu Polską wstrząsnęła wielka sensacja. Majowy zwycięzca, marszałek Józef Piłsudski, dotychczasowy przywódca obozu demokratyczno-lewicowego, związał się z konserwatywnymi ziemianami, zwanymi „żubrami kresowymi”. Do rządu, którego premierem został 2 października 1926, powołał aż dwóch reprezentantów tego środowiska.

Najbardziej szokował minister sprawiedliwości, Aleksander Meysztowicz, od 1904 roku pogardliwie nazywany „kataryniarzem” za udział w uroczystym odsłonięciu w Wilnie pomnika carycy Katarzyny II, autorki rozbiorów. Najostrzej za zdradę narodową piętnował go w głośnym artykule w „Robotniku” Piłsudski, wtedy lider PPS.

25 października 1926 marszałek dokonał kolejnego bulwersującego kroku. Z Meysztowiczem u boku pojawił się w rezydencji książąt Radziwiłłów w Nieświeżu, gdzie spotkał się z 200-osobowym gronem arystokratów. Popierająca go lewica zareagowała jękiem zawodu, ale on był tak z siebie dumny, że na użytek tej sytuacji przerobił popularną rymowankę Fredry, która w jego wydaniu brzmiałatak:

To nie sztuka zabić kruka,
Ani sowę trafić w głowę,
Ale sztuka całkiem świeża,
Trafić z Bezdan do Nieświeża.

Rzecz jasna, nie chodziło o geografię, tylko o politykę. W odległych od Nieświeża o 200 km Bezdanach Piłsudski w 1908 na czele kilkunastu bojowców PPS napadł na rosyjski pociąg i zdobył górę rubli. Lojalni wobec caratu Radziwiłłowie mieli go za bandytę, a on, socjalista, gotów był przekazać ich majątki ludowi. Teraz przyjmowany był w Nieświeżu z monarszym ceremoniałem.

Komentatorzy gubili się w domysłach, o cóż to marszałkowi chodzi. Nie brakowało fantastycznych interpretacji, jak ta, że chce przywrócić w Polsce monarchię i osadzić na tronie jedną ze swoich córek. Do dzisiaj zresztą historycy mają kłopot z oceną tego manewru. Najczęściej tłumaczą go poszukiwaniem nowej formuły rządzenia po zamachu majowym.

Tak naprawdę Piłsudski niczego nie poszukiwał. Konsekwentnie realizował kolejny etap wojny, jaką od blisko ćwierć wieku toczył z Narodową Demokracją, kierowaną przez Romana Dmowskiego. Za śmiertelne zagrożenie uważał bowiem forsowany przez endecję nacjonalizm. Był jednym z pierwszych w Europie polityków, dostrzegających potężną moc uczuć narodowych. Wierzył, że dzięki nim odrodzi się wolna Polska, przewodząca blokowi państw utworzonych przez ludy zniewolone przez carat. Cenił patriotyzm, ale ostro zwalczał wynaturzoną jego formę, jaką był nacjonalizm. Widział w nim truciznę niszczącą Polskę. Twierdził, że może być ona wielka i bezpieczna tylko wtedy, kiedy przygarnie do serca wszystkie zamieszkujące ją ludy.

Takie relacje budował konsekwentnie w latach 1918-1922, będąc naczelnikiem państwa i naczelnym wodzem. Przegrał jednak walkę o rząd dusz. W listopadzie 1922 wybory wygrała endecja i w sojuszu z PSL „Piast” przystąpiła do budowy państwa zdominowanego przez etnicznych Polaków, spojonego nacjonalizmem. Piłsudski przeszedł do ostrej opozycji, pewny, że ściągnie to na kraj katastrofę.

Widząc, że w demokratycznych wyborach endecji nie pokona, postawił na wariant siłowy, który wcielił z życie w maju 1926, dzięki wiernej mu części wojska i poparciu lewicy. Jednak rządzić razem z lewicą nie zamierzał. Wiedział, że wywoła to opór większości społeczeństwa i w konsekwencji nie osłabi a wzmocni endecję.

Wolał, krok za krokiem, podcinać korzenie endeckich wpływów. Aby pozbawić obóz Dmowskiego pieniędzy, bez których nie da się uprawiać polityki, zwrócił się ku ziemiaństwu, będącemu hojnym sponsorem endeków. Wykorzystał przerażenie ziemian reformą rolną, długo blokowaną przez endecję, ale zaakceptowaną w 1925 roku w imię koalicyjnych relacji z „Piastem”, dla którego parcelacja obszarniczych majątków była priorytetem.

Tej gry nie rozumiało wielu jego zwolenników, widzących w aliansie z konserwatywną arystokracją zdradę głoszonych wcześniej ideałów. Rozwój wypadków jemu jednak przyznał rację. W wyborach z 1928 triumfowali piłsudczycy, a pozbawiona pieniędzy endecja poniosła dotkliwą klęskę.

Warto, by tę historię przemyśleli nasi obecni strażnicy „świętego ognia”, krytykujący Donalda Tuska za zbyt ryzykowne wkraczanie na tereny zajmowane wcześniej przez politycznych przeciwników. ●

Tomasz Nałęcz – historyk i polityk, emerytowany profesor UW, w latach 2001-05 wicemarszałek Sejmu, doradca prezydenta Bronisława Komorowskiego ds. historii i dziedzictwa narodowego

eprasa.pl ed2416b7a2

weekendówka nr 225

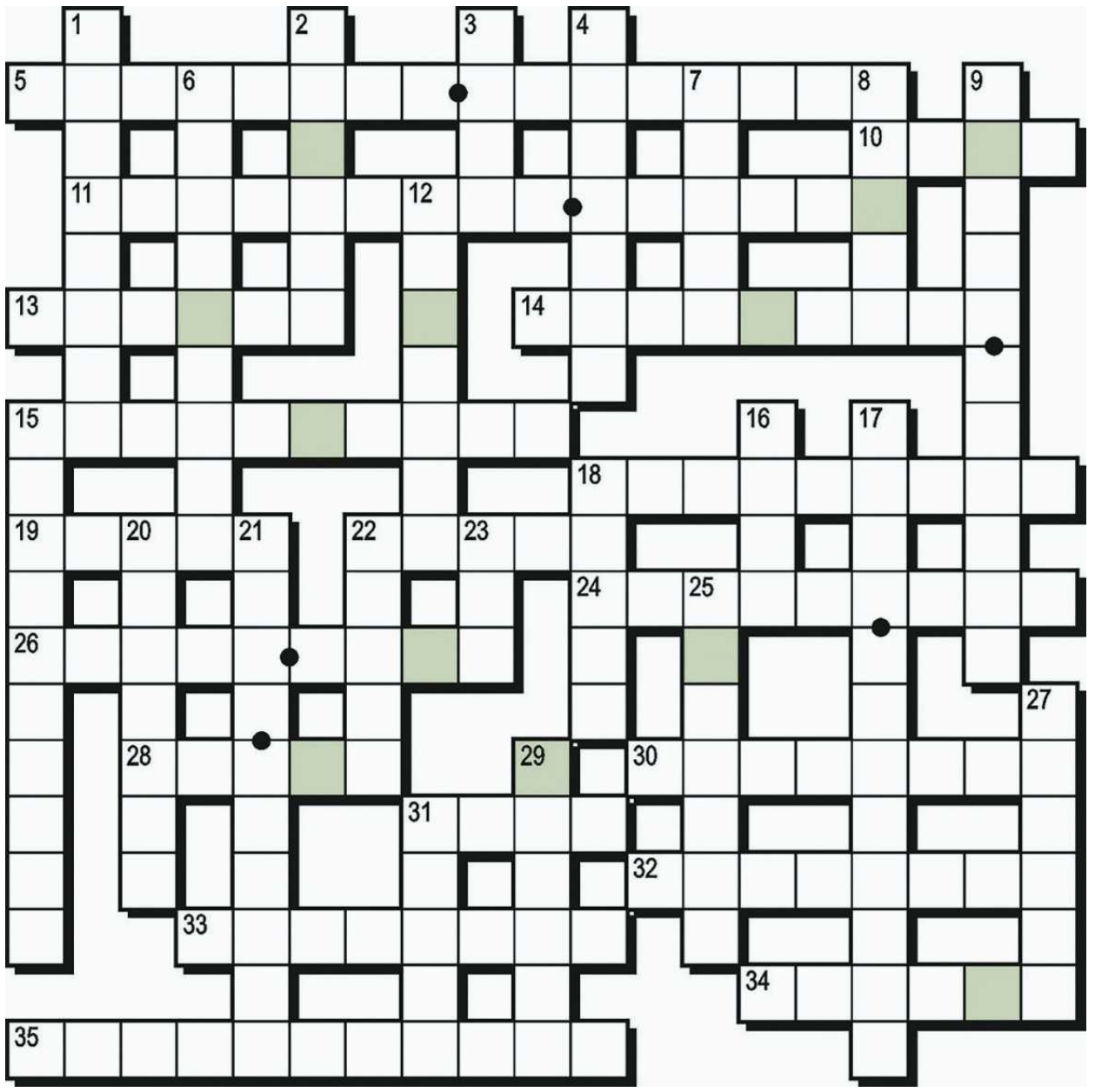

KRZYŻÓWKA WIETRZNA

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
5) napisała powieść „Przeminęło z wiatrem”
10) „Wiatr zna moje ...”, powieść Isabel Allende
11) piosenka Maanamu („Czekam na wiatr, co rozgoni ciemne skłębione zasłony”)
13) Eol to mityczny ... wiatrów
14) wyrażenie omowne, np. „podmuch śmierci” zamiast „huragan”
15) ... w komunikacji, np. podczas szalejącej zamieci
18) ... Dni Naszych, zespół wykonujący szantę „Święty wiatr”
19) z wiatrakami – bezcelowa (co na to Don Kichot?)
22) ciepły, łagodny wiatr
24) „Obozowa ...”, harcerska piosenka („Wiatr chciał zgasić pierwszą gwiazdkę na wieczornym niebie”)
26) nagrał piosenkę „Candle in the Wind”
28) „Wichry ...”, dawny serial z Ali MacGraw (wpisujemy w mianowniku)
30) zimowe kurzawy
31) potężne ... powietrzne, czyli cyklony
32) delikatnie muska twarz
33) ocean, nad którym leży miasto Buenos Aires („pomyślnych wiatrów!”)
34) w „Halce” śpiewa arię „Szumią jodły na gór szczycie”
35) obracający się kurek na dachu

Pionowo:
1) „Czarny sztylet wydarty z piersi wiatru” (w piosence Stana Borysa)
2) uczucie, które wywoła uderzenie huraganu
3) Shenlong z chińskiej mitologii (odpowiada za deszcz i wiatr)
4) maleństwo, dopiero uczy się fruwać
6) zagłębienie w piasku chroniące plażowicza przed wiatrem
7) zerwał się w Tatrach
8) izogona to ... na mapie łącząca punkty o jednakowym kierunku wiatru
9) flauta (żeglarze wiedzą)
12) ... skali Beauforta, do określania siły wiatru
15) silny, porywisty wiatr połączony z opadami
16) szybciej traci je kolarz jadący pod wiatr
17) wirusowa choroba zakaźna wieku dziecięcego
18) gwałtowny wicher; nawałnica
20) „Dmuchawce, ..., wiatr”, hit Urszuli
21) wykonawczyni piosenki „Koncert na deszcz i wiatr”
22) mogą ulec wyleganiu, czyli gwałtownemu pochyleniu z powodu silnego wiatru i ulewy
23) ciepły, suchy i silny wiatr alpejski wiejący ku dolinom
25) wiatru – w żagle
27) część skoczni narciarskiej, do której szybko zbliży skoczka niekorzystny wiatr w plecy
29) piana na grzbiecie wzburzonej fali
31) „Idzie ...”, piosenka Tadeusza Nalepy („Jeszcze morze ją kołysze i gładzi ciepły wiatr”)

Leszek Rydz

Rozwiązania weekendówki nr 224 z 3 października (krzyżówka jesienna)

POZIOMO: 4) początek 9) rewolucja 10) opad 11) wiersz 12) kapuśniaczek 13) snopek14) porywy 16) stado 18) Marek 19) niepogoda 21) dynia 22) zawieje 23) swetry 24) leki 25) słoneczko 27) morze 28) kapturek 32) znak zodiaku 34) Czejeni 35) reżyser 37) Krawczyk 38) kalendarze

PIONOWO: 1) Jesienna zaduma 2) pokropienie 3) ludziki 4) parasole 5) chmury 6) Tuwim 7) koncert 8) udekorowanie 15) węgierki 16) sady 17) Agnieszka 19) niebo 20) puszczanie 25) studenci 26) kołderka 28) kocyk 29) poeta 30) Emily 31) czas 33) kosze 36) żal

HASŁO: Spacerek po lesie

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY Kraj/34454980

1 RP

eprasa.pl ed2416b7a2

wysokieobcasy.pl

wysokieobcasy

wyborcza

10 / KULTURA
Nowe twarze kina 2026

22 / ARCHITEKTURA
Miasta mogą być dla dzieci

MONIKA HOFFMAN-PISZORA

Moja paczka z „Down the Road"

– rozmowa Dominiki Wantuch

ISSN 1506-9087 Dodatek do „Gazety Wyborczej". Sprzedaż łącznie z „Wyborczą" wysokieobcasy.pl NR 40 (1411) SOBOTA – CZWARTEK, 10-15 PAŹDZIERNIKA 2026

Klub abstynentów

MONIKA TUTAK-GOLL

Człowiek sukcesu pije. Człowiek zmęczony pije. Szczęśliwy, nieszczęśliwy, samotny – pije. Zdenerwowany także. Pije nawet ten, który za chwilę wsiada za kierownicę. W jednym z seriali para piła wino, przechadzali się z kieliszkami, a za chwilę rozmawiali w aucie. On prowadził.

„Zgrozą napawa mnie wszechobecność alkoholu w filmach i serialach, w których bohaterowie po wejściu do domu niemal zawsze otwierają piwo lub nalewają sobie lampkę wina wielkości wiadra. Ta czynność na ekranie zastępuje nawet umycie rąk" – mówi w „Wysokich Obcasach" prof. Anna Klimkiewicz, psychiatrka z Katedry i Kliniki Psychiatrycznej Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego.

Jak piją w filmach? Naturalnie, bez oporu, bez konsekwencji, a nawet przy dzieciach. Alkohol jest wpisany w codzienność bohaterów. Picie staje się formą relaksu, jego nieodłącznym składnikiem.

Podobnie pijemy w rzeczywistości – przy grillu, przy meczu, na uroczystej kolacji, premierze filmu. „Gdy już masz szklankę w dłoni, oznacza to, że stres i wysiłek się skończyły" – mówi prof. Klimkiewicz. Mamy w Polsce duże przyzwolenie na picie i na bycie pijanym. Oswajamy z tym piciem nasze dzieci, od najmłodszych lat.

Większe zdziwienie na imprezie budzą ludzie, którzy nie piją, niż pijący szósty kieliszek wina.

To niepicie ciągle bywa tematem żartów i drwin. „A co ci się stało, że nie pijesz?" (jakby coś się miało stać), „No weź, nie napijesz się z koleżanką?" (niekoniecznie!), „Nie napijesz się z wujkiem? Tak dawno się nie widzieliśmy! Źle się prowadzisz!" (bez komentarza), „A co ty, tylko woda, co tak o suchym pysku, tak się nie da?", „ Jesteś w klubie abstynentów, czy co?" I zaczyna się: opowieści, dywagacje, a skoro nie pijesz, pojawia się podejrzliwość.

Bo niektórzy myślą, że skoro pijesz wodę, na pewno masz problem z alkoholem. Czy można w Polsce nie lubić alkoholu? Czy to musi budzić zdziwienie? Czy zawsze trzeba się tłumaczyć, wyjaśniać? Czy odmawianie musi być tak kłopotliwe?

Wielu Polaków ciągle wierzy w tzw. francuski paradoks – w to, że picie wina w małych ilościach chroni przed zawałem. Mam dla nich złą wiadomość: badania obaliły już ten mit. Nie ma czegoś takiego jak bezpieczna dawka alkoholu.

Picie nigdy nie jest bez konsekwencji. Zawsze wpływa na nasz mózg, ośrodkowy układ nerwowy bardzo szybko dostosowuje się do obecności alkoholu. „Są bezpieczniejsze sposoby na poprawę samopoczucia czy wręcz oderwanie się od rzeczywistości" – mówi prof. Klimkiewicz.

To co, może rzeczywiście klub abstynentów? ▲

Monika Tutak-Goll – dziennikarka, redaktorka naczelna „Wysokich Obcasów" i „Wysokich Obcasów Extra"

JUŻ W SPRZEDAŻY „WYSOKIE OBCASY EXTRA"

- **NA OKŁADCE:** Agata Kulesza: Szczęście pojawia się na chwilę
- **TEMAT NUMERU:** • Perimenopauza i jej 100 objawów ■ **TWARZE:** • Lidia Popiel • Katarzyna Glinka • Marieta Żukowska • Agnieszka Więdłocha • Freya Stark • Anna Guzik • Piotr Pacek • Gary Oldman
- **PSYCHOLOGIA:** • Dlaczego się porównujemy • Seks i perimenopauza • Mózg i hormony
- **MODA I URODA:** • Trendy jesień-zima 2026/27

www.wysokieobcasy.pl wysokieobcasy wysokieobcasy.pl listy@wysokieobcasy.pl

REDAGUJĄ:
Monika Tutak-Goll
– REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Pawłowska
– zastępczyni redaktorki naczelnej

REDAKTORKA PROWADZĄCA NUMER:
Monika Tutak-Goll

KULTURA:
Paulina Reiter, Joanna Wróżyńska
URODA, ZDROWIE I KUCHNIA:
Aleksandra Lubańska-Czubak
MODA, STYL ŻYCIA:
Magdalena Kacalak

DYREKTORKA KREATYWNA:
Marta Teresa Szamburska

GRAFICY:
Katarzyna Trzeszczkowska, Agata Łuszcz, Dariusz Sierant

PROJEKT MAKIETY:
Jacek Utko
DZIAŁ FOTOGRAFICZNY:
Marta Błażejowska
Magdalena Stroka-Felicka
FOTOLITOGRAFIA:
Łukasz Irzyk, Mariusz Rosa
KOREKTA:
Joanna Dzik

PRODUKCJA:
Dorota Jezierska

INTERNET:
szefowa serwisu
Magdalena Karst-Adamczyk
Natalia Mazur
Agnieszka Mularczyk
Magdalena Stroka-Felicka
Natalia Waloch
Joanna Wróżyńska
INSTYTUT DOBREGO ŻYCIA:
szefowa serwisu
Anna Woźniak
SEKRETARIAT:
Klaudia Koźlińska

WYDAWNICTWO:
Wyborcza sp. z o.o.
PREZESKA ZARZĄDU:
Aleksandra Sobczak

LICENCJE NA TREŚCI:
licencje@wyborcza.pl

SZEFOWA WYDAŃ SPECJALNYCH:
Karolina Jaroszewicz

DYREKTOR SPRZEDAŻY:
Bartosz Wysocki
PROMOCJA:
Katarzyna Stożek

DYREKTOR KOLPORTAŻU:
Michał Szałański
NAŚWIETLANIE I DRUK:
P/mint House of Print

ADRES REDAKCJI:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa, tel. 22 555 43 26

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania.

Na stronach 3, 28 zamieszczony jest materiał reklamowy

„Wysokie Obcasy" nr 40 (1411)
NA OKŁADCE:
MONIKA HOFFMAN-PISZORA
FOT. IZA GRZYBOWSKA

NOWOŚĆ: GARNIER FRUCTIS SLEEK & SHINE

Dla lśniących i zdyscyplinowanych włosów

Nowe produkty od Garnier bazujące na dwóch składnikach: roślinnej keratynie i oleju arganowym

Każdy rodzaj włosów wymaga innej troski. **Linia Garnier Fructis - Sleek&Shine** powstała specjalnie z myślą o tych najbardziej **niesfornych w codziennej stylizacji** i **puszących się**, które **potrzebują okiełznania, wygładzenia i zdrowego blasku**. Skuteczną poprawę kondycji włosów zapewniają dwa produkty, których formuły opierają się m.in. na **roślinnej keratynie i olejku arganowym**.

Siła tkwi w duecie – Fructis Sleek&Shine pokazuje, że dwa produkty wystarczą, aby cieszyć się lśniącymi i zdyscyplinowanymi pasmami. Szampon i odżywka idealnie się uzupełniają, stanowiąc niezastąpiony duet w pielęgnacyjnej rutynie, gwarantując wygładzenie włosów utrzymujące się do 3 dni*, a wszystko dzięki dwóm głównym składnikom:

Roślinna keratyna – otula włókno włosa, skutecznie wygładzając jego strukturę i redukując puszenie.

Olej arganowy – głęboko zmiękcza pasma i nadaje im intensywny blask.

Dzięki takiemu duetowi włosy stają się gładkie, przyjemne w dotyku i łatwiejsze w układaniu.

Produkty są dostępne w Drogeriach Rossmann na terenie całego kraju.

* Test instrumentalny (szampon + odżywka).

Garnier Fructis Sleek & Shine Szampon do włosów niesfornych i puszących się

Sugerowana cena detaliczna: 18,99 zł

Garnier Fructis Sleek & Shine Odżywka wygładzająca do włosów niesfornych i puszących się)

Sugerowana cena detaliczna: 15,99 zł

MONIKA HOFFMAN-PISZORA

W drogę

Trzeba wreszcie powiedzieć głośno i wyraźnie, że osoby z zespołem Downa mają swoje namiętności, zakochują się, mają swoje potrzeby seksualne, żyją w relacjach. Mają prawo do intymności i seksu, tak jak inni. Potrzebują też o tym rozmawiać

Paramontowi

Z **MONIKĄ HOFFMAN-PISZORĄ,**
PROWADZĄCĄ PROGRAM „DOWN THE ROAD",
MAMĄ DZIECI Z ZESPOŁEM DOWNA,
ROZMAWIA **DOMINIKA WANTUCH**

d

Do programu „Down the Road" pojechałaś z doświadczeniem mamy dzieci z zespołem Downa, ale na planie spotkałaś dorosłych ludzi, z własnym zdaniem, którzy mają swoje marzenia, dążenia, chcą żyć po swojemu. Spotykając ich, musiałaś odłożyć na bok jakieś własne wyobrażenia i przekonania?
– Może nie tyle musiałam odkładać jakieś przekonania, ile musiałam zmierzyć się z własnym lękiem. Bo kiedy urodziłam syna z zespołem Downa, a potem adoptowałam z mężem Dorotkę, też z zespołem Downa, to na każdym etapie ich rozwoju dostawałam wiadomość od otoczenia: „Zobaczysz, teraz to jest OK, ale później się zacznie". Kiedy jeszcze byli niemowlakami, słyszałam: „Poczekaj, aż zaczną chodzić". Kiedy zaczęli chodzić, ludzie mówili: „Zobaczysz, jak zaczną mówić".

Myślę, że wiele mam słyszy podobne katastroficzne przepowiednie, ale przy dzieciach z niepełnosprawnością straszenie przyszłością jest jeszcze mocniejsze, bo dochodzą trudności związane z rozwojem. Pisali do mnie również rodzice dorosłych osób z zespołem Downa: „Teraz są słodkie, ale zobaczysz, jakie będą problemy w dorosłym życiu". To nie było dla mnie obojętne. Mam raczej luźne podejście do życia i wychowania, niewiele rzeczy mnie stresuje i po prostu cieszę się macierzyństwem. Ale od tego ciągłego „dopiero zobaczysz" zaczęłam się zastanawiać, że może rzeczywiście pojawi się coś, co mnie zaskoczy, czego nie udźwignę? Coś trudniejszego niż wszystko, czego doświadczyłam i co sobie wyobrażałam? Program dawał mi możliwość poznania z bliska dorosłych z zespołem Downa i na początku rzeczywiście bałam się, że zobaczę coś, co okaże się dla mnie za trudne. To nie było nic konkretnego, po prostu myśl, że konfrontacja z dorosłymi ujawni coś, co bagatelizowałam.

I stało się tak?
– Nie, wręcz przeciwnie. Bardzo szybko okazało się, że mój lęk był bezpodstawny, że nakręcały go cudze opowieści. A program i spotkanie z jego bohaterami jest jedną z najpiękniejszych przygód w moim życiu.

Jak to się stało, że zostałaś prowadzącą program „Down the Road"?
– Dostałam e-maila od producenta z pytaniem, czy jestem zainteresowana.

Co pomyślałaś?
– Uwielbiam doświadczać nowych rzeczy, wychodzić ze swojej strefy komfortu. Wiem, że wtedy się rozwijam. Kiedy tylko pojawia się okazja, żeby zrobić coś nowego, jestem pierwsza w kolejce, zawsze. Nie chcę w przyszłości, już jako starsza kobieta, leżeć i zastanawiać się: kurczę, dlaczego nie spróbowałam. Biorę to, co daje mi los. W programie dodatkowo miałam okazję poznać dorosłych z zespołem Downa, co jako mamę szczególnie mnie ciekawiło. Odpowiedziałam więc, że oczywiście jestem zainteresowana udziałem. A potem ruszyliśmy do Tajlandii.

W zupełnie nieznane dla was tereny. W większości programów masz z góry ustalony scenariusz, kwestie do wypowiedzenia. Tutaj nie wszystko można było zaplanować.
– I całe szczęście. Myślę, że dużo trudniej byłoby mi trzymać się scenariusza, lepiej czuję się, gdy działam spontanicznie, idę na żywioł. Więc to był dla mnie idealny format.

Oglądałaś wcześniejsze edycje programu prowadzone przez Przemka Kossakowskiego?
– Tak, mój mąż powiedział mi o tym programie, kiedy mieliśmy już dziecko z zespołem Downa. Oglądaliśmy „Down the Road" wspólnie, podobało mi się, że program przedstawiał inną perspektywę osób z zespołem Downa, pokazywał, że mogą się bawić, cieszyć życiem, a nie opowiadał ich historii w taki sposób, żeby wzbudzać litość, żeby widz myślał: ojej, jak im jest ciężko.

Jak wyglądało pierwsze spotkanie z bohaterami?
– Poznaliśmy się dopiero dzień przed wylotem do Tajlandii. Z każdym z uczestników i jego rodziną spędziłam dosłownie kilka minut. To było ekscytujące, ale stresujące. Wyjechałam już z domu, za chwilę mieliśmy ruszyć w podróż do Azji, a ja dopiero poznawałam ludzi, z którymi ją przeżyję. Oni znali wcześniejsze edycje z Przemkiem, był dla nich ważną osobą i liczyłam się z tym, że mogę usłyszeć: „Fajnie, że jesteś, ale z Przemkiem byłoby lepiej". Wiedziałam, że muszę zdobyć ich zaufanie, żeby zobaczyli, że ze mną też mogą przeżyć najlepszą przygodę życia.

Jak zdobywałaś to zaufanie? Chciałaś być ich aniołem stróżem czy jednak partnerką?
– To działo się stopniowo, każdego dnia budowaliśmy więź. Zależało mi na tym, żeby nie być tylko prowadzącą Moniką, która mówi, co robimy i gdzie idziemy, tylko żeby być ich partnerką. To nie przychodziło mi łatwo, bo mam w sobie sporo opiekuńczych odruchów i jestem taką mamusią. Wiele razy łapałam się więc na tym, że np. chcę im przypomnieć, żeby rozejrzeli się przed przejściem przez ulicę, albo chciałam hamować ich pomysły i nagle uświadamiałam sobie: daj im żyć! Przecież to są dorośli ludzie, na wyjeździe z przyjaciółmi nie pilnujesz wszystkich jak dzieci!

Myślę, że ostatecznie udało nam się zbudować partnerską relację, że dałam im wolność i swobodę, której potrzebowali. Mieliśmy mnóstwo fantastycznych momentów, kiedy traktowali mnie po prostu jak kumpelę. Staliśmy się paczką i nierzadko zdarzało się, że to ja potrzebowałam ich pomocy.

Wciąż na przykład pokutuje stereotyp, że osoby z zespołem Downa to są takie wieczne dzieci.

A tak nie jest

Na przykład?
– To były różne sytuacje. Jestem ciepłolubna, a w jednym z odcinków po treningu w upale mieliśmy wejść do lodowatej wody z kostkami lodu. Powtarzałam, że nie wejdę, nie ma szans i wtedy oni przyszli do mnie i zaczęli rozmawiać ze mną tak, jak ja wcześniej rozmawiałam z nimi, gdy sobie nie radzili. Trzymali za ręce, motywowali, przekonywali, że dam radę. Jednego dnia wsparcia potrzebowałam ja, innego – ktoś w uczestników. To, że mogliśmy się tak wymieniać, bardzo nas jednoczyło. Z czasem zbudowaliśmy taką relację, że wszyscy nawzajem się pocieszali, pomagali sobie. Stałam się jedną z osób, do których można się zwrócić, a nie jedyną, do której można iść.

Jak ci się to udało?
– Myślę, że pomogło to, że ja otwarcie mówię o swoich słabościach, czego się boję, co jest dla mnie trudne.

A z jakimi trudnościami przychodzili uczestnicy?
– Ktoś był przemęczony, ktoś inny tęsknił za chłopakiem albo dziewczyną, ktoś się posprzeczał. To były różne codzienne sytuacje. Ale dużo rozmawialiśmy też o stereotypach, dyskryminacji, o tym, jak ten jeden dodatkowy chromosom definiuje ich życie, o tym, jak ich boli, że nie są traktowani poważnie przez społeczeństwo.

Wciąż na przykład pokutuje stereotyp, że osoby z zespołem Downa to są takie wieczne dzieci. A tak nie jest. Są osoby, którym samo to, że mają zespół Downa, nie przeszkadza. Są tacy, którym jest trudno, ale często nie ze względu na własne ograniczenia, ale przez to, jak traktuje ich otoczenie. Są też tacy, którzy rzeczywiście mają różne ograniczenia, z którymi trudno im się mierzyć. Każda z tych osób jest inna, ale społeczeństwo często wrzuca ich do jednego worka, zamiast zobaczyć konkretnego człowieka.

Dla mnie osobiście bardzo trudna była historia Kuby o szkole, w której koledzy go poniżali, wyśmiewali, popychali. Kuba bardzo to przeżył, opowiadał o tym, jak bardzo chciałby, żeby ludzie dostrzegli w nim prawdziwego jego, a nie tylko zespół Downa. Chciałby, żeby ci hejterzy choć na jeden dzień zamienili się miejscami z osobami z zespołem Downa i zobaczyli, jak to jest funkcjonować w społeczeństwie, które wytyka cię palcami.

A bardziej dotykają te krzywdzące zachowania czy jednak dyskryminacja systemowa?
– Obie formy są trudne, ale myślę, że systemowa dyskryminacja jest trudniejsza, bo zamyka przed osobami z zespo-

FOT. MANAURE QUINTERO/WIERNIK PRO/TTV

Jakie jest wyjście z tej sytuacji?
– Nie czuję się kompetentna, by powiedzieć ci, jak zmienić system. Mogę jednak zdradzić, jak sama staram się dać poczucie sprawczości i równości moim dzieciom, Heniowi i Dorotce. Przede wszystkim staram się nie trzymać ich pod kloszem bez przerwy. Uczę je samodzielności, żeby w dorosłym życiu nie były nieustannie skazane na pomoc innych, żeby jak najwięcej codziennych czynności mogły wykonywać same.

Jak to wygląda w praktyce?
– Siedmioletni Boguś potrafi zrobić jajecznicę od początku do końca i nie muszę wtedy go na każdym kroku pilnować. Kiedy ośmioletni Henio z zespołem Downa mówi, że zrobi mi śniadanie, to też mu pozwalam, choć wiem, że potrzebuje więcej nadzoru. Zaglądam przez drzwi, pilnuję, dbam o jego bezpieczeństwo, ale pozwalam mu zrobić to, co chce. Podobnie jest z zakupami w pobliskim sklepie. Daję Heniowi i Dorotce listę, pieniądze albo proszę, żeby zapamiętali jedną rzecz i szli bez listy. Podnoszę poprzeczkę. Oczywiście idę za nimi tak, żeby mnie nie widzieli, kontroluję. Ale nie wyobrażam sobie mówić za każdym razem: „Heniu, ty nie możesz, bo się zgubisz, nie umiesz liczyć".

W programie „Down the Road" też widziałaś, jak rodzi się takie poczucie sprawczości?
– Uczestnicy robili mnóstwo rzeczy po raz pierwszy, przełamywali swoje bariery. Natalia pierwszy raz od początku do końca zrobiła sama zakupy w drogerii. Potem mówiła, że to było dla niej cudowne doświadczenie, że mogła kupić to, co chciała.

Oczywiście zdarzały się szalone pomysły – na przykład Kuba chciał w Tajlandii prowadzić busa, choć nigdy wcześniej nie siedział za kierownicą samochodu. To było nie do zrobienia, ale gdy poszliśmy do klubu i chciał być przez chwilę DJ-em, powiedziałam mu, że jak chce, to niech próbuje. Podszedł do DJ-a, po swojemu wyjaśnił, o co mu chodzi, załatwił. Innym razem na plantacji kokosów pracownik pokazywał nam, jak ściąga się osłonę owocu. Trzeba było użyć siły, pracownik miał ostre narzędzie. Tomek chciał spróbować. Nasza ekipa filmowa się przestraszyła, czy da radę, czy nie zrobi sobie krzywdy, ale ja chciałam, żeby spróbował. Ostatecznie pomógł mu pracownik plantacji, ale Tomek i tak był przeszczęśliwy. Cieszył się, że mu zaufaliśmy. Każdy człowiek chce mieć poczucie, że może osiągnąć coś samemu, to napędza do kolejnych działań. Nie rozumiem, dlaczego gdy rozmawiamy o osobach z zespołem Downa, to nieustająco nas to dziwi. Ludzie z zespołem Downa mają marzenia, pragnienia takie jak każdy inny człowiek.

Albo miłosne, intymne doświadczenia? W jednym z odcinków pada rozbrajająco szczera rozmowa o intymności. Dziewczyny opowiadają o chłopcach, o tym, że widzieli je nago i pojawia się zdanie: „Chciał wejść". Ty doprecyzowujesz: „Ale chodzi o seks", a wtedy pada: „Nie, do łazien-

Program i spotkanie z jego bohaterami jest jedną z najpiękniejszych *przygód w moim życiu*

łem Downa drzwi w sposób bezwzględny. Rozwój medycyny i rehabilitacji ma ogromny wpływ na to, że dziś wiele osób z zespołem Downa może funkcjonować w miarę samodzielnie, uczyć się, pracować. Wciąż jednak mamy w Polsce problem z edukacją włączającą, z rynkiem pracy. Wielu rodziców, z którymi rozmawiam, zastanawia się, jakie możliwości będą miały ich dorosłe dzieci po skończeniu szkoły? Czy oni nie będą skazani na wegetację w domu? System nie ma na to odpowiedzi. Powstają co prawda miejsca pracy dla osób z niepełnosprawnością intelektualną, często z inicjatywy rodziców, np. lodziarnie, kawiarnie, ale tych miejsc jest wciąż mało. Ograniczenia systemowe mają wpływ na to, jak społeczeństwo postrzega osoby z zespołem Downa. Jeśli system im czegoś zabrania, to oni się do tego nie nadają. W ten sposób też powstaje przyzwolenie na dyskryminację w codziennym życiu.

ki, jak byłam nago". Mnie rozbawiła ta dwuznaczność, ale w komentarzach w internecie pojawiły się głosy oburzenia: „Po co to w ogóle pokazywać". No to zapytam: po co?
– Po to, żeby wreszcie powiedzieć głośno i wyraźnie, że osoby z zespołem Downa mają swoje namiętności, zakochują się, mają swoje potrzeby seksualne, żyją w relacjach. Mają prawo do intymności i seksu, tak jak inni. Potrzebują też o tym rozmawiać, to nie powinien być temat tabu. Co więcej, rozmawiając z uczestnikami o seksie, zrozumiałam, jak bardzo czasami my sami mamy trudności w rozmawianiu o intymności, seksie, jakie mamy ograniczenia w głowach, jak nie umiemy nazywać swoich emocji i potrzeb.

Mnie wkurza, że uznajemy, że wulgarne rozmowy o seksie w niektórych programach telewizyjnych, przedmiotowe traktowanie kobiet bywają uznawane za rozrywkę, a rozmowa o seksie osób z zespołem Downa wywołuje dyskomfort.
– Bardzo bym chciała, żebyśmy jako społeczeństwo posłuchali, jak rozmawiają o relacjach osoby z zespołem Downa. Moglibyśmy się sporo nauczyć i cieszę się, bo ten program daje taką możliwość. Piszą do mnie rodzice różnych dzieci, że dzięki programowi ich synowie i córki zaczęli zadawać różne pytania, że dzięki temu odbyli pierwszą taką prawdziwą rozmowę o różnorodności. Jedna mama napisała mi, że jej córka po jednym z odcinków powiedziała, że osoby z zespołem Downa „są tacy jak my, tylko trochę lepsi, bo szybciej mówią, że kogoś kochają". Bardzo mnie to wzruszyło, bo rzeczywiście – my często powstrzymujemy się przed powiedzeniem komuś o uczuciach, bo nie wiemy, czy ten ktoś je odwzajemnia. Boimy się odrzucenia, że wyjdziemy na głupków. A u uczestników programu poruszyła mnie otwartość w wyrażaniu uczuć. Myślę, że oglądanie programu pomoże poszerzyć nam perspektywę.

A ty czego się nauczyłaś podczas wyjazdu i programu?
– Najbardziej została ze mną akceptacja życia takim, jakie jest. Mówiłam ci wcześniej, że biorę to, co daje mi los, jak mogę coś zmienić, to zmieniam, a jeśli nie, odpuszczam. Ale przy uczestnikach zobaczyłam, że jestem jeszcze w tym płotką. W Tajlandii spotykaliśmy ludzi, których sposób życia u części społeczeństwa w Polsce pewnie mógłby wywołać silne emocje. A tutaj reakcja była prosta: „O, ciekawe, że ktoś chce tak żyć", „Dobrze się z tym czuje? To OK, fajnie, że jest szczęśliwy". I koniec. Bez roztrząsania, porównywania, robienia dramatu, analizowania: „A jak ja bym się czuł, a co ja bym zmienił". Akceptacja ludzi takimi jacy są jest dla mnie najpiękniejszą lekcją z programu. I mam nadzieję, że takich programów będzie więcej. Im więcej zobaczymy, usłyszymy, im więcej będziemy mieć okazji do poznania osób z zespołem Downa, tym łatwiej będzie nam wyjść poza schematy i stereotypy. Bo kto się oswoi, ten się nie boi. I o to chodzi, żeby żyć razem, obok siebie, akceptować inność i traktować się z szacunkiem. ▲

OGŁOSZENIE

NOWE TWARZE *2026*

Mocne role, wyraziste postacie, sceny, które długo nie wychodzą z głowy. Osobowości, na które warto zwrócić uwagę. W tym roku po raz kolejny prezentujemy najciekawsze nowe aktorskie twarze Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni

TEKST **PRZEMYSŁAW GULDA**
ZDJĘCIA **MICHAŁ RYNIAK / AGENCJA WYBORCZA.PL**

To już szósta edycja – w poprzednich latach udało nam się wskazać osoby, które rzeczywiście w wyrazisty i znaczący sposób zaistniały w polskim kinie. Wszystkim tegorocznym bohaterom i bohaterkom też tego życzymy.

Nasz wybór jest subiektywny, oparty przede wszystkim na dwóch kryteriach. Po pierwsze: wskazujemy osoby zwykle młode, relatywnie nowe w świecie filmu. Czasem oznacza to absolutnych debiutantów i debiutantki, ale czasem – osoby, które grywają w teatrze, w filmach i serialach od dawna, ale do tej pory pozostawały w cieniu, nie miały szansy, żeby zabłysnąć na ekranie. Po drugie i znacznie ważniejsze: wyróżniamy aktorów i aktorki, które na festiwalu zachwyciły mocnymi, piorunującymi rolami. Których nie dało się nie zauważyć. Które na długo zostaną w pamięci. Aktorskie objawienia chwytające za serce.

Anna Bieżyńska

ANNA BIEŻYŃSKA W FILMIE „CZAS, KTÓRY NIE NADSZEDŁ”

Kiedy pojawia się w pierwszych scenach filmu „Czas, który nie nadszedł” (reż. Julia Rogowska), można odnieść wrażenie, że to zwykła, współczesna historia miłosna. Anna Bieżyńska gra tam dziewczynę, która poznaje chłopaka. W kolejnych scenach pokazane są etapy ich związku: od zauroczenia i fascynacji, przez pełną czułości codzienność, do zmęczenia sobą i rozstania. To tylko punkt wyjścia do zaskakującej historii o czymś trochę innym, niż się na początku wydaje, a Bieżyńska w tych kilku scenach ma okazję zaprezentować bardzo bogatą paletę stanów emocjonalnych. I radzi sobie z tym znakomicie.

Ta aktorka miała bardzo ciekawy filmowy start – była studentką tego rocznika kierunku aktorskiego łódzkiej szkoły filmowej, który miał rzadką okazję zagrać w dyplomie, który trafił na ekrany i festiwale filmowe. To „Monument” w reżyserii Jagody Szelc, tajemnicza, mroczna, niemal kafkowska historia, w której Bieżyńska grała postać będącą częścią wielkiej ludzkiej machiny.

Potem aktorka o film tylko się ocierała – grywała epizody serialowe i filmowe, realizowała się raczej na scenie teatralnej. A tam zdarzało jej się grywać w spektaklach o mocno filmowej proweniencji, np. „Titanicu” Michała Siegoczyńskiego, adaptacji słynnego kinowego przeboju. Była związana z Teatrem im. Horzycy, a dziś można ją oglądać w Teatrze Polskim w Bydgoszczy. Ciekawe, czy za sprawą roli w filmie „Czas, który nie nadszedł” będzie ją można częściej zobaczyć także na ekranie. ▲

KONRAD KĄKOL W FILMACH „SICK” I „MNIEJ OBCY”

Konrad Kąkol przyjechał do Gdyni z dwoma filmami i w obu zagrał wymagające role, skomplikowane emocjonalnie i psychologiczne. W Konkursie Głównym można go było zobaczyć w filmie „Mniej obcy” (reż. Kristoffer Rus) – gra rolę drugoplanową, ale taką, która zostaje w głowie na długo. Jędrek, brat głównego bohatera, wspiera go, jak może, a jednocześnie sam bardzo potrzebuje wsparcia, czego jednak nikt w jego otoczeniu nie zauważa.

Ale prawdziwym aktorskim popisem Kąkola jest główna rola w filmie „Sick” (reż. Agata Trzebuchowska). Gra młodego chłopaka, któremu u progu dorosłego życia wszystko wali się na głowę: wyrwany z codzienności musi się opiekować babcią, co oznacza konfrontację ze starością, a jednocześnie próbuje się mierzyć z dojrzewaniem. Kąkol gra tę postać w taki sposób, że nie można jej nie kibicować, nawet jeśli jej wybory mogą być uznane za kontrowersyjne.

Kąkol ma 20 lat, nie studiuje w żadnej ze szkół aktorskich, jak sam mówi: aktorstwa uczy się po prostu na kolejnych planach filmowych. A na kilku już pracował. Do tej pory można było go zobaczyć m.in. w serialach – najbardziej znaczącą z jego ról jest ta w „Porządnym człowieku” – etiudach szkolnych i filmach fabularnych, np. w „Dzikim”. Wygląda na to, że sporo się na ich planach nauczył. ▲

Karolina Kowalska

KAROLINA KOWALSKA W FILMIE „EXOTIC”

Jej postać przechodzi w filmie „Exotic” (reż. Sonja Orlewicz-Zakrzewska) największą przemianę: na początku jest zamkniętą w sobie, zagubioną dziewczyną, ale z każdą kolejną sceną nabiera pewności siebie, otwiera się, rozkwita. Na końcu tej historii jest zupełnie inną osobą niż na początku. Można więc powiedzieć, że to w zasadzie dwie osobne role. Karolina Kowalska znakomicie zagrała obie.

Nic dziwnego – to aktorka niezwykle utalentowana, która z powodzeniem mierzy się z najtrudniejszymi wyzwaniami. Polski teatr wie to już od lat, od samego dyplomu aktorskiego w łódzkiej szkole filmowej, w którym Kowalska zagrała… małe, zagubione i przerażone dziecko. Zagrała w taki sposób, że reżyser spektaklu, Adam Orzechowski, zarazem dyrektor Teatru Wybrzeże w Gdańsku, natychmiast zaproponował jej angaż do zespołu aktorskiego.

Od tego czasu zagrała tam kilka mocnych ról, z których najbardziej znana – dzięki całemu naręczu nagród, wielu pokazom festiwalowym, a przede wszystkim rejestracji na potrzeby Teatru Telewizji – była tytułowa kreacja dziewczyny walczącej o siebie w spektaklu Marcina Wierzchowskiego „Piękna Zośka”.

Film do tej pory wyraźnie nie wykorzystał jej potencjału. Owszem, pojawiła się w kilku etiudach szkolnych, kilku serialach. Dopiero Sonja Orlewicz-Zakrzewska, reżyserka „Exotic”, dała jej szansę, żeby jej talent mógł się objawić na ekranie. I jakże pięknie się on objawił! ▲

JULIA PIKLIKIEWICZ W FILMIE „CZARNA GODZINA"

Grana przez nią bohaterka filmu „Czarna godzina" (reż. Filip Bojarski) jest zdesperowana, ale jednocześnie stara się zachowywać spokój, dystans i rozsądek. Młodej aktorce znakomicie udaje się budować na ekranie kondycję oscylującą pomiędzy tymi dwoma biegunami. Ale najmocniejsza jest ta scena, w której dwie bohaterki – drugą gra, zresztą znakomicie, wymieniona w poprzedniej edycji Nowych Twarzy Helena Rząsa – jadąc samochodem, prowadzą bardzo nietypową kłótnię: mówią sobie o tym, jakie będą ich następne partnerki.

W napisach początkowych tego filmu obok nazwiska Piklikiewicz pojawia się hasło „pierwszy raz na ekranie". Coś w tym jest, choć jeśli ktoś chciałby być bardzo precyzyjny, musi zauważyć, że tu i ówdzie można było ją już zobaczyć – zagrała epizody w kilku filmach, z których najbardziej znany jest „Minghun".

Dużo lepiej znają ją osoby, które śledzą, co się dzieje w młodym polskim teatrze – Piklikiewicz, studentka aktorstwa w warszawskiej Akademii Teatralnej, zagrała w głośnym dyplomie w reżyserii Konrada Imieli „Instrukcje", nagrodzonym na łódzkim Festiwalu Szkół Filmowych. Można ją też było zobaczyć w spektaklu jeszcze głośniejszym: „Fame MMA", jednej z pierwszych realizacji Kamila Białaszka, bardzo gorącego dziś nazwiska młodej polskiej reżyserii. ▲

NOWE TWARZE W UBIEGŁYCH LATACH

■ **Nowe Twarze 2021**
Irena Melcer, Marta Masza Wągrocka, Maciej Łączyński, Sara Celler-Jezierska, Joanna Połeć, Jakub Zając

■ **Nowe Twarze 2022**
Marta Stalmierska, Agnieszka Matan, Anita Szepelska, Mikołaj Matczak, Paweł Charyton, Angelika Cegielska, Martyna Byczkowska, Magdalena Wieczorek

■ **Nowe Twarze 2023**
Adrian Brząkała, Agnieszka Kwietniewska, Adrianna Malecka, Jakub Nosiadek, Paulina Pytlak, Kamila Urzędowska

■ **Nowe Twarze 2024**
Julia Biesiada, Mirella Burcewicz, Maciej Kosiacki, Irmina Liszkowska, Maja Michnacka, Maciej Miszczak, Karolina Rzepa, Helena Urbańska

■ **Nowe Twarze 2025**
Maciej Bisiorek, Bartłomiej Deklewa, Izabella Dudziak, Kamila Janik, Barbara Liberek, Magdalena Maścianica, Michał Pawlik, Helena Rząsa, Agata Turkot, Filip Zaręba

KATARZYNA ŁUBIK W FILMIE „SICK"

Jej rola w filmie „Sick" jest iście brawurowa: odważna, pogłębiona psychologicznie, przewrotna. To bardzo trudne zadanie: młoda aktorka musi zagrać postać, która przechodzi mocny kryzys tożsamości, na dodatek mocno przekracza obyczajowe granice. To młoda dziewczyna, której sypią się życiowe plany: nie dostaje się do wymarzonej szkoły tenisowej, do której przygotowywała się przez większą część życia. Z siłą piłki wystrzelonej mocnym forehandem uderza ją poczucie własnej przeciętności. Ucieka w ryzykowne relacje i niedozwoloną społecznie seksualność. Łubik buduje tę skomplikowaną postać w bardzo przekonujący sposób, nawet jeśli nie pochwala się jej życiowych wyborów, nie sposób nie czuć wobec niej empatii.

Łubik jest jeszcze studentką – jest na ostatnim roku Wydziału Aktorskiego warszawskiej Akademii Teatralnej, a wcześniej studiowała kulturoznawstwo. Do tej pory na scenie można było ją zobaczyć w spektaklach „Dolina Salinas" i „Momo" w teatrze w Tarnowie, a na ekranie – przede wszystkim w filmie „Terytorium" Bartosza Paducha, pokazywanym w Gdyni w ubiegłym roku, i w spektaklu Teatru Telewizji „Curriculum Vitae" w reżyserii przewodniczącego tegorocznego gdyńskiego jury Krzysztofa Zanussiego. Swoją drogą, tworzy tam równie nieoczywistą i intrygującą postać, jak w filmie „Sick". Wygląda na to, że znakomicie potrafi to robić. ▲

Katarzyna Łubik

AGNIESZKA RAJDA
W FILMIE „DZIWNIE BYĆ CZŁOWIEKIEM"

Wygląda na to, że ta aktorka potrafi zagrać wszystko. Podczas tegorocznego festiwalu można się o tym przekonać na seansie krótkometrażowego filmu „Dziwnie być człowiekiem" (reż. Jan Grabowski). Bardzo odmieniona fizycznie za pomocą skomplikowanego kostiumu i makijażu, niemal traci ludzki wygląd. I nic dziwnego, gra w końcu maszynę: humanoidalnego robota, napędzanego przez sztuczną inteligencję. A jednak Rajda sprawia, że jest duch w tej maszynie – grany przez nią android zdaje się mieć uczucia i wywołuje głęboką empatię.

Rajda zabłysnęła na festiwalu już rok temu, kiedy pojawiła się w drugoplanowej, znaczącej i wyrazistej roli w filmie „LARP. Miłość, trolle i inne questy". Od tego czasu mocno zaznaczyła swoją obecność w polskim teatrze: świeżo upieczoną absolwentkę warszawskiej Akademii Teatralnej po sukcesie jej spektaklu dyplomowego zapraszały do współpracy najważniejsze polskie reżyserki różnych generacji: Maja Kleczewska i Katarzyna Minkowska. W spektaklu tej ostatniej, prawdziwym manifeście praw kobiet i kobiecej tożsamości, „Wszyscy jesteśmy Belèn" z Teatru im. Jaracza w Olsztynie, Rajda stworzyła znakomitą kreację. I wszystko wskazuje na to, że to dopiero początek jej wielkiej kariery. ▲

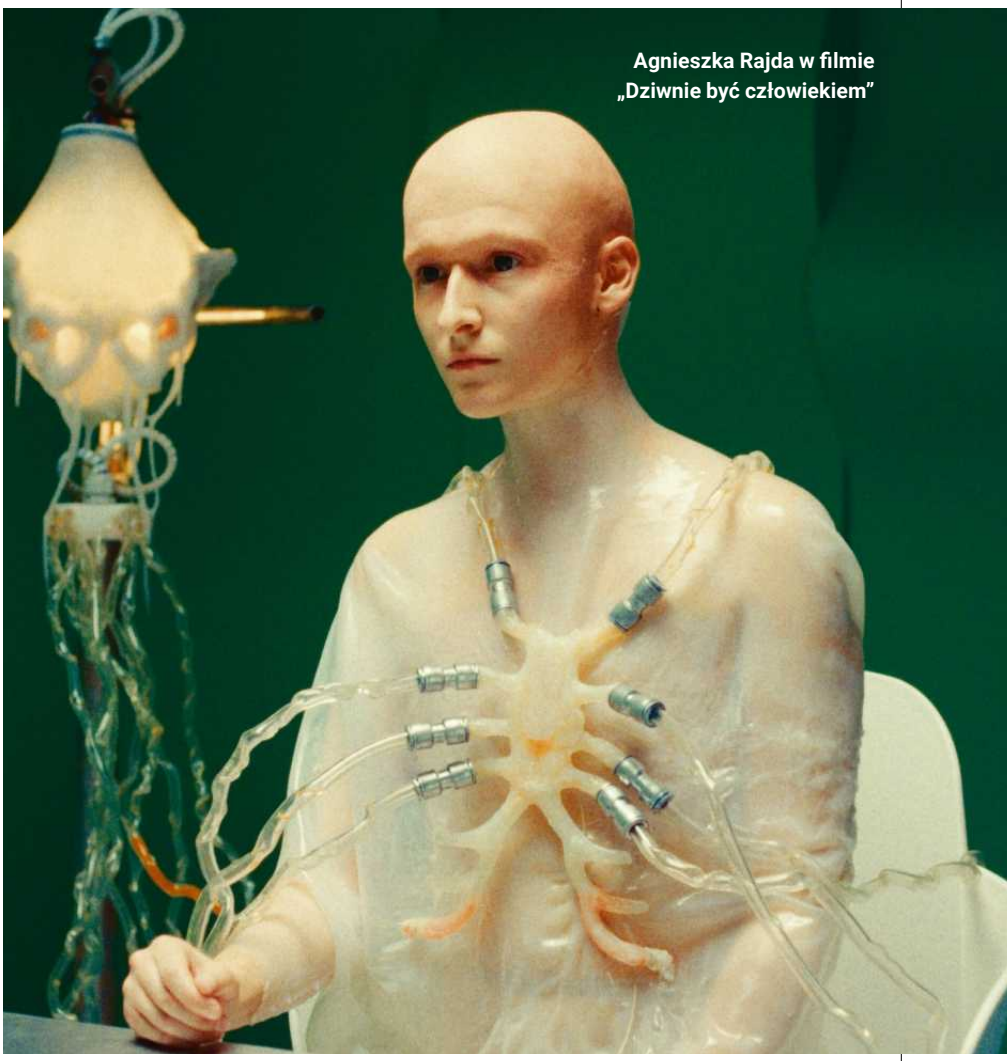

Agnieszka Rajda w filmie „Dziwnie być człowiekiem"

FOT. MICHAŁ RYNIAK / AGENCJA WYBORCZA.PL

OGŁOSZENIE

XI EDYCJA NAGRODY LITERACKIEJ IM. WITOLDA GOMBROWICZA

LAUREATKA NAGRODY

Emilia Konwerska „Rzeczy robione specjalnie"

REZYDENCJA LITERACKA W VENCE

Marcin Oskar Czarnik „Trzy dni, trzy noce"

Gratulacje dla laureatów, podziękowania dla mecenasów i partnerów:

Mecenasi: Krężołowski, ZAKŁADY AUTOMATYKI KOMBUD

Partner strategiczny: Mazowsze. serce Polski

Partner główny: unidevelopment

Partnerzy: mpk, TEATR POWSZECHNY RADOM

Patronat medialny: wyborcza.pl, KSIĄŻKI, TVP KULTURA, Trójka, Dwójka, BOOKLIPS.PL

Organizatorzy:
Prezydent Miasta Radomia
Muzeum Witolda Gombrowicza

Patronat honorowy:
Rita Gombrowicz

WYDARZENIE DOFINANSOWANE Z BUDŻETU WOJEWÓDZTWA MAZOWIECKIEGO W RAMACH ZADANIA „GOMBROROCZNICE 2026"

JAN SAŁASIŃSKI
W FILMIE „POWIEDZ MI, CO CZUJESZ”

Jego rola w „Powiedz mi, co czujesz” (reż. Łukasz Ronduda) to prawdziwe mistrzostwo. I to w podwójnym tego słowa znaczeniu. Raz – bo młody aktor tworzy na ekranie postać przekonującą i wiarygodną, osobę nadwrażliwą, nieco zagubioną, głęboko emocjonalną. A dwa – choć to bohater wzorowany na postaci prawdziwej, na dodatek bardzo charakterystycznej – malarzu Patryku Różyckim – Sałasiński zupełnie nie poszedł tropem wcielania się w osobę znaną z mediów. Jego postać jest autonomiczna, pełna emocji własnych, a nie zapośredniczonych.

To niejedyny festiwalowy film, w którym można go było w tym roku zobaczyć. Gra też znaczącą drugoplanową rolę w filmie „Fluidy” i główną rolę męską w krótkometrażowym „Honeymoon”. Te dwie postacie mocno korespondują z bohaterem „Powiedz mi, co czujesz” – to też młodzi mężczyźni, zagubieni w świecie emocji i szukający miłości.

Sałasiński skończył rok temu warszawską Akademię Teatralną i niemal prosto z aktorskiego dyplomu trafił do zespołu stołecznego Teatru Dramatycznego – wystarczył jeden sezon, żeby stworzył tam kilka zauważalnych ról. Wygląda więc na to, że równie dobrze radzi sobie na scenie i przed kamerą. ▲

Jan Sałasiński

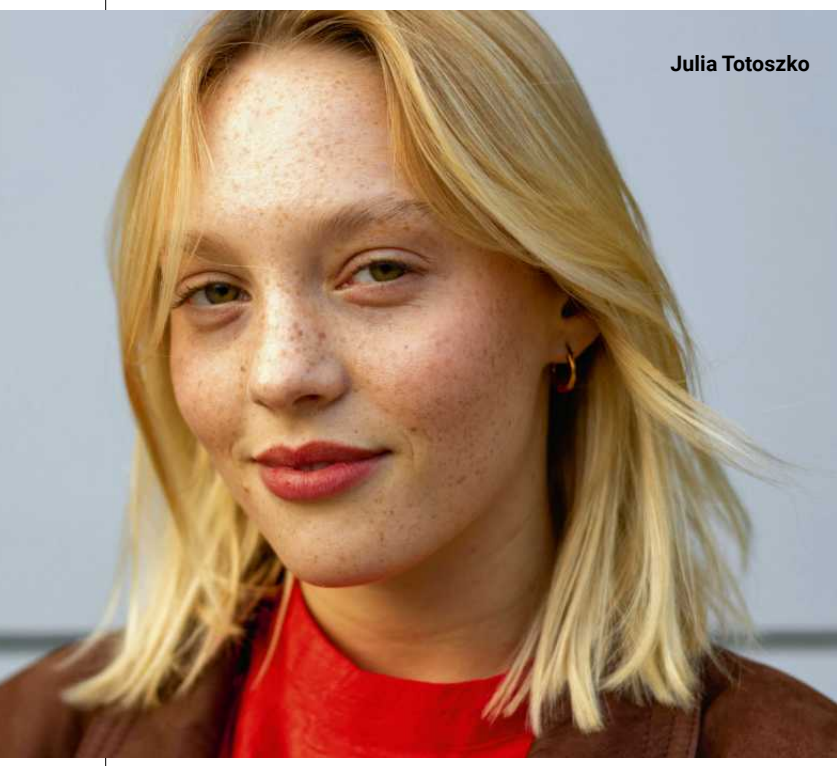
Julia Totoszko

JULIA TOTOSZKO
W FILMIE „FLUIDY”

Czasem drażni, czasem wręcz denerwuje, ale nie da się jej nie kibicować w trudnym procesie dojrzewania, szukania siebie i sprawdzania, czy da się nie powtarzać błędów swoich rodziców. Jest trochę dzika, bezczelna, urocza w nieoczywisty, przewrotny sposób. To Nina – zbuntowana nastolatka, bohaterka filmu „Fluidy” (reż. Maria Wider) z gdyńskiego Konkursu Głównego. Julia Totoszko zagrała ją wprost brawurowo – zdaje się tak prawdziwa, jakby oglądało się dokument o współczesnych młodych ludziach.

Choć ma niewiele ponad 20 lat, na scenie jest od dwóch dekad. Jak to możliwe? Urodziła się w aktorskiej rodzinie i pierwsze teatralne kroki zrobiła już w wieku trzech lat. Jako dziecko występowała z rodzicami w gdyńskim Teatrze Muzycznym. Potem grała dziecięce epizody w filmach, m.in. w „Ciemno, prawie noc”, a zaraz po maturze zdała do warszawskiej Akademii Teatralnej. Dziś zaczyna rok dyplomowy – w grudniu będzie miał premierę jej aktorski dyplom. Jej pierwsze doświadczenia sceniczne odbywały się pod okiem Wojciecha Kościelniaka, i to właśnie on reżyseruje dyplomowy musical z Totoszko w obsadzie. I można w ciemno zakładać, że o tej aktorce będzie jeszcze głośno. ▲

Coś tu się nie skleja

MARTA NOWAK
– dziennikarka, publicystka, twórczyni internetowa (IG: @marta__no). Współprowadzi podcast „Co to będzie" o światowej polityce

W blasku zachodzącego słońca stoją, wyprostowane, trzy kobiety. Jedna zaciska usta i marszczy brwi, jej długie jasne włosy rozwiewa wiatr. Druga – uczesana w kok – jest poważna, jakby zatroskana. Trzecia, ta pośrodku, patrzy na nas z kamienną twarzą. Za nimi osadzone na drzewcach wielkie flagi. Co ja wam tu opisuję? Opisuję, miłe koleżanki, wygenerowany za pomocą AI i wrzucony na Twittera obrazek w stylu japońskiej mangi. Podpis: „Giorgia Meloni, Sanae Takaichi, Alice Weidel". W ostatnich miesiącach widziałam mnóstwo postów w tym tonie. Ekipa znowu razem. The girls are back.

We wrześniu 1940 r. Niemcy, Włochy i Japonia podpisały pakt, po którym zaczęto o nich oficjalnie mówić „państwa Osi". Ponad osiemdziesiąt lat później chłopaki na platformie Elona Muska ekscytują się, że po władzę we wszystkich tych krajach sięgnęły albo sięgają skrajnie prawicowe liderki. Alice Weidel – przewodnicząca AfD – chce wyjść z Schengen, zamknąć granice Niemiec, wyrzucić z kraju milion uchodźców. Demonizuje islam i muzułmanów, w partii nie przeszkadzają jej ekstremiści odwołujący się do hitlerowskiej symboliki. Sanae Takaichi – premierka Japonii – ma dość podobny stosunek i do migrantów, i do historii. Regularnie jeździ do świątyni Yasukuni, która upamiętnia m.in. japońskich zbrodniarzy wojennych (z tego powodu od pół wieku nie powstała tam noga żadnego cesarza). Swego czasu zachwalała książkę pt. „Strategia wyborcza Hitlera". Giorgia Meloni, która od 2022 r. stoi na czele włoskiego rządu, karierę zaczynała w postfaszystowskim ruchu. Antymigrancka, walcząca z wyobrażonymi zagrożeniami w rodzaju ideologii gender, z hasłem „Naród, korzenie, wiara, rodzina" na ustach – mimo wszystko wydaje się najłagodniejsza z tej trójki. A może to europejskie centrum tak przesunęło się w prawo, że to dziś już główny nurt?

Chłopaki na Twitterze – powtórzmy – są zachwycone.

Pamiętacie esej Umberto Eco „Wieczny faszyzm"? Eco wyliczał w nim kluczowe cechy faszyzmu rozumianego nie jako ustrój jednego państwa, ale ideologia, która nie znika, nie upada wraz z dyktatorem, meandruje, powraca. Wśród tych cech znalazł się, owszem, kult męskiej siły i pogarda dla kobiet. Ale też zdolność godzenia niespójnych postaw, stanowisk, wizji świata. Nie musimy być tacy całkiem logiczni. To nie szkodzi, że coś się nie skleja. Kiedy Weidel, Meloni i Takaichi sławią takie cnoty jak Naród, Wiara oraz To, Żeby Migranci Mieli Gorzej, prawicowcy z internetu wcale nie chcą zamykać ich w kuchni. Przeciwnie: kibicują. Cieszą się z ich sukcesów. Nie mają nawet problemu z tym, że Weidel jest lesbijką, a jej partnerka pochodzi ze Sri Lanki. Stare zdjęcia swoich polityczek komentują raczej z podziwem niż w przykry sposób. „Patrzcie, jaka młoda Takaichi była cool, grała na perkusji i jeździła na motorze".

Jest taki rodzaj liberalnego feminizmu, który także nam nakazywałby się cieszyć z sukcesów prawicowych liderek. Zobaczcie, kobieta wydrapała sobie tekę premierki w tak męskocentrycznym kraju jak Japonia! A we Włoszech? Przed chwilą był Berlusconi, bunga-bunga i półnagie pogodynki, a teraz rząd trzyma jedna z nas! To ten sam rodzaj feminizmu, dla którego najważniejszy zawsze był procentowy udział kobiet w zarządach spółek – a nie to, kim i jak te zarządy rządzą. Ten sam, który robił feministyczne ikony z dyrektorek w najbardziej krwiożerczych korporacjach. Baba w garsonce została premierką czy prezeską, lejcie szampana, szklany sufit przebity, świętujmy razem triumf naszej płci.

Może się wydawać, że ten nurt w feminizmie dawno się skompromitował. Jeśli polityczka szczuje na kobiety migrantki, jeśli chce utrudniać życie kobietom LGBT+, jeśli ma gdzieś kobiety potrzebujące aborcji, jeśli nie chce nawet się zgodzić (jak Takaichi), żeby po ślubie kobiety mogły nosić nazwisko inne niż mąż – nie jest to sojuszniczka innych kobiet i niczego nie zmienia w tym fakt, że sama nosi spódnicę i raz w miesiącu ma okres. Bohaterki tego tekstu nie aspirują zresztą do żadnego sojusznictwa czy rzecznictwa. Weidel najczęściej mocno oddziela swoją polityczną personę od prywatnych tożsamości. Ani ona, ani Takaichi nie poświęcają też kwestiom praw kobiet jakiejś szczególnej uwagi. Meloni wprost deklaruje, że feministką nie jest. Ale czy ich płeć – nawet jeśli same odnoszą się do niej rzadko albo wcale – wciąż jednak trochę na nas nie działa?

Jest takie zdanie, które ludzie często piszą w sieci pod filmikami przedstawiającymi harce pum i tygrysów. Pumy i tygrysy mają futro jak maskotki i śliczne, krągłe, puchate łapy; aż chce się do nich przytulić, choć przecież mogą ci odgryźć głowę. „If not friend, why friend shaped?". Jeśli to nie przyjaciółka, to czemu jest w kształcie przyjaciółki?

W styczniu 2026 r. Giorgia Meloni odwiedziła w Tokio Sanae Takaichi. Oglądałam materiały włoskich mediów z tej wizyty. Panie śmieją się do siebie, wzruszają, wznoszą toasty, Giorgia dostaje urodzinowy tort i odśpiewane po włosku „Sto lat". Przed odjazdem długo się ściskają i wymieniają półgłosem słowa wsparcia. Są jak ty i twoja najlepsza ziomalka, dodające sobie ducha, zanim z powrotem, już osobno, wejdziecie w świat, w którym musicie być twarde.

Trzeba się mocno opanować, żeby, patrząc na to, nie poczuć dziewczyńskiej solidarności z polityczką, która pali świeczkę zbrodniarzom wojennym. Albo: łatwo ulec charyzmie Meloni, kiedy stoi na wiecu i krzyczy: Jestem Giorgia! Jestem kobietą! Jestem matką! Mózg podpowiada: za tym powinno iść coś o wolności, równości, siostrzeństwie. Nie dajmy się zwieść. Nie pójdzie. Meloni „jako kobieta" będzie domagać się zamykania granic i sławić uroki macierzyństwa dziewczynom w niechcianej ciąży. Będzie naród, Kościół i coraz ciaśniejszy świat.

Patrzcie na polityczki i nie zapominajcie zadać sobie pytania, które ratuje życie w kontakcie z pumą: czy to jest przyjaciółka, czy ma tylko jej kształt. ▲

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Nieznośna lekkość *picia*

Dla niektórych mózgów substancje psychoaktywne są bezkonkurencyjnym źródłem poczucia szczęścia i dobrostanu. To bardzo niebezpieczna konstelacja

Z PROF. **ANNĄ KLIMKIEWICZ**, PSYCHIATRKĄ, ROZMAWIA **PATRYCJA PUSTKOWIAK**
RYSUNEK **BASIA POSPISCHIL**

Dlaczego mózg tak bardzo lubi alkohol?
– Dlatego, że alkohol powoduje zmiany w uwalnianiu i efektach działania neuroprzekaźników odpowiedzialnych za odczuwanie przyjemności, ale również spokoju czy pewności siebie. U niektórych osób bardziej dostrzegalne jest działanie GABA-ergiczne, a więc odprężenie. Po alkoholu odczuwają one błogość, są przyjazne, szybko idą spać.

U innych do głosu dochodzą w przewadze efekty katecholamin, tj. pobudzenie, czasem frustracja czy napięcie. Tacy ludzie lubią wtedy walczyć, dyskutować, wyjaśniać, popadają w konflikty, odżywają w nich dawne urazy, pojawia się agresja, w tym do samych siebie. Ci nie powinni pić wcale.

Mało tego, te same osoby w różnych momentach mogą się czuć po alkoholu inaczej. Kto się choć raz „upił na smutno", doskonale to rozumie. Wiele zależy również od charakteru i stanu emocjonalnego oraz oczywiście od dawki wypitego alkoholu. Przy jego wysokim poziomie we krwi procesy życiowe w naszym organizmie zaczynają zwalniać, a przy śmiertelnej dawce wyłączają się całkowicie.

Dlaczego to nie takie proste, by czasem napić się towarzysko, unikając wszelkiego ryzyka?
– Bo ośrodkowy układ nerwowy bardzo szybko dostosowuje się do obecności alkoholu. Zjawiskiem fizjologicznym jest dążenie organizmu do zachowania równowagi, dlatego mózg tak zmienia swoje funkcjonowanie w obecności alkoholu, żeby jego wpływ na procesy zachodzące w organizmie był jak najmniejszy.

Skutek jest taki, że po pewnym czasie ta względna normalność jest już możliwa wyłącznie w obecności alkoholu. Z czasem przebudowa układów neuroprzekaźnikowych zachodzi już tak daleko, że w przypadku wytrzeźwienia cała ta krucha równowaga zostaje zburzona i zaczynają się bardzo nieprzyjemne i nierzadko groźne dla życia objawy alkoholowego zespołu abstynencyjnego. W ciągu tych burzliwych kilku dni, podczas których mogą wystąpić drgawki oraz majaczenie (tzw. delirium), mózg wraz z całym organizmem stara się pracować w nowych, tym razem bezalkoholowych warunkach. To bardzo niebezpieczny i niezwykle nieprzyjemny moment dla trzeźwiejącej osoby.

Pani mówi o sytuacji osoby, która z alkoholem ma już poważny problem, ale nawet dla kogoś, kto raz porządnie się upił, następny dzień bywa męką. Dlaczego więc mózg zapamiętuje alkohol jako coś przyjemnego, mimo że potem cierpimy?
– Po alkoholu większość ludzi doświadcza przyjemności. Nieprzyjemnie jest dopiero następnego dnia, kiedy alkoholu w organizmie w zasadzie już nie ma, a w jego miejsce wątroba produkuje trujący aldehyd octowy. Jeśli ktoś próbuje zaleczyć to cierpienie tzw. klinowaniem, czyli przyjmując nową dawkę trunku, wchodzi na drogę do ciągu alkoholowego. Kolejny dzień po ponownym piciu będzie naturalnie jeszcze gorszy. No, chyba że znowu się napijemy. Ten proces raczej nie zakończy się spontanicznie i bezboleśnie, a im dłużej trwa, tym będzie trudniejszy. Mimo to pijemy alkohol, bo – jak mówiłam – stan zatrucia jest dla większości z nas przyjemny. Człowiek podejmuje decyzje przede wszystkim na podstawie emocji, czego niezbicie dowodzą też historia i socjologia. Pijemy, wciągamy, wstrzykujemy, wywołujemy wojny, ryzykujemy zdrowie, choć to całkowicie nierozsądne.

Niektórzy jednak potrafią korzystać z alkoholu rozsądnie. Inni się w nim czy innych używkach zatracają. Skąd wynikają te różnice?
– Przyczyny są złożone. Ogromne znaczenie mają geny. Badania wskazują, że niemal w 50 proc. o piciu lub abstynencji decydują czynniki wrodzone. Bywa też tak, że dziedziczenie uzależnienia jest bardziej pośrednie – np. rodzice czy dziadkowie mierzący się z zaburzeniami afektywnymi czy lękiem wybierają samoleczenie alkoholem, uzależniając się wtórnie, i to samo robią kolejne pokolenia. Dlatego, jeżeli nasi przodkowie borykają się z uzależnieniem, to niezależnie od jego pierwotnych przyczyn musimy mieć się na baczności. Może to bowiem oznaczać, że nasze systemy neuroprzekaźników, zwłaszcza układu nagrody, sprzyjają przywiązywaniu się do substancji psychoaktywnych, w tym alkoholu.

Czyli można powiedzieć, że możemy być „źle urodzeni", jeśli chodzi o używki. Z pewnym wyposażeniem genetycznym lepiej z nimi nie zaczynać.
– Tak, to geny, a za nimi neuroprzekaźniki i ich receptory, a także enzymy szlaków metabolicznych decydują o tym, jak funkcjonuje nasz mózg, a więc jak reagujemy na stres, smutek, radości, porażki, ale i substancje psychoaktywne – w tym alkohol. To, co sprawia nam przyjemność, co nas odpręża i daje poczucie satysfakcji, jest w dużej mierze wrodzone.

Dla niektórych mózgów substancje psychoaktywne są bezkonkurencyjnym źródłem poczucia szczęścia i dobrostanu. To bardzo niebezpieczna konstelacja, ponieważ takim ludziom ciężko znaleźć inne, wystarczające źródło życiowej satysfakcji. Znaczenie ma nawet to, jak przebiega metabolizm etanolu w organizmie. Są osoby, które każde spożycie alkoholu cięż-

ko odchorowują, kumulując we krwi toksyczny aldehyd octowy. U innych rozkład przechodzi w wątrobie gładko i początkowo niemal bezboleśnie, co sprzyja piciu.

Ważny jest też sposób picia.

Co to znaczy?

– Im wcześniej zaczyna się picie, im jest częstsze, a wypijane ilości większe, tym ryzyko uzależnienia jest wyższe. Dotyczy to także innych substancji psychoaktywnych. Pamiętajmy, że etanol znajduje się w dość wąskiej i szczególnie niebezpiecznej grupie substancji uzależniających fizycznie. Oznacza to, że nie tylko nasz mózg, psychika i układ nagrody zostają wciągnięte w relacje z używką, ale dzieje się to również z naszym ciałem, z całym organizmem. Dlatego od alkoholu może uzależnić się też osoba, która nawet go nie lubi. Wystarczy, że będzie piła regularnie i wystarczająco dużo. Potem nie będzie już mogła bez niego żyć.

A kultura, w jakiej żyjemy, i otoczenie społeczne też mają znaczenie?

– Oczywiście. Środowisko i sytuacja osobista, życiowa, osobowość, doświadczenia życiowe – to wszystko ma znaczenie. Ważne, w jakiej rodzinie dorastamy. Od rodziców mamy nie tylko geny, ale również uczymy się od nich reakcji emocjonalnych – na stres, napięcie, problemy życia codziennego. Jeśli rozładowywali stres alkoholem, jest duże ryzyko, że i my to będziemy robić.

No i oczywiście dochodzą kwestie kulturowe. W Polsce sytuację pogarsza społeczna akceptacja i przyzwolenie na bycie pijanym. Polacy wciąż często piją, żeby sponiewierało, chcą być pijani, odłączeni, w odmiennym stanie świadomości.

Może to ucieczka? Podczas zajęć na psychiatrii studentki zwróciły uwagę na znacznie większe rozpowszechnienie zaburzeń stresowych pourazowych wśród uzależnionych od alkoholu Polaków niż wśród innych narodowości. Zamierzają gruntownie zbadać to zjawisko.

Zgrozą napawa mnie też wszechobecność alkoholu w filmach i serialach, w których bohaterowie po wejściu do domu niemal zawsze otwierają piwo lub nalewają sobie lampkę wina wielkości wiadra. Ta czynność na ekranie zastępuje nawet umycie rąk.

Kultura wizualna ma niebezpieczny wpływ na nasze zgubne potrzeby?

– Zdecydowanie. Film to dziedzina sztuki angażująca najwięcej zmysłów i jej moc jest ogromna. To dzięki niej świat, którego nie widzieliśmy na własne oczy, postrzegamy tak, jakby był nam dostępny. Kino i telewizja kształtują mody, trendy, sposoby życia. Jeśli więc tam człowiek sukcesu pije, człowiek zmęczony pije, człowiek samotny, zdenerwowany, szczęśliwy pije, to wydaje się to naturalne. Sięganie po alkohol w tak wielu kontekstach i sytuacjach staje się normą.

Nie tylko mieszkania urządzaliśmy tak jak serialowe postaci, ale również swoje życie. Oglądając filmy i seriale, uczymy się, że picie jest nieodłącznym składnikiem relaksu. Filmowe spotkanie z przyjaciółmi, grill czy uroczysta kolacja – wszyscy zebrani piją. Gdy już masz szklankę w dłoni, oznacza to, że stres i wysiłek się skończyły. Uczymy się tego i uczą się tego nasze dzieci. Straszny zwyczaj.

Z czego on wynika?

– Moim zdaniem z tego, że po intensywnym dniu pozostaje nam w ciągu doby już bardzo mało czasu na uspokojenie się i dojście do siebie. Współczesny, zagoniony człowiek musi po wywiązaniu się z licznych obowiązków odpocząć szybko i najlepiej natychmiast, bo rano trzeba wcześnie wstać. Alkohol i inne substancje psychoaktywne skracają ten proces z kilku godzin do kilku minut. Wchodzisz do domu, wypijasz szklankę i za chwilę jesteś już w fazie odpoczynku. Brakuje nam cierpliwości i czasu, żeby poczekać, aż napięcie samo opadnie, ale również umiejętności przyspieszenia tego procesu w sposób mniej szkodliwy.

> Pijemy, wciągamy, wstrzykujemy, wywołujemy wojny, ryzykujemy zdrowie, *choć to całkowicie nierozsądne*

Czyli jak?

– Są bezpieczniejsze sposoby na poprawę samopoczucia czy wręcz oderwanie się od rzeczywistości. Wiele satysfakcji mogą dać spotkania z tymi, których lubimy, pomoc potrzebującym, podróże, kontakt ze zwierzętami, sporty, również ekstremalne, itp. Jest dużo rzeczy, które potrafią bardzo dobrze zrelaksować i wprawić w dobry humor, jednak wymagają więcej czasu i wysiłku niż nalanie sobie wódki. A czasu, jak wiadomo, mamy na wszystko za mało. Alkohol jest również tani, a w niedzielę łatwiej kupić piwo niż mleko.

Jednak ludzkość od wieków pije alkohol i stosuje inne używki nie tylko dla relaksu, ale chyba też dlatego, że one fundują stany i doświadczenia inaczej niedostępne. Co zrobić z naturalną w człowieku potrzebą zabawy, szaleństwa i ucieczki od codzienności, kiedy oferujące to używki szkodzą?

– Potrzeba zabawy i szaleństwa w normalnych okolicznościach nachodzi człowieka sporadycznie i wtedy używki szkodzą mniej, bo są w organizmie obecne przez krótki i z góry zaplanowany czas. Oczywiście nie każda z nich nadaje się do zażywania nawet sporadycznie. Dlatego tak ważna jest wiedza o działaniu substancji psychoaktywnych. Są narkotyki, które potrafią przywiązać do siebie niemal od pierwszego użycia. Mam tu na myśli przede wszystkim opioidy, czyli głównie heroinę, choć coraz częściej zastępuje ją syntetyczny fentanyl i jego pochodne. Ta grupa substancji powoduje euforię, poczucie absolutnego szczęścia i dobrostanu. Trochę jakby za życia na chwilę trafić do nieba. Niestety, potem trzeba z powrotem wylądować na ziemi, co jest bardzo bolesne. Doświadczenie wszechogarniającego szczęścia pozostaje jednak w człowieku, więc potem w przypadku każdego kryzysu, smutku czy porażki, które są naturalną składową życia, mózg przypomina sobie rozwiązanie.

A to pułapka.

– Niestety. Opioidy uzależniają również fizycznie, co oznacza, że nie tylko mózg, ale całe ciało dostosowuje się szybko do ich obecności. Od osób uzależnionych niejednokrotnie słyszałam, że heroina z euforycznej przyjemności szybko staje się przykrą koniecznością. Bez niej po prostu już nie da się żyć, bo zostają tylko pustka, smutek, strach oraz zdezorientowane i cierpiące ciało. Każda substancja ma swoją specyfikę; z kolei kokaina odcina „uczłowieczającą" część mózgu, pozbawia zahamowań, winduje samozadowolenie i rujnuje układ krążenia, choć nie tylko. Marihuana niszczy pamięć i intelekt, a u predysponowanych może wywołać objawy psychotyczne. Jednocześnie z punktu wi-

dzenia społecznego i zdrowotnego uważam ją za używkę mniej szkodliwą niż alkohol. Syntetyczne katynony (mefedron i jemu podobne) dają poczucie mocy, odlotu, energii, siły. Wspólną cechą wszystkich narkotyków jest chyba poczucie nieśmiertelności i braku jutra.

Które jednak następuje i jest dramatem. Wracając do alkoholu: decydując się na niego, przynajmniej wiemy, co kupujemy. W przypadku innych, nielegalnych używek to loteria, w której ryzykujemy zdrowiem i życiem.
– Dbamy o to, co jemy, czytamy etykiety, unikamy oleju palmowego, przetworzonej żywności i syntetycznych kosmetyków, ale do nosa, płuc, żołądka czy wprost do krwiobiegu wprowadzamy proszki, o których nawet nie wiemy, czym są. To jest znowu przykład wypierania rozsądku przez emocje. Nie sądzę, aby znalazło się wiele osób, które zdecydowałyby się kupić i zjeść mięso wystawione na ulicy, na kawałku tektury, przez sprzedawcę z brudnymi rękami, a jednocześnie od podobnego handlarza są gotowi kupić tabletki lub proszek, który bez zastanowienia wetrą sobie w dziąsła, czyli wpuszczą niemal wprost do krwiobiegu.

Dlaczego w ogóle mamy potrzebę zmieniania stanu świadomości?
– Właśnie tutaj chyba leży istota problemu i zaczyna się droga do zniszczenia. Używki zbyt często stanowią w życiu rozwiązanie trudności. A potem stają się problemem jeszcze większym niż ten, który miały rozwiązać. Wszyscy powinniśmy zdawać sobie sprawę z tego, że nikt nie może żyć w nieustannym poczuciu błogości, euforii i szczęścia, bo wtedy jako ludzkość nie próbowalibyśmy niczego zmienić na lepsze i wciąż siedzielibyśmy w jaskiniach.

Zarazem stałe poczucie przygnębienia, lęku, braku energii nie są czymś normalnym. Nie jest normalne wymiotowanie co rano ze stresu przed wyjściem do pracy czy szkoły ani oczekiwanie, aby każdy dzień szybko się skończył.

Co powinny zrobić osoby, które tak się czują, zamiast sięgać po używki?
– Mamy w Polsce możliwości leczenia psychiatrycznego na światowym poziomie. Zaburzenia depresyjne i lękowe, które bardzo często pchają ludzi w kierunku poszukiwania choć na chwilę zmienionych, lepszych stanów świadomości, są w większości przypadków w pełni wyleczalne bezpiecznymi metodami i nieuzależniającymi lekami. Przywracamy nimi mózgi pacjentów do ustawień fabrycznych, a z resztą zadania nasz umysł radzi już sobie sam.

PROF. DR HAB. N. MED. ANNA KLIMKIEWICZ

– lekarka, specjalistka psychiatrii, badaczka, wykładowczyni akademicka Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego. Autorka licznych publikacji naukowych. Zajmuje się leczeniem pacjentów w Poradni Zdrowia Psychicznego Szpitala Nowowiejskiego oraz poradni Psychomedic. Prowadzi zajęcia ze studentami wydziału lekarskiego i kieruje badaniem klinicznym w Wojskowym Instytucie Medycznym – Państwowym Instytucie Badawczym

Gdy emocje wracają do równowagi, znika potrzeba odurzania się po to, aby życie było do zniesienia. Niestety, wciąż są w Polsce środowiska, w których bardziej akceptowane jest bycie codziennie pijanym niż pójście do psychiatry z powodu złego samopoczucia psychicznego.

A są osoby, które sięgają po używki nie z powodu depresji czy lęku, ale dlatego, że potrzebują ekstremalnych doświadczeń, chcą czasem utracić kontrolę, przekroczyć siebie?
– Niektórzy tego potrzebują. Są ludzie, którzy lubią eksperymenty i ekstremalne doświadczenia. Potrzebują tego, żeby poczuć, że żyją. Mówi się, że mają „mózgi dopaminowe", szukają silnych wrażeń i podniet, podczas gdy u pozostałych, tych, którzy mają „mózgi serotoninowe", większe znaczenie ma poszukiwanie stabilności i unikanie napięć. Ci drudzy nie upijają się i nie odurzają nadmiernie, jeśli wszystko jest dobrze. W cierpieniu i oni mogą jednak odkryć, że alkohol i narkotyki przynoszą chwilową ulgę. Potem oczywiście z emocjami jest jeszcze gorzej.

A ci pierwsi? Zostawić ich w spokoju, gdy chcą zaznawać odlotów i poszukiwać siebie poprzez używki?
– Ci, którzy chcą w ten sposób eksplorować ciemną stronę swojej natury, powinni pamiętać, że nasza wolność kończy się tam, gdzie zaczyna wolność drugiego człowieka. Konfrontacja z samym sobą, choć w życiu potrzebna, nie może przecież powodować cierpienia innych ludzi. A tak się, niestety, dzieje powszechnie po alkoholu i innych używkach. Poza tym picie w celu samopoznania nie zmniejsza szkodliwości alkoholu, który jest trującą substancją. No i myślę, że to samopoznanie jednak łatwiej osiągnąć, będąc trzeźwym, bo niewiele naszych decyzji z okresu upojenia utrzymuje się w mocy po wytrzeźwieniu.

Nie szukajmy swojej ciemnej strony, bo być może ją znajdziemy, a nie spotkałam jeszcze osoby, która wiedziałaby, co z tym znaleziskiem zrobić.

Co robić, aby obalić mit o atrakcyjności używek i po prostu skutecznie przeciwdziałać uzależnieniom?
– Myślę, że edukacja w tym zakresie to jedyna droga do rozsądnego poruszania się po świecie używek. Musimy wiedzieć, że uzależnienie jest chorobą mózgu, wynikającą z uwikłania substancji egzogennej w jego funkcjonowanie, i trzeba informować, że istnieją osoby obciążone genetycznie czy emocjonalnie, które są na nią podatne, a to znaczy, że kontakt z używkami może być dla nich początkiem równi pochyłej.

W dodatku niezależnie od czasu trzeźwości nasze predyspozycje genetyczne pozostają stałe i nic z nimi nie zrobimy. Możemy jedynie modyfikować czynniki, na które mamy wpływ: otoczenie, tryb życia, środowisko, nasz stan emocjonalny, nastawienie. I na tym z grubsza opiera się główna metoda leczenia, czyli psychoterapia uzależnień. Pamiętajmy, że gorszy nastrój czy niepokój bywają obecne w życiu każdego człowieka, ale gdy cierpienie psychiczne staje się nieodłącznym jego elementem, powinniśmy szukać pomocy. Mamy w psychiatrii do dyspozycji nowoczesne, bezpieczne, nieuzależniające leki, którymi jesteśmy w stanie wyleczyć większość objawów.

Pamiętajmy, że większość ludzi, zaczynając kontakt z używkami, nie wie, że stanie się więźniami nałogu. Wszyscy chcemy być szczęśliwi, ale szczęście po używkach jest na niby, ulotne, oszukane i bardzo kosztowne. ▲

Jak się *miesz(k)a* w Carrbridge

W szkockiej wiosce u podnóża gór Monadhliath odbywa się niezwykły, międzynarodowy konkurs: kto zrobi najlepszą owsiankę na świecie

TEKST **JUSTYNA GROCHAL**

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Świat w ostatnich latach mocno przyspieszył, a naszym życiem zawładnęły technologie. Narzekamy na deficyt uwagi i przebodźcowanie, wyczerpuje nas wieczna pogoń za sukcesem i presja wyglądu. Relacje międzyludzkie też stały się jakieś trudniejsze. Może dlatego tak kuszące wydają nam się wszelkie analogowe aktywności, które każą nam odłożyć telefon: lepimy garnki, chodzimy na grzyby, robimy na drutach, zapisujemy się na warsztaty malarskie, piszemy dzienniki.

Nawet kino zaczęło odpowiadać na tę potrzebę zwolnienia, uproszczenia życia, bycia bliżej natury i wspólnoty. Nasyciliśmy się globalną wioską, teraz częściej zwracamy się ku lokalności i jej tradycji. Jeśli spodobały się państwu filmy „Truflarze" albo „Kumotry", zachwyci państwa także „Najlepsza owsianka na świecie". Dawno nie widziałam czegoś tak rozgrzewającego serce, a jednocześnie tak diabelnie zabawnego. Gdyby Wes Anderson kręcił dokumenty, wyglądałyby właśnie tak – ekscentryczni bohaterowie, symetryczne kadry i osobliwy rytuał tworzą tu świat rodem z filmów Amerykanina.

Reżyser Constantine Costi zabiera nas do Carrbridge, malowniczej szkockiej wioski u podnóża gór Monadhliath. Od trzydziestu lat odbywają się tam mistrzostwa świata w robieniu owsianki. Brzmi mo-

że niewinnie i błaho, ale okazuje się, że przygotowanie owsianki to nie taka prosta sprawa. Tylko trzy składniki – płatki owsiane, woda i sól – a ile tam filozofii, ile technik! W zawodach udział może wziąć każdy i rzeczywiście ludzie z całego świata przyjeżdżają, by pod okiem jury i lokalnej społeczności powalczyć o statuetkę Złotego Mieszadła.

Nasz przewodnik po tym świecie to prawdziwa legenda Carrbridge, prowadzący mistrzostwa i wytwórca mieszadeł Charlie Miller. Jest coś ujmującego w tym, z jaką powagą, a jednocześnie rozbrajającym poczuciem humoru traktuje swoją funkcję. Zbliżające się zawody będą jego ostatnimi przed emeryturą, zdrowie nie pozwala mu już na więcej. Dlatego jako widzowie nie tylko zaglądamy za kulisy konkursu, ale towarzyszymy też człowiekowi w pożegnaniu z czymś, co przez lata było ważną częścią jego życia.

Charlie oprowadza nas po urokliwej wiosce i opowiada o pracy nad konkursem. Mistrzostwa są oczkiem w głowie i dumą mieszkańców, a duch wspólnoty jest tam silny. Poznajemy społeczność oraz uczestników kolejnej edycji. To korowód nietuzinkowych i bardzo wyrazistych osobowości – każdy ma tu własne dziwactwa, rytuały i rolę do odegrania. Śledzimy więc przygotowania do mistrzostw: od spotkań komitetu organizacyjnego i sprzątania sali po stawianie wielkiego namiotu, przepytywanie startujących i rozwieszanie flag uczestników.

Nie jest trudno wciągnąć się w tę kulinarną rywalizację. Atmosfera narasta w oczekiwaniu na wielki dzień, a potem napięcie rośnie z każdym przemieszaniem w garnku. Po głośnych reakcjach w trakcie seansu wnoszę, że każdy zdążył wybrać swojego faworyta (ja też!). Ale dla mnie prawdziwymi zwycięzcami tych mistrzostw są mieszkańcy Carrbridge. Dlaczego? Bo znaleźli powód, by zrobić coś razem. Dla nich te zawody to coroczny punkt odniesienia, okazja do spotkania, wspólnota celu i element ich lokalnej tradycji i tożsamości.

Może po tym filmie sami inaczej spojrzymy na nasze lokalne święta – nawet te najbardziej osobliwe. Być może, słysząc o dniach ogórka kiszonego albo zawodach w jedzeniu pierogów, nie skrzywimy się w sarkastycznym grymasie, tylko pomyślimy, czym to wydarzenie jest dla danej społeczności.

Nie wszystko musi być przecież wielkie i prestiżowe, żeby było ważne. ▲

„NAJLEPSZA OWSIANKA NA ŚWIECIE”
reż. Constatine Cost
W kinach od 27 listopada 2026 r.
W dniach 8–11 października
z okazji Światowego Dnia Owsianki
w dziesięciu polskich miastach odbędą się
pokazy przedpremierowe filmu.
Więcej na gutekfilm.pl

Miasta bez *stresu*

Jeżeli przepisy mówią o minimalnej szerokości chodnika, trzeba jeszcze zapytać, czy na takim chodniku rzeczywiście może swobodnie minąć się rodzic z dzieckiem i drugi rodzic z dzieckiem

Z **BARBARĄ MARCHWICKĄ**, ARCHITEKTKĄ, ROZMAWIA **AGATA GOŁĄBEK-POLUS**

Po czym poznać dobrze zaprojektowaną przestrzeń?
– Po tym, że dobrze się w niej czujesz. Można to porównać do mieszkania. Jeżeli znamy swoje mieszkanie, wiemy, jaki mamy rytm dnia, czego potrzebujemy w kuchni, ile chcemy mieć światła czy jak korzystamy z poszczególnych pomieszczeń, łatwiej nam określić, co sprawia, że czujemy się w nim komfortowo.

W mieście zasada jest podobna, tylko skala jest zdecydowanie większa. Mamy znacznie więcej użytkowników, branż, przepisów, ograniczeń i interesów, które trzeba ze sobą pogodzić. Dlatego projektowanie dobrej przestrzeni miejskiej jest dużo bardziej skomplikowane. Nie zmienia to jednak tego, że ostatecznie jej jakość można oceniać przez doświadczenie użytkownika: jak się w niej poruszamy i jak się w niej czujemy. I to jest oczywiście bardzo indywidualne, każdy użytkownik może mieć inne potrzeby i inaczej odbierać tę samą przestrzeń. To zderzenie różnych perspektyw i potrzeb może prowadzić jednak do konfliktów.

A więc miasto nie jest przestrzenią uniwersalną?
– Nie ma jednego „przeciętnego użytkownika". Możemy oczywiście opisywać mieszkańców za pomocą różnych wskaźników, ale każdy z nas funkcjonuje w przestrzeni trochę inaczej.

Co to oznacza w praktyce?
– Chociażby to, że kobiety i mężczyźni mogą inaczej korzystać z przestrzeni i inaczej organizować swoją mobilność. Jeżeli projektujemy mobilność i transport w mieście przede wszystkim z myślą o człowieku przemieszczającym się liniowo z jednego punktu do drugiego, możemy nie zauważyć potrzeb osób, które w ciągu dnia realizują wiele różnych funkcji. Z perspektywy urbanisty badanie potrzeb użytkowników to oczywiście rozmowa z nimi, ale także analiza pewnych zachowań, a dalej – próba zobiektywizowania ich. Dawniej próbowano wręcz „uśrednić" człowieka, określić jego typowe wymiary i na tej podstawie projektować przestrzeń. Przyjmowano na przykład, że przeciętny człowiek ma 183 cm wzrostu. Tyle że w rzeczywistości nie ma czegoś takiego jak przeciętny człowiek. Różnimy się między sobą, mamy różne potrzeby i różnie funkcjonujemy w przestrzeni.

Dlatego dziś coraz większą wagę przywiązuje się do tej różnorodności. Możemy ją opisywać i badać, uwzględniając między innymi wiek czy role społeczne. Kobiety i mężczyźni mogą poruszać się po mieście w odmienny sposób, podobnie jak dzieci.

W przypadku kobiet istotny jest chociażby sposób organizowania codzienności. Częściej łączą one wiele różnych obowiązków, dlatego ich przemieszczanie się po mieście nie zawsze ma charakter liniowy – z punktu A do punktu B. Zamiast tego tworzą bardziej złożone trasy, łącząc po drodze różne sprawy i miejsca. Z perspektywy mobilności i projektowania przestrzeni publicznej ma to znaczenie, bo inaczej będziemy projektować ją dla osoby, która przemieszcza się bezpośrednio między dwoma punktami, a inaczej dla kogoś, kto po drodze realizuje kilka różnych zadań. Inaczej będzie wyglądała ulica zaprojektowana dla osoby, której zależy na szybkim pokonaniu danego odcinka, inaczej dla kogoś, kto na tej samej drodze musi zaliczyć kilka przystanków, a część zadań realizuje dodatkowo mając pod opieką osobę zależną.

> Bo tam, gdzie projektujemy dla samochodów, będą samochody.
>
> *Tam, gdzie projektujemy dla ludzi, będą ludzie*

Czyli sposób organizacji życia wpływa na to, jakiego miasta potrzebujemy?
– Tak. I dlatego nie możemy projektować miasta dla abstrakcyjnego „człowieka". Musimy pytać, jak w mieście funkcjonują konkretni użytkownicy. Dobrym przykładem są właśnie dzieci.

Co urbanista powinien wiedzieć o tym, jak porusza się dziecko?
– Przede wszystkim to, że dziecko nie porusza się tak jak dorosły. W przypadku dzieci do około siódmego roku życia mówimy o zupełnie innym sposobie przemieszczania się. Dzieci częściej się zatrzymują, zmieniają kierunek, a ich ruch nie jest liniowy. Zmieniają kierunek nie tylko w płaszczyźnie poziomej, ale też w sensie góra – dół. To oznacza, że przestrzeń projektowana dla dorosłego pieszego niekoniecznie będzie wygodna dla dziecka.

A wraz z dzieckiem pojawia się jeszcze jedna osoba: rodzic albo opiekun.
– I to jest bardzo ważne. Dziecko do siódmego roku życia nie jest w przestrzeni miejskiej samodzielnym użytkownikiem. Jest połączone ze swoim opiekunem. Dlatego projektując przestrzeń dla najmłodszych, powinniśmy myśleć o tandemie: dziecko plus opiekun.

To ma bardzo konkretne konsekwencje. Jeżeli przepisy mówią o minimalnej szerokości chodnika, trzeba jeszcze zapytać, czy na takim chodniku rzeczywiście może swobodnie minąć się rodzic z dzieckiem i drugi rodzic z dzieckiem. Sam parametr techniczny nie mówi nam jeszcze, czy przestrzeń jest wygodna.

Matka z dzieckiem jest więc innym użytkownikiem niż osoba poruszająca się samotnie. Z punktu widzenia projektowania ma inne potrzeby przestrzenne. Nie chodzi o to, że wszystkie matki zachowują się w identyczny sposób. Chodzi o to, że konkretna rola społeczna może generować określone wzorce korzystania z miasta.

Rodzic z małym dzieckiem potrzebuje więcej przestrzeni. Porusza się wolniej. Musi kontrolować dziecko. Czasami korzysta z wózka. Zatrzymuje się. To wszystko trzeba uwzględnić. Podobnie można analizować inne role społeczne i sposoby poruszania się.

Czyli dostępność miasta dla rodziców zaczyna się od bardzo podstawowych rzeczy?
– Tak. Czasami od rzeczy, które wydają się banalne. Na przykład od tego, czy rodzic idący z dzieckiem nie musi co chwilę brać go na ręce, żeby przejść przez ulicę. Dobrym przykładem jest długość zielonego światła na przejściu dla pieszych. Dziecko idzie wolniej. Jeżeli więc czas przejścia jest projektowany przede wszystkim z myślą o sprawnym dorosłym, rodzic z małym dzieckiem może nie zdążyć przejść bez stresu. Można oczywiście powiedzieć, że to drobiazg. Tylko że właśnie z takich drobiazgów składa się codzienne doświadczenie miasta.

FOT. KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCZA.PL, JAKUB ORZECHOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL, ARCHIWUM PRYWATNE

A co dzieje się po siódmym roku życia?
– Wtedy dziecko staje się bardziej samodzielnym użytkownikiem przestrzeni. Lepiej rozumie zasady i otoczenie, dlatego można stopniowo przygotowywać je do samodzielnego pokonywania krótkich tras, na przykład z domu do przystanku, ze szkoły do przystanku czy z domu do sklepu. I tutaj pojawia się bardzo ważne pytanie: czy miasto jest zaprojektowane tak, żeby dziecko mogło się tej samodzielności nauczyć?

W tym znaczeniu bezpieczeństwo to nie tylko ochrona dziecka, ale też umożliwienie mu samodzielności.
– Chcemy przecież, żeby dziecko docelowo mogło się poruszać po mieście samodzielnie i czuło się w nim bezpiecznie. Nie wystarczy więc stworzyć bezpiecznego fragmentu przestrzeni. Trzeba też nauczyć dzieci korzystania z miasta i rozpoznawania potencjalnych zagrożeń.

Jednym z podstawowych zagrożeń jest widoczność. Z perspektywy kierowcy dziecko może być po prostu trudne do zauważenia. Samochody są coraz większe, a dziecko znajduje się znacznie niżej niż kierowca.

Co w takim razie może zrobić miasto?
– Jednym z podstawowych narzędzi jest ograniczanie prędkości. Im niższa prędkość, tym więcej czasu na reakcję i tym łatwiej obserwować otoczenie. Bardzo ważne jest też to, jak projektujemy ulicę. Nie chodzi wyłącznie o jezdnię. Pas drogowy obejmuje również chodniki, zieleń, małą architekturę, przystanki, ławki, stojaki rowerowe. Nie powinno tam być elementów, które nie służą drodze. Czasami nawet sposób parkowania samochodów może zmienić to, jak odbieramy daną przestrzeń.

> Dziecko idzie wolniej. Jeżeli więc czas przejścia jest projektowany przede wszystkim z myślą o sprawnym dorosłym, rodzic *z małym dzieckiem może nie zdążyć przejść bez stresu*

Dlaczego szczególnie dużo mówimy o ulicach przy szkołach?
– Bo szkoła nie kończy się na jej ogrodzeniu. Przestrzeń przed szkołą jest przestrzenią publiczną, a sposób jej zaprojektowania wpływa na to, jak dzieci mogą się poruszać. Jeżeli przed szkołą mamy ulicę, na której samochody poruszają się szybko, parkują w sposób ograniczający widoczność, a dodatkowo rodzice podjeżdżają bezpośrednio pod wejście, powstaje bardzo trudna przestrzeń. Tymczasem można projektować ją inaczej.

Jak?
– Wszystko zaczyna się od sprawdzenia, z jaką drogą mamy do czynienia i jakie mamy możliwości prawne. Jeżeli mamy ulicę o niższej prędkości, możemy wprowadzić rozwiązania, w których pieszy ma pierwszeństwo. Możemy też ograniczać ruch, wprowadzać ulice jednokierunkowe albo, jeśli warunki na to pozwalają, całkowicie zamykać fragment ulicy przed szkołą.

Przykładem jest Barcelona, gdzie po wypadkach pod szkołami wprowadzono bardzo radykalne rozwiązania i w niektórych miejscach zamknięto fragmenty ulic przed szkołami dla samochodów. Te zasady są dziś testowane także w Gdyni, czyli mieście, w którym pracuję, w ramach pilotażu projektu ulic szkolnych i sąsiedzkich. To proces, który ma pomóc wypracować model zmian przestrzeni wokół szkół – tak, aby dzieci mogły bezpiecznie i możliwie samodzielnie docierać do szkoły pieszo, rowerem czy komunikacją miejską, a jednocześnie, żeby ograniczyć poranny chaos samochodowy. Projekt łączy badania, analizę przestrzeni, projektowanie urbanistyczne i dialog z mieszkańcami

Czy szkoła powinna więc zmieniać organizację całej okolicy?
– Moim zdaniem warto przynajmniej od niej zaczynać projektowanie. Szkoła, podobnie jak przychodnia, plac zabaw czy park, jest miejscem, wokół którego powinniśmy tworzyć przestrzeń sprzyjającą jego funkcji. Jeżeli mamy szkołę, nie powinniśmy projektować jej otoczenia przede wszystkim jako przestrzeni tranzytowej.

Tylko że każda zmiana organizacji ruchu oznacza konflikt interesów.
– Oczywiście. Kierowcy mają swoje potrzeby, okoliczni mieszkańcy swoje, rodzice swoje, szkoła swoje. Wielość użytkowników sama w sobie nie oznacza jednak chaosu. Miasto właśnie po to istnieje: żeby różne funkcje i różne potrzeby mogły się ze sobą spotykać. Problem zaczyna się wtedy, kiedy jedna grupa ludzi przez długi czas jest traktowana jako ważniejsza od pozostałych.

Historycznie miasto było projektowane głównie dla wymiany dóbr, wiedzy i izolacji od przyrody. Moderniści, którzy próbowali rozluźnić pętle na szyi miast, które dusiły się własnym zagęszczeniem, wymyślili standardy i zaczęli człowieka parametryzować. Dzięki temu wymuszono, po pierwsze, powrót przyrody do miast, po drugie, standardy minimum dla zdrowia mieszkańców. Po trzecie z kolei strefowanie i oddzielanie od siebie różnych funkcji miasta.

Dzisiaj praca, technologie i komunikacja wyglądają inaczej niż sto lat temu. Nie musimy segregować miasta, możemy godzić różnorodność użytkowników w jednej przestrzeni. Ludzie funkcjonują w spektrum zachowań. Dlatego miasto dostępne wymyka się jednemu uśrednionemu modelowi.

BARBARA MARCHWICKA

– architektka i urbanistka, która od lat przygląda się miastu z perspektywy jego mieszkańców. W Gdyni projektuje i wdraża rozwiązania, które zmieniają codzienne przestrzenie – od podwórek i terenów między blokami po ulice i place. Była pierwszą w Polsce pełnomocniczką prezydenta miasta ds. przestrzeni publicznych. Dziś jako koordynatorka programów rozwojowych w UrbanLab Gdynia zajmuje się projektowaniem zmiany, czyli testowaniem nowych rozwiązań, aby przełożyć je na miejski system

Czy można więc powiedzieć, że dobrze zaprojektowane miasto to takie, które pozwala nam realizować nasze codzienne życie bez ciągłego zmagania się z przestrzenią?
– To jest chyba bardzo dobre podsumowanie. Dobra przestrzeń nie powinna zmuszać użytkownika do ciągłego obchodzenia jej ograniczeń. Jeżeli rodzic musi brać dziecko na ręce, żeby zdążyć na zielonym świetle, jeżeli dwóch rodziców z dziećmi nie może się minąć na chodniku, jeżeli dziecko nie może bezpiecznie przejść krótkiego odcinka do szkoły, to możemy powiedzieć, że przestrzeń nie odpowiada na ich rzeczywiste potrzeby.

A czy polskie miasta mają szansę się jeszcze zmieniać?
– Oczywiście. Nie możemy już projektować miasta od zera. Coraz częściej musimy pracować na tym, co już istnieje. To oznacza różne procesy: dogęszczanie, rewitalizację, reurbanizację, przebudowy układów drogowych, ale też likwidowanie elementów niefunkcjonalnych, np. tuneli dla pieszych w centrach miast czy wielkopowierzchniowych parkingów.

W konsekwencji oznacza to także zagęszczenie ludzi, bo tam, gdzie projektujemy dla samochodów, będą samochody. Tam, gdzie projektujemy dla ludzi, będą ludzie.

Czyli miasto można przeprojektować także społecznie?
– Tak. I chyba właśnie to jest najciekawsze. Jeżeli przez lata przyzwyczailiśmy się, że najważniejsze są potrzeby kierowców, zmiana tej perspektywy będzie wywoływać konflikty. Ale przecież przestrzeń publiczna należy do wszystkich. I dopiero biorąc pod uwagę potrzeby wszystkich grup, możemy mówić o mieście naprawdę dostępnym. ▲

OGŁOSZENIE

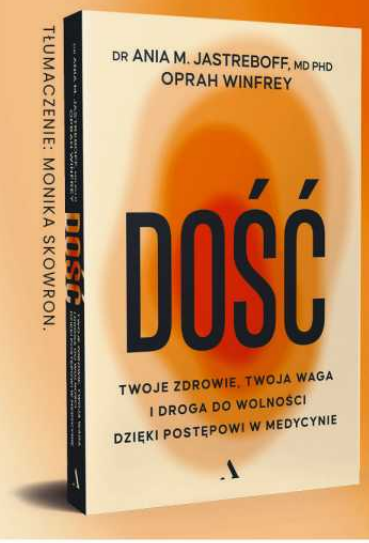

OTYŁOŚĆ TO CHOROBA

DOWIEDZ SIĘ, JAK MOŻNA SKUTECZNIE JĄ LECZYĆ.

„Ta książka obala szkodliwe mity na temat otyłości, pomaga lepiej zrozumieć jej biologiczne podłoże i pokazuje, że droga do zdrowia może prowadzić do prawdziwej wolności – bez wstydu, poczucia winy i niekończącej się walki z samym sobą. Gorąco polecam!

dr hab. n. med. KAROLINA KĘDZIERSKA-KAPUZA / diabetolog, nefrolog

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL
www.wydawnictwoagora.pl
WOLISZ E-BOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl
Wydawnictwo Agora

Jak żyć dłużej? Kup *rakietę*

Szukasz sportu idealnego? Naukowcy już to za ciebie zrobili. Liczy się to, ile korzyści daje ciału i czy będziemy chciały uprawiać go nie przez sześć tygodni, ale przez długie lata. I jeszcze – żeby nie trzeba było o nim myśleć jak o sporcie

TEKST **OLGA WOŹNIAK**

Wszyscy mówią, że po czterdziestce to ostatni moment, żeby zacząć się ruszać. Tylko co wybrać? Bieganie bez celu mnie nie pociąga, nie mam ochoty spędzać wieczorów na siłowni, a joga zwyczajnie mnie nudzi. I zdecydowanie nie zamierzam trenować sześć razy w tygodniu. Chcę czegoś prostszego: dobrze się starzeć. Zachować mięśnie, mocne kości, sprawne serce, dobrą równowagę i głowę, która wciąż działa szybko. Jaki sport wybrać? I, co może nawet ważniejsze, jak wytrwać w nim przez lata? Jeśli ma to być tylko jeden, nauka podpowiada całkiem konkretnie: kup rakietę. Do tenisa, padla, squasha czy badmintona. W sumie obojętne.

Bo właśnie sporty rakietowe mają tę zaletę, że łączą w jednym treningu kilka rodzajów aktywności. Biegasz, zatrzymujesz się, przyspieszasz, zmieniasz kierunek i walczysz o równowagę. Pracują nogi, pośladki, brzuch, plecy, barki i ręce. Oczy śledzą piłkę lub lotkę, mózg przewiduje jej trajektorię, a ciało w ułamku sekundy musi zdecydować, gdzie się znaleźć i co zrobić.

I jeszcze jedno: po drugiej stronie kortu jest człowiek. A to może mieć większe znaczenie, niż nam się wydaje.

SERCE LUBI RAKIETĘ

Jedno z najbardziej efektownych badań na ten temat przeprowadził Peter Schnohr, kardiolog z Copenhagen City Heart Study. Wraz z zespołem śledził losy 8577 osób przez 25 lat. I kiedy naukowcy porównali różne sporty, które ci ludzie uprawiali, na samym szczycie znalazł się tenis.

W porównaniu z osobami prowadzącymi siedzący tryb życia osoby grające w tenisa miały statystycznie szacowaną długość życia większą o 9,7 roku. Dla badmintona było to 6,2 roku, piłki nożnej 4,7 roku, jazdy na rowerze 3,7 roku, pływania 3,4 roku, joggingu 3,2 roku, a ćwiczeń na siłowni 1,5 roku.

Brzmi jak reklama kortu tenisowego? Spokojnie. To badanie obserwacyjne, więc nie pokazuje, że wystarczy kupić rakietę, żeby dopisać sobie prawie dziesięć lat życia. Być może tenisiści różnili się od osób siedzących także pod innymi względami. Ale, co ciekawe, autorzy zwrócili uwagę na jedno – sporty, które wypadły najlepiej, miały zwykle także ważny element społeczny: nie ćwiczysz sama.

A potem pojawiło się jeszcze większe badanie. Eleanor L. Watts, epidemiolożka z National Cancer Institute, razem z zespołem przeanalizowała dane aż 272 tys. 550 osób w wieku od 59 do 82 lat. Obserwowano je średnio przez 12 lat.

Tym razem naukowcy nie badali samego tenisa, ale sporty rakietowe, czyli też squash i racquetball. I znów wypadły one bardzo dobrze.

Osoby, które regularnie uprawiały sporty rakietowe, miały o 16 proc. niższe ryzyko śmierci niż osoby, które ich nie uprawiały. Dla biegających różnica wynosiła 15 proc., dla chodzących 9 proc., pływających 5 proc., a jeżdżących na rowerze 3 proc. A kiedy naukowcy przyjrzeli się zgonom z powodu chorób układu krąże-

FOT. GETTY IMAGES

nia, w przypadku sportów rakietowych ryzyko było niższe aż o 27 proc.

Autorzy zwracają uwagę, że wszystkie analizowane aktywności wiązały się z mniejszym ryzykiem śmierci. Jeśli więc nie lubisz biegania po korcie, nie załamuj się. Nie chodzi o to, żeby znaleźć sport idealny, ale o to, żeby znaleźć taki, który naprawdę lubimy i jesteśmy w stanie uprawiać przez lata. Znajdź coś, co sprawia frajdę.

KORT ZAGĘSZCZA KOŚCI

Dlaczego jednak sporty rakietowe cieszą się takim zainteresowaniem badaczy? Co je odróżnia od innych? Otóż na korcie nie ma dwóch takich samych minut. Raz biegniesz do piłki, za chwilę gwałtownie hamujesz, zmieniasz kierunek, robisz skręt, wyciągasz rękę, żeby odbić, i znowu ruszasz. Przez cały czas pracują nogi, pośladki, brzuch, plecy, barki i ręce. Do tego oczy śledzą piłkę, a mózg bez przerwy ocenia odległość, kierunek i prędkość. Trzeba przewidzieć, gdzie za chwilę znajdzie się piłka czy lotka, i zdecydować, co z nią zrobić.

To ta kombinacja wysiłku, pracy mięśni i koordynacji wzrokowo ruchowej sprawia, że naukowcom tak świecą się oczy.

A po czterdziestce dochodzi jeszcze jeden ważny argument: kości – ich gęstość i wytrzymałość. Kości nie są martwą konstrukcją. Cały czas reagują na obciążenia mechaniczne. A w okresie perimenopauzy tempo utraty masy kostnej może wyraźnie wzrosnąć. Jak wpływa na to aktywność fizyczna? No więc to zależy od aktywności.

Na przykład pływanie jest świetne dla serca i kondycji, ale w wodzie ciało jest odciążone, a kości nie dostają takiego mechanicznego bodźca jak podczas ruchu na lądzie. Na korcie czy boisku kości i mięśnie muszą cały czas reagować na obciążenie.

Ho-Seng Wang z National Taiwan Normal University wraz z zespołem przyjrzał się 42 kobietom po menopauzie, które rekreacyjnie grały w tenisa. Naukowcy sprawdzali między innymi, jak różne sposoby wykonywania bekhendu wpływają na obciążenia działające na ciało. Okazało się, że oburęczny bekhend angażował również niedominującą rękę i zwiększał obciążenia działające na nogę, biodro i tułów. To małe badanie, ale pokazuje, że podczas gry kości dostają regularnie dokładnie to, czego nie dostają podczas siedzenia, a w mniejszym stopniu także podczas aktywności wykonywanych w odciążeniu: bodźców mechanicznych, które są potrzebne do utrzymania ich sprawności.

MÓZG NIE ODPOCZYWA

Jest jeszcze coś, czego nie widać na pierwszy rzut oka. Tenis to nie tylko trening dla ciała. To także trening dla mózgu.

Spróbuj biegać po bieżni i przez pół godziny utrzymywać równe tempo. Możesz myśleć o czymkolwiek. O zakupach, pracy, wakacjach. Nogi wykonują swoją pracę niemal automatycznie. Na korcie tak się nie da. Piłka za każdym razem leci trochę inaczej. Raz trzeba pobiec w lewo, raz w prawo. Raz przeciwnik zagra mocno, innym razem skróci piłkę. Musisz przewidzieć, gdzie poleci, ocenić odległość, zdecydować, jak ją odbić i jednocześnie ustawić własne ciało. Wszystko trwa ułamki sekund.

Naukowcy nazywają takie aktywności sportami typu open skill. Ich cechą jest nieprzewidywalność: sytuacja cały czas się zmienia, więc mózg nie może po prostu odtworzyć zapamiętanego schematu.

> Kilka godzin ruchu w tygodniu może być ważniejsze *niż ambitny plan*

Monisha Ingold z Western Sydney University wraz ze współpracownikami sprawdzała, jak tego rodzaju aktywność wiąże się z funkcjonowaniem poznawczym u osób po 65. roku życia. W badaniu uczestniczyło 61 osób. Tenis znalazł się w grupie aktywności, w których trzeba stale reagować na zmieniającą się sytuację, a przeglądy badań sugerują, że sporty tego rodzaju mogą szczególnie angażować uwagę, szybkość przetwarzania informacji, pamięć wzrokową, podejmowanie decyzji i elastyczność poznawczą. Innymi słowy: podczas meczu nie tylko ruszasz nogami. Cały czas rozwiązujesz małe problemy. A to może być jeden z powodów, dla których tenis tak dobrze pasuje do idei zdrowego starzenia się.

WAŻNA JEST GRA

Jest jeszcze równowaga. I z wiekiem zaczynamy ją bardziej doceniać. Nie chodzi o to, że po czterdziestce czy pięćdziesiątce żyjemy w strachu przed upadkiem. Wystarczy jednak źle postawić stopę, zahaczyć o krawężnik albo poślizgnąć się na mokrej podłodze. Wtedy liczy się to, czy ciało potrafi błyskawicznie zareagować i odzyskać stabilność. Na korcie ćwiczymy to właściwie przy każdej wymianie: biegniesz do piłki. Hamujesz. Przenosisz ciężar na drugą nogę. Obracasz się, wyciągasz rękę, odbijasz i natychmiast wracasz do pozycji wyjściowej. Nie myślisz: teraz wykonuję ćwiczenie na równowagę. Po prostu grasz.

I właśnie to jest w sportach rakietowych ciekawe. Nie ćwiczą jednej rzeczy. Zmuszają serce, mięśnie, układ nerwowy, wzrok i mózg do współpracy. Wszystko naraz.

No więc trzeba grać – ale czy im więcej, tym lepiej? W badaniu Copenhagen City Heart Study naukowcy sprawdzili, ile czasu warto poświęcać na sport. Okazało się, że zależność między ilością aktywności a ryzykiem śmierci przypominała literę U. Najniższe ryzyko obserwowano u osób, które ćwiczyły około 2,6 do 4,5 godziny tygodniowo. Powyżej tego poziomu dodatkowa aktywność dawała coraz mniejsze korzyści. Kilka godzin ruchu w tygodniu może być znacznie ważniejsze niż ambitny plan, który szybko cię zniechęci. W końcu nie chodzi o to, żeby zaćwiczyć się na śmierć, ale o to, żeby jeszcze długo pożyć w dobrym zdrowiu. I być może właśnie tutaj kryje się odpowiedź na pytanie, dlaczego tenis tak dobrze wypada w badaniach. Tenis jest grą. A z grą mamy zupełnie inną relację niż z treningiem.

Na kort nie idziesz wyłącznie po to, żeby „zrobić cardio". Idziesz, bo ktoś na ciebie czeka. Masz przeciwnika, partnera, następny mecz. Masz serwis, który wciąż nie wychodzi tak, jak powinien, i tę jedną piłkę, którą ostatnio zawsze wrzucałaś w siatkę, a teraz nagle przelatuje dokładnie tam, gdzie trzeba. I chcesz spróbować jeszcze raz.

Tenis, padel, squash, badminton mają tu sporą przewagę. Tak, to trening, ale też zabawa. Wymaga siły i kondycji, ale również refleksu, koordynacji i koncentracji. Można zacząć jako dorosła osoba i stopniowo podnosić poziom, zamiast od razu walczyć z własnymi możliwościami.

Może więc pytanie nie powinno brzmieć: „Jaki sport jest najlepszy?"

Lepiej zapytać: „W co chcę nadal grać, kiedy będę miała sześćdziesiąt, siedemdziesiąt i osiemdziesiąt lat?" Jeśli odpowiedź brzmi „w tenisa", to naprawdę nie ma na co czekać. Rakietę można kupić w każdym wieku. ▲

W SPRZEDAŻY!

wysokieobcasy | Przewodnik po wychowaniu

116 STRON

PSYCHOLOGIA dla rodziców

INDEKS 410837
cena 17,90 zł
(w tym 8% VAT)
Wydanie specjalne
„Wysokich Obcasów"
nr 3/2026

SPONSOR WYDANIA
MÖLLER'S OMEGA-3

Orzeczenia i opinie. Sprawdź, co należy się w szkole

Agresja nastolatka. Co za nią stoi

Matki z ADHD

Fakty i mity o diecie dziecka

Od Korei po Szwecję. Jak uczą za granicą

Gdy rodzic jest narcyzem

Jak się dogadać z dorastającym dzieckiem

ISSN 1506-9087

NUMER W SPRZEDAŻY DO 18.11.2026

SPONSOR WYDANIA
MÖLLER'S OMEGA-3

żyć lepiej
psychologia codziennie

Więcej o psychologii czytaj na
wysokieobcasy.pl/zyclepiej

Magazyn do nabycia w punktach sprzedaży i na **PRENUMERATA24.pl**.
Dostawa bezpłatna, także do paczkomatu.